

NATHANIEL HAWTHORNE

SZKARŁATNA LITERA

TYTUŁ ORYGINAŁU THE SCARLET LETTER

Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński
Copyright for the Polish translation by Bronisława Bałutowa, Warszawa, 1987
ISBN 83-07-01623-1

Urząd Celny Szkarłatnej litery rozdział wstępny

Rzecz to, jak sądzę, jest godna uwagi, że choć nie mam skłonności do nadmiernego rozgadywania się o sobie i o swoich sprawach przed kominkiem w gronie przyjaciół, to jednak dwa razy w życiu owładnął mną impuls autobiograficzny, gdy zwracałem się do publiczności. Po raz pierwszy zdarzyło się to trzy, cztery lata temu, gdy zaszczyciłem czytelników - w sposób niewybaczalny i bez żadnego powodu, jaki mógłby wymyślić pobłażliwy czytelnik lub natrętny autor - opisem mojego życia w zaciszu Starej Plebanii. A teraz, skoro przy poprzedniej okazji miałem więcej szczęścia niż zasługi znajdując kilku słuchaczy, raz jeszcze przytrzymam publiczność za guzik i opowiem o swoich przeżyciach z okresu trzech lat pracy w Urzędzie Celnym. Nikt dotąd nie naśladował wierniej ode mnie wzoru sławnego „P.P., Urzędnika Tutejszej Parafii”. Lecz powód prawdziwy jest taki, że gdy autor rzuca na wiatr słowa jak liście, zwraca się nie do tych wielu, którzy odrzucają jego książkę, lecz do tych nielicznych, którzy rozumieją go lepiej niż większość jego kolegów i towarzyszy życia. Niekiedy pisarze posuwają się dalej i pozwalają sobie na zwierzenia nader intymne, nadające się bardziej do opowiedzenia jednej, jedynej osobie, przeznaczone dla jednego serca i umysłu, z którym łączy nas idealne zrozumienie - tak jakby drukowana książka, rzucona w szeroki świat, miała odnaleźć drugą połowę rozdwojonej psychiki pisarza i dopełnić kręgu jego egzystencji jako ogniwo we wzajemnym ich obcowaniu. Nie jest rzeczą zbyt przystojną mówić wszystko, nawet gdy mówi się bezosobowo. Lecz skoro myśli i słowa zamierają, jeśli pisarz nie nawiąże prawdziwego kontaktu z czytelnikiem, można wybaczyć autorowi, gdy wyobraża sobie, że słucha go przyjaciel życzliwy i rozumiejący, choć nie najbliższy. Wówczas wrodzona nam powściągliwość topnieje od tej miłej świadomości i zaczynamy mówić o tym, co nas otacza, i nawet o nas samych, jakkolwiek nasze najgłębsze „ja” pozostaje ciągle w ukryciu. Wtedy - i w tych granicach - autor może, jak mi się zdaje, puścić wodze autobiografii bez pogwałcenia praw czytelnika i swoich własnych.

Okaże się również, że ów Urząd Celny jest całkiem na miejscu i odgrywa rolę zawsze uznawaną w literaturze, gdyż wyjaśnia, w jaki sposób wiele kart niniejszej opowieści weszło w moje posiadanie, a także stanowi dowód prawdziwości zawartej w nim historii. To właśnie - pragnienie ukazania się we właściwej roli, poza którą niedaleko wyszedłem, roli wydawcy tej długiej opowieści - to pragnienie powodowało mną naprawdę, gdy postanowiłem nawiązać osobisty kontakt z publicznością. Spełniając to główne zadanie uznałem, iż wolno mi wtrącić kilka dodatkowych zdań, aby naszkicować obraz życia dotychczas nie opisanego i umieścić w nim kilka postaci, z których jedną będzie przypadkowo sam autor.

W mym rodzinnym mieście Salem znajduje się przystań, która za czasów starego króla Derby tętniła życiem. Obecnie, zavalona butwiejącymi resztkami starych drewnianych magazynów, wykazuje zaledwie znikome ślady działalności handlowej w postaci jakiejś barki, jakiegoś brygu, wyładowującego skóry w połowie

smętnego pomostu, a bliżej lądu - szkunera z Nowej Szkocji, wyrzucającego ładunek drzewa na opał. W części przystani najbardziej wysuniętej ku przodowi, zalewanej często przyplływem, porośniętej pod ścianami i na całej przestrzeni za rzędem domów bujną trawą - ślad wielu opieszłych lat - stoi obszerny budynek ustawiony w poprzek portu tak, że z frontowych okien można podziwiać ów niezbyt budujący widok. Z najwyższego punktu dachu, dokładnie przez trzy i pół godziny co dzień przed południem, powiewa na wietrze lub zwisa w ciszy flaga Republiki; lecz jej trzymaście pasów biegnie pionowo, nie poziomo, co oznacza, iż ustawiono tutaj cywilną, a nie wojskową placówkę Rządu Wujka Sama. Front budynku ozdabia portyk o sześciu drewnianych kolumnach, podtrzymujących balkon, pod którym szerokie, granitowe stopnie schodzą na ulicę. Nad wejściem unosi się ogromny okaz amerykańskiego orła z rozpostartymi skrzydłami, z tarczą chroniącą pierś; jeśli pamięć mnie nie myli, trzyma on w szponach pęk piorunów i pierzastych strzał. Jak przystoi znanemu złośnikowi - cecha charakterystyczna nieszczęsnego ptactwa tego gatunku - z dzikiego wyrazu dziobu i oka i ogólnego okrucieństwa bijącego z jego postawy można wnosić, iż grozi nieszkodliwym obywatelom miejscowej społeczności.

Szczególnie zaś ostrzega wszystkich ludzi dbałych o własne bezpieczeństwo, by nie ośmielili się wtargnąć na terytorium, które osłania skrzydłami. Niemniej jednak, mimo wiedźmowatego wyglądu tego ptaka, wielu ludzi szuka w tejże chwili schronienia pod skrzydłem federalnego orła. Zapewne wyobrażają sobie, że jego pierś jest miękka i przytulna, niczym puchowa poduszka. Lecz nie ma w nim zbytnej czułości; nawet gdy jest w najlepszym humorze, prędzej czy później - raczej prędzej niż później - odrzuci swe pisklęta draśnięciem szpona, uderzeniem dzioba, lub zadając jątrzącą się ranę pierzastą strzałą.

W szparach bruku, okalającego wyżej opisaną budowlę, którą możemy od razu nazwać portowym Urzędem Celnym, rośnie dość trawy, by można było zgadnąć, że ostatnio nie niszczył jej nadmierny ruch handlowy. Jednakże w pewnych miesiącach zdarza się czasem ranek, gdy interesy posuwają się żwawszym krokiem. Takie okazje przypominać mogą starszym obywatelom okres poprzedzający ostatnią wojnę z Anglią, gdy Salem było portem niezależnym, nie pogardzanym przez własnych kupców i armatorów, którzy obecnie pozwalają, by jego baseny rozsypywały się w ruinę, podczas gdy ich transakcje niepotrzebnie i niepostrzeżenie wzmagają potężną falę ruchu handlowego w portach Nowego Jorku lub Bostonu. W takie ożywione ranki, gdy zdarza się, że do portu zawijają trzy lub cztery statki naraz - zwykle z Afryki lub z Ameryki Południowej - lub do tychże stron odbijają, słychać często tupot stóp przebiegających w górę i w dół po granitowych stopniach. Tutaj można powitać, nim jeszcze powita go własna żona, rumianego od morskich podróży szypra, który właśnie przybył do portu i niesie pod pachą dokumenty w wybrudzonym blaszanym pudle. Tu również nadchodzi właściciel statku - wesoły lub nachmurzony, zależnie od tego, czy interes zrealizowany w ukończonej właśnie podróży przyniósł mu towar, który łatwo będzie wymienić na złoto, czy też pogrzebał go pod ciężarem rzeczy niezbywalnych, od których nikt nie zechce go

uwolnić. Tutaj też ujrzymy pierwsze wcielenie pomarszczonego, posiwiałego, zniszczonego troskami kupca: to sprytny młody urzędnik, który próbuje smaku handlu, jak młody wilczek próbuje smaku krwi, i już załatwia interesy na statkach swego pryncypała, kiedy powinien raczej puszczać łódeczki z kory na młyńskim stawie. Jeszcze inna postać w porcie to marynarz - albo poszukujący protektora, by zaciągnąć się na statek, albo też dopiero co przybyły, blady i osłabły, starający się o umieszczenie w szpitalu. Nie zapominajmy też o kapitanach małych, rdzą obrosłych szkunerów, przywożących drzewo na opał z brytyjskich prowincji: to nieokrzesani majtkowie, pozbawieni tej żywości usposobienia, jaka cechuje Jankesów, dostarczający jednak artykułu niemałej wagi w naszym zamierającym handlu.

Jeśli zgromadzi się razem te wszystkie indywidua, jak to się czasem zdarzało, i doda kilka innych dla urozmaicenia całości, zobaczymy, że w takie dni Urząd Celny bywał ruchliwym miejscem. Częściej jednak wchodząc na schody widziało się - u wejścia letnią porą, a w zimie lub podczas brzydkiej pogody w odpowiednich pokojach - rząd czcigodnych postaci usadowionych pod ścianą na staroświeckich krzesłach odchylonych do tyłu. Najczęściej spali, lecz czasem słyszało się rozmowę, a jej odgłosy były czymś pośrednim między mową i pochrapywaniem. Cechował ją brak energii, typowy dla mieszkańców przytułków i wszelkich innych istot ludzkich żyjących z dobroczynności, z pracy zmonopolizowanej lub z innych źródeł, nie wymagających w każdym razie samodzielności i własnego wysiłku. Ci starsi panowie, z których każdy siedział przy stanowisku pobierania opłat celnych niczym święty Mateusz, lecz w odróżnieniu od niego bez widoków na powołanie do misji ewangelicznej, byli to urzędnicy Urzędu Celnego.

Nieco głębiej, po prawej stronie od głównego wejścia znajduje się pewien pokój lub biuro o powierzchni około piętnastu stóp kwadratowych, imponującej wysokości. Dwa sklepione okna wychodzą na wyżej wspomnianą zrujnowaną przystań, trzecie zaś na wąską uliczkę i biegnący od niej odcinek Derby Street. Ze wszystkich trzech można ujrzyć sklepy korzenne, warsztaty, sklepy z odzieżą marynarską i magazyny dostawców okrętowych, wokół których plotkując i śmiejąc się stoją grupki starych wilków morskich i innych szczurów portowych - postaci, jakie zazwyczaj kręcą się w okolicy przystani. Sam pokój osnuty jest pajęczynami, a dawno nie malowane ściany lepią się od brudu. Podłogę posypuje się szarym piaskiem (zwyczaj od dawna już nigdzie indziej nie stosowany) i łatwo się zorientować, że do tego sanktuarium kobieta ze swymi magicznymi narzędziami z miotłą i ścierką - jest rzadko dopuszczana. Co się tyczy urządzenia, stoi tam piec z potężnym kominem, stare biurko sosnowe, a przy nim stółek o trzech nogach; poza tym trzy czy cztery krzesła z drewnianymi siedzeniami - bardzo zgrzybiałe graty. Nie zapominajmy też o bibliotece: na półkach parę dziesiątków tomów Akt Kongresu i gruby Wyciąg z przepisów opłat celnych. Przez dziurę w suficie przechodzi blaszana rura - urządzenie do komunikacji ustnej z innymi częściami budynku. I tutaj właśnie, czcigodny Czytelniku, mógłbyś jakieś sześć miesięcy temu zobaczyć kogoś, kto krąży z kąta w kąt lub siedzi oklapły na długonogim stołku, wsparty łokciem o biurko i oczyma przebiega szpalty porannej gazety. Rozpoznałbyś

to samo indywiduum, które zapraszało cię do swego miłego gabineciku, gdzie słońce tak przyjemnie przeświecało przez gałązki wierzby od zachodniej strony w Starej Plebanii. Lecz teraz byś już na próżno pytał o inspektora celnego z partii Locofoco. Miotła reformy wygarnęła go z urzędu i godniejszy od niego następca pełni jego zaszczytne funkcje i zgarnia jego wynagrodzenie.

Nazwa istniejącego niegdyś radykalnego odłamu Partii Demokratycznej.

Stare miasto Salem - moje miasto rodzinne, choć często mieszkalem w innych miejscowościach, zarówno w wieku chłopięcym, jak i w dojrzałym - obdarzam miłością, której siły, przebywając, w nim, " nigdy nie podejrzewałem. Prawdę mówiąc, jeśli się weźmie pod uwagę jego wygląd zewnętrzny - płaski, niczym nie urozmaicony teren, zabudowany głównie drewnianymi domami, z których niewiele, a może żaden nie może się pochwalić pięknem architektury, długa, senna ulica, ciągnąca się leniwie przez całą długość półwyspu, uwieńczona z jednego końca Wzgórzem Szubienicy i Nową Gwineą, z drugiego budynkiem przytułku dla ubogich - biorąc więc pod uwagę te cechy zewnętrzne mego rodzinnego miasta, można by równie dobrze obdarzyć uczuciem nieuporządkowaną szachownicę. A jednak, choć zawsze gdzie indziej byłem szczęśliwszy, czuję coś do starego Salem, co w braku lepszego określenia muszę nazwać sentymentem. Ów sentyment zrodził się przypuszczalnie z głębokich korzeni, jakie moja rodzina dawno temu zapuściła w tej ziemi. Upływa obecnie prawie dwa i ćwierć wieku od czasu, gdy pierwszy emigrant noszący moje nazwisko, Brytyjczyk z pochodzenia, pojawił się w tej dzikiej, puszciami okolonej osadzie, która później stała się miastem. I tutaj rodzili się i umierali jego potomkowie, a ich ziemską powłoka mieszała się z tutejszą glebą tak długo, że niemałe jej połacie muszą wykazywać pokrewieństwo z tą doczesną skorupą, w jakiej sądzono mi przez czas jakiś chodzić po ulicach. Po części więc to przywiązanie, o którym mówię, jest fizyczną sympatią prochu do prochu. Wielu z moich ziomków nie ma o tym pojęcia; zresztą, skoro częste przesadzanie jest może korzystniejsze dla roślinności jednego gatunku, lepiej, by o tym nie wiedzieli.

Lecz mój sentyment ma również wymiar moralny. Postać naszego protoplasty - otoczona, zgodnie z rodzinną tradycją, nimbem mglistej, zmierzchającej wielkości - żyła w mej chłopięcej wyobraźni, odkąd sięgnę pamięcią. Jeszcze teraz prześladowuje mnie i sprawia, że w przeszłości czuję się jak w domu, czego nie mogę powiedzieć o moim związku z obecnym miastem. Wydaje mi się, że ów poważny, odziany w czarną opończę i wysoki kapelusz brodaty przodek, który przybył tak wcześnie ze swą Biblią i mieczem i kroczył po nie zdeptanej jeszcze ulicy z takim dostojeństwem i był tak ważną figurą w czasach wojny i pokoju, daje mi większe prawo do mieszkania tutaj, niż mogłoby mi przysługiwać ze względu na mnie samego - człowieka, którego imię rzadko się słyszy, a twarzy prawie się nie zna. Ów przodek był żołnierzem, prawodawcą, sędzią. Rządził Kościołem, miał wszystkie cechy purytanina, dobre i złe. Był również bezwzględny prześladowcą, jak świadczy o tym historia kwaków, którzy upamiętnili go w swych kronikach i opowiadają o pewnym incydencie, w którym okazał nieubłaganą surowość wobec kobiety z ich sekty. Obawiam się, że to wspomnienie o nim przetrwa dłużej niż wszelkie rejestry

jego lepszych uczynków, choć było ich wiele. Jego syn odziedziczył po nim zapal w prześladowaniach i odegrał tak znaczną rolę w męczeństwie czarownic, że ich krew, wedle wszelkiej sprawiedliwości, musiała na nim pozostawić plamę niechybnie tak trwałą, iż jego stare, zeschnięte kości, leżące na cmentarzu przy Charter Street, jeśli nie rozsypały się całkiem w proch, muszą dotąd nosić jej ślady. Nie wiadomo mi, czy moich przodków nawiedziło kiedyś poczucie skruchy i czy prosili Wszechmocnego, by im przebaczył okrucieństwa - czy też do tej pory ponoszą na tamtym świecie ciężkie konsekwencje swych czynów. W każdym razie ja, obecny tu pisarz, jako ich przedstawiciel biorę niniejszym tę hańbę na siebie dla ich odkupienia i zanoszę modły, by przekleństwo, które, jak słyszałem, sprowadzili na swój ród - o czym mógłby świadczyć smutny i ubogi jego los od wielu lat - zostało zdjęte teraz i na wsze czasy.

Niewątpliwie jednak obaj ci surowi, namarszczeni purytanie uważaliby, że spotkała ich wystarczająca kara za grzechy, gdy po wielu latach stary pień rodzinnego drzewa, obrosniętego obficie czcigodnym mchem, wydał na świat, jako swą szczytową gałązkę, takiego próżniaka jak ja. Żaden cel, do jakiego żarliwie dążyłem, nie wydałby się im godny pochwały. Żaden mój sukces - jeśli moje życie, poza szczęściem rodzinnym, opromienił kiedykolwiek blask sukcesu - nie znalazłby u nich uznania. Przeciwnie, wzbudziłby ich potępienie i odrazę. „Czym on jest? - mruczy jeden szary cień mego przodka do drugiego. - Pisarzem opowieści? A cóż to za zajęcie? W jaki sposób może to służyć chwale Bożej czy ludzkości w jego czasach i w jego pokoleniu? Zaiste, ten degenerat mógłby równie dobrze zostać grajkiem!” Takie oto komplementy rzucają mi przodkowie nad przepaścią stuleci! A jednak niech mną gardzą, ile zechcą. To, co było siłą w ich charakterze, jakoś splata się z moją naturą.

Głęboko wrosnięty w ziemię we wczesnym dzieciństwie miasta, dzięki tym dwóm poważnym i energicznym ludziom ród nasz przetrwał tu od owych czasów i zawsze podtrzymywał swą godność. Nigdy, o ile wiem, nie splamił się żadną niesławą swych latorośli. Z drugiej strony jednak, wyjąwszy dwa pierwsze pokolenia, nigdy chyba nie zdobył się na żaden czyn godny pamięci, lub bodaj publicznej wzmianki. Stopniowo jego członkowie stawali się coraz mniej widoczni, niby stare, zapadające się domy, zagrzebane do połowy w pokładach nawarstwionej ziemi. Przez ponad sto lat tradycyjnie z ojca na syna wyruszali na morze. W każdym pokoleniu posiwiały kapitan statku opuszczał pokład oficerski, aby resztę dni spędzić w domu, a czternastoletni chłopak zajmował dziedziczne miejsce wśród prostych marynarzy, stawiając czoło słonym bryzgom i sztormom, które niegdyś nękały jego ojców i dziadów. Chłopiec z kolei w odpowiednim czasie przechodził z dziobu do kabiny, przeżywał burzliwy wiek męski i wracał z wędrówek po świecie, by się zestarzeć i umrzeć, i zmieszać swoje prochy z ziemią rodzinną. Ów długotrwały związek rodziny z jednym miejscem, z miejscem narodzin i śmierci jej członków, stwarza poczucie wspólnoty ludzi i miejsc, całkowicie niezależne od wszelkich uroków krajobrazu czy też moralnych wartości otoczenia. To nie miłość, to instynkt. Nowy przybysz, który sam przybył z obcej ziemi, bądź też przywędrował

tu jego ojciec czy dziadek, niewielkie ma prawo, by mienić się obywatelem Salem. Nie ma pojęcia o tej uporczywości, godnej zamkniętej ostrygi, z jaką w cieniu nadciągającego trzeciego stulecia stary osadnik Ignie do miejsca, w które wrosło tyle kolejnych pokoleń. Nie liczy się fakt, że miejsce jest dla niego niewesołe, że ma już dość starych, drewnianych domków, błota i kurzu, martwej monotonii płaskiego terenu i nastrojów, zimnych wiatrów od wschodu i najzimniejszej z możliwych atmosfery, jaka panuje wśród miejscowej społeczności. To wszystko i wszelkie inne ujemne strony, jakie dostrzeże lub sobie wyobraża, nie mają znaczenia. Urok pozostaje i działa równie potężnie, jak gdyby miejsce to było rajem na ziemi. Tak też było i w moim przypadku. Miałem uczucie, jak gdyby przeznaczenie nakazywało mi uczynić Salem moim domem po to, by przez krótki dzień mego życia ludzie w naszym starym mieście mogli widzieć i rozpoznawać znane im od lat rysy mojej twarzy i cechy charakteru; bowiem gdy kolejny przedstawiciel rodu kładł się do grobu, następny przejmował po nim wartę i maszerował po ulicy Głównej. Niemniej jednak samo to uczucie jest dowodem, że związek ów stał się czymś niezdrowym i trzeba go wreszcie przerwać. Natura ludzka jest jak kartofel - nie może rozkwitać w pełni, gdy sadi się potomstwo rok po roku przez wiele pokoleń w tej samej wyjałowionej glebie. Moje dzieci urodziły się w innych miejscowościach i jeśli będę miał na to jakikolwiek wpływ, zapuszczą korzenie w świeżej ziemi.

Gdy opuściłem Starą Plebanię, właśnie to dziwne, leniwe, niewesołe przywiązanie do mego rodzinnego miasta przywiodło mnie tutaj, abym zajął miejsce w ceglanym budynku Wuja Sama, gdy mogłem z równym lub lepszym powodzeniem przenieść się gdzie indziej. Był to jakby wyrok losu. Nie pierwszy raz zdarzało się, że wyjeżdżałem stąd, jak się zdawało, na stałe, a jednak wracałem jak zły szeląg, albo jak gdyby Salem stanowiło dla mnie nieuniknione centrum wszechświata. Tak więc pewnego pięknego ranka wszedłem po granitowych schodach z dokumentem w kieszeni, stwierdzającym zatrudnienie mnie przez prezydenta, i zostałem przedstawiony korpusowi panów, którzy mieli mi pomagać w mej ważkiej i odpowiedzialnej misji Głównego Inspektora Urzędu Celnego.

Mam duże wątpliwości - a raczej nie mam żadnych - czy jakikolwiek urzędnik państwowy Stanów Zjednoczonych, czy to w służbie cywilnej, czy wojskowej, miał kiedyś pod swoimi rozkazami równie sędziwe grono patriarchów-weteranów, jak ja. Pytanie, gdzie należy szukać najstarszego mieszkańca kraju, od razu się wyjaśniło, gdy na nich spojrzałem. Od dwudziestu lat z górą niezależna pozycja osobista poborcy utrzymywała Urząd Celny portu Salem z dala od zmiennych kolei życia politycznego, które zazwyczaj czynią pełnienie urzędów rzeczą tak kruchą i niepewną. Jako żołnierz - najzasłużniejszy żołnierz Nowej Anglii - stał on mocno na piedestale bohaterskiego dowódcy, a mając sam bezpieczną pozycję dzięki rozsądnemu liberalizmowi kolejnych administracji, utrzymywał swój urząd przez wiele kadencji i chronił swych podwładnych w niejednej godzinie zagrożeń i wstrząsów. Generał Miller był radykalnym konserwatystą, człowiekiem życzliwym i łagodnym, u którego przyzwyczajenie odgrywało wielką rolę. Przywiązywał się do znanych twarzy i trudno było go skłonić do wprowadzania zmian, nawet gdyby

zmiana miała stanowić niewątpliwą poprawę. Toteż obejmując mój dział znalazłem tam niewielu ludzi poniżej wieku sędziwego. Byli to przeważnie dawni kapitanowie statków. Miotani niegdyś falami wielu oceanów i stawiający dzielnie czoło sztormom burzliwego życia, wpłynęli ostatecznie w ten cichy ką. A że nic tu prawie nie zakłócało ich spokoju, prócz okresów paniki przy wyborach na prezydenta, wszyscy co do jednego zyskali w ten sposób odnowienie kontraktu na egzystencję. Choć na pewno podlegali nie mniej od swych bliźnich prawom starzenia się i niedołożenia, posiadli widać jakiś talizman, który chronił od śmierci. Kilku z nich, jak mnie powiadomiono, cierpiało na podagrę i reumatyzm, byli może przykuci do łoża i przez większą część roku nie śniło im się nawet pokazywać w Urzędzie Celnym. Lecz po łagodnej zimie wypelzali na słońce w maju lub w czerwcu, brali się opieszale do tego, co nazywali swoim obowiązkiem - i wedle własnych chęci i wygody znów wracali do łóżka. Muszę przyznać się do winy; skróciłem urzędowy żywot niejednego z tych czcigodnych sług Republiki. W odpowiedzi na moje przedstawienie sprawy pozwolono im odpocząć od wytężonej pracy, a wkrótce potem - tak jakby ich jedyną racją życia był zapal do służenia krajowi, w co usilnie wierzę - powynosili się do lepszego świata. Pobożna to dla mnie pociecha, że dzięki mojej interwencji zostało im dość czasu na odpokutowanie niecznych praktyk korupcji, w jakie, rozumie się, wpada ponoć każdy pracownik Urzędu Celnego. Ani frontowe, ani tylne wejście w Urzędzie Celnym nie otwiera drzwi do Raju.

Moi urzędnicy należeli po największej części do partii wigów. Na szczęście dla tego szacownego bractwa nowy inspektor nie był politykiem, a choć lojalny demokratą z przekonań, nie otrzymał i nie sprawował swego urzędu w powiązaniu z usługami politycznymi. Gdyby było inaczej, gdyby to wpływowe stanowisko objął działacz polityczny po to, by spełnić łatwy obowiązek stawiania czoła poborcy z partii wigów, któremu zniedołożenie nie pozwalało na osobiste zarządzanie swym biurem, to w miesiąc po wstąpieniu na schody Urzędu tego anioła z mieczem ognistym ze starej gwardii nikt by się nie ostał, by oddychać tu urzędowym życiem. Zgodnie z uznanym w tych sprawach kodeksem byłoby to niemal obowiązkiem dla polityka wysłać wszystkie siwe głowy co do jednej pod nóż gilotyny. Rzecz oczywista, staruszkowie spodziewali się z moich rąk jakiejś nieuprzejmości w tym guście. Smuciło mnie to, a zarazem śmieszyło, gdy widziałem, z jakim przerażeniem przyjęto moje przybycie; gdy widziałem, jak pobrużdżone policzki, smagane przez pół wieku sztormami, okrywają się bladością pod spojrzeniem osobnika tak nieszkodliwego jak ja; gdy słyszałem, jak ten i ów zwraca się do mnie z drżeniem w głosie - w głosie, który w dawno minionych czasach regularnie ryczał przez tubę tak groźnie, że sam Boreasz mógł zamilknąć ze strachu. Wiedziały te szacowne staruchy, że według z dawna ustalonych reguł, a w niektórych przypadkach ze względu na brak wydajności pracy, powinni byli ustąpić miejsca ludziom młodszym i politycznie bardziej ortodoksyjnym i w ogóle lepiej się od nich nadającym do służby u naszego wspólnego Wuja. Ja również o tym wiedziałem, lecz nie miałem serca działać zgodnie z moją wiedzą. Wobec tego, ku mojej oczywistej kompromitacji i z ujmą dla mego urzędowego sumienia, dalej snuli się w czasie mojej kadencji wokół basenów i

kręcili się po schodach Urzędu Celnego. Wiele czasu również spędzali drzemiąc po ulubionych sobie kątach, na krzesłach przechylonych do tyłu i opartych o ścianę. Budzili się wszakże raz czy dwa razy w ciągu przedpołudnia, by zanudzać się nawzajem powtarzaniem starych morskich opowieści i zmurszałych kawałów, które z czasem przeszły w system hasel i odżywek, jakimi się porozumiewali.

Wkrótce, jak sądzę, zorientowali się, że nowy inspektor celny krzywdy im nie zrobi. Tak więc z lekkim sercem i z błogim poczuciem pełnienia użytecznej pracy, jeśli nie dla naszej ukochanej ojczyzny, to przynajmniej dla samych siebie, poczciwi starsi panowie odprawiali różne drobne formalności Urzędu. Z mądrymi minami zaglądali przez okulary do ładowni statków i wiele robili hałasu o drobnostki, natomiast tępota, z jaką zwykle przegapiali sprawy ważne, była zdumiewająca. Ilekroć taka rzecz się zdarzyła - gdy na przykład wagon cennych towarów przemycono im dosłownie przed nosem na brzeg w samo południe - nic nie mogło dorównać czujności i skwapliwości, z jaką rzucali się do ryglowania, zamykania na podwójne zamki, do zalepiania taśmą i pieczętowania woskiem wszystkich otworów przestępczego statku. Zamiast nagany za poprzednie niedbalstwo spodziewali się raczej pochwały za swą podziwu godną czujność po szkodzie, wdzięczności i uznania za pośpiech i gorliwość w działaniu w chwili, gdy nie było już żadnej rady.

Mam taki głupi zwyczaj, że jeśli ktoś nie jest ponad miarę nieprzyjemny, to już wystarcza, abym nabrał do niego sympatii. Przede wszystkim zwracam uwagę na lepsze strony charakteru moich towarzyszy - jeśli posiadają jakieś lepsze strony - i zgodnie z tym kształtuję o nich sąd. Ponieważ w większości ci starzy pracownicy Urzędu Celnego posiadali jakieś dobre cechy, a moje stanowisko wśród nich zakładało poniekąd opiekuńczy i ojcowski stosunek sprzyjający rozwojowi przyjaznych uczuć, wkrótce polubiłem ich wszystkich. Przyjemnie było latem przed południem, gdy panował nielitościwy skwar, który resztę rodzaju ludzkiego rozpuszczał na płyn, a dla ich na pół obumarłych organizmów zdawał się miłym ciepłem - przyjemnie było słuchać, jak gawędzą przy tylnym wejściu, siedząc rządkiem na krzesłach jak zwykle odchylonych do tyłu i wspartych o ścianę, a zlodowaciałe dowcipy minionych pokoleń tają i płyną im z ust, musując od śmiechu. Na zewnątrz humor starych ludzi bardzo przypomina wesołość dzieci. Intelpekt, czy głębiej sięgające poczucie humoru, niewiele ma z nim wspólnego. W obu przypadkach jest to światło igrające na powierzchni, które nadaje słoneczny i pogodny wygląd zarówno zielonej gałązce, jak i szarej korze zmurszałego pnia. W pierwszym przypadku jednak jest to prawdziwy blask, w drugim przypomina raczej fosforyzujące światełko próchniejącego drewna.

Nie chciałbym wszakże, by czytelnicy źle mnie zrozumieli: byłoby to rażącą niesprawiedliwością, gdybym wszystkich moich zacnych przyjaciół przedstawiał jako zdziecinniałych staruszków. Przede wszystkim nie wszyscy moi współpracownicy byli starzy. Zdarzali się wśród nich ludzie w pełni sił i życia, wybitnie uzdolnieni i energiczni, którzy kwalifikacjami przerastali podrzędną pozycję i znikome zadania, jakie narzuciła im zła gwiazda. Z drugiej strony pod strzechą siwej czupryny kryło się czasem wyposażenie umysłu zachowane w

doskonałym stanie. Lecz co do większości mego korpusu weteranów, nie wyrządę im wielkiej krzywdy, określając ich ogólnie jako grono starych nudziarzy, którzy z urozmaiconych doświadczeń swego życia nie wynieśli nic godnego zachowania. Mogło się wydać, że odrzucili precz złote ziarno mądrości życiowej, jakie mogli zebrać przy tylu okazjach, a w swej pamięci starannie zgromadzili wszelkie plewy. Mówili z większym zainteresowaniem i namaszczeniem o dzisiejszym śniadaniu i o obiedzie - wczorajszym, dzisiejszym lub jutrzejszym - niż o rozbiciu statku przed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty i o wszystkich cudach świata, które za młodu oglądali na własne oczy.

Ojcem Urzędu Celnego, patriarchą nie tylko tutejszego, małego oddziału funkcjonariuszy, lecz - śmiem twierdzić - wszystkich szacownych sług morza w całych Stanach Zjednoczonych, był pewien mianowany na stałe inspektor. Można by go słusznie nazwać prawowitym synem systemu skarbowego, jego nieodrodnym dziedzicem i następcą predystynowanym, a raczej urodzonym w purpurze: mianowicie ojciec jego, pułkownik z czasów Rewolucji, a poprzednio poborca w tym porcie, utworzył dla niego urząd i mianował go nań w zamierzonych czasach, które niewielu ludzi pamięta. W okresie, gdy go poznałem, inspektor był jegomościem około osiemdziesiątki, jednym z najwspanialszych okazów oziminy, jaki trudno by było znaleźć szukając przez całe życie. Z twarzą rumianą, szczupły i prosty, elegancko odziany w surdut z błyszczącymi guzikami, poruszający się krokiem szybkim i sprężystym i w ogóle zdrowy i czerstwy, wyglądał - no, może nie młodo; raczej jak jakiś nowy twór matki-natury w postaci mężczyzny, którego starość i choroba się nie imają. Jego głos, jego śmiech, rozbrzmiewający ciągle w pomieszczeniach Urzędu Celnego, nie miał w sobie ani śladu starczego drżenia czy chichotu; donośny i triumfalny, dobywał się prosto z płuc, niczym pianie koguta lub dźwięk trąby. Gdy patrzyło się na niego jak na okaz zwierzęcia - a niewiele tam było więcej do zobaczenia - był obiektem nadzwyczaj udanym, wyposażonym w zdrowy i prawidłowo działający organizm i zdolnym, nawet w tym wieku, czerpać uciechę ze wszystkich przyjemności, jakich mógł kiedykolwiek pragnąć lub bodaj je wymarzyć. Beztraska pewność egzystencji w Urzędzie Celnym w połączeniu z regularnym dochodem i z bardzo rzadkimi okresami minimalnej obawy usunięcia z posady niewątpliwie ujęły ciężaru jego życia. Przyczyn bardziej jednak zasadniczych i rozstrzygających należało raczej szukać w rzadkiej perfekcji jego struktury fizycznej, obdarzonej dość mierną dawką intelektu z minimalną domieszką elementów moralnych i duchowych. Tych ostatnich zaiste posiadał bardzo niewiele - tyle tylko, by powstrzymać starszego pana od biegania na czworakach. Nie znalazłbyś tam siły umysłu ani głębi uczucia, ani kłopotliwego daru wrażliwości - krótko mówiąc nic, prócz kilku pospolitych instynktów, wspartych pogodnym usposobieniem, płynącym niechybnie z doskonałego fizycznego samopoczucia, które znakomicie mu wystarczały. W miejsce serca służyła mu generalna zgoda na wszystko, co niosło życie. Był mężem trzech żon po kolei, dawno nieżyjących, i ojcem dwadzieściora dzieci, z których większość również obróciła się już w proch, umierając w dzieciństwie, w młodości lub w wieku dojrzałym. Zdawałoby się, że tyle nieszczęść

mogło okryć czarną żałobą najbardziej promienne usposobienie. Nic to dla naszego starego inspektora! Jedno krótkie westchnienie wystarczało, by zrzucić ciężar wszystkich tych posępnych wspomnień. W chwilę potem gotów był - i skory - do zabawy niczym małe dziecko, o wiele bardziej skory niż młodszy dependent poborcy, który przy swoich dziewiętnastu latach zdawał się z nich dwóch starszy i poważniejszy.

Obserwowałem i studiowałem ową patriarchalną postać z żywszym zainteresowaniem niż kogokolwiek z tych ludzi, pozostających wówczas w zasięgu mojej uwagi. Był to naprawdę rzadki fenomen: tak doskonały pod jednym jedynym względem, tak płytki, zwodniczy i nieuchwytny, takie zero! - pod każdym innym. Doszedłem do wniosku, że nie ma ani duszy, ani serca, ani rozumu, nic, jak mówiłem, prócz instynktów. A jednak przy tym wszystkim różne cechy jego charakteru tak zręcznie zostały skomponowane, że nie odczuwałem tych braków w sposób przykry, natomiast to, co w nim znajdowałem, dawało mi pełne zadowolenie. Trudno byłoby, a właściwie było trudno wyobrazić sobie jego istnienie na tamtym świecie, tak bardzo zdawał się ziemski i cielesny. Lecz zaiste jego egzystencja tu, na ziemi, choć miała skończyć się z jego ostatnim tchnieniem, była nie byle jakim darem Niebios: otrzymał moralność i poczucie odpowiedzialności nie większe niż u bydłatek na pastwisku, - większą niż u nich skalę doznań w dziedzinie przyjemności i uciech, a równą im odporność na cierpienia i smutki starości.

Jednym takim punktem, w którym posiadał ogromną przewagę nad swymi czworonożnymi braćmi, była zdolność pamiętania o wszystkich dobrych obiadach, których zjadanie należało do najszczęśliwszych chwil jego życia. Jego łakomstwo przejawiało się w sposób bardzo ujmujący - trzeba było słuchać, jak sławił uroki pieczeni! Zaostrzało to apetyt niczym pikle lub ostryga. Nie posiadał wyższych aspiracji, toteż nie było w tym poświęcenia ani szkody dla życia duchowego, gdy całą energię i pomysłowość wkładał w służbę rozkoszy i korzyści gęby. Tak więc z upodobaniem słuchałem, jak rozwodził się nad rybami, ptactwem i mięsem zwierząt rzeźnych, rozważając najodpowiedniejsze sposoby przyrządzania ich do stołu. Od jego wspomnień o dobrym jedzeniu biła w nozdrza woń wieprzowiny lub pieczonego indyka, choćby nawet bankiet ów miał miejsce przed wieloma laty. Jego podniebienie przechowywało smaczki, których doświadczyło co najmniej sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat temu, a które zdawały się równie świeże, jak smak baraniego kotleta, pożartego przed chwilą na śniadanie. Słyszałem, jak mlaskał na wspomnienie obiadów, których wszyscy uczestnicy, z wyjątkiem niego samego, od dawna już stali się strawą dla robactwa. Z przedziwnym uczuciem obserwowałem, jak cienie minionych posiłków ciągle go nawiedzają, nie z gniewu i z chęci zemsty, lecz jakby z wdzięczności za dawne uznanie - po to, by mnożyć dlań w nieskończoność serię uciech zmysłowych i duchowych zarazem. Połędwica wołowa, udziec barani, kotlet schabowy, pewien specjalny kurczak lub indyk nadzwyczajnej dobroci... Frykasy, które zdobyły jego stół w czasach starszego Adamsa, żyły w jego pamięci, podczas gdy to, co się od tamtej pory działo w naszym kraju, wszystkie wydarzenia, które rozjaśniały lub osnuwały mrokiem jego własne dzieje, przeszły

bokiem, zostawiając wrażenia równie nietrwałe jak przelotny wietrzyk o ile mogłem osądzić, najtragiczniejszym przejściem w życiu staruszka było przykre doświadczenie z pewną gęsią, która żyła i skonała jakieś dwadzieścia lub czterdzieści lat temu - gęś o nader obiecującej figurze, która jed nak na stole okazała się tak niepoprawnie twarda, że nóż do mięsiwa nie zrobił na jej zwłokach żadnego wrażenia: dała się pokroić tylko przy pomocy siekierki i piły.

Lecz czas już kończyć ten szkic, który co prawda z chęcią bym jeszcze dalej rozwijał, gdyż ze wszystkich znanych mi ludzi ów osobnik najlepiej nadawał się na pracownika Urzędu Celnego. Większość ludzi z powodów, o których chyba nie będę się rozwodził z braku miejsca, ulega przy tym szczególnym trybie życia demoralizacji. Stary inspektor był do tego niezdolny i gdyby nawet pracował tu do końca świata, pozostałby taki sam, jakim był wówczas, i siadałby do obiadu z równie dobrym apetytem.

Pozostaje jeszcze jedna podobizna, bez której moja galeria portretów Urzędu Celnego byłaby dziwnie niekompletna, lecz mając stosunkowo mało okazji do obserwacji, mogę dać tylko ogólny zarys sylwetki. Jest to nasz poborca, nasz dzielny stary generał, który po wspaniałych wyczynach wojennych i po okresie zarządzania terytoriami Dzikiego Zachodu przybył w te strony przed dwudziestu laty, by spędzić tu resztę dni u schyłku swego barwnego i szczytowego żywota. Ów dzielny żołnierz liczył sobie lat chyba z siedemdziesiąt i odbywał pozostałą mu drogę ziemskiego marszu pod ciężarem dolegliwości i niemocy, jakim nie mogły ulżyć nawet surmy bojowe jego własnych, krzepiących ducha wspomnień. Chód miał powolny, utrudniony wskutek paraliżu nóg - tych nóg, które kiedyś niosły go na czele wojennych szarzy. Wolno, z wysiłkiem i tylko z pomocą służącego, ciężko wspierając się ręką o poręcz, wstępował na schody i po uciążliwej przeprawie przez salę docierał do swego zwykłego fotela przy kominku, gdzie siadywał, śledząc pogodnym, lecz zamglonym okiem przechodzące tam i z powrotem postacie, czemu towarzyszył szelest papierów, składane co chwila zaprzysiężenia, rozmowy o sprawach służbowych i prywatnych, biurowe pogawędki. Wszystkie te odgłosy i inne okoliczności bardzo niejasno docierały do jego zmysłów, nie przenikając niemal wcale do wewnętrznych ośrodków kontemplacji. W tym całkowitym spokoju ducha oblicze jego miało wyraz łagodny i dobrotliwy. Jeśli ktoś się do niego zwracał, błysk uprzejmego zainteresowania rozjaśniał mu twarz, zdradzając, że nie wszystko w nim zagasło, tyle że powierzchowna warstwa aktywności umysłowej nie przepuszczała już pełnego światła. Im głębiej docierało się do jego umysłu, tym wydawał się zdrowszy. Gdy mijała potrzeba, by mówił lub słuchał - obie te operacje sprawiały mu wyraźną trudność - wkrótce na twarz jego powracał zwykły, nie pozbawiony pogody wyraz całkowitego spokoju ducha. Dla obserwatora nie było to przykre, bo choć spojrzenie miało zmętniałe, nie dostrzegało się w nim starczego zidiocenia. Jego struktura wewnętrzna, z przyrodzenia silna i masywna, jeszcze nie rozsypała się w ruinę.

Jednakże wobec takich utrudnień obserwacja i określenie jego charakteru było równie trudne, jak odtworzenie w wyobraźni starej fortecy, na przykład

Ticonderoga, gdy widziało się tylko szare, porozwalane ruiny. Tu i ówdzie być może jakieś ściany zachowały się w całości, gdzie indziej pozostał tylko bezkształtny kopiec gruzu przytłoczonego własną masą, porosły przez długie lata pokoju i zaniedbania trawą i nieprzyjaznym chwastem.

Niemniej jednak, patrząc na starego wojownika z ciepłymi uczuciami - bo choć porozumienie między nami było słabe, moje do niego uczucia, podobnie jak uczucia wszystkich istot dwunożnych i czworonożnych, które go znały, tak można bez przesady określić - dostrzegałem główne rysy jego charakteru. Były to szlachetność i heroizm, co wskazywało, iż nie rozślawił swego imienia przez przypadek, lecz zdobył sobie do niego prawo. W moim pojęciu nie był on skłonny do powierzchownej, byle jakiej aktywności. We wszystkich okresach swego życia potrzebował zapewne jakiejś silnej podniety, która wprawiłaby go w ruch. Lecz gdy raz się ruszył, widząc przed sobą przeszkody do pokonania i cel godny osiągnięcia, nie był to ktoś, kto mógłby ustać lub przegrać. Ogień, który go niegdyś przenikał i jeszcze nie wygasł całkowicie, nigdy nie buchał płomieniem. Przypominał raczej intensywny i głęboki żar, czerwony jak rozpalone w wielkim piecu żalazo. Masywność, solidność, stałość - to wyrażała jego postać w stanie spoczynku, nawet w tym okresie, o którym mówię, gdy opanował go podstępnie przedwczesny rozkład. Lecz nawet wtedy mogłem sobie wyobrazić, że pod wpływem jakiegoś podniecenia, które sięgnęłoby głęboko w świadomość, porwany głosem trąbki na tyle donośnym, by obudzić w nim całą energię - nie obumarła, lecz tylko uśpiona - byłby jeszcze zdolny odrzucić swe niedołęstwo niby szatę chorego i cisnąć precz kij staruszka, aby chwycić za szablę i znów stać się wojownikiem. I nawet w tak dramatycznej chwili zachowałby spokój. Jednakże tego rodzaju pokaz mógłby się tylko zrealizować w wyobraźni; nie można było się tego spodziewać, ani nawet pragnąć. A jednak widziałem w nim pewne cechy tak wyraźnie, jak widziałem niezniszczalne wały starej Ticonderoga, wspomniane przed chwilą w zgrabnym porównaniu: zaciętą, niewzruszoną wytrzymałość, w młodszym wieku wyrażającą się przypuszczalnie uporem, nieskazitelną uczciwość, która podobnie jak inne jego przymioty miała w sobie coś nieustępliwego, ciężkiego i twardego niczym tona rudy żelaznej, a wreszcie dobroć, która - choć z taką furią prowadził atak na Chippewa lub Fort Erie - wydawała mi się równie prawdziwa, jak ta, co pobudzała do działania wszystkich głosicieli filantropii owych czasów. O ile mi wiadomo, zabijał ludzi własną ręką. Na pewno padali jak źdźbła trawy od kosy, gdy prowadził szarżę rozpalając ją energią i wolą zwycięstwa. To prawda - a jednak w sercu jego nie było okrucieństwa nawet na tyle, by strzepnąć pyłek ze skrzydła motyla. Nie znam człowieka, do którego wrodzonej dobroci mógłbym się odwołać z większym zaufaniem.

Wiele jego cech, także tych, które w dużej mierze decydują o podobieństwie portretu do oryginału, na pewno już zanikło lub zbladło, nim spotkałem generała. Zwykle najszybciej ulatuje wszystko to, co się składa na urok osobisty. Ruiny człowieka natura nie ozdabia kwieciami nowego piękna, wyrastającym ze szpar i szczelin kruszących się murów, jak w ruinach fortecy Ticonderoga, obsianych z jej

hojnej ręki kwiatami wonnego laku. Lecz przebłyski uroku i urody można było jeszcze u niego zauważyć. Przez mgły oddzielające go od świata przedzierał się czasem promień humoru i igrał ciepłem na naszych twarzach. Wrodzona wytworność, rzadko spotykana u mężczyzn po przejściu dzieciństwa i młodości, ujawniała się w upodobaniu generała do widoku i zapachu kwiatów. Stary żołnierz przypuszczalnie powinien cenić tylko krwawe laury na własnym czole. A oto był stary żołnierz, kochający kwietną brać, niczym młoda dziewczyna.

Tam więc przy kominku siadywał dzielny stary generał, podczas gdy inspektor, unikając, gdy tylko się dało, trudnego zadania wciągnięcia go w rozmowę, lubił stawać w pewnej odległości i obserwować jego spokojną, prawie senną twarz. Zdawał się nieobecny, choć widoczny z odległości kilku jardów; daleki, choć przechodziliśmy tuż koło jego fotela; nieosiągalny, choć można było wyciągnawszy rękę dotknąć jego dłoni. Być może żył bardziej realnym życiem w zaciszu swoich myśli, niż w tym nieodpowiednim dla niego otoczeniu biura poborcy. Manewry wojskowej parady, zgiełk bitwy, fanfary bojowe sprzed trzydziestu lat - takie pewnie widoki i odgłosy żyły w jego duszy. Tymczasem na zewnątrz otaczał go dyskretny szmer krzątania typowej dla życia handlowego i celnego - tu wchodził i wychodził kupcy, kapitanowie statków, schludni urzędnicy i nieokrzesani marynarze. Lecz generała jakby nic nie łączyło z tymi ludźmi i z ich sprawami. Zupełnie nie pasował do tego miejsca, podobnie jak stary, zardzewiały pałasz, co niegdyś błyszczał na bitewnym froncie, byłby nie na miejscu wśród kałamarzy, akt i drewnianych linijek, zalegających biurko pomocnika poborcy.

Jedna rzecz pomogła mi bardzo w odtworzeniu i uwidocznieniu postaci tego męznego żołnierza spod Niagary z jego pełną prostoty energią i lojalnością. Było to wspomnienie jego pamiętnych słów: „Spróbuję, ekscelencjo”, wypowiedzianych tuż przed desperacką i bohaterską akcją - odpowiedź zgodna z duchem i z charakterem nowoangielskiej odwagi, która docenia wszystkie niebezpieczeństwa i wszystkim stawia czoło. Gdyby w naszym kraju zasługi wynagradzano nadawaniem herbu, słowa te - na pozór tak łatwe do wypowiedzenia, ale wypowiedział je tylko ten człowiek w obliczu zadania niosącego niebezpieczeństwa i chwałę - te słowa byłyby najodpowiedniejszą dewizą dla tarczy herbowej generała.

Rzecz to zbawienna dla zdrowia moralnego i umysłowego znaleźć się na co dzień w towarzystwie ludzi całkiem od nas odmiennych, obojętnych dla tego, co zazwyczaj robiliśmy, ludzi, których życie i zdolności możemy ocenić dopiero wtedy, gdy wyłączymy się całkiem z własnej sfery. Tego rodzaju korzyści w moim życiu często dostarczał mi przypadek, lecz nigdy w takiej pełni i różnorodności, jak w czasie mej pracy w Urzędzie Celnym. Jeden zwłaszcza człowiek sprawił, że przez obserwację jego charakteru uświadomiłem sobie, czym jest talent. Jego uzdolnienia kwalifikowały go wybitnie na człowieka interesów. Szybki, bystry, jasno myślący, miał oko, które ogarniało wszelkie komplikacje, i dar porządkowania, dzięki któremu wszystkie trudności zniknęły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Pracował w Urzędzie Celnym od lat chłopięcych, tu się wychował i tu było właściwe

dla niego pole działania. Liczne zawilości rozpatrywanych spraw, tak uciążliwe dla intruza, w jego oczach układały się w idealnie regularną i zrozumiałą całość. Moim zdaniem był to ideał w swojej klasie. Był wcieleniem Urzędu Celnego, a w każdym razie główną sprężyną, utrzymującą w ruchu różne i różnie kręcące się koła. W instytucji bowiem tego rodzaju, gdzie pracowników mianuje się przez wzgląd na ich własny interes i wygodę, a ich przydatność do pracy, jaką wykonują, bywa nader rzadko racją decydującą, muszą oni szukać u kogo innego zdolności, których im samym brakuje. W ten sposób - z nieuchronnej konieczności - podobnie jak magnes przyciąga opilki, nasz człowiek interesów przyciągał w końcu do siebie każdą trudność, z jaką próżno zmagali się inni. Lekko, łaskawie, z uprzejmą pobłażliwością dla naszej głupoty, która dla jego umysłowości musiała zdawać się czymś wręcz kryminalnym, jednym ruchem palca natychmiast rzecz załatwiał. To, co niezrozumiałe, stawało się jasne jak słońce. Kupcy cenili go nie mniej niż my, jego towarzysze z grona wtajemniczonych. Jego absolutnie nieskazitelna uczciwość była dla niego bardziej prawem natury niż kwestią wyboru lub zasady. I inaczej być nie może: dla kogoś o umyśle tak niezwykle jasnym i precyzyjnym uczciwe i akuratne załatwianie spraw jest warunkiem zasadniczym. Najmniejsza plama na sumieniu w wykonywaniu obowiązków swego zawodu dręczyłaby go tak, jak błąd w bilansie lub plama z atramentu na czystej karcie rejestru - tylko, oczywiście, w większym stopniu. Jednym słowem, spotkałem się tutaj - przypadek rzadki w moim życiu - z człowiekiem całkowicie przystosowanym do swego stanowiska.

Tacy oto zdarzali się ludzie wśród tych, z którymi teraz związał mnie los. Wdzięczny byłem Opatrzności, że dała mi zajęcie tak bardzo niepodobne do wszystkiego, co robiłem dotąd, i poważnie podszedłem do mojej pracy, aby mieć z niej tyle pożytku, ile mogłem osiągnąć. Po okresie spędzonym z braćmi-marzycielami w Brook Farm, kiedy to pochłaniał nas trud fizyczny i nierealne projekty; po trzech latach przeżytych pod wpływem subtelnej umysłowości takiego człowieka jak Emerson; po tych szalonych dniach upojenia wolnością nad Assabeth, gdzie z Ellerym Channingiem dawaliśmy upust fantastycznym spekulacjom myślowym; po rozmowach z Thoreau w jego samotni w Walden, o sosnach i zabytkach kultury indiańskiej; po okresie wyrafinowania wynikłego z sympatii do klasycznego wykwintu kultury Hillarda i upojeń poetyckimi wzlotami przy ognisku domowym Longfellowa - nadszedł wreszcie czas, abym zaczął rozwijać inne przyrodzone zdolności i pożywił się strawą, na którą, jak dotąd, niewielki miałem apetyt. Nawet stary inspektor był pożądanym kąskiem jako zmiana diety dla człowieka, który znał Alcotta! Fakt, że choć miewałem towarzyszy tak wielkiej miary, pamięć o nich nie przeszkodziła mi w zbliżeniu się do ludzi zupełnie innego typu bez skarg i narzekań, uważałem w pewnej mierze za dowód wrodzonej równowagi w mej naturze, której nie brakowało żadnych zasadniczych składników zdrowej organizacji.

Literatura, praca literacka i wszystko, co się z nią wiązało, w tej chwili mało mnie obchodziły. Nie interesowałem się obecnie książkami: były czymś, co mnie nie dotyczyło. Natura, prócz natury ludzkiej, ta przyroda nieba i ziemi w pewnym

sensie skryła się przede mną, a wszelkie igraszki wyobraźni zmierzające do jej uduchowienia wyszły mi z głowy. Jeśli nawet ów dar czy zdolność nie przepadły całkowicie, pozostawały w zawieszeniu, jakby zmarłe. Byłoby to wszystko bardzo smutne, niewymownie ponure, gdyby nie świadomość, że tylko ode mnie zależało, aby przywołać z powrotem to, co było cenne w przeszłości. Oczywista, że takiego trybu życia nie można było bezkarnie przeciągać zbyt długo, mógłbym się bowiem stać innym człowiekiem, a przeobrażenie to nie obiecywało mi postaci, w jakie warto by się było wcielić. Lecz uważałem obecną sytuację po prostu za etap przejściowy.

Miałem zawsze instynkt proroczy, coś, co szeptało mi do ucha, że niebawem, gdy tylko nowa zmiana trybu życia będzie konieczna dla mego dobra, zmiana taka nadejdzie.

Tymczasem byłem Inspektorem Opłat Celných i o ile się na tym rozumiem, zupełnie dobrym inspektorem. Człowiek myślący, obdarzony fantazją i wrażliwością (nawet gdyby miał tych zalet dziesięć razy tyle, co potrzeba inspektorowi), może w każdej chwili wziąć się do urzędowania, jeśli tylko zechce. Moi koledzy urzędnicy, zarówno jak kupcy i kapitanowie statków, z którymi wiązały mnie moje oficjalne obowiązki, nie widzieli mnie w innym charakterze i przypuszczalnie nie mieli pojęcia o mojej innej działalności. Jak sądzę, żaden z nich nie przeczytał nigdy ani jednej strony przeze mnie napisanej, a gdyby ktoś nawet przeczytał wszystkie, nie poprawiłoby to mojej reputacji ani trochę. Nie poprawiłoby jej nawet, gdyby owe nierentowne stronicę pisało pióro tej miary co Burns lub Chaucer - a obydwaj przecież pełnili w swoim czasie obowiązki urzędników celnych, zupełnie jak ja. Dobra to nauczka, choć może często gorzka dla człowieka, który marzył o sławie literackiej i o zdobyciu tą drogą pozycji wśród potentatów tego świata, gdy wyjdzie z wąskiego kręgu ludzi, którzy jego zasługi uznali, i przekona się, jak poza tym kręgiem wszystko, co osiągnął i do czego dąży, jest całkowicie bez znaczenia! Nie jestem pewien, czy taka lekcja była mi specjalnie potrzebna jako przestroga lub nagana. W każdym razie gruntownie ją sobie przyswoiłem. Co więcej - myślę o tym z przyjemnością - pojąłem jej morał i nie sprawiła mi ona ani trochę bólu; ani razu też nie starałem się skwitować jej gorzkim westchnieniem. Jeśli zaś chodzi o rozmowy literackie, to owszem - pewien oficer marynarki, który przyszedł do pracy wraz ze mną, a opuścił ją niewiele później, często wciągał mnie w dyskusje na swe ulubione tematy: o Napoleonie i o Szekspirze. Również pomocnik poborcy, młody dżentelmen, o którym szeptało, że czasem gryzmoli na kartce papieru biurowego coś, co z odległości kilku jardów wygląda na wiersze, rozmawiał ze mną czasami o książkach, uważając, że z tymi sprawami być może jestem obznajmiony. Na tym kończyła się literacka wymiana myśli i to mi całkowicie wystarczało na moje potrzeby.

Teraz nie wypatrywałem już, czy moje imię jaśniej na kartach tytułowych wydawnictw zagranicznych, i nie dbałem o to. Czasem jednak myślałem z uśmiechem, że obecnie jest ono upowszechniane w inny sposób: stempel Urzędu Celnego drukował je za pomocą pieczętki i czarnego tuszu na worach pieprzu i koszach anatto, na pudełkach cygar i balach przeróżnych towarów podlegających

oczeniu, jako świadectwo, że owe artykuły złożyły swą daninę i przeszły przepisowo przez nasze biuro. Na takich to dziwnych skrzydłach sławy wieść o tym, że istnieję, o ile nazwisko świadczy o istnieniu, niosła się do miejsc, gdzie nigdy dotąd nie dotarła i mam nadzieję nigdy już nie dotrze.

Lecz przeszłość nie umarła. Czasami, bardzo rzadko, myśli - niegdyś zdawało się żywotne i aktywne, a jednak tak łatwo ukołysane do snu - odżywały na nowo. Jedną z najciekawszych okazji do ponownego rozbudzenia nawyków minionych dni było zdarzenie, które zresztą może uzasadni w sposób zgodny z literacką obyczajnością przedłożenie czytelnikom niniejszego szkicu.

Na drugim piętrze budynku Urzędu Celnego mieści się przestronny pokój, gdzie ceglany mur i nagie krokwie pozostały nie osłonięte płytami i tynkiem. W budynku, zaprojektowanym początkowo na skalę odpowiednią do dawnych obrotów handlowych portu, zapowiadającą wzrastający dobrobyt, któremu nie sądzono było urzeczywistnienie, jest tyle miejsca, że nie wiadomo, co z nim robić. Wysoki hol, położony nad apartamentem poborcy, pozostaje w efekcie nie wykończony do dziś dnia i mimo wiekowych pajęczyn, spowijających w girlandy mroczne belkowania, zdaje się ciągle czekać na zabiegi cieśli i murarza. W jednym końcu pokoju ustawiono we wnęce stos spiętrzonych beczek, zawierających paczki urzędowych dokumentów. Podłogę zalegają bezładnie porozrzucane kupy takich samych rupieci. Smutek ogarniał człowieka na myśl, ile też dni, tygodni, miesięcy i lat pracy zmarnowano na te zapleśniałe papierzyska, które stały się zawadą na ziemi i ukryto je w tym zapomnianym kącie, by już nigdy nie spoczęło na nich ludzkie oko. Ale z drugiej strony, jakież stopy innych rękopisów również poszły w zapomnienie, rękopisów wypełnionych nie nudą urzędowych formalności, lecz przemyśleniami twórczych umysłów i bogactwem uczuć głębokich serc, które - w odróżnieniu od nagromadzonych tutaj papierów - nie spełniły w swoim czasie żadnego zadania i nie przyniosły ich autorom nawet takich zarobków na przyzwoite życie, jakie pismaki Urzędu Celnego zawdzięczały temu jałowemu skrobaniu piórem! A może i nie było ono całkiem jałowe, gdyż dostarczało materiału do miejscowych kronik. Można tu było na pewno odnaleźć dane do statystyki dawnego handlu w Salem i pamiątki po tutejszych magnatach kupiectwa, jak stary King Derby, stary Billy Gray, stary Simon Forrester i wielu innych ówczesnych potentatów, których fortuny - pieczołowicie nagromadzone bogactwa - zaczynały topnieć z chwilą, gdy ich pudrowane głowy kładły się do grobu. Można tu było śledzić losy założycieli większości rodów, stanowiących obecnie arystokrację Salem, poczynając od mizernych początków ich handlowania, zwykle w czasach znacznie późniejszych od Rewolucji, a kończąc na okresie, gdy ich potomkowie uważali swą pozycję za od dawna utrwaloną.

Z okresu przed Rewolucją zapisków jest niewiele; dokumenty wcześniejsze i archiwa Urzędu Celnego zostały prawdopodobnie przewiezione do Halifaxu, dokąd wszyscy królewscy urzędnicy towarzyszyli armii brytyjskiej podczas jej odwrotu z Bostonu. Często tego żałowałam, gdyż papiery owe, sięgające może czasów Protektoratu, musiały zawierać liczne wzmianki o osobach zapomnianych i nie zapomnianych i o starodawnych obyczajach. Czytanie ich sprawiłoby mi

przyjemność równą tej, z jaką zbierałem indiańskie groty na polach w okolicy Starej Plebanii.

Lecz pewnego deszczowego dnia, gdy nie było nic do roboty, miałem szczęście odkryć coś w miarę interesującego. Grzebiąc i ryjąc w stosie rupieci w rogu pokoju, rozwijając na chybił-trafił dokumenty, odczytując nazwy statków, które już dawno zatoneły na morzu lub zgniły w portach, i nazwiska kupców, o których już nie słyszało się na giełdzie i trudno by je było odczytać z omszałych nagrobków - oglądając to wszystko po trosze z zainteresowaniem, a po trosze z niechęcią, z uczuciem smutku i znużenia, jakie towarzyszą naszym myślom o śmiertelnych szczątkach dawno przebrzmiałej działalności, ćwiczyłem wyobraźnię - opieszałą, gdyż od dawna nie używaną - wywoływaniem z tych wyschłych szkieletów obrazu barwniejszej niż dzisiaj przeszłości starego miasta, kiedy Indie były nowo odkrytą ziemią i tylko Salem znało do nich drogę. Wówczas nagle wpadła mi w rękę mała paczuszka, starannie zapakowana w stary, pożółkły pergamin. Wyglądało to na jakieś urzędowe sprawozdanie z dawno minionych czasów, gdy urzędnicy, w odróżnieniu od obecnych dni, uprawiali sztukę kaligrafowania wielkimi literami tylko w sprawach ważniejszych. Coś w tej paczce obudziło we mnie instynktową ciekawość: rozsypałem spłowiałą czerwoną tasiemkę, którą była obwiązana, z uczuciem, że wydobywam na światło dzienne jakiś skarb. Rozginając sztywne brzegi pergaminowej okładki stwierdziłem, że jest to akt mianowania niejakiego Jonatana Pue na stanowisko Inspektora Urzędu Celnego Jego Królewskiej Mości w porcie Salem prowincji Massachusetts Bay, sporządzony odręcznym pismem Gubernatora Shirleya i z jego pieczęcią. Przypomniałem sobie, że gdzieś czytałem (zapewne w Annałach Felta) notatkę o śmierci pana inspektora Pue, która nastąpiła z osiemdziesiąt lat temu. Pamiętam także wiadomość, podaną w jakimś bieżącym dzienniku, o odkryciu jego szczątków na cmentarzyku przy kościele Świętego Piotra z okazji remontu tej budowli. Jeśli mnie pamięć nie myli, nic nie pozostało po moim czcigodnym poprzedniku prócz nadwerężonego szkieletu, resztek odzieży i „peruki trefionej w majestatyczne pukle, która - w przeciwieństwie do głowy ongiś przez nią zdobionej - doskonale się zachowała. Lecz przeglądając papiery, owinięte w ów pergaminowy akt mianowania, odkryłem więcej śladów umysłowości pana Pue i pracy jego mózgu, niż trefiona peruka zawierała śladów jego czaszki.

Były to, krótko mówiąc, dokumenty nie urzędowej, lecz prywatnej natury, a przynajmniej spisane nie dla celów urzędowych własną ręką inspektora. Ich obecność w stosie rupieci Urzędu Celnego mogłem sobie tłumaczyć tylko faktem, że śmierć pana Pue nastąpiła nagle i te papiery, które zapewne trzymał w swoim biurku w Urzędzie, nigdy nie dotarły do jego spadkobierców; a może przypuszczano, że wiążą się ze sprawami biurowymi. Podczas przewożenia archiwów do Halifaxu, gdy stwierdzono, że pakiet nie zawiera dokumentów urzędowej wagi, pozostawiono go na miejscu i od tej pory leżał tu nie otwarty.

Dawny inspektor, widocznie niezbyt wówczas przeciążony obowiązkami swego urzędu, wiele wolnych godzin poświęcał, jak się zdaje, na zajęcia godne lokalnego antykwariusza i na inne badania podobnej natury. Była to dla niego

okazja, by zająć czymś umysł, który inaczej zardzewiałby z bezczynności. Część zebranych przez niego faktów przydała mi się, gdy pisałem artykuł pod tytułem Ulica Główna. Pozostałe przydadzą się może później do innych, równie wartościowych celów. Nie jest wykluczone, że można będzie je włączyć, o ile okażą się przydatne, do spisывania regularnej historii Salem, gdyby kiedyś moja cześć dla ziemi rodzinnej przymusiła mnie do wypełnienia tego zbożnego obowiązku. Tymczasem pozostaną do dyspozycji każdego dżentelmena, który byłby skłonny i zdolny do uwolnienia mnie od tego niezbyt zyskowego wysiłku. W ostateczności mam zamiar złożyć je w Towarzystwie Historycznym Essex.

Jednakże przedmiotem, który szczególnie zwrócił moją uwagę w owej tajemniczej paczce, był mocno zniszczony i wypłowiały skrawek delikatnego, czerwonego sukna ze śladami złotego haftu, postrzępiony i wytarty, tak że złoto straciło prawie cały połysk. Łatwo było jednak dostrzec, że wykonany został z wielkim kunsztem, ściegi zaś (jak zapewniały mnie panie, znające się na tych sekretach) zdradzają znajomość dawno zapomnianej sztuki hafciarskiej, której nie sposób teraz odtworzyć, nawet gdyby się wyciągało kolejno nitki. Ten strzęp czerwonego sukna - bowiem czas, zużycie i świętokradcze mole pozostawiły zaledwie strzęp - po starannym zbadaniu ujawnił swą formę: skrojony był w kształcie litery, dużej litery „A”. Dokładne zmierzenie wykazało, że każda jej kreska mierzy dokładnie trzy i ćwierć cala długości. Niewątpliwie skrawek ten miał służyć jako ozdoba do sukni. Jak się go jednak nosiło i jaką miał oznaczać w tych zamierzonych czasach pozycję, zaszczyt czy godność, pozostawało zagadką, na której rozwiązanie (wobec zmienności mody w takich szczegółach) niewiele miałem nadziei. A jednak dziwnie mnie to intrygowało. Mój wzrok, utkwiony w starej szkarłatnej literze, nie mógł się od niej oderwać. Na pewno miała jakiś głęboki, ukryty sens i wprost domagała się interpretacji. Coś jakby przesłanie, płynące od owego mistycznego symbolu, przenikało bezpośrednio w strefę mojej wrażliwości, wymykając się racjonalnej analizie.

Zaintrygowany, rozważałem między innymi i taką hipotezę, że mogła to być jedna z tych ozdób, jakich biali ludzie używali, by przyciągnąć wzrok Indian. Myśląc o tym przyłożyłem ją sobie do piersi i nagle wydało mi się - Czytelnik może się uśmiechnie, ale musi mi wierzyć - że czuję, w sensie niezupełnie fizycznym, lecz zbliżonym do tego, jakby mnie coś paliło, jakby litera była zrobiona nie z czerwonego sukna, lecz z rozpalonego do czerwoności żelaza. Zadrzałem i mimo woli upuściłem ją. Upadła na podłogę.

Pochłonięty oglądaniem szkarłatnej litery nie zwróciłem dotąd uwagi na mały zwitek brudnego papieru razem z nią skrecony. Rozwinąłem go teraz i z satysfakcją odczytałem pisane ręką starego inspektora dość dokładne wyjaśnienie całej sprawy. Było tam kilka kartek papieru kancelaryjnego, zawierających wiele szczegółów dotyczących życia i doświadczeń niejakiej Hester Prynne, która widocznie była znaczną osobistością w oczach naszych przodków. Żyła w okresie, który rozciąga się od zarania Massachusetts do końca siedemnastego stulecia. Osoby wiekowe, które jeszcze żyły w czasach pana inspektora Pue, pamiętały ją z lat swej młodości jako

kobietę bardzo sędziwą, lecz nie zniedołężniałą, okazałej i godnej postaci. Od niepamiętnych czasów miała zwyczaj krążyć po okolicy jako dobrowolna pielęgniarka, spełniając różne zacne uczynki. Udzielała także rad we wszelkich sprawach, zwłaszcza w sprawach serca, i tym sposobem, jak zwykle bywa z osobami skłonnyymi do takiej pomocy, od wielu ludzi odbierała cześć należną aniołom - lecz mam podejrzenie, że inni może widzieli w niej osobę natrętą i kłopotliwą. Zgłębiając dalej ów manuskrypt znalazłem opis innych postępków i cierpień tej szczególnej kobiety. Większość z nich czytelnik znajdzie w opowieści zatytułowanej Szkarłatna litera. Należy koniecznie pamiętać, iż główne fakty w tej opowieści są autoryzowane, a ich prawdziwość potwierdzona dokumentem pana inspektora Pue. Oryginał tych zapisków wraz ze szkarłatną literą - nader interesująca to pamiątka - znajduje się dotąd w moim posiadaniu i gotów jestem okazać go każdemu, kogo opowieść zainteresowała tak bardzo, że pragnąłby go obejrzeć. Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie twierdzę bynajmniej, że upiększając opowieść i uzupełniając z wyobraźni motywy i uczucia, którymi powodowały się osoby w niej występujące, zawsze utrzymywałem się w granicach tych kilku kartek zapisanych ręką starego inspektora. Przeciwnie, w tym punkcie pozwoliłem sobie skorzystać z poetyckiej swobody prawie tak samo, a może i całkiem tak, jakby fakty były wyłącznie moim pomysłem. Chodziło mi o utrzymanie autentyczności w głównych zarysach.

Odkrycie, o którym mowa, zwróciło moje myśli w kierunku dawnych zainteresowań. Oto zdobyłem, jak się zdaje, tło dla opowieści. Miałem wrażenie, że stary inspektor w szatach sprzed stu lat i w nieśmiertelnej peruce, która z nim razem została pochowana, lecz nie zniszczała w grobie, zjawił się przede mną w opuszczonym pokoju Urzędu Celnego. Z jego postawy biło dostojeństwo człowieka, który otrzymał nominację z rąk Jego Królewskiej Mości, a zatem padało na niego światło Majestatu, które tak olśniewająco jaśniało wokół tronu. Niestety, jakże różni się od niego urzędnik republikański - żałosna figurka z posturą winowajcy - który, będąc sługą ludu, czuje się wśród swych panów najmniejszym z najmniejszych i najnędzniejszym z najnędzniejszych. Tak więc widmowa, lecz majestatyczna postać własną ręką przekazała mi szkarłatny symbol i mały zwitek manuskryptu z objaśnieniem. Własnym widmowym głosem nakazywała mi, abym biorąc pod uwagę święty obowiązek synowski i cześć dla tego, który mógłby śmiało mienić się moim oficjalnym przodkiem, wydobył na widok publiczny jego spleśniałe i nadgryzione przez mole elukubracje. „Zrób to! - mówił duch pana inspektora Pue, kiwając dobitnie głową, jakże imponującą w tej pamiętnej peruce. - Zrób to, a cały zysk będzie dla ciebie. Niebawem będziesz go potrzebował, bo twoje czasy niepodobne są moim, gdy urząd piastowało się przez całe życie, a często pozostawiało się w spadku. Lecz zobowiązuję cię, abyś w tej materii dotyczącej starej pani Prynne oddał hołd pamięci twego poprzednika, co mu się słusznie należy!” A ja odpowiedziałem duchowi pana inspektora Pue: „Tak też uczynię!”

Poświęciłem przeto historii Hester Prynne wiele uwagi. Była ona tematem moich rozmyślań przez wiele godzin, a rozmyślając krążyłem po pokoju lub przemierzałem po sto razy długą trasę od frontowej bramy Urzędu Celnego do

bocznego wejścia i z powrotem. Wielką to wzbudziło irytację i frasunek w starym inspektorze i w referentach od ważenia i mierzenia, których drzemkę niemiłosiernie mącił nieustanny odgłos moich, coraz to nawracających kroków. Wspominając własne nawyki sprzed lat mówili, że inspektor krąży po mostku kapitańskim. Prawdopodobnie wyobrażali sobie, że jedynym moim celem - i w ogóle jedynym celem każdego człowieka zdrowego na umyśle, który z własnej woli zażywa ruchu - jest nabranie apetytu na obiad. I prawdę mówiąc, pobudzony wiejącym zwykle w tym przejściu wschodnim wiatrem, apetyt był chyba dla mnie jedynym dodatnim skutkiem tyłu niestrudzonych przechadzek. Atmosfera Urzędu Celnego tak źle harmonizuje z subtelnością plonów fantazji i wrażliwości, że gdybym tu pozostał przez następane dziesięć kadencji prezydenckich, wątpię, czy opowieść o szkarłatnej literze kiedykolwiek ukazałaby się oczom czytelników. Moja wyobraźnia upodobniła się do zmatowiałego zwierciadła, niezdolnego do ukazania postaci, którymi" tak bardzo chciałem je zaludnić: wszystko było zamazane i niejasne. Bohaterowie mojej opowieści po prostu nie chcieli rozgrzać się i ukształtować przez ogień, jaki starałem się wykrzesać w kuźni mego umysłu. Nie płonęli namiętnością, nie promienieli czułością uczuć; pozostawali sztywni jak ciała nieboszczyków i spoglądali mi w twarz z martwym, upiornym grymasem pogardy i wyzwania. „Co tobie do nas? - mówiły ich miny. - Ta odrobina władzy, jaką może kiedyś sprawowałeś nad plemieniem fikcji, znikła! Przehandlowałeś ją za nędzny grosz z państwowego funduszu. Idź więc i zarabiaj swoją pensyjka!" Krótko mówiąc, te drętwe wytwory mej własnej wyobraźni naigrawały się z mojego ogłupienia - i nie bez racji.

To nieszczęsne odrętwienie trzymało mnie nie tylko przez te trzy i pół godziny, których Wuj Sam żądał ode mnie jako należnej mu porcji z mego codziennego życia. Towarzyszyło mi też w czasie przechadzek nad morzem i wycieczek w głąb lądu, ilekroć - z rzadka i niechętnie - ruszałem na poszukiwanie ożywczych uroków natury, przynoszących mi dawniej taką świeżość; i pobudzenie myśli, gdym wychodził bodaj na próg Starej Plebanii. Ta sama; drętwota, odbierająca zdolność do wysiłku umysłowego, szła za mną do domu i ciążyła mi w pokoju, który całkiem nedorzecznie nazwałem swoim gabinetem. Nie opuszczała mnie również późną nocą, gdy siedziałem w opustoszałym saloniku, oświetlonym tylko ogniem migoczącym w kominku i światłem księżycy, próbując wywołać w wyobraźni sceny, które nazajutrz mogłyby ożyć w postaci opisów, mieniących się wieloma barwami na poweselałej kartce papieru.

Jeśli władze wyobraźni odmawiały posłuszeństwa o takiej godzinie, można by to rzeczywiście uznać za przypadek beznadziejny. Księżycowa poświata w pokoju, z którym jesteśmy zżyci, ścieląca się bielą na dywanie i ukazująca tak wyraźnie jego desenie, że każdy szczegół rysuje się dziwnie ostro, lecz z ostrością tak całkiem niepodobną do tej porannej lub południowej - to dla autora romansów najwłaściwszy pośrednik w nawiązywaniu znajomości z gośćmi, co nawiedzają jego wyobraźnię. Otacza go sceneria dobrze znanego mieszkania: krzesła - każde z nich to inna indywidualność; stół na środku, a na nim koszyk do robót ręcznych, parę książek i zgaszona lampka; kanapa; półka na książki; obraz na ścianie. Wszystkie te

dokładnie widoczne szczegóły stają się tak uduchowione niezwykłością oświetlenia, że tracą właściwie swą konkretną substancję i przekształcają się w twory naszej psychiki. Nic nie jest zbyt małe lub nieznaczące, by miało ująć tej przemianie, nadającej rzeczom godność. Dziecinny bucik, lalka w wiklinowym wózek, koń na biegunach - słowem wszystko, czego się używa i co służy do zabawy, okazuje się nagle dziwne i dalekie, choć obecne tak niemal żywo, jak za dnia. Na przykład podłoga znajomego pokoju staje się terenem neutralnym, miejscem, gdzie świat realny spotyka się z krainą baśni, a to, co prawdziwe, z tym, co zmyślane, i nawzajem się kształtują. Mogą wejść tu duchy - nikt się nie przerazi, tak bardzo pasuje to do scenerii. Nikt by się nawet nie zdziwił, gdybyśmy rozglądając się dostrzegli cień ukochanej osoby, która już odeszła, siedzący spokojnie w promyku tej czarodziejskiej poświaty z takim wyrazem twarzy, że zaczniemy się zastanawiać, czy wróciła z zaświatów, czy też nigdy nie odchodziła ze swego miejsca przy kominku.

Ów przyćmiony nieco blask ognia na kominku ma zasadniczy wpływ na efekty, które chciałbym opisać. Nasyca on pały pokój dyskretnymi barwami: ściany i sufit owiewa delikatny rumieniec, politurowane meble połyskują jego odbiciem. To cieplejsze światło miesza się z uduchowionym chłodem promieni księżycy i udziela jak gdyby serca i wzruszeń zrodzonych z ludzkiej czułości kształtom wywołanym przez wyobraźnię, przemienia śnieżne zjawy w postaci mężczyzn i kobiet. Patrząc w zwierciadło ujrzymy w głębi jego zakłętego kręgu tłący żar na pół wypalonych węgli, biel księżycowych promieni na podłodze i powtórzenie wszystkich blasków i cieni poprzedniego obrazu o krok dalej od rzeczywistości, o krok bliżej do kraju wyobraźni. Jeśli o takiej godzinie i z takim widokiem przed oczyma człowiek, siedzący samotnie, nie potrafi wymyślić dziwów i nadać im kształtu prawdy - niech się nigdy nie zabiera do pisania romansów.

Dla mnie niestety przez cały okres Urzędu Celnego wychodziło na jedno, czy to świecił księżyc, czy słońce, czy ogień na kominku. Żadne z nich nie dało mi ani krztyny więcej, niż płomyk zwykłej łojowej świeczki. Opuściły mnie doznania, płynące ze specyficznej wrażliwości, a z nimi mój dar wyobraźni - może niezbyt bogaty i wartościowy, lecz przecież to było najlepsze, co posiadałem.

Sądzę jednak, że gdybym odmienił rodzaj twórczości, moje uzdolnienia nie okazałyby się tak całkiem nieprzydatne. Mógłbym na przykład zadowolić się pisaniem historii z życia weterana kariery marynarskiej, dawnego kapitana statku, jednego z inspektorów, o którym muszę wspomnieć, gdyż inaczej okazałbym się ostatnim niewdzięcznikiem. Bowiem nie było niemal dnia, by ten urodzony gawędziarz nie ubawił mnie lub nie wzbudził mego podziwu swymi opowieściami. Gdybym potrafił zachować siłę i jędrność jego stylu i spontaniczny humor, ubarwiający jego opisy, pewien jestem, że powstałoby dzieło, które wniosłoby do literatury coś zupełnie nowego. Mógłbym też z łatwością znaleźć jakiś poważniejszy temat. Szaleństwem było próbować przerzucić się w dawno minioną epokę, gdy materializm codziennego życia napierał na mnie z taką siłą, lub tworzyć wymaginowane światy z mgły i powietrza, gdy nieuchwytnie piękno moich baniek mydlanych pękało od brutalnych zderzeń z bieżącymi sprawami. Mądrzej byłoby

nasycić twardą substancję dnia dzisiejszego refleksją i wyobraźnią i nadać jej blask i przejrzystość, tchnąć ducha w ten ciężar, który mnie coraz bardziej przygniatał, ruszyć śmiało na poszukiwanie prawdziwych, niezniszczalnych wartości, ukrytych w drobnych, nużących wydarzeniach i w zwyczajnych ludziach, z jakimi miałem teraz do czynienia. Była to moja wina. Ta karta życia, która się przede mną otwierała, zdawała się zapisana pospolitością i nudą dlatego tylko, że nie umiałem odnaleźć jej głębszego sensu. Tu była lepsza książka od wszystkich, jakie napisałem. Ukazywała się przede mną strona po stronie tak, jak kreśliła je rzeczywistość mijających godzin, a treść jej ulatywała tak szybko, jak się zjawiała, dlatego tylko, że moim myśłem brakło przenikliwości, a palcom zręczności, by to zapisać. Może kiedyś przypomnę sobie jakieś rozproszone fragmenty i kawałki akapitów i zdołam je odtworzyć, a wtedy okaże się, że litery na papierze zmieniają się w szczerę złotą.

Te refleksje przyszły zbyt późno. W owym czasie uświadamiałem sobie jedynie fakt, że to, co niegdyś było dla mnie przyjemnością, stało się próżnym wysiłkiem. Lecz wyrzekania z tego powodu nie miały sensu. Po prostu przestałem być pisarzem dość poślednich opowiadań i esejów, a stałem się dość dobrym inspektorem Urzędu Celnego. To wszystko. Niemniej jednak nie należy do przyjemności, gdy budzi się w nas podejrzenie, że umysł nasz z wolna wędnie lub też wyparowuje bez naszej świadomości niczym eter w probówce, tak że za każdym spojrzeniem widać coraz to mniejsze i mniej lotne resztki. Co do tego nie miałem wątpliwości, a obserwując siebie i innych doszedłem do pewnych wniosków na temat wpływu pracy urzędniczej na charakter, do wniosków niezbyt pochlebnych dla tego trybu życia. Rozwinę może ten temat w przyszłości w jakiejś innej formie. Na razie wystarczy, gdy powiem, że długoletni pracownik Urzędu Celnego nie może być człowiekiem bardzo wartościowym lub godnym szacunku z wielu powodów: jeden z nich to zapewnienie posady na stałe, a drugi, to sam rodzaj pracy, która - choć uważam, iż jest to praca uczciwa - nie daje możliwości uczestniczenia w zbiorowym wysiłku społeczności.

W efekcie - co można zauważyć u większości osób tutaj zatrudnionych - przez ten czas, gdy pracownika wspiera potężne ramię Republiki, on sam staje się coraz słabszy. W pewnym stopniu, zależnie od wrodzonej mu słabości lub mocy charakteru, zatracą on możliwość utrzymywania się o własnych siłach. Jeśli posiada wyjątkowo dużo wrodzonej energii, lub też jeśli osłabiająca ją magia tego miejsca nie działa zbyt długo, może odzyskać utracone siły. Urzędnik zwolniony z posady szczęśliwym w istocie, choć niezycliwym wyrokiem, który usuwa go stamtąd przedwcześnie, by dalej walczył wśród walczącego świata, może wrócić do siebie i stać się znów takim, jaki był przedtem. Lecz to się rzadko zdarza. Zazwyczaj utrzymuje się on na miejscu dość długo, by doprowadzić siebie do ruiny, i wtedy wyrzuca się go, gdy już ma nadwreżone ścięgna, aby na chwiejnych nogach kuśtykał, jak potrafi, po twardych drogach życia. Świadom własnej ułomności, czując, że stracił hart i elastyczność, będzie się odtąd zawsze oglądał, szukając oparcia z zewnątrz. Przenika go nie kończąca się nadzieja - złudzenie, które wbrew wszelkim rozczarowaniom, ignorując oczywistą niemożliwość, towarzyszy mu do

końca życia, a może nęka go także przez chwilę po śmierci, jak skurcze bólu u chorych na cholera - że w końcu, niebawem, jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności zostanie ponownie przyjęty na posadę. Ta wiara bardziej niż wszystko odbiera siłę i zdolność realizacji wszelkim jego poczynaniom. Po cóż się trudzić i mozolić, i tak zabiegać o to, by z trzęsawiska wyjść na twardy grunt, jeśli już za chwilę wyciągnie się mocne ramię Wujka Sama, by go podtrzymać? Po cóż by miał pracować na życie tutaj lub jechać do Kalifornii, gdy już niedługo przyjdzie do niego szczęście: co miesiąc stosik błyszczących monet z kieszeni Wujka! Smutne to i ciekawe, jak szybko, skoro tylko zasmakuje urzędu, udziela się biedakowi ta szczególna choroba. Złoto Wujka Sama - bez obrazy dla owego czcigodnego starszego pana - ma pod tym względem jakiś czar nieczysty, jakby wypłata z rąk diabła. Kto jej dotknie, niech się strzeże! Ten targ może się obrócić przeciw niemu i straci, może nie duszę, lecz wiele z jej cennych przymiotów: siłę odporności, odwagę i wytrwałość, umiłowanie prawdy, zdolność polegania na sobie i wszystko to, co się składa na męski charakter.

Otóż mi były piękne widoki na przyszłość! Nie znaczy wcale, by pan inspektor kierował tę naukę pod własnym adresem lub przyznawał, że czeka go ostateczna zguba, czy to przez dalszą pracę na urzędzie, czy też przez zwolnienie z niego. Jednakże moje refleksje nie były najweselsze. Nachodziła mnie melancholia, niepokoje; ciągle badałem swój umysł, sprawdzając, jakie stracił władze i jak daleko posuwa się niszczenie tego, co w nim jeszcze pozostało. Próbowałem obliczać, jak długo mogę jeszcze pozostać w Urzędzie Celnym, by wyjść z niego mężczyzną. Wyznam, czego najbardziej się obawiałem: przecież żadna rozsądna władza nie wyrzuci z pracy osoby tak spokojnej jak ja, a odejście z własnej woli nie leży w naturze urzędnika! A więc najbardziej obawiałem się tego, że w tym urzędowaniu posiwieję i stanę się zgrzybiałym staruszkiem i takim samym zwierzakiem jak stary inspektor. Czy nie mogło tak się zdarzyć przez wszystkie lata nudy urzędniczego życia, jakie mnie czekały, że ostatecznie będzie ze mną tak, jak z tym szacownym kolegą? Obiad stanie się dla mnie najważniejszym wydarzeniem dnia, a resztę czasu spędzać będę jak stare psisko - drzemiąc w słońcu albo w cieniu. Co za ponura perspektywa dla człowieka, który szczęście określał jako realizację w życiu pełnej skali własnych uzdolnień i potrzeb uczuciowych! A jednak przez cały czas na próżno się niepokoiłem. Opatrzność szykowała dla mnie lepsze rzeczy, niż mógłbym sam dla siebie wymyślić.

Doniosłym wydarzeniem w trzecim roku mego urzędowania - mówiąc stylem P.P. - był wybór generała Taylora na prezydenta. Otóż, aby ocenić w pełni korzyści urzędniczego życia, należy rozpatrzyć pozycję urzędnika w chwili obejmowania władzy przez wrogi obóz administracji. Jest to jedna z najbardziej uciążliwych, a w każdym razie najnieprzyjemniejszych sytuacji, w jakich ów nieszczęśliwy śmiertelnik może się znaleźć. Z żadnej strony nie widać korzystnej alternatywy, choć to, co wydaje mu się najgorsze, zapewne jest najlepsze. Tak czy owak, dziwne to uczucie dla człowieka dumnego i wrażliwego, gdy zdaje sobie sprawę z faktu, że o jego losie decydują ludzie, którzy go nie kochają i nie rozumieją, od których - skoro coś musi

go spotkać - wolałby raczej doznać krzywdy niż dobrodziejstwa. Musi się również wydać dziwne komuś, kto sam przez czas walki zachowywał spokój, gdy widzi, jak w godzinie triumfu budzą się krwiożercze instynkty, i zdaje sobie sprawę, że on właśnie należy do upatrzonych ofiar. Niewiele jest przywar ludzkiej natury bardziej szpetnych niż owa skłonność do okrucieństwa - a widywałem ją u ludzi nie gorszych od innych - skłonność, obudzona tylko dlatego, że posiadli władzę wyrządzania krzywdy. Gdyby gilotyna była rzeczywistością, a nie nader udaną metaforą, wierzę święcie, że aktywni członkowie zwycięskiej partii pucinaliby głowy nam wszystkim, dziękując Bogu za taką okazję - tak byli podnieceni. Mnie - człowiekowi, który pozostawał spokojnym i ciekawym obserwatorem w chwilach i zwycięstwa, i klęski - wydaje się, że ta gwałtowność i zawziętość w zemście nigdy nie towarzyszyły licznym zwycięstwom mojej własnej partii, tak jak się to teraz widziało u wigów. Demokraci z reguły obejmują urzędy dlatego, że ich potrzebują, i dlatego, że praktyka wielu lat ustanowiła to jako prawo walki politycznej, a wyrzekać na nie, póki nie wprowadzi się innego systemu, byłoby słabością i tchórzostwem. Jednakże, ponieważ przyzwyczaili się od lat do odnoszenia zwycięstw, stali się szlachetni. Potrafią oszczędzać ludzi, gdy widzą po temu potrzebę; a gdy uderzają, ich topór może być ostry, lecz jego ostrze rzadko zatruwa zła wola. Nie mają też haniebnego zwyczaju kopania głowy, którą akurat odcięli.

Krótko mówiąc, choć moja sytuacja była w najlepszym razie nieprzyjemna, miałem wiele powodów, aby winszować sobie, że znajduję się raczej po stronie przegrywających niż wygranych. Jeśli dotąd nie należałem do najgorętszych stronników mojej partii, w tym okresie niebezpieczeństw i przeciwności zacząłem sobie dość ostro uświadamiać, po czyjej stronie stoję. Toteż nie bez - uczucia wstydu i wyrzutów sumienia zdawałem sobie sprawę, że obliczając szansę zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, moje własne perspektywy utrzymania się na posadzie są lepsze niż innych kolegów z Partii Demokratycznej. Jednakże któż potrafi zobaczyć przyszłość choćby o cal dalej od własnego nosa? Moja głowa poleciała pierwsza!

Chwila, w której spada nam głowa, rzadko bywa, lub raczej nigdy nie bywa, najprzyjemniejszą chwilą w życiu. Niemniej jednak, podobnie jak w przypadku większości naszych nieszczęść, nawet w tak smutnej okoliczności można znaleźć coś pocieszającego, jeśli tylko nieszczęśliwiek postara się spojrzeć na to, co mu się zdarzyło, od strony najlepszej, a nie od najgorszej. W moim szczególnym przypadku argumenty pocieszające były tuż pod ręką i prawdę powiedziawszy nasuwały mi się na myśl znacznie wcześniej, niż zaszła potrzeba ich wykorzystania. Wobec moich wcześniejszych uczuć znużenia urzędem i niejasnych myśli o rezygnacji mój los podobny był do losu człowieka, który nosi się z zamiarem popełnienia samobójstwa i nagle, w sposób przechodzący wszelkie nadzieje, zostaje szczęśliwym trafem zamordowany. W Urzędzie Celnym, podobnie jak przedtem w Starej Plebanii, spędziłem trzy lata - dość długo, by mój zmęczony mózg wypoczął; dość długo, by przełamać stare nawyki myślowe i zrobić miejsce dla nowych; dość długo, zbyt długo na to, by dalej trwać w nienaturalnym stanie, robiąc to, co żadnej ludzkiej istocie nie mogło przynosić ani korzyści, ani przyjemności, i nie wykonując pracy,

która mogłaby przynajmniej uciszyć mój niepokój. Ponadto, rozważywszy fakt takiego bezceremonialnego wyrzucenia, były inspektor nie mógł się zbytnio martwić faktem, że wigowie uważają go za wroga. Od czasu zaniedbania przezeń politycznej działalności, przy jego skłonnościach do błędzenia dowoli po tych przestronnych, spokojnych obszarach, gdzie spotykać się może cała ludzkość, i unikania wąskich ścieżek, na których nawet bracia z jednego domu łatwo się rozchodzą - z tym wszystkim bracia demokracji wątpili czasem, czy jest rzeczywiście przyjacielem. Obecnie, gdy uzyskał męczeńską koronę (choć zabrakło głowy do jej noszenia), ten punkt można było uznać za wyjaśniony. Ostatecznie, choć niewiele miał w sobie z bohatera, rzeczą bardziej obyczajną było upaść wraz z upadkiem partii, której się trzymało z własnej chęci, niż trwać samemu jako ten jedyny, który przeżył, gdy padało tylu ludzi bardziej wartościowych, potem zaś, utrzymując się przez cztery lata na łasce wrogiej administracji, być zmuszonym do ponownego określenia swej pozycji i prosić własną administrację o zmiłowanie z jeszcze większym upokorzeniem.

Tymczasem prasa zajęła się moją sprawą, tak że przez tydzień czy dwa moja postać z uciętą głową ciągle krążyła na oczach publiczności niby Jeździec bez Głowy Irvinga - postać upiorna i ponura, wzdychająca do pochówka, na jaki zasłużył sobie człowiek politycznie zmarły. Tyle o mnie w przenośni. W życiu realnym człowiek, o którym mowa, przez cały czas utrzymywał głowę bezpiecznie na ramionach i doszedł do pocieszającego wniosku, że sprawy przybrały jak najlepszy obrót, po czym, zgromadziwszy zapas atramentu, papieru i stałówek, otworzył dawno nie używane biurko i stał się znów literatem.

I teraz właśnie elukubracje mego poprzednika z dawnych czasów, pana inspektora Pue, weszły na scenę. Musiało upłynąć trochę czasu, nim zdołałem zmusić moją maszynę umysłową, zardzewiałą od długiej bezczynności, do jako tako efektywnej pracy nad wspomnianą opowieścią. Nawet teraz, choć zadanie to ostatecznie bardzo mnie pochłonęło, wydaje mi się, że jej ogólna atmosfera jest zbyt surowa i posepna, nie rozświetlona umilającym wszystkim słońcem, niedostatecznie owiana czułością i poczuciem bliskości, które łagodzą ostrość obrazów natury i scen z życia. Ten niezachęcający efekt zrodził się może z warunków życia, w jakich kształtowała się opowieść: ledwie że zakończona rewolucja i pozostałe po niej wrzenie i zamieszanie. Nie świadczy on jednak o braku pogody w psychice pisarza, gdyż był on szczęśliwszy wśród wędrówek przez mroki owych bezsłonecznych fantazji niż kiedykolwiek od chwili porzucenia Starej Plebanii. Niektóre krótsze artykuły, zamieszczone w tym tomie, również zostały napisane po moim niezamierzonym odejściu od trudów i zaszczytów służby państwowej, pozostałe zaś wyciągnąłem z roczników i czasopism tak starych, że po zatoczeniu pełnego kręgu powróciły do punktu, w którym mogły zdawać się nowością. Podtrzymując metaforę gilotyny politycznej, można by całość opatrzyć tytułem Pisma pośmiertne ściętego inspektora; gdyby zaś szkic niniejszy, który już dobiega końca, wydawał się na skromnego człowieka zbyt osobisty, by go drukować za życia, można go przecież wybaczyć dżentelmenowi, który pisze właściwie z za grobu. Pokój całemu światu!

Dla przyjaciół błogosławieństwo! Dla wrogów przebaczenie! Przebywam bowiem w królestwie spokoju!

Życie w Urzędzie Celnym leży za mną jak sen. Stary inspektor (który nawiasem mówiąc spadł z siodła jakiś czas temu i niestety się zabił - inaczej z pewnością żyłby wiecznie), on i wszystkie pozostałe czcigodne osoby, siedzące razem z nim przy pobieraniu cła, to dla mnie jedynie cienie, siwowłose, pomarszczone dziwadła, którymi zabawiała się niegdyś moja wyobraźnia, aby je teraz odrzucić na zawsze. Kupcy - Pingree, Phillips, Shepard, Pisząc ten artykuł autor zamierzał wydać kilka krótszych opowieści i esejów w jednym tomie ze Szkarłatną literą. Zdecydowano jednak, że lepiej będzie odłożyć to na później (przyp. aut.).

Upton, Kimball, Bertram, Hunt - te nazwiska i wiele innych, z którymi moje ucho było tak idealnie zżyte sześć miesięcy temu, te ważne, jak się zdawało, figury w portowym ruchu i w światowej pozycji... Jakże niewiele potrzebowałem czasu, by odciąć się od nich wszystkich nie tylko czynem, ale i pamięcią! Z wysiłkiem przypominam sobie osoby i nazwiska - i to zaledwie tych kilku. Wkrótce także moje stare miasto rodzinne będzie mi się jawić w zamglonym wspomnieniu, otoczone mgłą i w niej pograżone, tak jakby nie było częścią realnego, ziemskiego świata, lecz tylko wioską zawieszoną w chmurach, zamieszkaną przez wytwory wyobraźni, cienie, które zaludniały drewniane domy i przechadzały się po skromnych zaułkach i brzydko rozwleczonej ulicy Głównej. Od tej chwili przestaje ono być rzeczywistością w mym życiu. Jestem obywatelem innych stron. Moje poczciwe mieszczuchy z Salem nie będą mnie zbyt żałować, bo choć w moich literackich wysiłkach przyświecała mi między innymi nadzieja zdobycia uznania w ich oczach i zasłużenia sobie na przychylną o mnie pamięć w tej siedzibie i miejscu spoczynku tylu moich przodków, nigdy nie było tu dla mnie przychylniej atmosfery, potrzebnej pisarzowi, by mogły dojrzeć najpiękniejsze plony jego ducha. Lepiej mi będzie wśród innych twarzy, a te znajome, jak wiadomo, doskonale się beze mnie obejdą.

A jednak może się zdarzyć - cóż za myśl krzepiąca i zwycięska! - że prawnukowie obecnego pokolenia obdarzą kiedyś ciepłym wspomnieniem pismaka z minionych dni, a kronikarz tych przyszłych czasów wskaże wśród miejsc pamiętnych w historii miasta to miejsce, w którym stała... POMPA MIEJSKA!

I Brama więzienna

Ciżba brodatych mężczyzn, odzianych w suknie o smutnych barwach i szare, wysokie jak dzwonnica kapelusze, przemieszanych z kobietami w kapturach lub z odkrytymi głowami, zebrała się przed drewnianym budynkiem, którego brama była tego obita dębina i najeżona żelaznymi kolcami.

Założyciele nowych kolonii, obojętne jaką Utopię ludzkich snów i szczęśliwości zamierzali stworzyć, uznawali niezmiennie za konieczne - wśród innych spraw pierwszej potrzeby - wyznaczenie pewnej części ziemi na cmentarz i drugiej pod budowę więzienia. Pamiętając o tej regule można śmiało zaryzykować twierdzenie, że przodkowie mieszkańców Bostonu uwinęli się z budową pierwszego więzienia, gdzieś w sąsiedztwie Cornhill, równie spieszenie, jak z wytyczeniem pierwszego miejsca grzebania zmarłych na działce Izaaka Johnsona wokół jego mogiły, która z czasem stała się ośrodkiem dla wszystkich grobów kongregacji na starym cmentarzu Kings Chapel. Na pewno w jakieś piętnaście, dwadzieścia lat po założeniu miasta drewniany dom więzienny nosił już ślady zniszczeń dokonanych przez deszcze i niepogody, oraz inne znamiona starości, które nadawały jego nasępionej fasadzie wygląd jeszcze bardziej mroczny. Rdza na ciężkich żelaznych okuciach zdawała się bardziej antyczna niż wszystko inne w tym nowym świecie. Jak wszystko, co wiąże się ze światem zbrodni, więzienie nigdy chyba nie wyglądało młodzieńczo. Placyk przed tą szpetną budowlą, oddzielający ją od traktu kołowego miejskiej ulicy, obsiano niegdyś trawą, pomieszaną teraz gęsto z łopianem, lebiodą, głogiem peruwiańskim i wszelkim szkaradnym zielskiem, jakie znalazło widać przyjazne dla siebie schronienie w glebie, która tak wcześniej wyhodowała ów czarny kwiat cywilizowanych społeczeństw - więzienie. Lecz po jednej stronie portalu,omalże na samym progu, zakorzenił się krzak dzikiej róży, obsypany w tę czerwcową porę i jej delikatnymi klejnotami. Można by pomyśleć, że po to tam wyrósł, by obdarzyć swą wonią i kruchym pięknem więźnia, który tam wchodzi, i skazanego? przestępcę, który opuszcza te progi idąc na śmierć - jak gdyby na znak, że w niezgłębionym sercu Natury może on znaleźć litość i przyjazne dla siebie uczucia.

Dziwnym trafem historia przechowała w pamięci ów krzak róży. Jednakże nie odważymy się rozstrzygać, czy uchwalił się z epoki prastarych ostępów leśnych i przeżył o wiele lat upadek olbrzymich sosen i dębów, co go niegdyś osłaniały, czy też - jak nam podają nader wiarygodne źródła - wyrósł pod stopami świątobliwej Anny Hutchinson, gdy wkraczała w więzienne bramy. Znajdując go tutaj, dokładnie u progu naszej historii, która rozpocznie się teraz od tego złowieszczego portalu, nic nam nie pozostaje lepszego do zrobienia, jak zerwać jeden kwiat i ofiarować go Czytelnikowi. Niech posłuży, miejmy nadzieję, jako symbol piękna nauki moralnej, jaką znajdziemy być może na szlaku opowieści, a też rozjaśni smutek jej zakończenia - tej opowieści o ludzkich ułomnościach i niedolach.

II Rynek miejski

Pewnego letniego poranka przed dwustu co najmniej laty na trawniku przed więzieniem przy ulicy Więziennej zgromadziła się znaczna liczba mieszkańców Bostonu, a wszyscy mieli oczy utkwione w dębowe odrzwia okute żelazem. W każdym innym zbiorowisku ludzkim - także w Nowej Anglii z okresów późniejszych - posepna, kamienna surowość, na brodatych obliczach owych zacnych ludzi wróżyłaby, że szykuje się coś straszego. Mogłaby na przykład zapowiadać egzekucję jakiegoś osławionego przestępcy, gdy wyrok śmierci nań wydany zgadzał się z werdyktem opinii publicznej. Lecz u tych pierwszych purytanów, znanych z surowości charakteru, wniosek taki niekoniecznie zgadzać się musiał z rzeczywistością. Równie dobrze mogło chodzić o biczowanie przy słupie, które miało przywołać do porządku opieszalego niewolnika lub nieposłuszne dziecko, przekazane władzom miejscowym przez rodziców. Mogło się też zdarzyć, że jakiś antynominanin, kwakier lub inny wyznawca nieortodoksyjnej sekty ma być wysieczony z miasta różgami, lub też że indiańskiego włóczęgę, awanturującego się na ulicach pod wpływem wody ognistej białego człowieka, czeka oćwiczenie pasami i wypędzenie w mrok puszczy. A może jakaś czarownica, jak na przykład ta zgryźliwa stara pani Hibbins, wdowa po urzędniku miejskim, miała zawisnąć na szubienicy? Przy wszystkich wydarzeniach tego rodzaju patrzący zachowywali tę samą uroczystą powagę - jak przystało ludziom, dla których religia i prawo były niemal czymś identycznym, a w ich umysłowości tak się jedno z drugim mieszało, że zarówno najłagodniejsze, jak i najsurowsze publiczne wymiary dyscypliny były równie groźne i równie szanowane. Gdyby przestępca na szafocie spodziewał się współczucia od takich widzów, niezbyt by się nim pożywił czy ogrzał. Z drugiej jednak strony kara, która by obecnie mogła wywołać drwinę i obelżywe śmiechy, w owych czasach otoczona była powagą równie surową i pełną godności, jak sama kara śmierci.

Należy zważyć, że w ten letni poranek, od którego rozpoczyna się nasza opowieść, kobiety - a było ich kilka w tym tłumie - zdawały się szczególnie zaintrygowane przewidywaną sceną ukarania. W siedemnastym wieku brakowało jeszcze owej delikatności uczuć, wedle której można by uznać za niewłaściwe, by osoby odziane w spódnice i halki ukazywały się na publicznych zgromadzeniach i wciskały swoje dość pokaźne kształty w tłum stojący najbliżej szafotu w czasie egzekucji. I moralnie, i materialnie kobiety i dziewczęta urodzone i wychowane w Starym Kraju były bardziej nieokrzesane niż ich piękne następczynie, oddalone od nich o sześć czy siedem pokoleń; albowiem przez ten łańcuch kolejnych generacji każda kolejna matka przekazywała swemu dziecku coraz to słabszy rumieniec, urodę coraz bardziej subtelną i krótkotrwałą oraz delikatniejszą budowę ciała, nawet gdy siła i krzepkość charakteru pozostawały nie zmniejszone. Kobiety, które stały teraz u bramy więziennej, oddzielało niespełna pół wieku od czasów, gdy królowa Elżbieta, tak bardzo męska, nie była bynajmniej nieodpowiednią przedstawicielką

swej płci. Tutaj stały jej rodaczki, a materię, z której zostały ulepione, stworzyła wołowina i piwo ich rodzinnego kraju do spótki z równie mało subtelną strawą moralną. Jasne słońce poranne świeciło zatem na szerokie ramiona, dobrze rozwinięte biusty i okrągłe, rumiane policzki, które dojrzały na dalekiej wyspie i nie zdążyły jeszcze zblednąć i zmizernieć w atmosferze Nowej Anglii. Uderzała teraz u owych matron - bo tych stało tu najwięcej - śmiałość i dosadność mowy, która zaskoczyłaby nas dzisiaj i treścią, i siłą głosu.

- Moje wy panie - przemówiła pięćdziesięcioletnia jejmość o twardych rysach - ja wam powiem, co o tym myślę. Zdałoby się bardzo dla publicznego dobra, żebyśmy to my, kobiety w latach dojrzałych i członkinie kościoła o dobrej reputacji, wzięły w swoje ręce sprawę takiej zbrodniarki jak ta Hester Prynne. Co wy na to, kumy? Jakby ta dziewczucha stanęła przed sądem nas pięciu, jak tu stoimy, ciekawe, czy by się wywinęła takim wyrokiem, jaki dali jej czcigodni rajcy? Jako żywo, nie!

- Powiadają ludzie - rzekła druga - że wielbny pan Dimmesdale, jej bogobojny pastor, bardzo sobie wziął do serca, że taki skandal wydarzył się w jego kongregacji.

- Rajcowie to bogobojni panowie, ale nazbyt litościwi, to prawda - dodała trzecia matrona jesienna. - Najmniejsze, co by się tu zdało, to napiętnować czoło Hester Prynne rozpalonym żelazem. Ale by się jejmość Hester rzucała! Taka rozpustnica jak ona niewiele sobie będzie robiła z tego, co jej nałożą na stanik. No bo pomyślcie - przecież może to zasłonić broszą albo inną pogańską ozdobą i będzie chodzić po ulicach tak hardo jak zawsze!

- Ale też - wtrąciła łagodniej młoda żona, trzymająca za rękę dziecko - żeby nie wiem jak zakrywała ten znak, boleść pozostanie na zawsze w jej sercu.

- Co wy tuprawicie o znakach i piętnowaniu, na staniku czy na czole! - zakrzyknęła inna, najbrzydsza, a także najbardziej bezlitosna z samozwańczych sędziów. - Ta kobieta ściągnęła hańbę na nas wszystkie i powinna umrzeć. Czyż nie ma na to prawa? A właśnie że jest - i w Piśmie Świętym, i w księdze ustaw! Niech panowie rajcy, którzy się go nie trzymali, podziękują samym sobie, kiedy ich żony i córki zejną na złe drogi!

- Litości, moja dobra kobieto! - wykrzyknął z tłumu jakiś mężczyzna. - Czyż cnota żyje w sercu kobiety tylko pod zbawiennym strachem przed szubienicą? Oto najtwardsze słowo, jakie tu padło. A teraz cicho, kumoszki! Patrzcie, otwiera się zamek u drzwi więzienia i wychodzi sama pani Prynne!

Bramę więzienną otwarto od środka; naprzód ukazała się niby czarny cień, wylaniający się na słońce - posępna i straszna postać woźnego miejskiego z mieczem u boku i z urzędową laską w dłoni. Osobistość ta swoim wyglądem zapowiadała i reprezentowała posępną surowość purytańskiego kodeksu praw, gdyż zadaniem jej było wcielanie go w życie na osobie przestępcy w sposób najściślejszy i ostateczny. Dzierżąc laskę w lewej dłoni, woźny prawą rękę trzymał na ramieniu młodej kobiety, którą tym sposobem ciągnął ku wyjściu. Na samym progu drzwi więziennych kobieta odsunęła go ruchem zdradzającym wrodzoną godność i siłę charakteru i wyszła przed bramę, jak gdyby z własnej nieprzymuszonej woli. W ramionach niosła

dziecko, trzymiesięczne może niemowlę, które zamrugało i jeło odwracać twarzyczkę od nazbyt ostrego blasku dziennego światła, gdyż w swoim życiu do tej chwili znało tylko szary półcień lochu lub innej ciemnej więziennej izby.

Gdy młoda kobieta, matka dziecka, ujrzała się wystawioną całkowicie na oczy tłumu, pierwszym odruchem wiedzona, przycisnęła dziecko mocno do piersi, nie tyle z macierzyńskiej miłości, co z chęci ukrycia pewnego znaku, wyszytego, czy też przytwierdzonego do jej sukni. Po chwili jednak osądziła mądrze, że jeden znak jej hańby nie najlepiej pomaga w ukryciu drugiego. Przełożyła więc dziecko na ramię i z palącym rumieńcem na twarzy, lecz zarazem z wyniosłym uśmiechem i z nieulekłym spojrzeniem powiodła oczyma po twarzach swych współmieszkańców i sąsiadów w tym mieście. Na staniku jej szaty ukazała się litera „A”, wycięta z najcieńszego, czerwonego sukna i obdziergana wyszukany haftem z fantazyjnymi zawijasami złotej nici. Wykonanie było tak artystyczne, z takim nakładem pomysłowości i bogactwa wyobraźni, że litera sprawiała wrażenie wykończenia, gustownie dobranej ozdoby dla szaty, którą kobieta miała na sobie; jej wspaniałość zgodna była z gustem owych czasów, lecz bogactwem swym znacznie przewyższała wszystko, na co zezwalały przepisy kolonii o ograniczaniu zbytku.

Młoda kobieta miała wzrost słuszny, figurę doskonale utoczoną i bujną. Ciemne, obfite włosy lśniły tak mocno, że odbijały blask słońca, oblicze zaś uderzało nie tylko pięknnością regularnych rysów i olśniewającą karnacją, lecz również siłą wyrazu śmiało zarysowanych brwi i głębokich, czarnych oczu. Wygląd miała pański - wedle ówczesnych pojęć o paniach szlchetnego rodu, które cechować miało raczej dostojeństwo i godność, niż ów delikatny, ulotny i nieuchwytny wdzięk, jaki przypisuje im się obecnie. Nigdy też Hester Prynne nie zdawała się tak bardzo damą w tym starodawnym rozumieniu, jak wówczas, gdy wychodziła z więzienia. Ci, co ją znali przedtem i spodziewali się zobaczyć ją zszarzałą i przygaszoną przez chmurę nieszczęścia, zdumieli się, a nawet wzdrygnęli widząc, jakim blaskiem jaśnieje jej piękność, która przeistoczyła spowijającą ją aurę nieszczęścia i pohańbienia w promienną światłość. Prawda, że dla wrażliwego obserwatora było w tym coś przejmującego i bolesnego. Jej strój, uszyty w rzeczywistości przez nią samą w więzieniu i na tę okazję, wedle własnego pomysłu i fantazji, zdawał się wyrażać przez swą wyzywającą i osobliwą malowniczość stan jej ducha - jakiś dziwny nastrój desperackiej lekkomyślności. Lecz szczegółem, który przyciągnął wszystkie oczy i jakby odmienił osobę, co go nosiła - tak dalece, że nawet dobrzy znajomi Hester Prynne mieli wrażenie, jakby zobaczyli ją po raz pierwszy - szczegółem tym była SZKARŁATNA LITERA, cudownie wyhaftowana i świecąca na jej piersi. Miała ona jakby moc zaklęcia: usuwała Hester Prynne poza nawias zwyczajnych ludzkich więzów i zamykała we własnym, odrębnym świecie.

- Do igły to ona dobra, to fakt - zauważyła jedna z przyglądających się kobiet - ale czy kiedy jakaś niewiasta przed tą bezczelną dziewuch tak się stroiła, żeby to pokazywać? Zważcie wy, moje kumy, toć to czysta kpina z naszych bogobojnych rajców, żeby tak się chwalić czymś, co oni, zacni panowie, wymyślili dla niej za karę!

- Oj - mruknęła jejmość o najbardziej zawziętej twarzy - przydałoby się zedrzeć te bogate szatki z pięknych ramion pani Hester, a na czerwoną literę, co ją tak pięknie wyściubiła, podaruję jej kawałek mojej starej flaneli od reumatyzmu, lepiej się do tego nada.

- Ciszej, sąsiadki, ciszej! - szepnęła najmłodsza z jej towarzyszek. - Lepiej, żeby was nie słyszała. Nie ma tu jednego ściegu w tej haftowanej literze, żeby nie przeszywał bólem jej serca.

Ponury bedel skinął teraz laską.

- Usuńcie się, dobrzy ludzie, usuńcie się, rozkazuję w imieniu króla! - zawołał. - Zróbcie przejście. Mówię wam i obiecuję, że panią Prynne postawi się tam, gdzie każdy, mężczyzna, kobieta i dziecko, może napatrzeć się do woli na jej pyszny strój od tej chwili aż do pierwszej godziny po południu.

Błogosławieństwo dla sprawiedliwej Kolonii Massachusetts, gdzie nieprawość wystawia się na światło dzienne, na słońce! No, ruszaj, pani Hester, i pokazuj swoją literę na rynku!

Natychmiast utworzyło się przejście przez tłum widzów. Woźny ruszył przodem, za nim Hester. Otoczona ciżbą mężczyzn o chmurnych czołach i kobiet o twarzach pełnych wrogości szła do miejsca wyznaczonego na odbycie kary. Podnieceni i ciekawi chłopcy wypuszczeni ze szkoły, niewiele rozumiejący z tego, co się dzieje, poza tym, że dostali pół dnia wolnego, zabiegali jej nieustannie drogę, odwracając głowy, by zająrzeć jej w twarz, popatrzeć na mrugające oczyma niemowlę w jej ramionach i na hańbiącą literę na jej piersi. Od bramy więziennej do rynku nie było w owych czasach daleko. Lecz mierząc na uczucia, jakich doznawała więźniarka, odległość zdawała się wydłużać, bowiem choć minę i postawę miała ciągle wyniosłą, każdy krok tych, co się tu tłoczyli, aby ją oglądać, sprawiał jej ból - tak jakby rzucono na ulicę jej serce po to, by każdy z nich mógł je kopnąć z pogardą i podeptać. W naturze człowieka istnieją jednak jakieś siły cudowne i litościwe, sprawiające, że udręczony człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak ogromna jest męka, którą właśnie przeżywa. Jej siłę pozna dopiero po bólu, nękającym go długo potem, jak jątrząca się rana. Toteż Hester Prynne przeszła prawie pogodnie przez tę ciężką próbę i zbliżyła się do urządzenia przypominającego rusztowanie na zachodnim krańcu rynku. Stało ono prawie pod okapem najstarszego w Bostonie kościoła i, jak się zdaje, tam było jego stałe miejsce.

W istocie szafot ten należał do maszynierii służącej do wymierzania sprawiedliwości, lecz obecnie, od dwóch lub trzech pokoleń, znanej już tylko z historii i z opowiadań o przeszłości. W dawnych natomiast czasach uważano ją za czynnik równie skuteczny w kształtowaniu ducha obywatelskiego, jak gilotyna u terrorystów we Francji. Była to, krótko mówiąc, platforma pręgierza. Nad nią wznosiła się obudowa swoistego narzędzia dyscypliny, tak pomyślanego, by ująć ludzką głowę w mocny uścisk i w ten sposób utrzymać ją w pozycji wyprostowanej, dla wystawienia twarzy na widok publiczny. Takimi drogami osiągnięto jakby ideał pohańbienia, wcielony i jasno ukazany w tym wynalazku z drewna i żelaza. Nie ma bowiem, jak sądzę, cięższej zniewagi dla uczuć wspólnych nam wszystkim, obojętne

jakiego człowiek dopuścił się przestępstwa - nie ma zniewagi bardziej piekającej, niż zabronić winowajcy ukrycia ze wstydu twarzy; i na tym zasadzała się istota tej kary. Jednakże w przypadku Hester Prynne, podobnie jak i w wielu innych, wyrok nakazywał, by stała jakiś czas na platformie, lecz bez poddania w uchwyt szyi i uwięzienia głowy; a konstrukcja, do której układ głowy całkowicie pasował, była najbardziej diabelskim wymysłem tej szpetnej maszyny. Wiedząc, co należy czynić, Hester weszła po drewnianych schodkach i stanęła na podeście, wzniesionym na wysokość męskiego ramienia, wystawiona na spojrzenia tłumu.

Gdyby wśród purytanów znalazł się jakiś papista, ujrzałby może w tej pięknej kobiecie, tak malowniczej w swym stroju i postawie, z dzieckiem w ramionach, postać przywodzącą na pamięć obraz Boskiego Macierzyństwa, w przedstawianiu którego współzawodniczyło tylu znakomitych malarzy. Przypominałaby mu na pewno - bodaj przez kontrast - obraz bezgrzesznego macierzyństwa, z którego zrodzone dziecko miało odkupić świat. Lecz tutaj ukazywano tę najświętszą tajemnicę ludzkiego życia jako najcięższy grzech. Nic dziwnego, że świat zdawał się tym ciemniejszy, im bardziej jaśniała piękność tej kobiety, a zguba jego tym pewniejsza, skoro urodziła dziecko!

Cała scena była nasycona grozą, jaka zawsze budzi się na widok winy i hańby naszych bliźnich, póki społeczeństwa nie upadną moralnie na tyle, iż ludzie zamiast dreszczem grozy będą przyjmować je uśmiechem. Lecz świadkowie hańby Hester Prynne nie stracili jeszcze swej prostoty. Byli dość twardzi, by patrzeć na jej śmierć, gdyby tak postanowił wyrok, bez szemrania na jego surowość, lecz nie byli to ludzie bez serca, jak zdarza się u przedstawicieli innych sfer, którzy w widowisku takim jak to mogliby zobaczyć jedynie temat do żartów. Nawet gdyby istniała jakaś pokusa, by obrócić sprawę w żart, trzeba by ją było powściągnąć, gdyż okazję zaszczytliwą obecnością ludzie tak godni, jak gubernator i grupa jego doradców, sędzieja, generał i duchowni miasta. Wszyscy oni siedzieli lub stali na balkonie domu zebrań, patrząc na platformę. Gdy takie osobistości mogły uczestniczyć w spektaklu, nie narażając na szwank swej godności i szacunku należnego dla stanowiska i urzędu, można było przewidzieć, że kara z sądowego wyroku i jej sens zostaną przyjęte z należyłą powagą i zrozumiane we właściwym duchu. Tak więc tłum był posepny i poważny. Nieszczęsna winowajczyni trzymała się tak, jak tylko mogła to uczynić kobieta pod ciężarem tysiąca nieugiętych spojrzeń w nią utkwionych i wymierzonych w jej pierś. Było to prawie nie do zniesienia. Obdarzona naturą namiętną i impulsywną, przygotowała się na mężne zniesienie kłujących uwag i jadowitych docinków, nastawiona na wszelkie zniewagi. Lecz to uroczyste milczenie zgromadzonej ludności było o wiele bardziej przerażające, toteż wołałaby raczej widzieć na tych zmartwiałych twarzach grymas pogardliwego rozbawienia wywołanego jej osobą. Gdyby cały tłum wybuchnął śmiechem, gdyby śmiał się każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko swym przenikliwym głosikiem, Hester Prynne mogłaby im odpłacić gorzkim, pogardliwym uśmiechem. Lecz pod ciężarem tej ołowianej chmury powagi, jaką przyszło jej znosić, czuła chwilami, że zacznie krzyczeć z całej

siły nabrzmiałych płuc, że jeśli tego nie zrobi, rzuci się z szafotu na ziemię lub natychmiast oszaleje.

A jednak chwilami cała ta scena, w której była obiektem najbardziej widocznym, jakby znikająca jej z oczu, a przynajmniej docierała do niej w jakichś niewyraźnych przeblaskach, jak masa zamazanych, widmowych obrazów. Jej umysł, a szczególnie pamięć, nadnaturalnie aktywna, ciągle przywodziła inne miejsca zamiast tej prymitywnie wytyczonej ulicy małego miasteczka na rubieżach Dzikiego Zachodu, inne twarze niż te, które kierowały się ku niej spod skrzydeł wysokich kapeluszy. Opadły ją rojem wspomnienia, najzupełniej nieważne i ulotne - sceny z dzieciństwa, ze szkoły, z zabaw i dziecinnych kłótni, drobne domowe scenki z dziewczęcych lat, pomieszane z tym, co w jej późniejszym życiu było najdonioślejsze - a wszystkie obrazy jednak żywe, tak jakby wszystko było jednak ważne lub wszystko było zabawką. Może instynkt podsunął jej ten wybieg, aby ulżyć okrutnego ciężaru twardej rzeczywistości.

Jakkolwiek rzeczy się miały, podest pręgiarza stał się dla Hester Prynne miejscem, z którego ujrzała cały szlak swej życiowej wędrówki od czasów szczęśliwego dzieciństwa. Stojąc na nieszczęsnym podwyższeniu zobaczyła znów rodziną wioskę w starej Anglii i dom rodzicielski: stary, niszczący budynek z szarego kamienia, biednie wyglądający, lecz noszący jeszcze na pół zatarty ślad tarczy herbowej nad portalem, na znak dawnego szlachectwa. Zobaczyła twarz ojca z łysiejącym czołem i czcigodną siwą brodę, powiewającą nad staromodną elżbietańską kryzą, i twarz matki z wyrazem troskliwej i niespokojnej miłości, który zapamiętała od najwcześniejszych lat i który później hamował ją na drodze jej życia jakby łagodnym upomnieniem. Widziała własną twarz, jaśniejącą dziewczęcą pięknnością, wypełniającą światłem wnętrze zmatowiałego zwierciadła, w które często patrzyła. Ujrzała również inne oblicze - człowieka posuniętego w latach, bladą, szczupłą twarz uczonego o oczach słabych i zmętniałych od światła lampy, które służyło mu, gdy ślęczał nad wielkimi księgami. A jednak te same zmętniałe oczy miały dziwną moc przenikania, gdy ich właściciel pragnął odczytać tajniki duszy ludzkiej. Postać ta, kojarząca się z pracownią uczonego i z klasztorną ciszą, jak kobieca wyobraźnia Hester Prynne nie omieszkała jej tego podsunąć - była lekko zniekształcona, z lewym ramieniem nieco wyższym od prawego. Zaraz potem w galerii obrazów jej wspomnień zjawily się kręte, wąskie ulice, wysokie, szare domy, olbrzymie katedry i starożytne gmachy publiczne o dziwnej architekturze w pewnym mieście na kontynencie, gdzie czekało na nią nowe życie z tym właśnie ułomnym mędrcom. Życie było nowe, lecz jego pokarm brał się z substancji zniszczonej przez czas - jakby kępka zielonego mchu na kruszącym się murze. A w końcu obrazy znikły i na ich miejsce powrócił znów nędzny rynek purytańskiej osady wraz z jej mieszkańcami, którzy stali tu zebrani, kierując surowe spojrzenia na Hester Prynne - tak, na nią samą! To ona stała tutaj pod pręgiarzem, z dzieckiem w ramionach i z literą A szkarłatnej barwy, przyszytą do sukni fantazyjnym złotym haftem.

Czy to mogła być prawda? Przycisnęła dziecko do piersi tak gwałtownie, że zakrzyczało: spojrzała w dół na szkarłatną literę, a nawet dotknęła jej palcem, by upewnić się, że to dziecko i ta hańba to rzeczywistość. Tak, to była rzeczywistość. Wszystko inne zniknęło!

III Rozpoznanie

Dotkliwa świadomość, nękająca kobietę ze szkarłatną literą, że jest przedmiotem ogólnej obserwacji, zelżała, gdy zaszła nowa okoliczność: dostrzegła nagle na skraju tłumu postać, która od tej chwili nieodparcie opanowała jej myśli. Stał tam jakiś Indianin w swym plemiennym stroju, lecz czerwonoskórzy nie byli tu na tyle rzadkim zjawiskiem, by przyciągnąć uwagę Hester Prynne w takiej chwili, a tym bardziej, by wypędzić jej z głowy inne sprawy i myśli. Tuż obok Indianina, widocznie przybyły razem z nim, stał biały człowiek odziany w strój, który składał się z cudacznie połączonych ze sobą części ubioru dzikich i cywilizowanych ludzi.

Niewielkiego wzrostu, twarz miał pobrużdżoną, choć na razie trudno by ją nazwać starą. Z jego rysów biła inteligencja człowieka, który tak wytrwale rozwijał swój umysł, że musiało to wpłynąć na ukształtowanie strony fizycznej i znaleźć wyraz w nieomylnych znakach zewnętrznych. Choć przez pozornie niedbałe ułożenie swych dziwacznych szat starał się ukryć, lub bodaj zamaskować, tę nieregularność, dla Hester Prynne było rzeczą oczywistą, że jedno ramię tego człowieka wyższe jest od drugiego. W pierwszej chwili, gdy tylko spostrzegła tę szczupłą twarz i lekko zniekształconą postać, znów przycisnęła dziecko do piersi ruchem tak konwulsyjnym, że biedne maleństwo i tym razem wydało okrzyk bólu. Lecz matka jakby go nie słyszała.

Odkąd tylko pojawił się na rynku, nim go ujrzała - co trwało pewien czas - nieznajomy stał ze wzrokiem utkwionym w Hester Prynne. Najpierw przyglądał się z roztargnieniem, jak człowiek przyzwyczajony raczej patrzeć w głąb swoich myśli, dla którego sprawy zewnętrzne niewiele znaczą, chyba że łączą się z czymś, co właśnie rozważa jego umysł. Wkrótce jednak spojrzenie mężczyzny stało się ostre i przenikliwe. Groza skrzywiła mu twarz, jakby przemknął przez nią wąż, zatrzymując się na moment, tyle że można było dostrzec, jak wiję się i skręca. Twarz nieznajomego pociemniała, jakby pod naporem gwałtownego uczucia, lecz powściągnął je natychmiast wysiłkiem woli, tak że z wyjątkiem tej krótkiej chwili wydawała się spokojna.

Wkrótce jej konwulsyjne skrzywienie stało się prawie niewidoczne, a w końcu całkiem ustąpiło, zapadając się w głąb duszy. Gdy ujrzał oczy Hester Prynne utkwione w jego twarzy i zobaczył, że go poznała, z wolna i spokojnie uniósł w górę palec, wykonał nim gest w powietrzu i położył go na ustach.

Następnie, dotykając ramienia stojącego obok mieszczanina, zwrócił się do niego tonem ceremonialnym i grzecznym:

- Wybaczcie mi, mój zacny panie - przemówił. - Kim jest ta kobieta? I za cóż to została wystawiona na publiczną hańbę?

- Musisz chyba być obcy w tych stronach, przyjacielu - odrzekł mieszczanin, spoglądając z zaciekawieniem na pytającego i na jego dzikiego towarzysza. - Inaczej słyszałbyś na pewno o pani Hester Prynne i jej grzesznych poczynaniach. Wielki był to skandal, zaiste, w parafii wielebnego pastora Dimmesdale.

- Prawdę mówicie, panie - odrzekł tamten. - Jestem tu obcy. Wędrowałem trochę po świecie, na nieszczęście wbrew mojej woli. Spotykały mnie okrutne przygody na morzu i na lądzie i długo pozostawałem jeńcem u pogańskich ludów na południe stąd. Teraz zaś przywiódł mnie tutaj ów Indianin, aby mnie wykupiono z niewoli. Czy moglibyście panie, jeśli łaska, opowiedzieć mi o tej Hester Prynne - czy dobrze zapamiętałem jej imię? Powiedzcie mi o jej występkach i o tym, co ją przywiódło do tego szafotu?

- Z chęcią, przyjacielu - rzekł mieszczanin. - Sądzę, że po twych nieszczęściach w dzikiej puszczy uraduje ci serce to, że znalazłeś się na powrót w świecie, gdzie niegodziwości się dochodzi i karze na oczach rządzącego ludu, tak jak w naszej bogobojnej Nowej Anglii. Ta oto niewiasta, trzeba ci wiedzieć, panie, była żoną pewnego uczonego męża angielskiego, który długo zamieszkiwał w Amsterdamie, skąd jakiś czas temu postanowił przepłynąć przez morze i podzielić nasz żywot w Massachusetts. Mając to na uwadze, wysłał wprawdzie swoją żonę, a sam pozostał jeszcze w kraju, by załatwić pewne ważne sprawy. Wystawcie sobie, mój dobry panie, że od dwóch niespełna lat, odkąd ta kobieta mieszka tutaj w Bostonie, nie nadeszły żadne wieści o owym uczonym panu Prynne. A jego młoda żona, widzicie, pozostawiona samej sobie, zeszła na złe drogi.

- A, to tak! Pojmuję - rzekł obcy z gorzkim uśmiechem. - Jeśli to pan, jak powiadacie, uczony, trzeba mu było i takich rzeczy z ksiąg się nauczyć. A któż to, jeśli łaska, może być ojcem tego dziecięcia, które pani Prynne trzyma w ramionach? Jak sądzą, musi ono mieć ze trzy lub cztery miesiące.

- Prawdę mówiąc, przyjacielu, ta sprawa pozostaje zagadką. Brak nam jeszcze Daniela, który by nam to wyjaśnił - odpowiedział mieszczanin. - Pani Hester z uporem odmawia wyjawienia jego nazwiska, a panowie sędziowie próżno się nad tym głowili. Któż to wie, może winny stoi tu i patrzy na ten smutny widok nie rozpoznany przez ludzi i zapomina, że widzi go Bóg.

- Ów uczony mąż - zauważył obcy znów się uśmiechając - powinien by sam przybyć i zająć się tą zagadką.

- Taka rzecz mu przystoi, jeśli jeszcze znajduje się między żywymi - odrzekł mieszczanin. - Otóż, mój zacny panie, nasi sędziowie z Massachusetts, mając na uwadze, że kobieta jest młoda i urodziwa i do upadku przywiódła ją bez wątpienia silna pokusa, a także iż małżonek jej najpewniej znajduje się na dnie morza, wydając na nią wyrok nie posunęli się do wymiaru kary najsurowszej w naszym prawie. Tą karą jest wyrok śmierci. Jednakże w swym wielkim miłosierdziu i dobroci serca skazali panią Prynne tylko na trzy godziny stania pod pręgierzem i na noszenie przez wszystkie lata, jakie wypadnie jej przeżyć, znaku hańby na piersi.

- Mądry to wyrok - zauważył obcy, z powagą skłaniając głowę. - W ten sposób będzie ona jakby żywym kazaniem o niegodziwości tego grzechu dotąd, póki haniebna litera nie zostanie wryta na jej nagrobku. Lecz nie podoba mi się, że współnik jej nieprawości nie został zmuszony bodaj do ukazania się z nią razem pod pręgierzem. Lecz kiedyś świat się dowie, kto to taki. Dowie się! Dowie!

Skłonił się dwornie rozmownemu mieszczaninowi i szepnąwszy słów kilka do swego indiańskiego towarzysza począł wraz z nim oddalać się, torując sobie drogę przez tłum.

Przez cały czas tej rozmowy Hester Prynne stała na swym podwyższeniu ze wzrokiem ciągle utkwionym w obcego, utkwionym tak mocno, tak nim pochłonięta, że chwilami wszystkie inne fragmenty widzialnego świata ginęły jej z oczu, pozostawiając tylko jego i ją. Takie spotkanie sam na sam byłoby jeszcze straszniejsze niż teraz, gdy upalne, południowe słońce paliło jej twarz i oświetlało jej hańbę, gdy stała tu ze szkarłatnym piętnem na piersi i z dziecięciem w grzechu zrodzonym w ramionach, wśród wszystkich tych ludzi, przybyłych niczym na uroczystość, patrzących na jej twarz, którą powinno się oglądać wyłącznie w łagodnym blasku kominka, w szczęściu domowego zacisza lub pod welonem matrony w kościele. Jakkolwiek straszna była to chwila, obecność tysiąca świadków dawała jej jakieś schronienie. Lepiej stać w obecności tylu ludzi, dzielących ją od niego, niż witać go twarzą w twarz, gdyby byli tylko we dwoje. Czuła się jak uciekinier, który w tysiącu śledzących ją oczu znalazł bezpieczną przystań, i bała się chwili, gdy zostanie pozbawiona ich ochrony. Pograżona w tych myślach prawie że nie dosłyszała głosu, dochodzącego z tyłu, który kilkakrotnie już wołał jej imię donośnym uroczystym tonem, wyraźnie docierającym do wszystkich uszu.

- Słuchaj mnie, Hester Prynne! - mówił głos.

Jak już powiedziano, tuż nad platformą, na której stała Hester Prynne, znajdował się balkon - jakby otwarta galeria - dobudowany do domu zebrań. Było to miejsce, z którego zazwyczaj podawano obwieszczenia w obecności zgromadzonych radnych i urzędników miejskich, z całym ceremoniałem związanym w owych czasach z publicznymi wydarzeniami. W tym właśnie miejscu, obserwując scenę, którą opisujemy, siedział sam gubernator Bellingham. Przy jego fotelu czterech sierżantów z halabardami sprawowało straż honorową. Za wstążkę na kapeluszu zatknięte miał ciemne pióro, płaszcz obramowany haftem, a pod spodem czarną aksamitną szatę. Był to pan w podeszłych latach, a pomarszczona twarz nosiła znamiona twardej szkoły życia. Ogólnie - człowiek całkiem odpowiedni i jako zwierzchnik, i jako przedstawiciel społeczności, która zawdzięczała swój początek, rozwój i obecny stan nie młodzieńczym zapałom, lecz surowości i energii bardziej zrównoważonej, a także smutniejszej mądrości wieku dojrzałego, która potrafiła stworzyć tak wiele dlatego właśnie, że jej wyobrażenia i nadzieje były tak umiarkowane. Inne dostojne osobistości, otaczające głównego rządcę, odznaczały się godnym obejściem, właściwym dla okresu, gdy wszelka władza zdawała się naznaczona świętością Boskiego majestatu. Niewątpliwie byli to zacni ludzie, sprawiedliwi i rozumni. Lecz z całej ludzkości trudno by wybrać tak liczne grono osób mądrych i cnotliwych, które mniej byłyby odpowiednie do sprawowania sądu nad sercem zbłąkanej kobiety i do rozwikłania sieci dobra i zła w jej postępowaniu, niż ci mędrcy o surowych obliczach, do których teraz Hester Prynne zwróciła swą twarz. Zrozumiała widać, że gdyby mogła spodziewać się jakiegokolwiek współczucia, znalazłaby je rychlej w bardziej wielkodusznych i cieplejszych sercach

otaczającej ją rzeszy, gdyż wznosząc oczy ku wyniosłej galerii, nieszczęsna kobieta pobladła i zadrżała.

Głos, nakazujący jej uwagę, płynął z ust czcigodnego i sławnego Johna Wilsona, najstarszego duchownego Bostonu i - jak większość współczesnych mężów tej profesji - wielce uczonego, a do tego człowieka wielkiego ducha i dobroci. Ta ostatnia cecha jednakże mniej skrupulatnie była przez niego rozwijana niż zdolności umysłowe, a jeśli coś z niej jeszcze zostało, raczej by się tego wstydził, niż tym się szczycił. Oto stał tam z posiwiałym włosom, utrefionym w loki okalające mu twarz pod obcisłą czapeczką, mrugając w jaskrawym blasku słońca oczyma, nawykłymi do mrocznego światła jego gabinetu, mrugając zupełnie tak samo, jak dziecko Hester. Z wyglądu przypominał postaci z ciemnych sztychów, widywanych na pierwszej karcie starych zbiorów kazań - i zapewne nie więcej miał od nich prawa do takich wystąpień jak obecne i do wtrącania się w sprawy ludzkich przewinień, namiętności i bólu.

- Hester Prynne! - mówił duchowny. - Staralem się przekonać mego młodego brata, którego miałaś zaszczyt słuchać w twym kościele, gdy głosił słowo Boże... - W tym miejscu wielebny pan Wilson położył dłoń na ramieniu bladego młodziana, stojącego u jego boku. - Próbowałem, powiadam, namówić tego bogobojnego młodzieńca, by tutaj, pod okiem Niebios, i w obecności naszych mądrych i prawych rządców, i wobec słuchającej nas rzeszy przemówił do ciebie, ukazując ci otchłan zła i nieprawości twojego grzechu. Ponieważ lepiej ode mnie poznał twe usposobienie, mógłby lepiej osądzić, jakich ma użyć argumentów, czy przemówić dobrocią czy strachem, aby skruszyć twą zatwardziałość i upór, z jakim ukrywasz imię człowieka, który skusił cię do tego nędznego upadku. Ale on, choć nad wiek mądry, z miękkości serca właściwej młodym ludziom sprzeciwia się, uważając, że zmuszanie kobiety do obnażania tajników jej serca w biały dzień, wobec tłumu ludzi, byłoby pogwałceniem przyrodzonej kobiecej skromności... Choć po prawdzie, jak starałem się go przekonać, wstydem jest popełnienie grzechu, nie zaś wyznanie go i ujawnienie. Co powiesz na to, bracie Dimmesdale, pytam raz jeszcze. Który z nas ma się zająć duszą tej biednej grzeszniczki?

Wśród godnych i czcigodnych mężów na galerii rozległ się szmer narady. Wreszcie gubernator Bellingham obwieścił ich opinię tonem kategorycznym, choć złagodnym respektem dla młodzieńczego duchownego, do którego się zwrócił.

- Zacny panie Dimmesdale! - rzekł. - Odpowiedzialność za duszę tej kobiety należy głównie do ciebie. Tobie zatem przystoi wezwać ją do okazania skruchy i uczynienia wyznania, które będzie jej dowodem i skutkiem.

Owo bezpośrednie wezwanie sprawiło, iż oczy całego tłumu zwróciły się na wielebny pana Dimmesdale. Był to młody duchowny, przybyły z jednego ze znamienitych uniwersytetów angielskich, który wniósł do naszego porośłego puszczami kraju całą wiedzę owych czasów. Jego elokwencja i zapal religijny zapowiadały, iż zyska on wybitną pozycję w swym zawodzie. Powierzchnowość miał uderzającą - wysokie, wydatne czoło, oczy duże, ciemne i melancholijne, usta zaś, gdy nie zaciskał ich siłą, często drgały, zdradzając zarówno nerwowość i

wrażliwość, jak i wielką moc panowania nad sobą. Mimo ogromnych wrodzonych zdolności i osiągnięć naukowych, coś szczególnego kryło się w wyrazie twarzy młodego duchownego, jakaś obawa i niepewność, jakby czuł się zabłąkany i zagubiony wśród ludzi i mógł się czuć swobodnie tylko w odosobnieniu i samotności. Dlatego też, o ile pozwalały mu obowiązki, starał się kroczyć cienistymi szlakami bocznych dróg i w ten sposób zachowywał dziecięcą prostotę, występując, gdy była po temu sposobność, ze świeżością i czystością myśli podobną do kropli rosy, a jego mowa, jak powiadali ludzie, zdawała się głosem anielskim.

Taki był ów młody człowiek, na którego wielebny pan Wilson i gubernator tak otwarcie zwrócili uwagę tłumowi, prosząc go, aby wobec słuchających ludzi przemówił do duszy kobiecej, której tajniki są święte, nawet gdy zbruka ją grzech. Wobec tak trudnego obowiązku twarz pana Dimmesdale zbladła, a usta poczęły drżeć.

- Przemów do tej niewiasty, bracie - rzekł pan Wilson. - To sprawa wielkiej wagi dla jej duszy, a zatem ważna, jak powiada czcigodny pan gubernator, i dla twojej, gdyż ty sprawujesz nad nią pieczę. Nakaż jej wyznać prawdę.

Wielebny pan Dimmesdale skłonił głowę jak gdyby w cichej modlitwie, a następnie wystąpił naprzód.

- Hester Prynne! - zaczął, przechylając się przez balustradę galerii i patrząc jej prosto w oczy. - Słyszysz, co mówi ten zacny pan, i rozumiesz, co nakazuje mi obowiązek. Zwracam się więc do ciebie. Jeśli czujesz, że przyniesie ci to spokój ducha, a twoja kara doczesna skuteczniej przez to doprowadzi cię do zbawienia, nakazuję ci wyznać winę twego współnika w grzechu i w cierpieniu. Nie zamykaj się w milczeniu dla niewłaściwie pojętej litości i czułości dla niego. Wierz mi bowiem, Hester, że choćby miał zstąpić z wysokiego miejsca i stanąć przy tobie na twoim piedestale hańby, lepiej by to było dla niego, niż gdyby miał skrywać winę w sercu przez całe życie. Co twoje milczenie mu przyniesie? Tylko pokusę, a nawet przymuszenie, aby do grzechu swego dodał grzech obłudy! Niebiosa dały ci możliwość ujawnienia twej hańby, abyś mogła dzięki temu jawnie zatriumfować nad ukrytym w tobie złem i nad widowym cierpieniem. Pomyśl, czego odmawiasz jemu - temu, który, być może, nie ma na tyle odwagi, by samemu sięgnąć po gorzki, lecz zbawienny kielich, jaki tobie podano do ust!

Głos młodego pastora był drżący, nabrzmiały słodyczą, pełny, głęboki i załamujący się. Wzruszenie, jakie zdradzał tak otwarcie, bardziej niż bezpośrednia treść jego słów odezwało się echem we wszystkich sercach i połączyło słuchaczy jednym, zgodnym uczuciem. Nawet biedne dziecko u piersi Hester odczuło jego wpływ, gdyż skierowało oczy, dotychczas bez wyrazu, na pana Dimmesdale i wyciągnęło ku niemu rączki, gaworząc coś, co brzmiało jak zadowolenie i skarga zarazem. Tak przejmujące było wezwanie pastora, że ludziom nie mieściło się w głowach, by Hester nie wymieniła imienia winowajcy, lub też by on sam, czy to wysoko, czy nisko postawiony, mógł nie wystąpić naprzód, wiedziony przemożną potrzebą wewnętrzną, i nie stanąć na platformie przęgierza.

Hester potrząsnęła głową.

- Kobieto, nie przekraczaj granicy miłosierdzia Niebios! - zakrzyknął wielebny pan Wilson, ostrzej niż przedtem. - To maleństwo otrzymało dar głosu, aby poprzeć nim i potwierdzić radę, jaką usłyszałaś. Wymów to imię! Takie wyznanie i twoja skrucha może przyczynić się do zdjęcia szkarłatnej litery z twojej piersi.

- Nigdy! - odrzekła Hester Prynne, patrząc nie na pana Wilsona, lecz w oczy młodego pastora, głębokie i zatroskane. - To piętno jest zbyt głębokie. Nie możecie go zdjąć. I niech mi będzie dane, bym mogła unieść i jego cierpienie, zarówno jak moje własne.

- Przemów, kobieto! - odezwał się inny głos, zimny i surowy, z tłumu otaczającego szafot. - Przemów i daj ojca twemu dziecku!

- Nie będę mówiła! - odrzekła Hester. Błada jak śmierć, znalazła jednak odpowiedź dla tego głosu, który nieomylnie rozpoznała. - A moje dziecko musi szukać ojca w Niebiosach. Nigdy nie pozna swego ojca tu, na ziemi.

- Nie będzie mówiła! - wyrzekł półgłosem pan Dimmesdale, który oczekiwał na skutki swego wezwania wychylony z balkonu, z dłonią przyciśniętą do serca. Wyprostował się teraz i głęboko odetchnął. - Przedziwna to siła i szlachetność serca kobiety! Nie będzie mówiła!

Widząc, że stan umysłu biednej winowajczyni nie dopuszcza perswazji, starszy z duchownych, który starannie przygotował się na tę okazję, zwrócił się do tłumu z dyskursem o grzechu we wszelkich odmianach, lecz nawiązując ciągle do haniebnej litery. Rozwodził się na temat tego symbolu przez godzinę, lub dłużej, a zawile, okrągłe zdania grzmiły ponad głowami słuchaczy z taką siłą elokwencji, że w ich wyobraźni znak ten zdawał się coraz to straszliwszy, a litera jakby barwiła się szkarłatem od płomieni ognia piekielnych czeluści. Przez ten czas Hester Prynne stała na swoim miejscu na piedestale hańby, ze wzrokiem szklistym i z wyrazem obojętności i znużenia na twarzy. Zniosła tego ranka wszystko, co mogła wytrzymać natura ludzka, a że z temperamentu nie należała do tych, co od cierpień zbyt dotkliwych uciekają w omdlenie, jej dusza mogła tyłkofźnaleźć schronienie pod kamienną skorupą nieczułości, pod osłoną której życie cielesne trwało niezakłócone. W tym stanie grzmiący, nieubłagany głos kaznodziei docierał do jej uszu bez wrażenia. Niemowlę podczas drugiej części kazania głośno zawodziło i wydawało przeszywające krzyki. Próbowwała je uciszyć - mechanicznie, jakby niewrażliwa na jego cierpienie. W tym samym stanie nieczułości została odprowadzona do więzienia, a przekroczywszy żelazem okuty portal, znikła z oczu tłumu. Ci, co za nią patrzyli, szepotali potem, że szkarłatna litera rzucała ponury blask na ciemny korytarz we wnętrzu budynku.

IV Rozmowa

Po powrocie do więzienia Hester Prynne popadła w tak wielkie rozdrażnienie, że jej stan wymagał ciągłej czujności, aby nie zrobiła sobie czegoś złego lub w zapamiętaniu szaleństwa nie wyrządziła jakiejś krzywdy nieszczęsnemu dziecku. Gdy zbliżała się noc i widać było, że jej buntu nie zdoła uśmierzyć ani łajanie, ani groźby ukarania, pan Brackett, dozorca więzienny, uznał za stosowne sprowadzić lekarza. Lekarz ów, jak twierdził dozorca, był człowiekiem biegłym we wszelkich chrześcijańskich kunsztach nauk medycznych, a poza tym obznajmionym ze wszystkim, czego można się było nauczyć od dzikich ludów o działaniu leczniczych ziół i korzeni, rosnących w lesie. Trzeba przyznać, że pomoc specjalisty bardzo była potrzebna, nie tylko dla samej Hester, lecz jeszcze pilniej dla jej dziecka. Czerpiąc soki żywotne z piersi matki wypilo ono, jak widać, wszelkie rozterki, cierpienie i rozpacz, jakimi przepojona była jej dusza i ciało. Teraz wiło się w konwulsjach bólu, a jego drobne ciało stało się z musu odbiciem tortur moralnych, jakie Hester Prynne znosiła przez cały ten dzień.

Tuż za dozorcą wsunął się do jej ponurej izby ten sam osobnik o dziwnej powierzchowności, którego obecność w tłumie wzbudziła tak głębokie zainteresowanie w kobiecie ze szkarłatną literą. Dostał on pomieszczenie w więzieniu nie jako podejrzany o jakiś występki, lecz z tej przyczyny, iż stanowiło to najdogodniejszy i najbardziej odpowiedni sposób zakwaterowania go do czasu, aż panowie urzędnicy będą mogli naradzić się z indiańskimi wodzami w sprawie okupu. Oznajmiono jego imię: Roger Chillingworth. Dozorca, wprowadziwszy go do izby, pozostał tam przez chwilę, dziwiąc się względnej ciszy, jak zapadła po jego wejściu, gdyż Hester Prynne na widok nieznanego umilkła nagle jak zamarła, choć dziecko kwiliło dalej.

- Proszę cię, przyjacielu, pozostaw mnie samego z moją pacjentką - przemówił medyk. - Zaufaj mi, mój dobry stróżu, wkrótce w tym domu zapanuje spokój. Obiecuję ci też, że pani Prynne będzie bardziej uległa wobec sprawiedliwej władzy, niż dotąd widziałeś.

- Zaiste, jeśli wasza miłość potrafi tego dokonać - odrzekł pan Brackett - powiem, że z was nie lada majster w swoim fachu. Powiadam wam, ta kobieta miotła się, jakby ją zły opętał, i niewiele brakowało, a sam bym się zabrał do wypędzania z niej szatana pasami!

Nieznamy wszedł do izby spokojnie, jak przystało człowiekowi, który się zwał lekarzem. Jego zachowanie nie zmieniło się też wcale, gdy po odejściu więziennego klucznika stanął sam twarzą w twarz z kobietą, której baczna uwaga, z jaką wpatrywała się w niego, ujrawszy go w tłumie, zdradzać mogła bliski między nimi związek. Na początek zajął się dzieckiem, które leżało wijąc się w swym łóżeczku na kółkach i krzyczało tak przeraźliwie, że wpierw należało koniecznie je uspokoić, odsuwając na bok wszelkie inne sprawy. Najpierw więc starannie zbadał dziewczynkę, po czym przystąpił do otwierania torby skórzanej, którą wydobyl spod

płaszcz. Wnętrze jej odkryło różne umieszczone tam medykamenty. Wyjął jeden z nich i rozmieszał w kubku z wodą.

- Moje dawne studia nad alchemią - zauważył - i mój ostatni ponad roczny pobyt wśród ludzi przedziwnie obznajmionych z dobroczynnym działaniem prostych środków uczyniły mnie lepszym medykiem od wielu tych, którzy szczycą się medycznymi dyplomami. Podejdz, kobieto! Dziecko jest twoje, a nie moje i nie rozpozna we mnie ojca ani z głosu, ani z twarzy. Daj mu zatem ten lek własną ręką.

Hester odepchnęła podawany sobie lek, wpatrując się z widocznym lękiem w twarz medyka.

- Czy chcesz się zemścić na niewinnym dziecku? - szepnęła.

- Nierozumna kobieto! - odrzekł lekarz tonem na poły zimnym, na poły uspokajającym. - Po cóż bym miał krzywdzić to nieszczęsne, bękartie niemowlę? To dobroczynny lek i gdyby dziecko było moje własne, zarówno jak twoje, nie mógłbym mu nic podać lepszego.

Skoro jednak Hester jeszcze się wahała - a po prawdzie jej umysł był ciągle zmacony - wziął dziewczynkę na ręce i sam podał jej napój. Lek potwierdził obietnicę medyka. Jęki małej pacjentki ucichły, a konwulsyjne drgawki stopniowo się uspokoiły. Kilka chwil wystarczyło, by dziecko, jak to bywa z niemowlętami po ustąpieniu bólu, zapadło w głęboki, kojący sen. Lekarz - bo miał słuszne prawo, by tak go nazywać - zajął się teraz matką. Z wielką uwagą, spokojnie zbadał jej puls, zajrzał w oczy (spojrzenie to, tak dobrze znane, a jednak tak dziwne i zimne ścisnęło jej serce skurczem lęku), a na koniec upewniony w tym, co pokazało badanie, przystąpił do mieszania drugiego lekarstwa.

- Nie znam sekretów Lety ani Nepenthe - powiedział - lecz nauczyłem się nowych sekretów w krainie dzikich i oto jest jeden z nich, z którym zapoznał mnie pewien stary Indianin w zamian za kilka lekcji przeze mnie udzielonych, a starych jak Paracelsus. Wypij to lekarstwo. Być może jest mniej kojące niż czyste sumienie. Tego nie mogę ci dać. Lecz uspokoi ono wezbraną burzę twoich uczuć jak oliwa, rzucona na fale burzliwego morza. Podał napój Hester, która wzięła go z przeciągłym, poważnym spojrzeniem w oczy lekarza, pełnym nie tyle lęku, co wątpliwości i zapytania o ukryte zamiary. Spojrzała również na śpiące dziecko.

- Myślałam o śmierci - rzekła. - Pragnęłam jej, nawet bym się o nią modliła, gdyby takim jak ja przystało o cokolwiek się modlić. A jednak, jeśli ten kubek zawiera śmierć, proszę cię, abys się zastanowił, nim ujrzysz, jak z niego piję. Spójrz! Jeszcze trzymam go przy ustach.

- Wypij zatem - odpowiedział, ciągle opanowany i zimny. - Czy tak mało mnie znasz, Hester Prynne? Czy moje cele były kiedykolwiek tak płytkie? Nawet, gdybym przemyślał nad zemstą, co lepszego mógłbym uczynić dla ziszczenia moich zamierzeń, niż pozwolić ci żyć dalej, a nie dawać ci napój, który leczy wszystkie rany i niebezpieczeństwa życia! Pozwolić ci żyć po to, by ów płomień hańby mógł długo płonąć na twojej piersi! - Mówiąc to dotknął palcem, chudym i długim, szkarłatnej litery. Pod tym dotknięciem wydało się Hester, że znak przeszywa jej pierś niby rozpalone żelazo. Dostrzegł jej mimowolne wzdrygnięcie i uśmiechnął się. - Żyj

zatem i noś ze sobą twoje przekleństwo na oczach mężczyzn i kobiet, na oczach tego, kogo zwałaś swoim mężem, i na oczach tego oto dziecka! A po to, byś żyła, wypij ten napój!

Bez dalszych protestów i zwlekania Hester Prynne wysączyła kubek i na skinienie człowieka biegłego w swej sztuce usiadła na łóżku, gdzie spało dziecko. On tymczasem przysunął sobie jedyne krzesło, jakie znajdowało się w izbie, i usiadł koło niej. Zadrżała tylko, widząc te przygotowania - nic innego jej nie pozostało. Czuła bowiem, że uczyniwszy wszystko, co nakazywały mu ludzkie uczucia lub zasady, lub też - jeśli tak się rzeczy miały - wyrafinowane okrucieństwo, będzie od tej chwili odnosić się do niej jak człowiek, któremu wyrządziła krzywdę najgłębszą, nie do naprawienia.

- Hester! - przemówił. - Nie pytam dlaczego i w jaki sposób wpadłaś w przepaść, a raczej wzniosłaś się na piedestał bezceństwa, na którym cię tu zastałem. Przyczyny nie trzeba daleko szukać. Była nią moja głupota i twoja słabość. Ja, myśliciel, mól książkowy wielkich bibliotek, człowiek już fizycznie podupadły, który poświęcił swoje najlepsze lata, aby zaspokoić głód wiedzy - cóż miałem wspólnego z twoją młodością i urodą! Ułomny od urodzenia, jak mogłem się łudzić myślą, że fizyczną ułomność mogą w wyobraźni młodej dziewczyny przesłonić dary umysłu! Ludzie uważają mnie za mędrca. Gdyby mędrzy bywali mądrzy w swoich własnych sprawach, mógłbym to wszystko być przewidzieć. Mogłem przewidzieć, że gdy wyjdę z tych ogromnych, posępnych lasów i przybędę do naszej chrześcijańskiej osady, pierwszą rzeczą, jaką napotkają moje oczy, będziesz ty sama, Hester Prynne, stojąca przed ludźmi niby posąg niesławy. A właściwie już w chwili, gdy schodziliśmy razem po stopniach starego kościoła jako nowożeńcy, mogłem być dostrzec złowrogi płomień szkarłatnej litery, płonący na końcu naszej drogi!

- Wiesz przecież - odparła Hester, gdyż nie mogła już znieść tego ostatniego, podstępного ciosu, wymierzonego w znamię jej hańby - wiesz, że byłam z tobą szczerą. Nie czułam i nie udawałam miłości.

- To prawda - odrzekł. - Była to moja głupota, jak powiedziałem. Lecz w tym okresie mego życia zdawało mi się, że żyję nadaremnie. Świat był taki smutny! Moje serce, zdolne pomieścić wielu przybyszów, było samotne i ściśnięte chłodem, pozbawione domowego ogniska. Tęskniłem do tego, by je rozpaścić. Zdawało się, że moje marzenie nie jest całkiem płonne. Choć byłem stary, choć byłem ponury, choć byłem ułomny, dlaczegoż by to proste szczęście, tak powszechne w całym wielkim świecie, dostępne dla wszystkich, nie miałyby się stać i moim udziałem? I dlatego, Hester, przygarnąłem cię do mego serca, do jego najtajniejszych głębi i chciałem cię ogrzać ciepłem, które stworzyła tam twoja bliskość.

- Wyrządziłam ci wielką krzywdę - powiedziała cicho Hester.

- Każde z nas wyrządziło krzywdę drugiemu - odrzekł mężczyzna. - Najpierw ja cię skrzywdziłem, kiedy wciągnąłem cię, młodą jak kwiat w paku, w zwodniczy i nienaturalny związek ze starością. Dlatego też, jako człowiek, który nie na próżno tyle myślał i filozofował, nie szukam pomsty, nie knuję nic złego przeciw tobie. Lecz, Hester, żyje wszak mężczyzna, który skrzywdził nas oboje! Kim on jest?

- Nie pytaj mnie! - odrzekła Hester Prynne, a oczy jej, wpatrzone w jego twarz, wyrażały stanowczość. - Tego nie dowiesz się nigdy!

- Nigdy, powiadasz? - podjął z pośępnym uśmiechem człowieka pewnego swej przenikliwości. - Nigdy się nie dowiem, kim on jest? Wierz mi, Hester, niewiele jest rzeczy w świecie zewnętrznym, a także, sięgając w głąb na ile można, w niewidzialnej sferze myśli - niewiele rzeczy możliwych do ukrycia przed człowiekiem, który odda się bez reszty, poważnie, rozwiązaniu jakiejś tajemnicy. Możesz ukrywać swą tajemnicę przed wścibskim tłumem. Możesz ją także ukryć przed duchownymi i sędziami, jak to uczyniłaś dzisiaj, gdy próbowali wydrzeć ci z piersi jego imię i dać ci towarzysza na twoim piedestale. Co do mnie wszakże, przystępuję do śledztwa z inną niż oni zdolnością. Będę szukał tego człowieka tak, jak szukałem prawdy w księgach, jak szukałem złota w alchemii. Między nami jest nic porozumienia i ona pomoże mi go odgadnąć. Dojrzę go, kiedy zadrży na mój widok.

Wyczuję, gdy jego bliskość mnie samego nagle i niespodziewanie przyprawi o drżenie. Prędzej czy później będzie mój!

Oczy w pomarszczonej twarzy szkolarza, wpatrzone w jej twarz, zapłonęły tak dziko, że Hester Prynne przycisnęła dłonie do serca, pełna lęku, że zaraz wydrze jej sekret tam ukryty.

- Nie wyjawisz jego imienia? A jednak będzie mój! - podjął z taką wiarą w spojrzeniu, jakby los był z nim w zмовie. - Nie nosi znaku niesławy, wyszytego na odzieży, tak jak ty, lecz wyczytam go w jego sercu. Jednak nie obawiaj się o niego! Nie myśl, że będę się wtrącał w wymierzanie kary, jaką Opatrzność naznaczy mu własnym wyrokiem, lub że z własną szkodą wydam go w twarde ręce ludzkiego prawa. Nie myśl też, abym w jakiś inny sposób nastawał na jego życie, czy też na jego dobre imię, jeśli, jak sądzę, jest to człowiek cieszący się szacunkiem. Niech żyje! Niech się chowa w osłony życiowych zaszczytów, jeśli może! Wszystko jedno, będzie mój!

- Twoje uczynki wydają się miłosierne - rzekła przerażona i oszołomiona Hester - lecz twoje słowa pokazują, że jesteś człowiekiem strasznym.

- Jednej rzeczy żądam od ciebie, która byłaś moją żoną - ciągnął szkolarz. - Zachowałaś sekret swego kochanka. Zachowaj i mój. Nikt mnie nie zna w tym kraju. Bacz, aby żadna żywa dusza nie usłyszała nigdy od ciebie, że kiedykolwiek zwałaś mnie swoim mężem! Tutaj rozbiję namioty, na tych dzikich rubieżach naszej ziemi, gdzie indziej bowiem byłbym tylko wędrowcem, oderwanym od wszelkich więzów z ludźmi. Tutaj mam kobietę, mężczyznę i dziecko, z którymi łączą mnie najściślejsze więzy - mniejsza z tym, czy są to więzy miłości czy nienawiści, dobra czy zła! Ty i twoi bliscy, Hester Prynne, do mnie należą. Mój dom jest tam, gdzie ty, i tam, gdzie on. Lecz nie śmiej mnie zdradzić!

- Ale dlaczego tak tego pragniesz? - spytała Hester i wzdrygnęła się, nie bardzo wiedząc czemu, na myśl o tym utajonym związku. - Dlaczego nie ujawnisz otwarcie swego imienia i nie wyrzekniesz się mnie raz na zawsze?

- Może dlatego - odparł - że nie chcę narażać się na dyshonor, spadający na męża niewiernej kobiety. Może z innych przyczyn. Dość, że zamiarem moim jest żyć i umrzeć nie poznanym. Niech więc twój mąż pozostanie człowiekiem dla świata umarłym, o którym wieść zaginęła na zawsze. Nie zdradź się żadnym słowem, żadnym znakiem, żadnym spojrzeniem, że mnie poznajesz. A nade wszystko nie zdradź mnie przed tym człowiekiem - wiesz, o kim mówię. Gdybyś w tym zawiodła, strzeż się! Jego dobra sława, stanowisko i jego życie będą w moich rękach. Strzeż się!

- Nie zdradzę twego sekretu, tak jak nie zdradziłam jego - odparła Hester.

- Przysięgnij! - nakazał.

Przysięgła.

- A teraz, pani Prynne - rzekł stary Roger Chillingworth, jak będziemy go odtąd nazywać - zostawiam cię samą. Samą z twoim dzieckiem i ze szkarłatną literą. Jak z tym jest, Hester? Czy twój wyrok nakazuje ci noszenie tego znaku także we śnie? Czy nie boisz się koszmarnych, okropnych snów?

- Czemu tak szyderczo się uśmiechasz? - spytała Hester, zaniepokojona wyrazem jego oczu. - Czy jesteś jak ten Czarny Człowiek, który straszy w naszych lasach? Czy wciągnęłaś mnie w związek, który będzie zgubą dla mej duszy?

- Nie dla twojej duszy - odparł, znowu z uśmiechem. - Nie, nie dla twojej!

V Hester przy igle

Okres aresztu Hester dobiegł końca. Drzwi więzienne otwarły się przed nią. Wyszła na świat w blasku słońca, a choć świeciło na wszystkich bez różnicy, jej zbolełemu sercu zdawało się tylko po to stworzone, by lepiej ukazać szkarłatną literę na jej piersi. Może nawet udręka tych pierwszych, samodzielnych kroków za więziennym progiem była bardziej jeszcze dotkliwa, niż podczas pochodu i opisanego tu widowiska, gdy występowała jako wcielenie niesławy, gdy wszystkich zwołano, by mogli wytykać ją palcami. Wtedy podtrzymywało ją anormalne napięcie nerwów i cała energia charakteru, zmobilizowana do walki, co umożliwiło jej przeistoczenie owej sceny w jakiś posępny triumf. Ponadto był to odosobniony, oderwany wypadek, jaki zdarza się tylko raz w życiu. Mogła więc dla przetrwania go zebrać nie oszczędzając wszystkie siły żywotne - tyle, ile starczyłoby na wiele spokojnych lat. Nawet to samo prawo, które ją skazało - olbrzym o srogim obliczu, lecz wyposażony w moc zarówno podtrzymującą, jak i unicestwiająca swym żelaznym ramieniem - dawało jej jakieś oparcie w czasie ciężkiej próby ogłoszenia jej hańby. Lecz teraz, z chwilą gdy samotnie odeszła od więziennych drzwi, rozpoczął się jej żywot codzienny: zrozumiała, że musi albo utrzymać ten ciężar i nieść go dalej siłami, jakie jej były dane na co dzień, albo pod nim upaść. Nie mogła już dłużej czerpać z zapasów na przyszłość, aby znieść mękę jednej chwili. Jutro miało przynieść nowe próby, a po nim dzień następny i jeszcze następny. W każdym czekało ją nowe strapienie - nowe, lecz ciągle to samo co teraz, tak niewymownie ciężkie do zniesienia. Wiedziała, że kolejne dni owej dalekiej przyszłości będą się wlokły z tym samym ciągle ciężarem, który będzie czekał, by go podjęła i niosła dalej, bez nadziei zrzucenia go z siebie. Bowiem gromadzące się dni i lata nagromadzą rosnący na fundamencie hańby stos nieszczęść. Przez wszystkie te lata będzie stopniowo tracić swą indywidualność, aż stanie się tylko ogólnym symbolem, na który wskazywać będą kaznodzieje i moralisci, który posłuży im dla ożywienia i wcielenia własnych wyobrażeń o ułomności kobiet i grzesznych namiętnościach. Tak więc młode i czyste dusze nauczą się patrzeć na nią, na kobietę ze szkarłatną literą, płonąca na piersi, na nią, która była dzieckiem szanowanych rodziców, na matkę dziecka, które samo stanie się kobietą, na nią, która niegdyś była niewinna - jak na obraz grzechu, jego uosobienie i urzeczywistnienie. A na jej grobie hańba, którą zabierze tam ze sobą, będzie jedynym jej pomnikiem.

Można się zdumiewać, że mając świat otwarty, nie skrępowana żadną klauzulą wyroku, nakazującą jej pozostanie w tej purytańskiej osadzie, tak odległej i nieznannej, całkowicie wolna, gdyby chciała powrócić do miejsca swego urodzenia lub do innego kraju w Europie i tam ukryć swą przeszłość i nazwisko i odżyć w nowym wcieleniu; mając też wolny dostęp do nieprzeniknionych, ciemnych lasów, gdzie żywiołowość jej natury mogła ułatwić współżycie z ludźmi, których obyczaje i życie nie znały prawa, co tutaj ją wyklęło - zdumiewać może fakt, że owa kobieta mimo wszystko za swój dom uznała to miejsce, jedyne miejsce, gdzie musiała trwać

jako obraz hańby. Istnieje wszakże jakiś fatalizm, instynkt tak nieodparty i nieunikniony, że działa niczym siła wyroków losu i prawie zawsze sprawia, że ludzie niby dusze pokutujące krążą wokół miejsc, gdzie zdarzył się jakiś ważny i wyjątkowy wypadek, który w szczególny sposób zabarwił ich życie - niezdolni do oderwania się tym bardziej, im ciemniejsza zdaje się owa barwa i im większym osnuwa je smutkiem. To jej grzech, jej sromota stały się korzeniami, które ją przykuły do tej ziemi. Były to jakby drugie narodziny, wiążące ją silniej z tym miejscem, niż z miejscem pierwszych urodzin, i to przeistoczyło dla niej ów kraj dzikich lasów. Ciągłe jeszcze tak nieprzyjazny dla wszystkich innych pielgrzymów i wędrowców, dla Hester Prynne, choć tak srogi i ponury, stał się on domem na całe życie. Wszystkie inne miejsca na ziemi - nawet jej wioska rodzinna w Anglii, gdzie szczęśliwe dzieciństwo i niewinne panieńskie lata zdawały się jeszcze spoczywać pod opieką matki, jak dawno porzucona odzież, były dla niej obce w porównaniu z obecnym miejscem. Łańcuch, który ją tu przykuł, miał żelazne ogniwa, raniące jej duszę do głębi, lecz niemożliwe do zerwania.

Mogło tu również wchodzić w grę inne uczucie, które ją trzymało na miejscu, na drodze, która okazała się tak zgubna - i bez wątpienia tak było, choć skrywała to sama przed sobą, a gdy ów sekret wydzierał się z jej serca jak wąż z nory, twarz jej okrywała się bladością. Tu mieszkał i tymi drogami chodził mężczyzna, z którym czuła się złączona tajemnym związkim. Choć nie uznany w życiu ziemskim, związek ów miał zjednoczyć ich przed trybunałem Sądu Ostatecznego jak przed ślubnym ołtarzem, na wspólną przyszłość wiecznej odpłaty za grzech. Raz po raz kusiciel ludzkich dusz stawiał jej przed oczyma tę myśl i śmiał się z namiętnej i rozpaczliwej radości, z jaką się jej czepiała, po czym starał się wydrzeć jej ów obraz. Zaledwie ośmielała się dopuszczać do siebie tę myśl i co prędzej odsuwała ją od siebie, zamykając w głębi serca jak w więzieniu. Zmuszała się natomiast, by uwierzyć w inny, wyrozumowany przez siebie powód pozostania w Nowej Anglii, który był po części prawdą, a po części oszukiwaniem samej siebie. Oto - mówiła sobie - było miejsce jej występku i ono powinno być miejscem jej kary doczesnej. Wówczas być może udręka jej codziennej hańby nareszcie oczyści jej duszę i przyniesie czystość inną od tej, jaką straciła, bardziej świętobliwą, bo zrodzoną z męczeństwa.

A zatem Hester Prynne nie uciekła. Na krańcach miasta, jeszcze w granicach półwyspu, lecz nie w bliskim sąsiedztwie innych domów, stała niewielka chata pod strzechą. Zbudował ją jakiś osadnik, a potem porzucił, ponieważ ziemia przy niej była zbyt jałowa do uprawy, jej oddalenie zaś, dość duże, od ludzi uniemożliwiało bardziej ożywione stosunki z sąsiadami, co już wtedy należało do obyczajów emigrantów. Zwrócona ku zachodowi, stała ona na brzegu zatoki morskiej, za którą widniały wzgórza pokryte lasami. Kępa karłowatych drzew - gdyż tylko takie rosły na półwyspie - nie tyle osłaniała chatę, co dawała jakby do zrozumienia, że jest to obiekt, który chętnie skryłby się przed ludźmi, a przynajmniej powinien się ukryć. W tym małym, samotnym domku, za skromną sumkę, jaką posiadała, i za zezwoleniem władz, które ciągle jeszcze bacznie jej pilnowały, zamieszkała Hester ze swoim

dzieckiem. Tajemniczy cień czegoś podejrzanego natychmiast osnuł to miejsce. Dzieci, zbyt małe, żeby zrozumieć, czemu ta kobieta pozostaje poza nawiasem ludzkiego miłosierdzia, skradały się po cichu, by podglądać ją, jak szyje przy oknie chatki, stoi w drzwiach, pracuje w małym ogródku lub nadchodzi ścieżką wiodącą ku miastu, a na widok szkarłatnej litery na jej piersi uciekały ogarnięte dziwnym, udzielającym się strachem.

Choć żyła samotnie, nie mając nikogo na świecie, kto odważyłby się zjawić tu jako przyjaciel, nie groził jej niedostatek. Celowała w sztuce, która nawet w kraju, gdzie raczej niewiele zdarzało się okazji do jej uprawiania, starczała na to, by zdobyć pożywienie dla jej rosnącego dziecka i dla niej samej. Była to jedyna prawie sztuka dostępna wówczas kobietom, tak samo jak i obecnie: ręczne roboty. Szkarłatna litera, noszona na jej piersi, przepięknie haftowana, mogła służyć za próbkę jej zręczności, subtelności gustu i wyobraźni, z jakich korzystać by mogły z radością damy dworu, pragnąc przybrać swe tkaniny z jedwabiu i złota w ozdoby bogatsze i bardziej wyszukane - dzieła ludzkiej pomysłowości. Tutaj wszakże, wobec posępnej prostoty, charakterystycznej zazwyczaj dla odzieży purytańskiej, nie można się było spodziewać wielkiego zbytu dla bardziej eleganckich wyrobów jej ręki. A jednak gust epoki lubującej się w ornamentach jak najbardziej wyszukanych osiągnął swym wpływem nawet naszych surowych protoplastów, którzy odrzucili precz tyle modnych pomysłów trudniejszych zdawałoby się do porzucenia. Publiczne okazje, takie jak wyświęcanie duchownych, obejmowanie urzędów i wszystko, co mogło przydać majestatu formie, w jakiej nowy rząd objawiał się ludowi, odznaczały się dostojnym i starannie celebrowanym rytuałem i wspaniałością posępną, lecz starannie wystudiowaną. Była to rozmyślna polityka. Sute krezy, pasy przedziwnej roboty i bogato haftowane rękawice stały się niezbędnym atrybutem urzędowej pozycji ludzi ujmujących w swe ręce ster władzy i chętnie przyznawano je osobom wybitnym z tytułu urzędu lub bogactwa nawet wówczas, gdy prawo ogólne wzbraniało takich lub podobnych ekstrawagancji w stanie plebejskim. Również w szykowaniu pogrzebów, czy to w przybraniu nieboszczyka, czy też dla okazania przez różnorodne kombinacje czarnego sukna i śnieżnobiałych płócien smutku tych, co pozostali przy życiu, potrzebne były usługi takich pracownic jak Hester Prynne. Dziecinne ubranka - gdyż nawet niemowlęta ubierano w okazałe szaty - dawały jeszcze jedną możliwość pracy i zapłaty.

Stopniowo, lecz dość szybko, roboty jej ręki stały się, jak obecnie to nazywamy, modne. Czy to ze współczucia dla kobiety, którą tak smutny czekał los, czy może z chorobliwej ciekawości, nadającej fikcyjną wartość nawet rzeczom pospolitym i bezwartościowym, czy wskutek innych, niezbadanych okoliczności, które zawsze dają jednym to, czego inni na próżno pragną, czy też Hester naprawdę wypełniła tu jakąś lukę - jedno jest pewne, że zawsze miała pod ręką dobrze opłacane zajęcie na tyle godzin, ile tylko chciała na tę pracę poświęcić. Może próżność zapragnęła się upokorzyć, ubierając się na uroczystości, odbywane z pompą i paradą, w odzież szytą grzesznymi rękoma? Jej hafty widywano na krezie gubernatora; wojskowi nosili je na swych fontaziach, duchowni na szarfach; zdobyły

czepeczki niemowlęce; zamykano je w trumnach zmarłych, aby tam pokryły się pleśnią i zbutwiały. Lecz nigdzie nie zanotowano, aby choć raz zaproszona została do pomocy w haftowaniu białego welonu, służącego do ukrycia niewinnego rumieńca panny młodej. Ten wyjątek wskazywał na twardą nieustępliwość, z jaką społeczeństwo potępiało jej grzech.

Hester nie zabiegała o to, by zdobyć dla siebie więcej ponad to, co wystarczało im obu na utrzymanie. Sama żyła ascetycznie, dziecko miało wszystko, co potrzeba. Jej własne suknie były zawsze z najpospolitszego materiału, utrzymane w ciemnych, ponurych kolorach, z jedną tylko ozdobą - ze szkarłatną literą, na noszenie której skazał ją los. Za to szaty dziecka odznaczały się fantazyjną, a raczej fantastyczną wymyślnością, podkreślającą zwiewny urok dziewczynki, widoczny od najwcześniejszych lat. Miało to także głębszy sens, o którym powiemy później. Poza tą jedyną rozrzutnością w ubieraniu córeczki Hester rozdawała wszystkie pieniądze, jakie jej pozostawały, na

62cele dobroczynne, pomagając nieszczęśnikom mniej od niej nieszczęśliwym. Nierzadko zresztą traktowali oni obelżywie dłoń, co ich karmiła. Wiele czasu, który mogłaby z łatwością przeznaczyć na roboty bardziej wyszukane, poświęcała szyciu zgrzebnej odzieży dla biednych. Prawdopodobnie to zajęcie miało służyć za pokutę, skoro tyle godzin zużywała na tę ordynarną robotę, wyrzekając się innych, które sprawiałyby jej przyjemność. Natura jej miała rys charakterystyczny dla wschodniej zmysłowości i przepychu: ukochanie rzeczy bajecznie pięknych. Tymczasem w jej życiu nie mogło ono nigdzie znaleźć ujścia poza cudownymi wytworami igły. Kobiety znajdują niepojętą dla płci odmiennej przyjemność w delikatnych zajęciach tego rodzaju. Hester Prynne może w ten właśnie sposób dawała wyraz pasji swego życia, co działało na nią kojąco. Lecz jak wszystkie inne radości, odpychała i tę, jako grzech. To chorobliwe mieszanie spraw sumienia i rzeczy błahych mogło świadczyć niestety, że nie była to skrucha szczerą i mocną. Coś się pod tym kryło niejasnego, coś tu było nie w porządku.

W ten sposób Hester Prynne znalazła dla siebie miejsce w tym świecie i jakąś do odegrania w nim rolę. Przy wrodzonej energii charakteru Hester i rzadkich uzdolnieniach świat nie mógł odepchnąć jej całkowicie, choć położył na niej piętno bardziej dla kobiety nieznośne, niż to, które naznaczyło czoło Kaina. We wszystkich jej stosunkach z ludźmi nie było nic, co dałoby jej poczucie przynależności do tego społeczeństwa. Każdy gest, każde słowo, a nawet milczenie tych, z którymi się stykała, przypominało lub wręcz stwierdzało fakt, że była wygnanką tak osamotnioną, jakby zamieszkiwała inne rejony lub porozumiewała się z otoczeniem za pomocą innych organów i zmysłów niż pozostali przedstawiciele rodzaju ludzkiego. Stała na uboczu od spraw doczesnych, a jednak tuż przy nich, niby duch nawiedzający znane sobie domowe ognisko, który nic już nie może zrobić, aby go zobaczono i odczuto: nie może uśmiechnąć się, dzieląc radość domowników, ani boleć, dzieląc smutek swoich bliskich. Gdyby bowiem potrafił okazać to niedozwolone dla niego współczucie, wzbudziłby tylko strach i okropną odrazę. I w rzeczywistości strach i odraza, z dodatkiem gorzkiej pogardy, to było chyba

wszystko, co mogło jej dać serce tej osady. Nie był to wiek delikatności uczuć: o pozycji Hester - choć rozumiała ją dobrze i nie było obawy, by miała o niej zapomnieć - przypominano jej często w sposób jak najbardziej brutalny, raniąc ją w najczulsze, najżywiej reagujące miejsca, których ciągle była świadoma, i zadając nowy ból. Jak już mówiliśmy, biedni, do których udawała się, by ich obdarzyć, przyjmowali często obelgą wyciągniętą do nich rękę. Również damy wysokiego stanu, gdy przestępowała ich próg w sprawach swej roboty, starały się zazwyczaj sączyć krople goryczy w jej serce - czasem stosując ową alchemię maskowanej złośliwości, z jaką kobiety potrafią przyrządzić subtelną truciznę z najbłahszych drobnostek, kiedy indziej zaś przez bardziej gruboskórne słowo, padające na bezbronną pierś męczennicy jak mocny cios na rozjątrzoną ranę. Hester zaprawiała się do upokorzeń długo i dzielnie. Nigdy nie odpowiadała na te ataki, wyjąwszy karmazynowy rumieniec, który niepowstrzymanie wypływał na jej blade policzki i znów znikał, kryjąc się w jej sercu. Była cierpliwa, była zaiste męczennicą - lecz nie modliła się za swych nieprzyjaciół. Bała się, by wbrew intencji przebaczenia słowa błogosławieństwa nie zmieniły się w przekleństwo. Duchowni zatrzymywali się na ulicy, aby zwrócić do niej słowa upomnienia, które przyciągały zaraz tłum gapiów, rzucających jej drwiące lub surowe spojrzenia. Jeśli wchodziła do kościoła, ufna, że podzieli świąteczny uśmiech wspólnego im wszystkim Boga Ojca, zdarzało się często, że ją właśnie wybierano na temat kazania. Zaczęła bać się dzieci, gdyż udzielało im się od rodziców jakieś mgliste pojęcie, że w tej ponurej kobiecie, milcząco przesuwał się przez miasto, której nikt nie towarzyszył prócz jej jedyne dziecko, było coś strasznego. Pozwalały jej więc najpierw przejść spokojnie, po czym biegły za nią z wrzaskiem, wykrzykując słowo, którego sensu dokładnie nie pojmowały, lecz które tym bardziej było dla niej straszliwe, że dziecięce usta powtarzały je nieświadomie. Zdawało jej się, że wieść o jej hańbie rozeszła się tak szeroko, że wiedziała o niej cała natura. Nie mogłoby jej głębiej dotknąć, gdyby liście na drzewach szeptały do siebie tę ponurą opowieść, gdyby szemrał o niej letni wietrzyk, a zimowa zawierucha donośnie ją rozgłaszała! Jeszcze inne budziły się uczucia, gdy napotykała spojrzenie osoby nieznaney. Gdy nieznanymi patrzyli z ciekawością na szkarłatną literę - a żaden z nich nie omieszkał tego zrobić - wydawało jej się, jakby na nowo piętnowano jej duszę, tak że częstokroć powstrzymywała się z trudem - choć zawsze się powstrzymywała - aby nie zakryć tego znaku ręką. Lecz z drugiej strony oczy znajome też zadawały cierpienie, tyle że innego rodzaju. To zimne spojrzenie rozpoznania było nie do zniesienia. Krótko mówiąc, od początku do końca Hester Prynne znosiła męki, gdy czuła czyjś wzrok skierowany na swą literę. To miejsce nigdy nie utraciło wrażliwości; przeciwnie, zdawało się coraz bardziej bolesne wskutek codziennej udręki.

A jednak czasem, raz na wiele, wiele dni, a czasem i miesiący, napotykała spojrzenie pewnej pary oczu, utkwionych w haniebnny znak, które przynosiło jej chwilową ulgę, tak jakby ktoś dzielił jej mękę na równi z nią. I zaraz potem uczucie ulgi odbiegało, pozostawiając jeszcze głębszy skurcz bólu, gdy przychodziła

świadomość, że w tej krótkiej chwili na nowo zgrzeszyła! Czy grzeszyła tylko sama Hester?

Jej wyobraźnia stała się prawie chorobliwa i gdyby jej zasady moralne i władze umysłowe były bardziej wątle, mogło być jeszcze gorzej przy tymdziwnym, odludnym życiu wśród ciągłej udręki. Gdy tak krążyła samotnie w małym świątku, z którym łączyły ją powierzchowne jedynie więzy, zdawało się czasem Hester - jeśli było to tylko złudzenie, działało zbyt mocno, by mu się oprzeć - czuła więc lub wyobrażała sobie, że szkarłatna litera obdarzyła ją jakimś nowym zmysłem. Bała się w to uwierzyć, lecz nie mogła przemóc wrażenia, iż uzyskała przez to dar odgadywania grzechu skrywającego się w innych sercach. Przerazały ją te odkrycia. Co to było? Czy takie myśli rodziły się za podszeptem złego ducha? Może to on starał się przekonać opierającą się i jak dotąd tylko częściowo mu uległą kobietę, że zewnętrzne pozory czystości to tylko kłamstwo i gdyby prawda wyszła na jaw, szkarłatna litera zapłonęłaby na wielu szatach oprócz jej własnej! A może te objawienia tak niewytłumaczone, a przecież tak wyraźne, mogła uznać za prawdziwe? Ze wszystkich jej okropnych przeżyć to było najstraszliwsze, najbrzydliwsze. Czuła się zmieszana i wstrząśnięta, gdy ta intuicyjna świadomość współnictwa w grzechu budziła się w okolicznościach całkiem niestosownych. Czasem czerwone piętno na jej piersi zaczynało drżeć jakby echem, gdy mijala jakiegoś czcigodnego pastora lub sędziego - uosobienie pobożności i sprawiedliwości - kogoś, kto w owych czasach skłonny do staroświeckiego oddawania najwyższej czci, cieszył się opinią śmiertelnika obcujuącego z aniołami. „Znów jakiś zły nadchodzi” - mówiła do siebie Hester, a gdy podnosiła niechętnie wzrok, nie było w pobliżu nikogo, tylko ów ziemski święty! To znów tajemnicze, siostrzane uczucia budziły się w niej jakby na przekór, gdy wzrok jej padał na świątobliwie nasepione czoło jakiejś matrony, która wedle panującej opinii przez całe życie musiała mieć w piersi lodowaty śnieg. Ów śnieg, nigdy nie stopniony słońcem w sercu matrony, i palące piętno hańby na piersi Hester Prynne - cóż te dwie rzeczy miały ze sobą wspólnego? Kiedy indziej znów przeszywał ją ostrzegawczy prąd niby głos szepczący: „Patrz, Hester, oto twoja towarzyszka”, a podnosząc oczy napotykała oczy młodej dziewczyny, zerkającej nieśmiało z ukosa na szkarłatną literę i spuszczonej natychmiast głowę z lekkim rumieńcem na twarzy, tak jakby spojrzenie to zbrukało jej niewinność. O, Szatanie, dla którego ten złowrogi symbol jest talizmanem! Czy nie zostawisz nic tej biednej grzesznicy, ani wśród starych, ani wśród młodych, na co mogłaby spojrzeć z szacunkiem? Taka utrata wiary jest zawsze jednym z najsmutniejszych skutków grzechu. A jednak owa biedna ofiara własnej słabości i twardego prawa stworzonego przez człowieka nie była całkiem zepsuta. Za dowód niech posłuży fakt, iż Hester Prynne ciągle jeszcze usiłowała przekonać samą siebie, że nikt ze śmiertelnych nie jest tak grzeszny, jak ona.

Wśród pospolitego tłumu, zawsze w owych ponurych czasach chętnego do wyolbrzymiania rzeczy działających na ich wyobraźnię w sposób groteskowy i okropny, krążyła opowieść, która łatwo mogłaby stać się pełną grozy legendą. Twierdzono, że znak ten nie był po prostu skrawkiem czerwonego sukna,

barwionego w glinianym naczyniu z farbą, lecz został rozżarzony ogniem piekielnym i gdy tylko Hester wychodziła nocną porą, można było zobaczyć, jak płonie. Musimy jeszcze dodać, że parzył on pierś Hester tak okrutnie, że, kto wie, może więcej w tych pogłoskach było prawdy, niż rad by przyznać nasz nowoczesny sceptycyzm.

VI Pearl

I Nic prawie nie powiedzieliśmy dotąd o dziecku, o tym małym stworzonku, którego niewinne życie poczęło się dzięki niezbadanym wyrokom Opatrzności niby śliczny, nieśmiertelny kwiat wyrosły z oparów grzesznej namiętności. Jakże dziwnym wydawało się tej smutnej kobiecie, gdy patrzyła, jak rośnie i z każdym dniem staje się piękniejsze, jak rozwija się inteligencja, rozświetlająca drobne rysy maleństwa blaskiem migocącym niby promień słońca. Jej Perełka! Gdyż tak nazwała ją Hester: Pearl - imię nadane nie dla wyglądu dziecka, w którym nie było nic ze spokojnego, białego, beznamiętnego lśnienia, jakie nasuwałoby porównanie. Lecz nazwała ją tak jako coś drogiego, opłaconego wszystkim, co posiadała, jako jedyny skarb matki. Jakież to dziwne! Człowiek napiętnował grzech tej kobiety szkarłatną literą, posiadającą tak nieszczęsną moc, że stawiała ją poza zasięgiem ludzkiego współczucia i sympatii - chyba że ze strony kogoś, kto byłby równie grzeszny, jak ona. Bóg dał jej, jako owoc grzechu tak ciężko pokaranego przez człowieka, prześliczne dziecko, którego miejsce było przy tej znieśławionej piersi, dziecko, które włączyło swą rodzicielkę na zawsze w łańcuch rodzaju ludzkiego, w pokolenie śmiertelników, a w końcu miało się stać duszą błogosławioną w niebie! A jednak myśli takie budziły w duszy Hester więcej obaw niż nadziei. Wiedziała, że jej postępek był zły, nie mogła więc żywić nadziei, że jego skutki mogą być dobre. Dzień za dniem obserwowała z lękiem rozwój dziecka, ciągle obawiając się, że odkryje w nim jakieś złe skłonności - echo występku, jakiemu zawdzięczało swe istnienie.

Z pewnością trudno było znaleźć u małej jakieś wady fizyczne. Doskonale zbudowane, silne dziecko, pełne energii i wrodzonej zręczności w posługiwaniu się niewprawnymi jeszcze mięśniami swego ciała, godne było, aby narodzić się w Raju i tam pozostać jako zabawka dla aniołów po wypędzeniu z niego pierwszych na świecie rodziców. Miało wrodzony wdzięk, nie zawsze idący w parze z nieskazitelną urodą. W cokolwiek by się ją ubrało, patrzącemu zdawało się, że w tym właśnie stroju jest jej najlepiej. Jednakże mała Pearl nie była odziewana w chłopskie suknie. Jej matka, z chorobliwym uporem, którego zamysł niebawem się wyjaśni, kupowała najbogatsze tkaniny, jakie tylko były do nabycia, a szyjąc i zdobiąc sukienki, w których dziecko ukazywało się ludziom, puszczała całkowicie wodze swej wyobraźni. Taka wspaniałość biła od drobnej, wystrojonej figurki i takim blaskiem jaśniała jej własna uroda w tych bogatych sukniach, które mogłyby zgasić piękność o bledszych barwach, że na ciemniejszej podłodze chatki tworzył się wokół małej postaci istny świetlisty krąg. A jednak w zgrzebnej sukience, podartej i zabrudzonej od niewybrednych dziecięcych igraszek, wyglądała również jak obrazek. Specjalny czar jej urody leżał w tym, że co chwilę zdawała się inna. W tym jednym dziecku było wiele dzieci - pełna skala odmian, od uroku polnego wiejskiego kwiatka, jak u chłopskiego dziecka, do królewskiego splendoru małej infantki. We wszystkich wcieleniach jednakże uderzała jakaś namiętność i intensywność kolorytu, której nie

zatracała nigdy. Gdyby w tych odmianach nagle stała się bledsza i bardziej nikła, przestałaby być sobą. Nie byłaby to już Pearl!

Zmienność w wyglądzie odpowiadała zmienności w jej życiu wewnętrznym, wyrażając różnorodność jej nastrojów i rysów charakteru. W naturze jej leżała nie tylko zmienność, była w niej także głębia. Natomiast - jeśli Hester nie myliła się w swych obawach - brakowało jej cech, które ułatwiłyby jej dostrojenie się i przystosowanie do świata, w którym przyszło jej żyć. Tego dziecka nie można było zmusić do posłuszeństwa nakazem i zakazem. W powołaniu go do życia zostało złamane wielkie prawo, a w konsekwencji narodziła się istota, która miała wiele pięknych i wspaniałych przymiotów, wszystko jednak bezładnie pomieszane - a może i ułożone, lecz wedle właściwego sobie ładu, i trudno lub wręcz nie sposób było dociec, jaki to układ i gdzie tkwi przyczyna zmienności. Hester mogła jedynie tłumaczyć sobie charakter dziecka - i to w sposób bardzo niejasny i niedoskonały - wspominając własny stan ducha w tym doniosłym okresie, kiedy dusza Pearl, kształtując się, czerpała ze świata duchowego, a jej ciało z ziemskiej gliny. Namiętności, szarpiące duszę i ciało matki, stały się pośrednikiem, przekazującym nie narodzonemu dziecku światło jego życia moralnego. Światło to, jakkolwiek białe i nieskalane na początku, musiało splamić się mocnymi barwami karmazynu i złota, ognistym blaskiem, czarnym cieniem i oślepiającą jasnością, przejętą z substancji wszystko to przekazującej. A nade wszystko trwały wpływ na charakter Pearl musiały wyrzeć rozterki i walki wewnętrzne Hester z tego okresu. Rozpoznawała w niej własne nastroje - gwałtowność, desperację, wyzwanie, zmienność humorów, a nawet te same chmury posępnego smutku i przygnębienia, ciężące na jej sercu. U Pearl przemagała je rankiem promienna wesołość, naturalna dla małego dziecka, lecz w późniejszych porach dnia jej ziemską egzystencja obfitowała w burze i zawieruchy.

Dyscyplina w rodzinie była w owych czasach znacznie surowsza niż obecnie. Zmarszczone czoło, ostra nagana, częste kary chłosty, poparte autorytetem Pisma Świętego, stosowano nie tylko dla wymierzenia kary, lecz po prostu jako zdrowy system wychowawczy dla rozwijania i wyrabiania wszelkich dziecięcych cnót. Nie było wszakże obawy, by Hester Prynne, samotna matka jedyne dziecko, grzeszyła nadmierną surowością. Pamiętna jednak na własne błędy i nieszczęścia, wcześniej podjęła wysiłki, by roztoczyć delikatną, lecz ścisłą kontrolę nad powierzoną jej pieczy nieśmiertelną duszyczką. Lecz obowiązek ten przekraczał jej umiejętności. Po wypróbowaniu zarówno marszczenia brwi, jak i uśmiechów, gdy przekonała się, że skutków i jednego, i drugiego niepodobna przewidzieć, uznała, że musi się wycofać i pozwolić dziecku, by kierowało się własnym impulsem. Przymus fizyczny był oczywiście skuteczny, póki trwał. Przy wszelkich innych próbach narzucenia dyscypliny, gdy matka odwoływała się bądź do jej serca, bądź rozumu, mała Pearl była posłuszna albo nie - w zależności od kaprysu, który w danej chwili brał górę. Jeszcze w jej wczesnym dzieciństwie Hester nauczyła się rozpoznawać owo szczególne spojrzenie, ostrzegające matkę, że próżny byłby trud nalegania, tłumaczenia lub prośby. Było to spojrzenie tak inteligentne, a jednak tak

nieodgadnione, przekorne, a czasem tak złośliwe, choć zwykle towarzyszył mu wybuch niepohamowanej wesołości, że Hester nie mogła oprzeć się pytaniu, czy Pearl jest naprawdę ludzkim dzieckiem. Zdawało się raczej, że to jakiś duszek, którego żywiołem jest powietrze, który na razie wyprawia harce na podłodze chatki, by za chwilę z kpiącym uśmiechem odlecieć w przestrzeń. Gdy tylko spojrzenie takie zjawiało się w jej dzikich, czarnych jak noc, błyszczących oczach, stawała się dziwnie daleka i niedosiężna, jak gdyby unosiła się w powietrzu i miała zaraz zniknąć jak migocące światełko, które przychodzi nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd odchodzi. Widząc je Hester nie mogła się powstrzymać - podbiegała do dziecka, chwyciła małego chochlika, który natychmiast zaczynał umykać, przyciskała go do serca, zamykała w uścisku i obsypywała pocałunkami - nie tyle z nadmiaru miłości, co dla upewnienia się, że Pearl jest istotą z krwi i kości, a nie jakąś złudą. Lecz wybuch śmiechu Pearl, gdy ją złapano, choć tak wesoły i dźwięczny, budził w matce jeszcze większe niż przedtem zwątpienia. Ze zranionym sercem wobec tych zdumiewających i dziwnych czarów, które tak często stawały między nią i jej jedynym skarbem, opłaconym tak drogo i stanowiącym jej cały świat, Hester wybuchwała czasem rozpaczliwym płaczem. Wtedy Pearl mogła - bo nigdy niepodobna było przewidzieć, jak to na nią podziała - zmarszczyć czoło, zacisnąć pięści, a rysy jej potrafiły zastygnąć w surową, nieprzyjazną maskę niezadowolenia. Nierzadko zaczynała się śmiać na nowo, jeszcze głośniejsze niż przedtem, jak nieczuły przedmiot, niezdolny do przeżycia i zrozumienia ludzkiego smutku. Lub też - choć to zdarzało się rzadziej - zaczynała się miotać w rozpacz jak oszalała i szlochając zapewniała matkę o swej miłości w beładnych słowach, jakby jej miało pęknąć serce i jakby chciała tym dowieść, że ma serce. Lecz niebezpiecznie byłoby zawierzyć tej burzliwej czułości. Mijała ona równie szybko, jak się pojawiła. Martwiąc się tymi sprawami matka czuła się jak ktoś, kto wywołał ducha, lecz skutek jakiejś nieścistości w zaklęciach nie przyswoił sobie magicznej formuły, która miała mu dać panowanie nad tą nową, niezrozumiałą umysłowością. Jedyne chwile ukojenia miała wtedy, gdy dziecko spało spokojnie. Wówczas była go pewna i mogła przez długie godziny zażywać cichego, błogiego szczęścia, aż do chwili, gdy mała Pearl - może z tym przekornym spojrzeniem, błyskającym spod rozchylających się powiek - budziła się!

Jak szybko, naprawdę dziwnie szybko Pearl dorosła do wieku, gdy można było z nią się porozumiewać nie tylko uśmiechem, zawsze gotowym na twarzy matki, i nieartykułowanym dziecięcym szczebiotem. Jakie byłoby to szczęście, gdyby w tym czasie Hester mogła słyszeć jej jasny, ptasi głosik wśród gwaru innych dziecięcych głosów, gdyby mogła rozpoznawać i rozumieć mowę własnego dziecka wśród pomieszanych krzyków całej chmary rozbrykanych dzieci! Lecz to było nie do pomyślenia. Pearl urodziła się jako wyrzutek świata dziecięcego, zły chochlik, symbol i owoc grzechu - i nie miała prawa zaliczać się do społeczności ochrzczonych dzieci. Nic nie zdumiewało w niej bardziej, niż ów instynkt, dzięki któremu najwyraźniej pojęła swe osamotnienie, los, który zakreślił wokół niej nieprzekraczalny krąg, słowem - całą wyjątkowość swej pozycji wobec innych dzieci.

Od wyjścia z więzienia Hester nigdy nie ukazywała się ludziom bez swego dziecka. We wszystkich jej wędrówkach po mieście Pearl brała udział - najpierw jako niemowlę na ręku, później jako mała dziewczynka, nieodłączna towarzysząca matki, trzymająca ją za palec całą piąstką i drepcząca małymi kroczkami, robiąc trzy albo cztery kroczki na jeden krok Hester. Widziała inne dzieci z osady na trawą porośniętych poboczach ulicy lub na progach domów, zabawiające się na różne sposoby tak ponuro, jak można było się spodziewać po purytańskim wychowaniu: na przykład bawiły się w chodzenie do kościoła albo w chłostanie kwaków, lub też w skalpowanie Indian w udawanych bitwach, lub też straszyły się nawzajem, udając czarownice. Pearl widziała je i bacznie im się przyglądała, lecz nigdy nie próbowała nawiązać z nimi znajomości. Jeśli ktoś do niej przemówił, nie odzywała się. Jeżeli dzieci otaczały ją gromadą, jak to się czasem zdarzało, Pearl stawiała się przerażająca: tyle wściekłości biło od tej małej figurki, gdy zaczynała rzucać w nie kamieniami z przeraźliwym wrzaskiem, wykrzykując jakieś nieokreślone wymysły, które matkę przyprawiały o drżenie, tak bardzo zdawały się podobne do krzyków czarownic, miotających przekleństwa w jakimś nieznanym języku!

W istocie mali purytanie, wychowani w najbardziej nietolerancyjnej społeczności, jaka kiedykolwiek istniała, pojmowali niejasno, że w tej matce z dzieckiem tkwi coś obcego, niezmiernego, coś niezgodnego z ich obyczajami - a zatem gardzili nimi w głębi serca, nierzadko miotając na nie obelżywe wyrazy. Pearl czuła tę wrogość i odwzajemniała się najbardziej zapiekłą nienawiścią, jaką można sobie wyobrazić w dziecięcym sercu. Wtedy te wybuchy wściekłości miały dla matki pewną wartość, a nawet przynosiły jej pociechę, gdyż nastrój taki był zrozumiały i zgodny z powagą sytuacji, a nie wynikał z nieobliczalnego kaprysu, co tak często sprawiało jej ból i zawód w zachowaniu jej dziecka. Ogarniało ją jednak przerażenie, gdy dostrzegła u niej odbicie, jakby cień zła, które tkwiło w niej samej. Tą wrogość i pasję Pearl odziedziczyła na mocy niezbywalnego prawa, biorąc je wprost z serca Hester. Matka i córka stały razem w tym samym kręgu wyobcowania ze społeczności i w naturze dziecka utrwaliły się widać niepokoje, jakie nękały Hester Prynne przed urodzeniem Pearl, a później przycichły pod kojącym i łagodzącym wpływem macierzyństwa.

W domu, w chatce Hester i koło chatki, Pearl nie potrzebowała większego i urozmaiconego towarzystwa. Jej wiecznie twórczy duch wyczarowywał życie i udzielał go tysiącom przedmiotów, niby pochodnia, rozniecająca płomień za dotknięciem. Najbardziej nieoczekiwane rzeczy - kij, zwitek gałąnków, kwiat - przeistaczały się w teatr lalek przez nią wyczarowany i nie zmieniając zewnętrznych kształtów grały swą rolę w kolejnych dramatach, odgrywanych na scenie wyobraźni. Jedyne dziecięcy głosik, jej własny, starczał za rzesze wymyślonych postaci starych i młodych, prowadzących ze sobą rozmowy. Wiekowe sosny, czarne i uroczyście, ślące na wiatr jęki i inne melancholijne odgłosy, niewielkiego wymagały przeistoczenia, by wystąpić w roli purytańskiej starszyny; najszpetniejsze chwasty w ogrodzie to były ich dzieci, które Pearl biła i wyrывała z ziemi bez litości. Zdumiewała mnogość i różnorodność form, w jakie wcielała się w wyobraźni, bez żadnej zresztą ciągłości, co

chwila podrywając się i tańcząc, nieustannie w ruchu, po czym opadała nagle, jakby wyczerpana tym pośpiesznym, gorączkowym przyplływem życia - i znów wcielała się w nowe kształty, ożywające w nowym wybuchu dzikiej energii. Najtrafniej można by to przyrównać do zjawiskowej gry światła zorzy północnej. A jednak samo odgrywanie tych wytworów fantazji i rozbrykanie młodego, rozwijającego się umysłu nie odbiegało może tak bardzo od zabaw, widywanych u innych dzieci o żywej inteligencji; tyle tylko, że Pearl, w braku towarzyszy zabaw z krwi i kości, była w większym stopniu zdana na towarzystwo wyimaginowanych postaci, stworzonych siłą własnej wyobraźni. Szczególnym jednak rysem jej charakteru była wrogość, z jaką traktowała wszystkie te płody własnego serca i umysłu. Nigdy nie zdarzało się, by wyczarowała postać przyjaciela - zupełnie jakby rozsiewała wokół zęby smocze, z których wyrastał zawsze plon uzbrojonych nieprzyjaciół, a wtedy rzucała się do walki z nimi. Było to niewymownie smutne - a cóż dopiero mówić o smutku matki, doszukującej się przyczyn tego we własnym sercu! - smutne, gdy w kimś tak młodym widziało się tyle wiedzy o wrogości świata i tak zaciekle ćwiczenie energii, potrzebnej do zwycięstwa w walce, jaka dziewczynkę na pewno czekała. Patrząc na Pearl Hester Prynne często opuszczała swą robotę na kolana i z piersi jej wyrwał się okrzyk bólu, który chętnie by ukryła, dźwięczący w jej głosie ni to mową, ni to jękiem: „Ojcze w Niebiosach, jeśli jesteś jeszcze moim Ojcem! Jakąż to istotę wydałam na świat!” Pearl, słysząc okrzyk, lub może wyczuwając drgnienie bólu bardziej subtelnymi drogami porozumienia, zwracała ku matce ożywioną, śliczną twarzą, rzucała jej filuterny, porozumiewawczy uśmiech i wracała do swej zabawy.

Należy wspomnieć o jeszcze jednej osobliwości w zachowaniu się dziecka. Pierwszą w życiu rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, było - cóż takiego? Nie uśmiech matki, na który odpowiadałaby jak inne dzieci owym delikatnym załężkiem uśmiechu małych ustek, wspominanym później z wahaniem, w pełnych miłości rozmowach - czy to naprawdę miał być uśmiech? Bynajmniej: pierwszym przedmiotem, jakiego Pearl zdawała się świadoma, była - czy musimy to wyznać? - szkarłatna litera na piersi Hester. Pewnego dnia, gdy matka pochylała się nad kołyską, oczy maleństwa przykuł widok błyszczącego, złotego haftu obręzionej litery. Unosząc rączkę, aby go pochwycić, uśmiechnęła się - nie tym niepewnym półuśmiechem niemowlęcia, lecz wyraźnie i promiennie, jak znacznie starsze dziecko. Wówczas Hester Prynne ze zduszonym oddechem schwyciła fatalny znak i instynktownie chciała go zerwać z siebie - tak niezmierny ból zadało jej świadome dotknięcie dziecięcej rączki Pearl. A wtedy, jakby ów gest udręczonej matki miał ją tylko zabawić, Pearl spojrzała jej w oczy i znów się uśmiechnęła! Od tej pory Hester nigdy, ani przez moment, nie czuła się bezpieczna. Nie zaznała jednej spokojnej chwili szczęścia przy swoim dziecku, z wyjątkiem tych godzin, gdy spało. Wprawdzie mijały czasem tygodnie i spojrzenie Pearl ani razu nie zatrzymało się na szkarłatnej literze, lecz potem, naraz, niespodziewanie znów się to powtarzało niby cios nagłej śmierci - i zawsze towarzyszył temu uśmiech dziecka i dziwny wyraz jego oczu.

Pewnego razu ów dziwaczny, chochlikowaty wyraz pojawił się w oczach Pearl, gdy Hester wpatrywała się w odbicie własnej twarzy w jej źrenicach, jak to lubią czynić matki, i nagle - gdyż kobiety żyjące w samotności z sercem pełnym cierpienia ulegają dziwnym złudom - wydało się jej, że w małym, czarnym lusterku źrenic Pearl dostrzeża nie swój własny, miniaturowy portret, lecz inną twarz. Była to twarz szatańska, złośliwie uśmiechnięta, lecz podobna do owej twarzy, którą doskonale знаła, choć rzadko gościł na niej uśmiech, a nigdy złośliwość. Zupełnie jakby w dziecko wstąpił zły duch i wyrzwał z niego na chwilę, z szyderstwem. Nieraz potem nękało Hester to samo złudzenie, choć nigdy tak dotkliwie, jak wtedy.

Pewnego letniego popołudnia, gdy była już dość duża, aby biegać swobodnie, Pearl bawiła się, zbierając naręcze polnych kwiatów i rzucając je jeden za drugim na pierś matki, tańcząc z radości i podskakując jak mały elf, ilekroć udało jej się trafić w szkarłatną literę. Pierwszym odruchem Hester było zakryć pierś, zaciskając na niej rękę. Lecz duma, lub rezygnacja, a może i uczucie, że zniesienie tego niewysłowionego bólu będzie najlepszą pokutą, powstrzymały ją; siedziała wyprostowana, blada jak śmierć, patrząc smutnie w rozbłyśniętą dziką radością oczu małej Pearl. Dalej sypały się kwiatowe strzały, trafiając w cel prawie za każdym razem i okrywając pierś matki ranami, na które nie mogła znaleźć balsamu na tym świecie, a jak go szukać na tamym, nie wiedziała. Nareszcie po wystrzeleniu wszystkich pocisków dziecko stanęło spokojnie i patrzyło na Hester. Z jej czarnych, przepaścistych, nieprzeniknionych oczu wyzierał śmiejący się obraz Szatana - a przynajmniej tak sobie wyobrażała matka.

- Kim ty jesteś, dziecko?! - zawołała Hester.

- Jestem twoją małą Pearl - odrzekło dziecko.

Lecz mówiąc to Pearl zaśmiała się i zaczęła znów tańczyć i podskakiwać, zabawnie wymachując rączkami jak mały chochlik, który za chwilę może zrobić nowy figiel i wylecieć kominem.

- Czy ty naprawdę jesteś moim dzieckiem? - spytała Hester.

Nie było to pytanie całkiem próżne, gdyż przez chwilę Hester zastanawiała się nad tym szczerze i poważnie. Pearl okazywała tak niezwykle inteligentne wyczucie sytuacji, że matce wydawało się, iż chyba musiała poznać sekret jej życia i za chwilę może się z tym zdradzić.

- Tak, ja jestem mała Pearl - powtórzyło dziecko, ciągle jeszcze zabawnie podrygując.

- Ty nie jesteś moim dzieckiem! Nie jesteś moją Pearl! - ciągnęła matka półzartem, gdyż często zdarzało się, że nagle nachodziła ją wesołość, nawet wśród najgłębszego cierpienia. - Powiedz mi w takim razie, kim jesteś i kto cię tu przysłał.

- To ty mi powiedz, mamo - rzekła Pearl poważnie, podchodząc do Hester i przytulając się do jej kolan. - Ty mi powiedz.

- Przysłał cię tutaj twój Ojciec Niebieski - odpowiedziała Hester Prynne.

Lecz wyrzekła to z wahaniem, które nie uszło bystrej uwagi dziecka. Pearl podniosła paluszek i dotknęła szkarłatnej litery, nieświadoma czy wiedziona jak zwykle kaprysem, czy też za podszeptem złego ducha.

- On mnie tu nie przysłał - powiedziała zdecydowanie. - Ja nie mam Ojca Niebieskiego!

- Cicho, Pearl, cicho! Nie wolno tak mówić! - odrzekła matka, tłumiąc jęk rozpaczy. - On nas wszystkich przysłał na ten świat. Nawet mnie, twoją matkę. A więc tym bardziej i ciebie. A jeśli nie, ty dziwne dziecko, ty duszku, to skąd się wzięłaś?

- Powiedz mi! Powiedz mi! - powtarzała Pearl, już nie z powagą, lecz roześmiana, hasając po izbie. - To ty musisz mi powiedzieć!

Lecz Hester nie umiała znaleźć odpowiedzi na to pytanie, gdyż sama gubiła się w ponurym labiryncie zwątpienia. Przypomniła sobie, na pół z uśmiechem, na pół z dreszczem trwogi, rozmowę sąsiadów z miasta, którzy wśród próżnych domysłów co do ojcostwa dziewczynki, obserwując jej dziwaczne zachowanie mówili, że biedna mała Pearl musi być diabelskim nasieniem. Takie pochodzenie przypisywano już od dawnych, katolickich czasów ludziom zrodzonym na ziemi z grzechu swych matek. Mieli oni szerzyć zło i wszelkie plugastwa. Wedle pogłosek rozsiewanych przez wrogich mu mnichów Luter miał być bękartem diabelskiego rodu. Pearl nie była więc bynajmniej jedynym dzieckiem, któremu purytanie Nowej Anglii przypisywali to niefortunne pochodzenie.

VII W holu gubernatora

Pewnego dnia Hester Prynne udała się do rezydencji gubernatora Bellinghama, aby odnieść mu parę obramowanych i haftowanych na jego zamówienie rękawic, które miał nosić przy okazji jakiejś wielkiej uroczystości państwowej. Choć bowiem przypadki wyborów powszechnych zmusiły byłego najwyższego dostojnika do zejścia o parę szczebli z najwyższego urzędu, zajmował on ciągle jeszcze zaszczytne i wpływowe miejsce wśród władz kolonialnych.

Inny jeszcze i znacznie ważniejszy powód niż dostarczenie rękawic kazał teraz Hester szukać widzenia u osoby o tak wielkiej władzy i tak szeroką rozwijającej działalność w sprawach osady. Doszło do jej uszu, iż pewna grupa czołowych obywateli, zwolenników bardziej surowego rygoru w stosowaniu zasad religii i rządu, powzięła plan zmierzający do odebrania jej dziecka. Zakładając, że Pearl, jak już wspomniano, miała być pochodzenia diabelskiego, ci poczciwi ludzie twierdzili - nie bezzasadnie - że dla dobra chrześcijańskiej duszy matki należy usunąć jej z drogi tę przeszkodę do zbawienia. Jeśli natomiast dziecko miało naprawdę możliwości wzrastania w zasadach moralności i religii i posiadało cechy, prowadzące ostatecznie do zbawienia, wówczas na pewno miałyby lepsze widoki na osiągnięcie tego, dyby oddano je w ręce opiekunów mądrzejszych i lepszych od Hester Prynne. Wśród zwolenników tego projektu gubernator Bellingham uchodził za najgorliwszego. Może się wydawać rzeczą dziwną, a nawet trochę śmieszną, że sprawa tego rodzaju, która w czasach późniejszych byłaby przekazana co najwyżej do ławy radnych miejskich, mogła być wówczas tematem publicznej debaty z udziałem wybitnych mężów stanu. Jednakże w tamtej epoce pełnej prostoty i niewinności nawet sprawy bynajmniej nie publiczne i znacznie mniej ważne od losu Hester i jej dziecka mieszały się przedziwnie z rozważaniami prawodawców i z procedurą aktów państwowych. W pewnym okresie, niewiele lub wcale nie dawniejszym od czasów, w których toczy się nasza opowieść, spór o prawo własności do jednego wieprzka nie tylko wywołał gwałtowną i zaciętą debatę w ciele prawodawczym kolonii, lecz doprowadził ponadto do ważnych modyfikacji w podstawach całego kodeksu prawnego.

A zatem pełna obaw, lecz tak wysoce świadoma swej racji, jakby nie czekała jej nierówna walka między społeczeństwem z jednej strony, a z drugiej - samotną kobietą, wspieraną tylko przez sprzyjające jej prawa natury, wyruszyła Hester Prynne ze swej pustelniczej chaty. Towarzyszyła jej oczywiście mała Pearl. Była już w tym wieku, że mogła biec z łatwością u boku matki, a że i tak była w ruchu od rana do wieczora, potrafiłaby odbyć drogę znacznie dłuższą od tej, która ją teraz czekała. Mimo to często domagała się, bardziej dla kaprysu niż z konieczności, aby ją wziąć na ręce, lecz zarazem żądała równie stanowczo, by ją znów puścić na ziemię i biegła przed matką w podskokach, często potykając się i przewracając bez żadnej szkody dla siebie. Mówiliśmy już o bujnej, przepysznej urodzie Pearl. Piękność jej lśniła nasyconymi, żywymi barwami: cera z rumieńcem, oczy pełne blasku i głębi;

włosy - lśniące, już wówczas bardzo ciemne - z wiekiem miały stać się prawie czarne. Bił z niej jakiś ogień, przenikający ją całą: zdawała się dzieckiem zrodzonym z chwili namiętności. Matka, szyjąc jej sukienki, dawała upust skłonnościom swej wyobraźni do przepychu i ubrała ją teraz w karmazynową, aksamitną szatę o wyszukanym kroju, bogato haftowaną w esy-floresy złotą nicią. Ta intensywność barw, przy których na pewno przygasłyby i zbladły policzki karnacji bardziej delikatnej, była świetnie dobrana do typu urody Pearl; wyglądała w tym jak najjaskrawszy płomyk ognia, jaki kiedykolwiek tańczył na ziemi.

Lecz szczególną cechą tego stroju i w ogóle wyglądu dziecka było to, iż przypominał on patrzącemu nieodparcie i niechybnie ów znak, który los kazał Hester nosić na piersi. To była szkarłatna litera w innej postaci, szkarłatna litera obdarzona życiem. To sama matka pieczołowicie wypracowała podobieństwo, jakby czerwona hańba tak głęboko wryła się w jej mózg palącym ostrzem, że wszystkie jej pomysły tę właśnie przybierały postać. Poświęciła wiele godzin i chorobliwej wręcz pomysłowości, aby stworzyć analogię pomiędzy obiektem jej miłości i symbolem jej winy i męki. Lecz w istocie Pearl była i jednym, i drugim; i tylko to utożsamienie sprawiało, że Hester potrafiła tak doskonale przedstawić szkarłatną literę w ubiorze dziecka.

Gdy dwie wędrowniczki dotarły do granic miasta, dzieci purytanów, podnosząc wzrok od swych zabaw - lub zajęć, jakie u tych ponurych małych urwisów uchodziły za zabawę - przemówiły do siebie z powagą:

- Popatrzcie, o, tam idzie kobieta ze szkarłatną literą, a koło niej, coś podobnego! biegnie druga szkarłatna litera. Chodźmy, obrzucimy je błotem!

Lecz Pearl, która była dzieckiem nieustraszonym, najpierw zmarszczyła czoło, zaczęła tupać nóżką i potrząsać piąstką, wygrażając im na różne sposoby, a potem nagle ruszyła pędem ku gromadce swych wrogów - i wszyscy rzucili się do ucieczki. Goniąc za nimi z furią zdawała się podobna do tej dziecięcej plagi, zwanej szkarłatną gorączką, lub do zaledwie opierzonego anioła Sądu Ostatecznego, karzącego rosnące pokolenie za jego grzechy. Równocześnie wydawała przeraźliwe piski i ogłuszające wrzaski, od których zapewne drżały serca uciekinierów. Po odniesionym zwycięstwie Pearl wróciła spokojnie do matki i z uśmiechem podniosła ku niej twarzyczkę.

Bez dalszych przygód dotarły do mieszkania gubernatora Bellinghama. Był to duży drewniany dom, zbudowany według ówczesnej mody. Niektóre okazy tego stylu spotyka się jeszcze u nas na ulicach starszych miast, porośnięte już mchem, popadające w ruinę, z sercem przepojonym melancholią od cieni wielu smutnych lub radosnych, pamiętnych lub zapomnianych zdarzeń, które zagościły w ich mrocznych pokojach, a potem odeszły na zawsze. W owych czasach jednak dom lśnił na zewnątrz świeżością pierwszego roku swego istnienia i pogodą, promieniejącą od rozświetlonych okien ludzkiej siedziby, której nigdy jeszcze nie nawiedziła śmierć. Wyglądał naprawdę wesoło: ściany pokryte były stiukiem, przemieszonym obficie z kawałkami tłuczonego szkła, tak że gdy słońce padało z ukosa na frontową ścianę budynku, lśnił cały i pobłyskiwał, jakby rzucono nań oburącz garść

diamentów. Ten blask pasował raczej do pałacu Aladyna niż do rezydencji poważnego, starego purytańskiego dostojnika. Ponadto zdobiły go jeszcze dziwne, jakby kabalistyczne znaki i figury, zgodne ze szczególnym gustem epoki, ryte w świeżo nałożonym stiuku, a później stwardniałe i utrwalone dla podziwu przyszłych pokoleń.

Pearl, zobaczywszy ten lśniący dom-cudo, zaczęła skakać i tańczyć i domagała się kategorycznie, żeby zedrzeć całe to słońce z frontowej ściany i dać jej do zabawy.

- Nie można, moja maleńka - powiedziała matka. - Musisz sama poszukać sobie słońca. Ja go nie mam i nie mogę ci dać!

Zbliżyły się do drzwi, które były zwieńczone łukiem, a po obu stronach oskrzydłone wąskimi wieżyczkami. Wieżyczki te tworzyły wystającą część domu i miały podzielone na małe szybki okna, zaopatrzone w drewniane okiennice do zamykania w razie potrzeby. Hester Prynne uniosła żelazną kołatkę, zawieszoną na portalu. Na jej odgłos zjawił się jeden ze sług pańszczyźnianych gubernatora, urodzony jako wolny obywatel Anglii, lecz obecnie niewolnik na okres siedmiu lat. Przez ten czas miał pozostawać własnością swego pana i mógł być sprzedawany i kupowany niczym wół lub drewniany stołek. Niewolnik miał na sobie niebieski kaftan, tradycyjny strój służby w owych cza-

Chodzi o szkarlatynę.

- Czy czcigodny gubernator Bellingham jest w domu? - zapytała Hester.

- Jest, a jakże - odrzekł sługa, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w szkarlatną literę, której, jako niedawno tu przybyły, nigdy jeszcze nie widział. - Tak, jego dostojność jest w domu. Ale jest u niego wielebny pastor, albo i dwóch pastorów, a także medyk. Nie możecie teraz widzieć się z jego dostojnością.

- A jednak wejdę do domu - odpowiedziała Hester Prynne, a niewolnik, sądząc może po jej zdecydowanej minie i po błyszczącym znaku na piersi, że jest to jakaś wielka pani w tym kraju, nie sprzeciwiał się.

Tak więc matka i mała Pearl zostały wpuszczone do wejściowej sali. Przy stawianiu nowego domu gubernator Bellingham umyślił sobie, że pomijawszy zmiany wynikające z natury samego budulca, z odmienności klimatu i z odmiennych obyczajów życia społecznego i towarzyskiego, ma on zostać zbudowany na wzór rezydencji dżentelmenów posiadających rozległe włości w jego rodzinnej Anglii. Był tam zatem obszerny i w miarę wysoki hol, który rozciągał się daleko w głąb budynku i łączył się mniej lub więcej bezpośrednio z innymi pomieszczeniami. Z jednej strony ta przestronna sala oświetlona była przez okna dwóch wieżyczek, tworzących małe zagłębienia po obu stronach portalu. Z drugiego końca padało silniejsze światło, częściowo stłumione zasłoną, z okna wykuszowego, jakie zazwyczaj umieszczano wówczas w holu - o czym wyczytać można w starych książkach. W jego wnętrzu mieściło się wygodne, wyściełane poduszkami siedzenie. Na poduszkach leżał gruby foliał - zapewne Kronika Anglii lub coś równie ważkiego. Podobnie i w naszych czasach rozkładamy na stole tomiki z połączanymi brzeżkami kart do przejrzania dla przypadkowych gości. Umeblowanie holu składało się z kilku masywnych krzesel z oparciami rzeźbionymi w wyszukane

wieńce z dębowych kwiatów oraz stół w tym samym stylu. Wszystko to pochodziło z epoki elżbietańskiej lub jeszcze wcześniejszej i jako część dziedzictwa zostało przewiezione tutaj z rodzinnego domu gubernatora. Na stole, na znak, że stara angielska gościnność nie poszła tu w zapomnienie, stał duży kufel cynowy. Gdyby Hester lub Pearl zajrzały do niego, zobaczyłyby pienne resztki niedawno wypitego piwa.

Na ścianie wisiały rzędem portrety przodków rodu Bellinghamów. Niektórzy z nich nosili zbroje, inni - uroczyste krezy i szaty sędziów pokoju. Wszystkie oblicza cechowała powaga i surowość, tak niezmiennie przydawana portretom, zupełnie jakby były to duchy, a nie portrety zmarłych poczciwców, patrzące srogo i krytycznie, bez cienia wyrozumiałości na zająęcia i rozrywki żywych.

Mniej więcej pośrodku dębowej boazerii, którą wyłożone były ściany holu, wisiała kolczuga - tym razem nie z rodzinnych relikwii, jak portrety, lecz pochodząca z nowszych czasów, gdyż wykonał ją biegły płatnerz londyński w tym samym roku, w którym gubernator Bellingham przybył do Nowej Anglii. Był tam hełm stalowy, pancerz, napierśnik i nagołenniki, para rękawic i miecz wiszący pod spodem. Wszystkie te rzeczy, a zwłaszcza hełm i napierśnik, były tak wypolerowane, że bił od nich biały blask, rozsiewając światło na całej podłodze. Ów lśniący rynsztunek nie był bynajmniej na pokaz; gubernator nosił go nieraz podczas uroczystej musztry na polu ćwiczebnym. Jaśniał on również na czele regimentu w wojnie Peaquad - bowiem choć przeznaczony był na prawnika i często wspominał Bacona, Cokea, Noyea i Fincha jako współtowarzyszy w swym zawodzie, potrzeby nowego kraju przekształciły gubernatora Bellinghama w żołnierza, zarówno jak i w męża stanu, rządzącego w kolonii.

Mała Pearl, równie zachwycona teraz błyszczącą zbroją, jak przedtem połyskującym frontem budynku, stała długo, wpatrując się w wypolerowany jak lustro napierśnik.

- Mamo! - zawołała. - Widzę tu ciebie. Spójrz! Spójrz!

Hester spojrzała, aby zrobić przyjemność dziecku, i zobaczyła, że w efekcie wypukłości owego zwierciadła szkarłatna litera widniała w nim w nieproporcjonalnie wyolbrzymionych rozmiarach, stając się najbardziej uderzającym rysem jej powierzchowności. Reszta jej postaci prawie że ginęła za nią. Pearl wskazała również na podobne odbicie w hełmie, uśmiechając się do matki z przebiegłością małego elfa, jaka tak często widniała na jej twarzyczce. Oczy Pearl, wesołe i przekorne, również odbijały się w metalowych zwierciadłach w takim powiększeniu i z tak uderzającym efektem, że Hester Prynne wydało się, iż widzi tam obraz nie własnego dziecka, lecz jakiegoś chochlika, wcielonego w kształt Pearl.

- Chodź, Pearl - powiedziała, odciągając ją stamtąd. - Chodź, popatrz na ten piękny ogród. Może zobaczymy tam kwiaty, piękniejsze od tych, które znajdujemy w lasach.

Wobec tego Pearl podbiegła do wykusza okiennego w drugim końcu holu i spojrzała na rozciągającą się za oknem parkową aleję, pokrytą kobiercem krótko przystrzyżonych trawników, obrzeżonych kępami czegoś, co przypominało

nieudolną i prymitywną imitację krzewów. Lecz właściciel, jak się zdaje, zrezygnował już z beznadziejnych widocznie wysiłków uwiecznienia wrodzonego Anglikom gustu do ozdobnych ogrodów po tej stronie Atlantyku, w glebie niewdzięcznej i wymagającej walki o przetrwanie. Najbardziej rzucała się w oczy rosnąca dalej kapusta, a przez trawnik ciągnęły się łądygi zakorzenionej gdzieś dalej dyni, które złożyły jeden ze swych

79olbrzymich owoców pod samym oknem holu, jakby chciały przestrzec gubernatora, że ten kawał warzywnego złota jest najbogatszą ozdobą, jaką mogła go obdarzyć ziemia Nowej Anglii. Jednakże rosło tam parę krzaków róży i kilka jabłonek - zapewne potomstwo drzewek zasadzonych przez wielebnego pana Blackstone.

Widząc krzaki róży, Pearl zaczęła kaprysić, żeby jej dać czerwoną różę, i nie chciała się uspokoić.

- Cicho, dziecko, cicho! - upominała poważnie matka. - Nie płacz, moja malutka! Słyszę w ogrodzie głosy. Nadchodzi pan gubernator, a z nim jacyś panowie.

Rzeczywiście w końcu ogrodowej alei widać było kilka osób, kierujących się w stronę domu. Pearl, okazując całkowite lekceważenie dla upomnień i uspokajających słów matki, jeszcze raz pisnęła głośno, po czym ucichła nagle - bynajmniej nie przez posłuszeństwo, lecz z nagłej ciekawości, jaką przy jej ruchliwym i zmiennym usposobieniu wzbudził widok tych nowych osobistości.

VIII Dziecko-chochlik i duchowny

Gubernator Bellingham w luźnej szacie i w miękkiej czapeczce - ulubiony strój starszych panów w domowym zaciszu - szedł przodem, wyraźnie z dumą pokazując gościom swą posiadłość i rozwodząc się nad projektami jej ulepszenia. Szeroka kreza pod siwą brodą, kunsztownie wykonana wedle starodawnej mody z czasów króla Jakuba, sprawiała, iż głowa jego uderzająco przypominała głowę świętego Jana Chrzciciela na półmisku. Jego wygląd i wrażenie, jakie sprawiał - sztywny, surowy, jakby zmrożony, gdyż wiekiem przekroczył późną jesień - niezbyt pasowały do zbyt kownych przedmiotów, służących światowym uciechom, którymi, jak widać, najusilniej starał się otoczyć. Lecz choć nasi poważni przodkowie mówiąc i myśląc o życiu ludzkim widzieli w nim jedynie etap prób i walk i choć pełni byli niekłamanej gotowości do poświęcenia dóbr i życia, gdy wymagał tego obowiązek, myliłby się ten, kto by przypuszczał, że mieli jakiegokolwiek skrupuły w korzystaniu z wygod, a nawet z luksusów, gdy mieli po temu środki. Takiej wiary, na przykład, nie nauczał nigdy wielebny pastor John Wilson, którego śnieżnobiała broda wyglądała teraz zza ramienia gubernatora Bellinghama, podczas gdy jej właściciel dowodził, że jednak gruszki i brzoskwinie mogłyby się przyjąć w klimacie Nowej Anglii, a fioletowe winogrona można zmusić do kwitnienia pod nagrzanym słońcem murem ogrodu. Stary pastor, wyrosły na zasobnym łonie kościoła anglikańskiego, od dawna przejawiał dozwolone legalnie upodobania do wszelkich rzeczy dobrych i przyjemnych i jakkolwiek surowo występował na kazalnicy lub w publicznej naganie występów takich, jak występ Hester Prynne, to jednak miła dobroduszość i pogoda, przejawiana w życiu prywatnym, jednała mu więcej ciepłych uczuć, niż doświadczali ich inni duchowni jemu współcześni.

Za gubernatorem i panem Wilsonem kroczyli dwaj pozostali goście. Jednym z nich był wielebny Artur Dimmesdale, którego Czytelnik może pamiętać jako tego, który przelotnie i z niechęcią wziął udział w scenie potępienia Hester Prynne. Drugim - najwyraźniej bliskim mu towarzyszem - był stary Roger Chillingworth, osobnik nader biegły w sztuce medycznej, osiadły w mieście od dwóch lub trzech lat. Uważano ogólnie, że ów mąż uczony był zarówno lekarzem, jak i przyjacielem młodego pastora, który ostatnio poważnie zapadał na zdrowiu wskutek zbytnej ofiarności w pełnieniu swych obowiązków i znoszeniu trudów duchownego stanu.

Gubernator, poprzedzając swych gości, wszedł na stopnie i otwierając szeroko drzwi wielkiego holu znalazł się nagle twarzą w twarz z małą Pearl. Hester skrywał częściowo cień padający od zasłony.

- A cóż my tu mamy?! - zawołał gubernator Bellingham, patrząc ze zdumieniem na stojącą przed nim małą, szkarłatną figurkę. - Słowo daję, że nigdy nie widziałem nic podobnego od czasów, gdy żyłem pogrążony w światowej próżności, za panowania starego króla Jakuba, i czasem dopuszczano mnie do dworskiego przedstawienia masek - co poczytywałem sobie za wielką łaskę. Pełno było takich

małych cudaków w okresach świątecznych uroczystości. Nazywaliśmy je dziećmi Lorda Zły-rząd. Ale jak się taki gość dostał do mojego holu?

- Rzeczywiście! - wykrzyknął stary pan Wilson. - Cóż to za ptaszek odziany w szkarłatne piórka? Zdaje mi się, że widywałem takie właśnie figurki, gdy słońce świeciło przez różnobarwne szybki i rzucało na podłogę takie złociste i karmazynowe obrazy. Ale to było w Starym Kraju. Powiedz mi, mała, proszę, kim jesteś i co się stało twojej matce, że przystroić cię w tak dziwny sposób? Czy znasz katechizm? Czy też jesteś jednym z tych elfów lub duszków, które, jak myśleliśmy, pozostały daleko w wesołej, starej Anglii razem z innymi przeżytkami papizmu?

- Jestem dzieckiem mojej matki - odrzekło szkarłatne zjawisko - a nazywam się Pearl.

- Pearl? Perła? Raczej Rubin albo Korale, lub też co najmniej czerwona Róża, sądząc z tych kolorów! - odparł stary pastor, wyciągając dłoń jakby dla pogłaskania policzka małej Pearl. - Ale gdzie jest ta twoja matka? Ach, rozumiem - dodał i zwracając się do gubernatora szepnął mu do ucha: - To właśnie jest owo dziecko, o którym naradzaliśmy się wspólnie. A tu stoi ta nieszczęsna kobieta, Hester Prynne, jej matka!

- Tak powiadasz, wasza wielbność?! - zakrzyknął gubernator. - O, tak, łatwo zgadnąć, że szkarłatna kobieta, godna nierządniczy z Babilonu, jest matką tego dziecka. Lecz przychodzi w samą porę. Możemy zająć się tą sprawą od razu.

Gubernator Bellingham wkroczył do holu, a za nim trzej jego goście.

- Hester Prynne! - przemówił, topiąc spojrzenie w właściwym sobie wyrazem surowości w twarzy nosicielki szkarłatnej litery. - Wiele mieliśmy ostatnimczasem wątpliwości dotyczących twojej osoby. Omawialiśmy tę sprawę z wielką powagą. Mianowicie, czy my, ludzie mający wpływ i autorytet, wywiązujemy się z naszych obowiązków zgodnie z własnym sumieniem, powierzając duszę nieśmiertelną, jaką posiada to dziecko, opiece kobiety, która potknęła się i upadła wśród zasadzek tego świata. Przemów i ty, rodzona matko tego dziecka! Pomyśl, czy nie byłoby lepiej dla pomyślności doczesnej i wiecznej twojej dziewczynki, gdyby ją zabrano od ciebie, stosownie ubrano, wychowano w ścisłej dyscyplinie i nauczono prawdy o niebie i ziemi? Cóż ty możesz w tej materii zrobić dla dziecka?

- Mogę nauczyć moją małą Pearl rzeczy, których nauczył mnie ten znak - odrzekła Hester Prynne, kładąc palec na szkarłatnej literze.

- Kobieto, to znak twojej hańby! - zakrzyknął surowy dostojnik. - Właśnie przez tę plamę na twoim życiu chcemy oddać dziecko w inne ręce.

- A jednak - ciągnęła spokojnie matka, choć twarz jej pokryła się bladością - ona udziela mi co dzień, także i w tej chwili, lekcji, dzięki którym moje dziecko będzie może mądrzejsze i lepsze, choć mnie już to w niczym pomóc nie zdoła.

- Sądzić będziemy ostrożnie - rzekł Bellingham - i dobrze rozważając, co robimy. Zacny panie Wilsonie, proszę cię, przepytaj tę Pearl, skoro tak brzmi jej imię, i sprawdź, czy otrzymała chrześcijańskie nauki, odpowiednie dla dziecka w jej wieku.

Stary pastor usadowił się w krześle z poręczami i chciał przyciągnąć Pearl, aby stanęła u jego kolan. Lecz dziecko, nie przyzwyczajone do gestów zbliżenia ze strony innych prócz matki osób, uciekło przez otwarte drzwi i stanęło na najwyższym stopniu niczym dziki ptak tropikalny o barwnym upierzeniu, gotów do wzbicia się w górę. Pan Wilson, którego nie mało zdumiał ten wybryk - gdyż jako typ dobrodusznego dziadka cieszył się zazwyczaj wielką sympatią u dzieci - próbował mimo wszystko przeprowadzić egzamin.

- Pearl - powiedział z wielką powagą - musisz zważać na nauki, abyś mogła kiedyś nosić w duszy drogocenną perłę. Czy możesz mi powiedzieć, moje dziecko, kto cię stworzył?

Pearl wiedziała doskonale, kto ją stworzył, gdyż Hester Prynne, córka pobożnych rodziców, wkrótce po rozmowie o Ojcu Niebieskim zaczęła nauczać ją tych prawd, które umysł ludzki, niezależnie od stopnia niedojrzałości, wchłania z żarliwym zainteresowaniem. Toteż Pearl miała wielkie osiągnięcia jak na jej trzyletnie życie: mogłaby nieźle zdać egzamin z Elementarza Nowej Anglii lub też z pierwszej części Katechizmu Westminsterkiego, choć tych sławetnych dzieł nigdy nie oglądały jej oczy. Lecz przekora, jaką w mniejszym lub większym stopniu posiadają wszystkie dzieci, a mała Pearl miała jej dziesięć razy więcej - opanowała dziewczynkę całkowicie w najmniej odpowiednim momencie: zaciskała więc usta lub mówiła nie to, co trzeba. Najpierw, bocząc się uparcie i niegrzecznie, nie odpowiadała w ogóle na pytania poczciwego pana Wilsona, a w końcu, kładąc palec w usta oznajmiła, że wcale nie została stworzona, tylko matka zerwała ją z krzaku dzikich róż, które rosły u bramy więzienia.

Tę bajkę podsunęły jej prawdopodobnie rosnące nie opodal róże gubernatora, które widziała stojąc w drzwiach, a także wspomnienie krzewu różanego przed bramą więzienia, którą minęły po drodze, zdążając do rezydencji.

Stary Roger Chillingworth uśmiechając się szepnął coś młodemu pastorowi. Hester Prynne spojrzała na uczonego męża i nawet w takiej chwili, gdy ważyły się jej losy, zdumiała się i przeleżała, widząc jak bardzo zmieniły się jego rysy, jak zeszpetniały. Ciemna z natury cera zdawała się jeszcze ciemniejsza, a postać jeszcze bardziej zniekształcona niż wówczas, gdy znała go tak blisko. Na chwilę spotkały się ich oczy, lecz natychmiast odwróciła spojrzenie, gdyż scena, która się teraz rozgrywała, wymagała całej jej uwagi.

- To straszne! - zakrzyknął gubernator, który dopiero po chwili przyszedł do siebie po zdumieniu, w jakie wprawiła go odpowiedź Pearl. - To dziecko ma trzy lata i nie potrafi powiedzieć, kto je stworzył! Bez wątplenia nie ma pojęcia o niczym: ani o duszy własnej, ani o jej obecnym znieprawieniu, ani o tym, co ją czeka w przyszłości. Zdaje mi się, panowie, że nie ma potrzeby badać tej sprawy dalej.

Hester schwyciła Pearl i przyciągnęła ją siłą do siebie. Otaczając ją ramionami zwróciła się do purytańskiego urzędnika nieomal z furią. Samotna, odepchnięta przez cały świat, mając ten jeden, jedyny skarb, który wlewał życie w jej serce, czuła, iż posiada niezbywalne prawa do walki z tym światem i gotowa była bronić ich aż do śmierci.

- Bóg dał mi to dziecko! - krzyknęła. - Dał mi ją w zamian za wszystko, co mi odebraliście. Ona jest moim szczęściem, a także moją męką. To Pearl trzyma mnie przy życiu! I Pearl jest również dla mnie karą. Czyż nie widzicie? Ona jest też szkarłatną literą, tylko że ją mogę kochać i dlatego siła, która mnie zmusza do pokuty za mój grzech, w niej jest milion razy większa. Nie odbierzcie mi jej! Raczej umrę!

- Moja biedna kobieto - rzekł stary pastor, który nie był złym człowiekiem. - Dziecko będzie pod dobrą opieką! O wiele lepszą, niż ty jej możesz zapewnić.

- Bóg mnie ją powierzył - powtórzyła Hester Prynne, a głos jej wzniósł się niemal do krzyku. - Nie oddam jej! - I nagle, impulsem wiedziona zwróciła się do młodego pastora, pana Dimmesdale, na którego aż do tej chwili nie spojrzała - najwyżej przelotnie. - Ty przemów za mną! - zawołała. - Ty byłeś moim pastorem i miałeś pieczę nad moją duszą, i znasz mnie lepiej niż ci ludzie. Nie chcę tracić dziecka! Przemów za mną! Ty wiesz, bo jesteś zdolny do współczucia, którego brak tym ludziom. „Wiesz, co się dzieje w moim sercu i jakie są prawa matki, i o ile są one silniejsze, gdy matka nie ma nic prócz swego dziecka i szkarłatnej litery! Ty mi pomóż! Ja nie chcę stracić dziecka! Pomóż mi!

Na to namiętne i dziwne błaganie, które zdradzało, że kłopoty Hester Prynne doprowadziły ją do stanu graniczącego z obłędem, młody duchowny od razu wysunął się naprzód z pobladałą twarzą, przyciskając rękę do serca, jak zwykle, gdy jego szczególnie delikatne nerwy coś mocno poruszyło. Wyglądał w tej chwili jeszcze bardziej stroskany i wycieńczony niż wówczas, gdy opisywaliśmy go w czasie publicznego pohańbienia Hester. Czy to wskutek słabnącego zdrowia, czy też z jakiegokolwiek innej przyczyny, głębie jego wielkich, ciemnych, melancholijnych oczu zdradzały otchłań bólu i udręki.

- W tym, co ona mówi, zawiera się prawda - zaczął głosem słodkim i drżącym, lecz silnym, tak silnym, że hol odpowiedział echem, a pusta zbroja zadzwięczała. - Prawda jest w tym, co mówi Hester, i w uczuciach, które kazały jej tak przemówić. Bóg dał jej dziecko i dał jej też instynktowną wiedzę o naturze i potrzebach tego tak dziwnego dziecka, wiedzę, której żaden śmiertelnik osiąść nie może. A ponadto, czyż związek tej matki i tego dziecka nie nosi znamion ogromnej świętości?

- A to jakim sposobem, mój zacny panie Dimmesdale? - przerwał gubernator. - Wytłumacz to jaśniej, proszę.

- Tak zaprawdę być musi - podjął pastor. - Bo gdybyśmy sądzili inaczej, czyż nie byłoby to tak, jakbyśmy twierdzili, że Ojciec Niebieski, stwórca wszystkiego, co cielesne, lekko sobie waży grzeszny uczynek i żadnej nie czyni różnicy między grzeszną żądzą i uświęconą miłością? To dziecko winy ojca i pohańbienia matki przyszło z woli Bożej, aby wpływać różnymi sposobami na jej serce - serce tej, która błaga z taką powagą i z tak głęboką goryczą o prawo zatrzymania go. Było ono zesłane jako błogosławieństwo, jedyne błogosławieństwo jej życia! Było ono niewątpliwie zesłane, jak powiada sama matka, również jako odpłata i udręka, spadająca na nią często nagle i nieoczekiwanie, jako dotkliwy ból i cierpienie, które ciągle powraca, nawet w chwilach zawsze zmałowanej radości! Czyż nie wyraziła tego

w przybraniu owego biednego dziecka, tak mocno przypominającego nam czerwony znak, który pali jej serce?

- I znów słuszne słowa! - zakrzyknął pocziwy pan Wilson. - A ja się obawiałem, że ta kobieta chciała tylko zrobić z dziecka cudaka, nic wię-

- O, nie, zaprawdę nie! - ciągnął pan Dimmesdale. - Wierzcie mi, ona pojmuje ten wielki cud, jaki Bóg sprawił, powołując do istnienia jej dziecko, by pojęła także prawdę, jak mniemam, najistotniejszą, że owa łaska po to nade wszystko została zesłana, by utrzymać przy życiu duszę matki i uchronić ją od jeszcze głębszych otchłani grzechu, w jaki mógłby pograżyć ją Szatan! A zatem dobrze się stało dla tej biednej, grzesznej kobiety, że jej opiece powierzona została nieśmiertelna dusza dziecka, istoty zdolnej do wiecznej radości i smutku, by mogła wychować ją w prawości, by przypominała jej w każdej chwili o własnym upadku; a zarazem by przypominała jej, iż Stwórca dał jej jak gdyby rękojmię, że jeśli doprowadzi dziecko do Niebios, dziecko również zawiedzie tam swoją rodzicielkę! W tym właśnie grzeszna matka szczęśliwsza jest od grzesznego ojca. A zatem dla dobra Hester Prynne, i nie mniej dla dobra tego biednego dziecka, zostawmy je tak, jak dotąd żyły za zrządzeniem Opatrzności.

- Z dziwną przemawiasz powagą, mój przyjacielu - rzekł stary Roger Chillingworth, uśmiechając się do niego.

- Bo też słowa, które wypowiedział mój młodszy brat, wielką mają wagę - dodał wielebny pan Wilson. - A co wy na to, czcigodny panie Bellingham? Czyż nie przemawiał mądrze za tą biedną kobietą?

- Mądrze, zaiste - odrzekł wysoki urzędnik - i takich użył argumentów, że możemy spokojnie zostawić sprawę tak, jak jest, a przynajmniej tak długo, póki ta kobieta nie daje powodów do nowego zgorszenia. Niemniej jednak musimy dopilnować, aby dziecko było poddawane egzaminom z katechizmu u ciebie, panie, lub u pana Dimmesdale. Poza tym we właściwym czasie porządkowi muszą dopilnować, by zaczęła chodzić i do szkoły, i na zebrania kongregacji.

Tymczasem młody pastor, skończywszy swą mowę, cofnął się o parę kroków i stał na uboczu z twarzą na pół ukrytą przez ciężkie fałdy zasłony, cień zaś jego postaci, który słońce rzucało na podłogę, zdawał się drżeć od jego płomiennego wezwania. Pearl, jak chyży i zwiewny elf, przypadła cichutko do niego i ujmując jego dłoń w obie rączki przytuliła do niej policzki w pieszczocie tak czulej i delikatnej, że patrząca na to matka zapytywała samą siebie: „Czy to naprawdę moja Pearl?” A przecież wiedziała, że serce dziecka zdolne było do miłości, lecz wyrażała się ona najczęściej w sposób wybuchowy i namiętny i jak dotąd ze dwa razy najwyżej objawiła się tak delikatnie i łagodnie, jak w tej chwili. A co czuł pastor? Wiemy, że prócz zdobycia upragnionych uczuć kobiety nie ma nic miłszego od sympatii, okazanej przez dziecko, spontanicznej i instynktownej, która każe nam wierzyć, że jest w nas coś prawdziwie godnego miłości. Pastor więc rozejrzał się, położył dłoń na główce dziecka, na moment się zawahał, po czym ucałował ją w czoło. Niespodziewany odruch sympatii małej Pearl nie trwał ani chwili dłużej. Zaśmiała

się i pobiegła w podskokach w głąb sali tak lekko, że stary pan Wilson wyraził wątpliwość, czy palce jej stóp dotykały w ogóle podłogi!

- Mała szelma ma w sobie coś z czarownicy - powiedział do pana Dimmesdale. - Nie potrzeba jej miotły do latania, jakiej używają stare baby!

- Dziwne dziecko - zauważył stary Roger Chillingworth. - Łatwo dostrzec, co odziedziczyła po matce. Jak myślicie, panowie, czy zanalizowanie jej natury i charakteru przekraczałoby mądrość filozofa? A na tej podstawie można by się pokusić o odgadnięcie, kto jest jej ojcem.

- Nie. Byłoby to grzechem, aby w takiej sprawie kierować się spekulacją świeckiej filozofii - odrzekł pan Wilson. - Lepiej pościć i modlić się na tę intencję, a jeszcze lepiej, być może, pozostawić tę tajemnicę w spokoju - jeśli Opatrzność nie zechce jej ujawnić wedle swojej woli. W ten sposób każdy dobry chrześcijanin ma możliwość okazywania ojcowskiej dobroci biednemu, opuszczonemu dziecku.

Po tak pomyślnym zakończeniu sprawy Hester Prynne i Pearl opuściły dom. Gdy schodziły po schodach, krata w oknie od komory, jak później opowiadano, uchylła się i w oknie ukazała się w słońcu twarz pani Hibbins, siostry gubernatora Bellinghama, znanej ze złośliwości, tej samej, która w kilka lat później została stracona jako czarownica.

- Psst! Psst! - wyszeptała, a jej złowroga fizjonomia zdawała się rzucić cień na jaśniejące ściany nowego domu. - Może pójdziesz z nami dziś w nocy? W lesie zbierze się wesółka kompania! A ja prawie że przyrzekłam Mistrzowi Ciemności, że nadobna Hester Prynne do nas się przyłączy-

- Przepróż go ode mnie - odrzekła Hester z triumfującym uśmiechem. Muszę podążać do domu i pilnować mojej małej Pearl. Gdyby mi ją odebrali, chętnie bym z tobą poszła do lasu i w księdze Władcy Ciemności wypisała moje imię własną krwią!

- I tak będziemy cię tam mieli niedługo! - powiedziała jejmość wiedźma, marszcząc się, i cofnęła głowę.

Gdybyśmy przypuścili, że rozmowa pani Hibbins z Hester Prynne rzeczywiście miała miejsce, a nie była tylko zmyśloną bajką, to już potwierdzał się argument młodego pastora przeciw odbieraniu upadłej matce owocu jej słabości. Tak prędko już dziecko ratowało ją od siideł Szatana.

IX Medyk-pijawka

Pod imieniem Rogera Chillingwortha, jak zapewne Czytelnik pamięta, kryło się inne imię, które, jak postanowił jego właściciel, nigdy nie miało być ujawnione. Opowiedzieliśmy już, jak to w tłumie gapiów, oglądających wystawienie na widok publiczny hańby Hester Prynne, stał starszy, znużony podróżą człowiek, który dopiero co wy dostał się z niebezpieczeństw dzikich lasów, i jak nagle ujrzał kobietę - wytęsknione przez niego wcielenie ciepła i radości domowego ogniska - ukazywaną ludziom jako jawnogrzesznica. Jej dobre imię kobiety zostało zdeptane pod stopami tłumu. Publiczne targowisko rozbrzmiewało jej sromotą. Dla jej rodziny - gdyby wieść o tym kiedykolwiek do nich dotarła - i dla towarzyszy jej uczciwego życia nie pozostawało, nic, prócz ujmy, jaka i na nich spadała. Każdego z nich bez wątpienia objęłaby niesława, tym większa, im większa była bliskość i świętość ich poprzedniego z nią związku. Po cóż więc, skoro do niego należał wybór, miałby ów osobnik, którego związek z upadłą kobietą był najbardziej zażyły i święty, występować, zgłaszając swe prawa do dziedzictwa tak wątpiwej wartości? Postanowił więc, że nie będzie stawał pod pręgierzem obok niej, na scenie hańby. Nie znany nikomu prócz Hester Prynne i pewny, że będzie milczała jak zaklęta, zdecydował, iż wykreśli swe imię z grona żyjących i zniknie w swej dawnej postaci wraz z tym wszystkim, czym się dotąd zajmował i z czym był związany; zniknie tak całkowicie, jakby naprawdę leżał na dnie oceanu, o czym od dawna krążyły wieści. Dopiero po osiągnięciu tego celu mógł poświęcić się nowym sprawom i zamysłom - wprawdzie ciemnym, a może i występny, lecz tak mocno upragnionym, że gotów był oddać im wszystkie swe siły i zdolności.

Zgodnie z tym planem postanowił zamieszkać w purytańskim mieście pod nazwiskiem Rogera Chillingwortha. Nie potrzebował na to niczyich rekomendacji, wystarczała jego uczoność i inteligencja, które były nieprzeciętnej miary. Ponieważ w czasie swych studiów w poprzednim okresie życia zdobył rozległą wiedzę w sztuce medycznej owych czasów, przedstawił się miejscowym jako uczony lekarz i jako taki został serdecznie przyjęty.

Mężowie biegli w profesji medycznej i chirurgicznej należeli w tej kolonii do rzadkości. A i ci zapewne nieczęsto odznaczali się żarliwością religijną równą tej, jaka wiodła przez Atlantyk innych emigrantów. Poświęcali się przecież badaniom cielesnej powłoki człowieka, mogło się więc zdarzyć, że wyższe i wznioślejsze zainteresowania tych osobników stawały się bardziej przyziemne, że tracili z oczu duchowe rejony ludzkiej egzystencji, pochłonięci zawilościami tego przedziwnego mechanizmu, który zdawał się wystarczająco kunsztowny, by zawrzeć w sobie całość życia. W każdym bądź razie zdrowie zacnego miasta Bostonu, o tyle, o ile medycyna miała tu w ogóle coś do powiedzenia, podlegało jak dotąd pieczy wiekowego dziekana i aptekarza w jednej osobie, którego pobożność i świątobliwe życie stanowiły lepszą rękojmię jego umiejętności, niż jakiegokolwiek przedstawiane dyplomy. Jedywym chirurgiem był obywatel, który łączył sporadyczne

wykonywanie zabiegów w dziedzinie tej szlachetnej sztuki z codziennym i pospolitym operowaniem balwierską brzytwą. Dla takiego profesjonalnego ciała Roger Chillingworth był znakomitym nabytkiem. Wkrótce wykazał się znajomością obszernej i imponującej wiedzy medycznej, wedle której każdy lek zawierał mnóstwo wyszukanych i różnorodnych ingrediencji, tak wymyślnie zestawionych, jakby w swej ostatecznej postaci środek ów miał być eliksirem życia. Ponadto w czasie niewoli u Indian zdobył rozległą wiedzę o właściwościach miejscowych ziół i korzeni. Nie ukrywał też przed swymi pacjentami, że te proste lekarstwa, dar natury dla nieuczonych dzikich ludzi, budziły w nim tyleż zaufania, co skarbnica aptekarskich środków Europy, nad rozwijaniem której pracowało przez wieki tylu uczonych doktorów.

Ów wielce wykształcony przybysz żył nader przykładnie - przynajmniej jeśli chodzi o przestrzeganie religijnego życia kolonii - i wkrótce po swym osiedleniu się wybrał na swego duchowego przewodnika wielebnego pana Dimmesdale. Młody teolog, którego sława jeszcze nie przebrzmiała w Oxfordzie, uważany był przez swych co żarliwszych wielbicieli za apostołaomalże zesłanego z Niebios, a gdyby sądzone mu było działać dostatecznie długo - przeznaczonego do odegrania w słabym, jak dotąd, kościele Nowej Anglii roli tak wielkiej, jaką pierwsi ojcowie kościoła odegrali we wczesnym okresie wiary chrześcijańskiej. Jednakże w tym właśnie czasie pan Dimmesdale zaczął wyraźnie zapadać na zdrowiu. Ci, którzy najlepiej znali jego tryb życia, twierdzili, że winę za to ponosi zbytnia skrupulatność w studiowaniu ksiąg i w wypełnianiu obowiązków parafialnych, a nade wszystko posty i czuwania, które często odprawiał, aby przyziemność codziennego życia nie tłumiała i nie przesłaniała w nim światła duchowego. Niektórzy uważali, że jeśliby pan Dimmesdale miał rzeczywiście odejść z tego świata, byłoby to o tyle słuszne, że świat nie był godzien tego, by jego stopy po nim chodziły. On sam wyrażał przeciwne przekonanie, że gdyby Opatrzność uznała za wskazane zabrać go z tego padołu, oznaczałoby to, iż uważa go za człowieka niegodnego wypełniania tu, na ziemi, najskromniejszego nawet zadania, przez nią wyznaczonego. Pomijając tę różnicę zapatrywań co do przyczyny jego słabego zdrowia, sam fakt nie ulegał wątpliwości. Był coraz mizerniejszy, a jego głos, choć ciągle jeszcze dźwięczny i miły, miał jakąś melancholijną nutę, która zdawała się oznaką słabnących sił. Często zwracano uwagę, że w przypadku błahego nawet powodu do zaniepokojenia, czy wiadomości, że wydarzyło się coś złego, przyciskał rękę do serca, nagły zaś rumieniec, a potem bladeść zdradzały ból.

Taki był stan młodego pastora i tak bliski zdawał się czas, gdy jego młode życie miało zgasnąć przedwcześnie, kiedy to w mieście pojawił się Roger Chillingworth. Jego pierwsze wejście na scenę - mało kto wiedział jak i skąd, jakby spadł z jasnego nieba lub wyszedł z głębi ziemi - miało w sobie coś tajemniczego, coś, co łatwo urósć mogło do wymiaruzjawiska graniczącego z cudem. Znano go już jako człowieka biegłego w swej profesji. Widziano, że zbierał zioła i kwiaty roślin polnych, wykopywał korzenie i odłamywał gałązki leśnych drzew jak ktoś, komu znane są ukryte wartości rzeczy dla zwykłego oka bezwartościowych. Słyszano, że

wspominał Sir Kenelma Digbyego i innych sławnych ludzi, których osiągnięcia naukowe uznawanoomalże za cud, jak dobrych znajomych z korespondencji lub kolegów. Skoro zajmował miejsce tak wybitne w naukowym świecie, dlaczego przybył tutaj? Czego mógł szukać w dzikim kraju człowiek, dla którego właściwym miejscem było wielkie miasto? Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości coraz bardziej rozpowszechniały się pogłoski, na pozór absurdalne, lecz powtarzane przez całkiem rozsądnych ludzi, że Niebiosa sprawiły oczywisty cud, przenosząc wybitnego doktora medycyny z niemieckiego uniwersytetu po prostu drogą powietrzną i stawiając go u drzwi gabinetu pana Dimmesdale. Nawet ludzie, u których wiara w większym stopniu łączyła się z mądrością, którzy wiedzieli, że Niebiosa wypełniają swe zamiary bez uciekania się do teatralnych efektów cudu, skłonni byli dopatrywać się ręki Opatrzności w pojawieniu się Rogera Chillingwortha w tak odpowiednim momencie.

Słuszności tej myśli dowodzić mogło wielkie zainteresowanie, jakim lekarz od początku darzył młodego pastora. Wszedł z nim w ściślejszy związek jako parafianin i starał się zyskać zaufanie i sympatię tego powściągliwego z natury i wrażliwego człowieka. Jego stan zdrowia, jak twierdził, był w istocie niepokojący, lecz bardzo go namawiał, aby spróbował zaleconej przez niego kuracji, o której pomyślnych efektach nie wątpił, jeśli pastor rozpocznie ją dość wcześnie. Starszyzna, diakoni, macierzyńskie niewiasty i młode, piękne dziewczęta z parafii pana Dimmesdale również namawiali go gorąco, by spróbował poddać się zaleceniom lekarza, który tak szczerze oddawał swą wiedzę na jego usługi. Pan Dimmesdale łagodnie odmawiał ich błaganiom.

- Nie potrzeba mi leków - mówił.

Ale jakże mógł tak mówić młody pastor, gdy co niedziela policzki jego wydawały się bledsze i bardziej zapadnięte, a głos bardziej drżący niż poprzednim razem; gdy pozornie przypadkowy gest przyciskania ręką serca przeszedł w stały zwyczaj! Czy znużył go trud życia? Czy pragnął śmierci? Te pytania zostały postawione panu Dimmesdale przez starszyznę duchownych Bostonu i diakonów jego własnego kościoła, którzy, jak to określali, „przemówili mu do rozumu”, tłumacząc, iż grzechem byłoby odrzucać pomoc Opatrzności tak wyraźnie mu zaofiarowaną. Słuchał ich w milczeniu i w końcu przyrzekł, że naradzi się z lekarzem.

- Jeśli taka jest wola Boża - powiedział wielebny pan Dimmesdale, kiedy spełniając przyrzeczenie prosił starego Rogera Chillingwortha o fachową poradę - byłbym rad, gdyby moje smutki i moje grzechy, i moje bóle skończyły się rychło wraz z moim życiem, a to, co jest w nich ziemskiego, zostało pogrzebane w grobie, to zaś, co duchowe, przeszło w stan wiecznego trwania raczej, niż żebyś miał, panie, dla mnie wystawiać na próbę swą wiedzę.

- Ach - odrzekł Roger Chillingworth ze spokojem, udanym czy naturalnym, jaki cechował zawsze jego zachowanie - tak właśnie przemawiać zwykli młodzi duchowni. Młodzi ludzie, którzy jeszcze niezbyt głęboko wrosli korzeniami w życie,

tak łatwo z niego rezygnują! A ludzie świątobliwi, którzy po ziemi krocą z Bogiem, chętnie odeszliby z niej, by z Nim kroczyć po złotych drogach Nowego Jeruzalem.

- Nie - odparł młody pastor, przyciskając rękę do serca, podczas gdy przez czoło jego przesunął się skurcz bólu. - Gdybym był bardziej godzien tam się przechadzać, z większą radością trudziłbym się tutaj.

- Dobrzy ludzie zawsze siebie nisko cenią - rzekł lekarz.

W ten sposób tajemniczy starzec, Roger Chillingworth, został osobistym lekarzem wielebnego pana Dimmesdale. A że lekarza nie tylko interesowała choroba - gdyż zależało mu również na badaniu charakteru i różnych właściwości tego pacjenta - tak się stało, że ci dwaj ludzie, tak różni wiekiem, spędzali obecnie coraz to więcej czasu w swoim towarzystwie. Dla zdrowia pastora, jak również po to, by medykowi dać okazję do zbierania ziół, zawierających substancje lecznicze, odbywali długie spacery brzegiem morza lub lasem, a ich rozmowy mieszały się z pluskiem i szmerem fal i z uroczystym hymnem wiatru, poruszającego wierzchołki drzew. Często również odwiedzali się nawzajem w swych mieszkaniach, służących im jako zacisze do studiów i medytacji. Dla młodego duchownego towarzystwo uczonego, w którym odkrywał umysł wykształcony i wiedzę o niezwykłym zasięgu i głębi, miało w sobie coś urzekającego. Takiej swobody obcowania z rozległym światem różnorodnych idei próżno by szukał wśród członków własnej profesji. Prawdę mówiąc był mocno zaskoczony, jeśli nie zgorszony, znajdując tę ostatnią cechę u lekarza. Pan Dimmesdale był prawdziwym księdzem, prawdziwym religiantem, który do wiary swej odnosił się z wielką czcią, a jego umysł nawykł do podążania drogami przez nią wytyczonymi i z biegiem czasu coraz mocniej się do nich przywiązywał. Nigdy, w żadnym społeczeństwie nie umiałby stać się człowiekiem, jak to się mówi, o liberalnych poglądach. Oparcie, jakie znajdował w wierze, która wywierała na niego presję, a zarazem trzymała w żelaznych ryzach, byłoby zawsze czymś niezbędnym dla jego spokoju. Niemniej jednak odczuwał niekiedy ulgę i nieco trwożną przyjemność, gdy mógł spojrzeć na wszechświat oczyma innego umysłu, odmiennego od tych, z jakimi porozumiewał się zazwyczaj. Miał takie uczucie, jakby otwarto na oścież okno, wpuszczając swobodny powiew świeżego powietrza do ciasnego i dusznego gabinetu, gdzie jego życie powoli się dopalało przy płomyku lampy lub w przenikającym z trudem dziennym świetle, wśród woni stęchlizny, jakie wydobywają się z ksiąg, czy to w sensie fizycznym, czy moralnym. Lecz to powietrze było zbyt rześkie i chłodne, by można było nim oddychać spokojnie. Tak więc duchowny, a z nim i lekarz, zamykali się znów w granicach ortodoksji, przepisywanej przez kościół.

W ten sposób Roger Chillingworth mógł starannie obserwować swego pacjenta zarówno w sytuacjach codziennego życia, gdy kroczył po ustalonych zwyczajem drogach w granicach znanych mu myśli, jak i w chwilach, gdy niespodziewanie stawał wobec idei z innego klimatu moralnego, których nowość mogła wydobyć na jaw jakieś nowe, nie znane dotąd cechy jego charakteru. Mogło się wydawać, że uważa za rzecz niezbędną, aby wpierw poznać człowieka, nim podejmie się próbę przyjścia mu z pomocą. Bowiem gdy ktoś posiada i serce, i

intelekt, choroby ciała od nich biorą wiele ze swych właściwości. U Artura Dimmesdale myśl i wyobrażenia były tak czynne, a wrażliwość tak wyostrzona, że dolegliwości cielesne prawdopodobnie z nich musiały się wywodzić. Tak więc Roger Chillingworth - człowiek biegły w swej profesji, lekarz życzliwy i przyjazny - starał się wniknąć w tajniki duszy swego pacjenta, badając jego zasady, tropiąc wspomnienia i rozpatrując każdy szczegół oględnie, ostrożnie, niby poszukiwacz skarbów w ciemnej jaskini. Niewiele tajemnic uchodzi uwagi badacza, który ma okazję i upoważnienie do podjęcia takich badań, a do tego zręczność w ich przeprowadzeniu. Człowiek, noszący w sobie tajemnicę, powinien specjalnie wystrzegać się zażyłości ze swym lekarzem. Gdy ów lekarz posiada wrodzoną inteligencję i jeszcze coś nieuchwytnego - nazwijmy to intuicją; jeśli nie jest samolubnym natrętem i nie przejawia jakichś wyraźnie niesympatycznych cech charakteru; jeśli ma wrodzoną umiejętność dostrajania się tak dalece do stanów ducha pacjenta, że pacjent mimo woli może coś powiedzieć na głos, wyobrażając sobie, że powiedział to tylko w myśli; jeśli takie wyznania zostaną przyjęte bez poruszenia, po prostu milczeniem, westchnieniem, wyszeptanym słowem na znak, że wszystko zostało zrozumiane; jeśli do takich kwalifikacji powiernika dołączy się przewaga wynikająca z roli lekarza - wówczas nie uniknie się tego, że w pewnej chwili otworzą się upusty cierpiącej duszy i popłynie z niej strumień - ciemny, lecz jakże przejrzysty, w którym wszystkie sekrety wyjdą na światło dzienne.

Roger Chillingworth posiadał wszystkie te przymioty, przez nas wymienione, lub większość z nich. Na razie jednak czas upływał. Między tymi dwoma światłymi umysłami, mającymi rozległe możliwości porozumienia się w wielu dziedzinach ludzkiej myśli i wiedzy, nawiązała się pewnego rodzaju zażyłość. Prowadzili dysputy na wszelkie możliwe tematy, dotyczące etyki i religii, spraw publicznych i prywatnych; rozmawiali wiele, z równie żywym udziałem obu stron, o sprawach dotyczących ich osobiście. A jednak żadna tajemnica z tych, jakich domyślał się lekarz, nigdy nie została ujawniona przez pastora i nie dotarła do ucha jego towarzysza. Ten ostatni podejrzewał, iż pastor dotąd nie wyjawiał nawet, jakie są właściwie jego dolegliwości fizyczne. Cóż za przedziwna powściągliwość!

Po pewnym czasie, na skutek zręcznie rzuconego przez Rogera Chillingwortha słowa, przyjaciele pana Dimmesdale postarali się, aby obaj zamieszkali w tym samym domu, tak aby każdy przyływ i odpływ codziennego nurtu życia pastora mógł przebiegać pod okiem przywiązanego i dbałego o jego zdrowie lekarza. W mieście zapanowała wielka radość, gdy ten upragniony cel został osiągnięty. Uważano, że jest to najlepsze rozwiązanie dla dobra młodego pastora. Jeszcze lepiej byłoby - jak często twierdzili ci, co uważali się za upoważnionych do udzielania rad - aby wybrał jedną z wielu dorodnych panien, już go kochających miłością duchową, i uczynił z niej kochającą żonę. Na razie jednak nie było widoków, aby Artur Dimmesdale dał się namówić na ten krok. Odrzucał on wszystkie tego rodzaju podszepty tak, jakby celibat duchownych należał do reguł jego kościelnej dyscypliny. Skoro więc pan Dimmesdale był najwidoczniej z własnego wyboru skazany na całe życie, aby spożywać nieapetyczne potrawy przy

cudzym stole i cierpieć od chłodu, przeznaczonego tym, co grzeją się tylko przy obcym ognisku, wydawało się naprawdę, że ów roztropny, doświadczony, uczynny lekarz, darzący młodego pastora uczuciem ojcowskim, a zarazem pełnym respektu, był ze wszystkich ludzi najwłaściwszym człowiekiem, aby pozostawać na stałe w zasięgu jego głosu.

Dwaj przyjaciele zamieszkali więc u pewnej pobożnej wdowy o odpowiedniej pozycji społecznej, w domu stojącym nie opodal miejsca, gdzie później wzniesiono budowlę godną najwyższej czci - Królewską Kaplicę. Po jednej stronie graniczył on z cmentarzem, założonym na dawnym polu Izaaka Johnsona, a zatem z miejscem stosownie pobudzającym do poważnych rozmyślań, odpowiednich dla profesji ich obu - duchownego i lekarza. Poczciwa wdowa z macierzyńską troskliwością oddała panu Dimmesdale frontowe mieszkanie od słonecznej strony, z oknami zaopatrzonymi w ciężkie zasłony, chroniące w razie potrzeby przed skwarem południa. Ściany obwieszane były kilimami, pochodzącymi rzekomo z warsztatów tkackich samego Gobelina, a w każdym razie przedstawiającymi sceny z Pisma Świętego - Dawida i Betsabę, oraz proroka Natana. Choć kilimy jeszcze nie spłwiały, postać pięknej kobiety z pierwszej sceny oddana była w barwach dokładnie tak samo ponurych, jak postać oskarżycielskiego proroka. W tych apartamentach blady pastor zgromadził stosy swego księgozbioru, pełnego oprawnych w pergamin foliałów: pisma ojców Kościoła i skarby mądrości rabinów, a także erudycji różnych mnichów, z której protestanckie wielebności, bocząc się i zżymając na autorów, często jednak z musu korzystały. Po drugiej stronie domu stary Roger Chillingworth urządził sobie gabinet i laboratorium: choć dalekie od tego, co w oczach nowoczesnego badacza nauk ścisłych mogłoby od biedy ująć za wystarczające, laboratorium to było wszakże zaopatrzone w aparat destylacyjny i urządzenia do mieszania leków i chemikaliów, które doświadczony alchemik umiał doskonale wykorzystywać. Mając więc wszelakie wygody, te dwie uczone osoby ostatecznie tu osiadły. Każda z nich miała własne terytorium, a zarazem możliwość składania wizyt sąsiadowi i obserwowania - nie bez ciekawości - jego pracy.

Tak więc najroztropniejsi nawet przyjaciele wielebnego Artura Dimmesdale wyobrażali sobie, jak już wspomniano, że wszystko to działała ręka Opatrzności dla sprawy, o którą zanoszono tyle modłów publicznych, rodzinnych i prywatnych - dla przywrócenia zdrowia młodemu pastorowi. Lecz należy wspomnieć i o tym, że po pewnym czasie znaczna część obywateli zaczęła wyrażać odmienne zdanie co do związków łączących pana Dimmesdale z tajemniczym starym lekarzem. Gdy nieuczony tłum próbuje sądzić wedle tego, co widzi, bardzo łatwo może się mylić. Jednakże, gdy oceniać zacznie sprawy, jak często bywa, idąc za głosem swego wielkiego i gorącego serca, jego sądy bywają często tak głębokie i nieomyłne, jakby były to prawdy objawione przez źródła nadprzyrodzone. Ludzie, o których mowa, nie potrafiliby uzasadnić swej niechęci do Rogera Chillingwortha żadnym faktem czy argumentem zasługującym na poważną dyskusję. Co prawda znalazł się jeden stary rzemieślnik, były obywatel miasta Londynu w czasach zabójstwa sir Tomasza Overbury przed trzydziestu laty, który zapewniał, że widywał lekarza, noszącego

wówczas inne nazwisko - nie pamięta już jakie - w towarzystwie doktora Formana, sławnego starego magika-czarodzieja, zamieszanego w sprawę Overburyego. Kilka osób napomykało, że ów wybitny mąż rozszerzył swą wiedzę medyczną w czasie swej niewoli u Indian, biorąc udział w czarach, odprawianych przez dzikich kapłanów, znanych jako zaklinacze, którzy liczne, cudowne na pozór wyleczenia zawdzięczali czarnej magii. Wielu ludzi - wśród nich wielu ludzi tak rozsądnych i spostrzegawczych, że ich zdanie byłoby cenne w każdej sprawie - twierdziło, że wygląd Rogera Chillingwortha uległ nadzwyczajnej zmianie od czasu, gdy osiadł w mieście, a zwłaszcza odkąd zamieszkał razem z panem Dimmesdale. Na początku twarz jego miała wyraz spokojny i zamyślony, jak to u uczonego. Obecnie w jego fizjonomii było coś szpetnego, coś złego, czego poprzednio nie widzieli, a co teraz tym bardziej rzucało się w oczy, im częściej mu się przyglądali. Ludzie prości i naiwni powiadali, że ogień palący się w jego pracowni pochodzi z piekielnych czeluści, a podsyca go ogień piekielny. Dlatego właśnie, jak można się było spodziewać, twarz jego poczerniała od dymu.

Krótko mówiąc, rozpowszechniło się przekonanie, że wielebny Artur Dimmesdale, jak wiele innych osobistości szczególnie świątobliwych przez wszystkie wieki chrześcijaństwa, był nękanym przez samego Szatana, lub jego wysłannika, który przybrał postać Rogera Chillingwortha. Ów wysłannik piekieł uzyskał na pewien okres zezwolenie od Niebios, aby zbliżyć się do duchownego i spróbować zamachu na jego duszę. Ogólnie uważano, iż żaden rozsądny człowiek nie mógł wątpić o tym, która strona zwycięży. Ludzie przypatrywali się temu z niewzruszoną nadzieją w sercach, że wkrótce zobaczą kapłana zwycięskiego w pojedynku i pełnego chwały, jaką bez wątpienia zdobędzie. Tymczasem wszakże smutkiem napawała myśl o śmiertelnych udrękach, z jakimi musiał się zmagać, nim osiągnie triumf.

Niestety! Z oczu biednego kapłana wyzierała rozpacz i przerażenie: widocznie walka była ciężka, a zwycięstwo bardzo niepewne!

X Medyk i jego pacjent

Stary Roger Chillingworth był przez całe życie człowiekiem spokojnego usposobienia, życzliwym dla ludzi, a choć uczuciom jego brakowało ciepła, zawsze był czysty i prawy w stosunkach ze światem. Rozpoczął on swoje śledztwo w duchu - jak sobie wyobrażał - surowej i beznamiętnej uczciwości sędziego, który pragnie jedynie prawdy, tak jak gdyby sprawa dotyczyła tylko wyrysowanych w przestrzeni linii i figur jakiegoś problemu geometrycznego, a nie ludzkich namiętności i krzywdy, zadanej jemu samemu. Lecz w miarę jak posuwał się naprzód, jakieś straszliwe urzeczenie, jakiś przymus wewnętrzny, potężny, choć na razie spokojny, opanował starca i trzymał go w żelaznym uścisku, nie zwalniając, póki nie wypełni tego, co mu nakazano. Wdzierał się teraz w tajniki serca biednego kapłana, jak górnik szukający złota, a raczej jak grabarz kopiący grób - może w poszukiwaniu klejnotu pochowanego na piersi nieboszczyka - po to, by ostatecznie znaleźć tam tylko śmierć i rozkład. Jeżeli tego właśnie szukał, biada jego duszy!

Czasami w oczach lekarza zapalało się światło, płomień błękitnawy i złowrogi jak odbity blask wielkiego pieca lub, powiedzmy, odbłysek straszliwego ognia, buchającego w opowieści Bunyana z groźnych wrót w górskim zboczach, migocący na twarzy pielgrzyma. Widocznie ziemia, w której kopał ów posępny górnik, zdradziła jakieś ślady i rozpałała w nim nadzieję.

„Ten człowiek - powiedział do siebie w jednej z takich chwil - choć wszyscy sądzą go czystym, choć wydaje się tak uduchowiony, odziedziczył po ojcu, bądź po matce, silne instynkty zwierzęce. Spróbujmy popracować trochę w tym kierunku!”

Nastąpiły długie próby penetrowania niewidocznych tajników duszy pastora i przekopywania różnych cennych substancji, takich jak, na przykład, wysokie aspiracje w działaniu dla dobra ludzkości, ukochanie duszy ludzkiej, czystość uczuć, wrodzona religijność umocniona przez rozmyślanie i naukę i oświecona objawieniami. Wszystko to było bezcenne złoto, lecz dla naszego poszukiwacza - śmiecie bez wartości. Odwracał się zniechęcony i zaczynał swe badania znów w innym punkcie. Poruszał się tak cicho, tak ostrożnie, skradając się jak złodziej wchodzący do komnaty, gdzie ktoś dopiero usypia lub się jeszcze całkiem nie rozbudził, aby ukraść ten właśnie skarb, którego tamten strzeże jak oka w głowie. Mimo tej zachowywanej z premedytacją ostrożności podłoga czasem zaskrzypiała lub zaszleściły suknie, lub też cień postaci, zbliżającej się do zakazanego miejsca, padał nagle na ofiarę. Innymi słowy pan Dimmesdale, ze swą wrażliwą i nerwową naturą, ułatwiającą przyływu intuicji, nagle zaczynał niejasno odczuwać, że coś wdarło się przemocą w jego życie i groziło mu zburzeniem jego spokoju. Lecz stary Roger Chillingworth także odznaczał się przenikliwością i intuicją, toteż gdy pastor rzucał nań niespokojne spojrzenie, widział już jedynie siedzącego lekarza: zacnego, współczującego, lecz nigdy nie narzucającego się przyjaciela.

A jednak pan Dimmesdale potrafiłby lepiej ocenić prawdziwy charakter tego indywidualium, gdyby chorobliwe przewrażliwienie, do jakiego skłonni są chorzy na

serce, nie pobudziło w nim podejrzliwości w stosunku do wszystkich. Skoro nikomu nie dowierzał na tyle, by rozpoznać przyjaciela, nie potrafił również rozpoznać wroga, gdy się pojawił. Dlatego też podtrzymywał przyjazne z nim stosunki, co dzień przyjmując starego lekarza w swym gabinecie lub odwiedzając jego pracownię, gdzie dla rozrywki obserwował procesy, które przemieniają chwasty w wysoce skuteczne leki.

Pewnego dnia, z czołem wspartym na dłoni, z łokciem na parapecie okna, które wychodziło na cmentarz, rozmawiał z Rogerem Chillingworthem, podczas gdy stary lekarz badał pęk jakichś szpetnych roślin.

- A gdzież to - zapytał pastor, patrząc na nie z ukosa, taki bowiem miał ostatnio dziwny zwyczaj, że rzadko spoglądał wprost, czy to na istoty ludzkie, czy na martwe przedmioty - gdzie zebrałeś, zacny doktorze, te zioła z takimi ciemnymi, obwisłymi liśćmi?

- Właśnie tu, na tym cmentarzu obok - odrzekł lekarz, nie przerywając swych oględzin. - To dla mnie nowość. Rosły na mogile bez kamienia nagrobnego i bez żadnego napisu dla zachowania pamięci o zmarłym. Tylko te szpetne chwasty wzięły na siebie obowiązek upamiętnienia go. Wyrosły z jego serca i być może przedstawiają jakiś zatajony, brzydki postępek, którego sekret pochowano wraz z nim, choć lepiej by zrobił wyznając go za życia.

- A może - powiedział pan Dimmesdale - pragnął szczerze go wyznać, tylko nie mógł.

- Ale dlaczego? - odparł lekarz. - Dlaczegoż by nie, skoro wszystkie siły natury upominają się tak mocno o wyznanie grzechów, że aż te czarne chwasty musiały wyrwać się z pogrzebanego serca, by ujawnić nie wyznany grzech?

- Mój zacny panie - odrzekł duchowny - to tylko wasza fantazja. Jeśli się nie mylę, nie ma takiej siły, prócz jednego chyba miłosierdzia Bożego, która by zdradziła słowem, pismem lub emblematem tajemnice, które idą do grobu wraz z sercem człowieka. Serce, które dźwiga winę takiego sekretu, skazane jest na to, by go zachować aż do owego dnia, gdy wszystko, co było ukryte, zostanie ujawnione. A z tego, co czytałem w Piśmie Świętym i jak je rozumiem i tłumaczę, nie wynika wcale, jakoby ujawnienie ludzkich myśli i uczynków, jakie w ten dzień nastąpi, miało stać się częścią odpłaty za grzechy. Takie rozumowanie byłoby nadto płytkie. Nie, te objawienia - chyba nie błędzę zbytnio mówiąc w ten sposób - po to jedynie są przeznaczone, by zadowolić umysły wszelkich istot rozumnych, które tego dnia będą oczekiwały, iż wszystko, co było zagadką w naszym życiu doczesnym, stanie się jasne. A poznanie sekretów ludzkich serc potrzebne będzie do całkowitego rozwiązania tej zagadki. Ponadto, w moim pojęciu, serca ukrywające nędzne tajemnice, o jakich mówisz, wydadzą je w ten dzień ostateczny nie z niechęcią, lecz z niewymowną radością.

- Wobec tego czemuż nie odkryć ich już tutaj? - zapytał Roger Chillingworth, spokojnie zwracając oczy na twarz kapłana. - Dlaczegoż by grzesznicy nie mieli wcześniej skorzystać z tej niewymownej pociechy?

- Zwykle tak czynią - rzekł pastor, przyciskając mocno dłoń do serca, tak jakby odczuł dotkliwy ból. - Niemało, oj niemało tych biednych, udręczonych dusz zwierzyło mi się, nie tylko na łożu śmierci, lecz w pełni życia, ciesząc się jak najlepszą reputacją. I zawsze po tych wyznaniach jakąż ulgę widziałem u tych grzesznych braci! Zupełnie jakby ktoś, kto długo przebywał w dusznej atmosferze własnego, zatrutego oddechu, zaczerpnął nareszcie świeżego powietrza! Jakże mogłoby być inaczej! Czemuż by taki nieszczęśnik winny, powiedzmy, morderstwa, miał skrywać ciało zabitego we własnym sercu, gdy może od razu zrzucić je z siebie, a potem niech się nim zajmie wszechświat!

- A jednak niektórzy ludzie tak właśnie skrywają swoje sekrety - zauważył spokojnie lekarz.

- Prawda, są tacy ludzie - odrzekł pan Dimmesdale. - Lecz pomijając bardziej oczywiste powody, może ich własna skrytość nakazuje im milczenie? Lub też - bo i tak wolno nam przypuścić - może, choć pełni winy, zachowali pragnienie służenia chwale Bożej i dla dobra ludzkości i dlatego wzdrygają się na myśl wystawienia ciemnych i brudnych stron swego życia na widok publiczny, nie mogliby już bowiem czynić potem dobra. A jednak popełnionego zła nie odkupi zbożne życie! Tak więc ku swej niewymownej męce krążą wśród bliźnich, bielsi z pozoru od świeżo spadłego śniegu, podczas gdy ich serca są splamione i splugawione nieprawością, której nie mogą się pozbyć.

- Ci ludzie oszukują samych siebie - rzekł Roger Chillingworth tonem nieco bardziej dobitnym niż zwykle, lekko unosząc palec. - Tacy ludzie boją się wziąć na siebie wstyd, który im się słusznie należy. Ich miłość do człowieka, ich żarliwość w służbie Bożej, te świątobliwe pragnienia może goszczą w ich sercach - a może i nie - wspólnie z tym diabelstwem, któremu ich grzech otwarł wejście i które niechybnie rozmnoży się tam jako potomstwo piekieł. Lecz jeśli zamiarem ich jest głoszenie chwały Bożej, wara im podnosić ku Niebiosom splugawioną rękę! A jeśli chcą służyć bliźnim, niech to robią raczej pokazując innym, że sumienie jest czymś prawdziwym i potężnym, skoro zmusiło ich do ukorzenia się i pokuty. Czyżbyś chciał, mój pobożny i mądry przyjacielu, bym uwierzył, że kłamstwo i udawanie może być lepsze, może więcej przynieść chwały Bogu lub dobra człowiekowi, niż sama prawda Boża? Wierz mi, tacy ludzie oszukują sami siebie!

- Może i tak - rzekł młody pastor obojętnie, jakby zbywając tym dysputę, którą uważał za nieistotną i nierozsądną. Posiadał w rzeczy samej zdolność uchylania się od wszelkich tematów, które przy jego wrażliwości zbyt poruszały jego nerwy. - Lecz chciałbym teraz zapytać mego znakomitego lekarza, czy naprawdę uważa, że skorzystałem na jego uprzejmej opiece nad moją słabowitą ziemską powłoką?

Nim Roger Chillingworth mógł odpowiedzieć, z pobliskiego cmentarza dobiegł nagle do ich uszu dźwięczny, głośny śmiech dziecka. Pastor odruchem wiedziony wyjrzał przez otwarte okno - gdyż było to letnią porą - i zobaczył Hester Prynne z małą Pearl, przechodzące ścieżką, która przecinała ogrodzony teren cmentarza. Pearl wyglądała ślicznie jak ten słoneczny dzień, lecz była właśnie w nastroju, jak to się jej często zdarzało, przekornej, dzikiej wesołości, która gdy ją

napadła, zdawała się odgradzać ją całkowicie od innych ludzi i udaremniała wszelkie porozumienie. Skakała teraz bez żadnego respektu z grobu na grób, aż dobiegła w ten sposób do szerokiego, płaskiego, zdobnego w herby nagrobka jakiegoś znamienitego nieboszczyka i zaczęła na nim tańczyć. Gdy matka przykazywała i błagała, by zachowywała się przyzwoicie, mała Pearl, przerywając swój taniec, zaczęła zrywać kolczatki z wysokiego krzewu łośnianu, rosnącego przy grobie. Gdy już miała ich pełną garść, podbiegała, aby obłożyć nimi zdobną pierś matki szkarłatną literę, do której zgodnie ze swą naturą mocno przylgnęły. Hester nie odrywała ich.

Przez ten czas Roger Chillingworth zbliżył się do okna i patrzył na to z posępnym uśmiechem.

- W charakterze tego dziecka nie ma ani krzty poczucia prawa, ani poszanowania dla władzy, ni żadnych względów dla ustalonych nakazów bądź dla opinii dobrych czy złych - zauważył, zwracając słowa tyleż do siebie, co do swego towarzysza. - Widziałem któregoś dnia, jak opryskała wodą samego gubernatora przy korycie dla bydła na Spring Lane. Czymże ona jest, na Boga? Czy ten chochlik to samo zło? Czy zdolna jest do tkliwych uczuć? Czy ma jakiegokolwiek zrozumiałe zasady istnienia?

- Żadnych, prócz wolności łamania praw - odparł pan Dimmesdale spokojnie, tak jakby sam rozważał tę sprawę. - Czy jest zdolna do dobrego, nie wiem.

Dziecko zapewne usłyszało ich głosy, gdyż podnosząc wzrok do okna z wesołym, lecz szelmowskim uśmiechem inteligentnej figlarki, rzuciło jedną kolczatkę w pana Dimmesdale. Wrażliwy i nerwowy pastor drgnął, jakby się przeląkł leciutkiego pocisku. Widząc to Pearl klasnęła w rączki z najwyższym zachwytem. Hester Prynne również mimo woli spojrzała w okno i przez chwilę tych czworo ludzi w tak różnym wieku patrzyło na siebie w milczeniu, aż wreszcie dziecko zaśmiało się głośno i krzyknęło:

- Uciekaj, mamó! Uciekaj, bo ten stary Czarny Człowiek złapie cię! Już złapał pastora! Uciekaj mamó, bo cię złapie! Ale małej Pearl nie dogoni!

I ciągnąc matkę za rękę uciekała w podskokach, tańcząc i wyprawiając przedziwne harce wśród pagórków zmarłych, jak istota, która nic nie ma wspólnego z minionym i pogrzebanym pokoleniem i nie uznaje żadnego z nimi pokrewieństwa. Zdawałoby się - istota stworzona od nowa, z innych żywiołów, której trzeba z konieczności pozwolić, by żyła własnym życiem i sama dla siebie była prawem, a jej dziwactw nie traktować jako przewinienia.

- Oto jest kobieta - podjął po chwili Roger Chillingworth - która, choć ciężko zawiniła, nie nosi z sobą tajemnicy owych utajonych grzechów, które uważacie, panie, za tak przykre do zniesienia. Jak myślicie, czy Hester Prynne jest mniej nieszczęśliwa przez tę szkarłatną literę na piersi?

- Prawdziwie tak myślę - odrzekł duchowny. - Ale za nią odpowiadać nie mogę. W jej oczach był ból, którego rad bym był nie oglądać. A jednak uważam, że chyba dla cierpiącego lepiej, gdy może swobodnie okazywać swój ból, tak jak ta biedna kobieta, Hester, niż gdy musi go skrywać w swoim sercu.

Znów nastąpiło milczenie. Lekarz zabrał się ponownie do badania i rozkładania uzbieranych roślin.

- Pytaliście mnie przed chwilą - rzekł wreszcie - o moje zdanie w sprawie waszego zdrowia.

- Tak - odrzekł duchowny - i chętnie bym je usłyszał. Mówcie szczerze, wszystko jedno, czy wróży mi to życie czy śmierć.

- Powiem więc otwarcie i po prostu - rzekł lekarz. Zajęty był ciągle roślinami, lecz zwrócił na pastora czujne spojrzenie. - Dziwna jest ta wasza dolegliwość. Nie tyle dziwna sama przez się, ani też w sposobie, w jaki się przejawia, przynajmniej o tyle, o ile jej objawy dostępne są mojej obserwacji. Patrząc na was co dzień, mój zacny panie, i przyglądając się od miesiąca oznakom, jakie zdradza wasz wygląd, sądzić mogę, iż wasza choroba zapewne wielce jest dotkliwa, lecz nie aż taka, by wykształcony i uważny lekarz nie mógł żywić nadziei, że potrafi was wyleczyć. Ale - jak to powiedzieć? - to choroba, którą niby znam, a jednak nie znam.

- Mówicie zagadkami, uczony panie - powiedział blady pastor, patrząc w bok przez okno.

- A zatem, aby wyrazić się jaśniej - ciągnął lekarz - i proszę was, panie, o wybaczenie, jeśli ta szczerza z konieczności mowa potrzebuje wybaczenia. Pozwólcie mi się zapytać jako wasz przyjaciel, jako ten, kto za sprawą Opatrzności ma pod opieką wasze życie i wasze zdrowie fizyczne: czy cały przebieg tej choroby został przede mną ujawniony i opowiedziany?

- Jak możecie w to wątpić? - spytał pastor. - Wszak byłyby to dziecinne żarty, wzywać lekarza i ukrywać chorobę!

- Powiadacie mi zatem, że wiem wszystko? - odrzekł Roger Chillingworth, utkwivszy w twarzy pastora wzrok przenikliwy i inteligentny. - Niechże tak będzie. Jednakowoż ten, któremu odkryto zewnętrzne tylko, fizyczne zło, świadom jest zazwyczaj tylko połowy zła, jakie kazano mu leczyć. Choroba ciała, na którą patrzemy jak na całość kompletną, samą w sobie, może być ostatecznie tylko symptomem jakiejś dolegliwości w sferze duchowej. Wybaczcie mi, panie, raz jeszcze, jeśli moja mowa zawiera choćby cień obrazy. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, wy, panie, macie ciało najbliższemu związane, przepojone i żeby się tak wyrazić utożsamione z duchem, którego jest instrumentem.

- A więc nie potrzebuję pytać dalej - rzekł pastor, wstając z krzesła z niejakim niepokojem. - O ile mi wiadomo, nie praktykujecie, panie, medycyny ducha!

- Dlatego też choroba - ciągnął Roger Chillingworth, który nie zmieniając tonu i nie zważając na to, że mu przerwano, podniósł się z miejsca i stanął, niski, czarniawy i pokrzywiony, naprzeciw wychudłego, bladego pastora - choroba, obolałe miejsce, jeśli można ją tak nazwać, w waszej duszy natychmiast wywołuje odpowiednie objawy w waszej budowie fizycznej. I chcielibyście mimo to, by wasz lekarz wyleczył schorzenie cielesne? Jak to być może, jeśli nie odkryjecie wpierv przed nim ran lub cierpienia waszej duszy?

- Nie! Nie przed tobą! Nie przed lekarzem spraw ziemskich! - zakrzyknął gwałtownie pan Dimmesdale, zwracając na Rogera Chillingwortha płomienne

spojrzenie błyszczących, szeroko otwartych oczu. - Nie przed tobą! Jeśli jest to choroba duszy, powierzam ją jednemu Lekarzowi dusz!

To On, jeśli mu się tak spodoba, może mnie wyleczyć - lub zabić. Niech zrobi ze mną, co w swej sprawiedliwości lub mądrości uzna za najlepsze. Lecz kim jesteś ty, który mieszasz się w te sprawy? Jak śmiesz stawać między cierpiącym i jego Bogiem?

I z gwałtownym gestem wybiegł z pokoju.

- Trzeba było uczynić ten krok - powiedział do siebie Roger Chillingworth, spoglądając za nim z poważnym uśmiechem. - Nic straconego. Wkrótce na nowo będziemy przyjaciółmi. Ale patrzcie, jak to namiętność potrafi opanować tego człowieka i wyprowadzić go z równowagi! A jak jedna namiętność, to i druga. Z sercem tak gorącym musiał i przedtem dać się ponieść namiętności świątobliwy pan Dimmesdale!

Przywrócenie zażyłości stosunków dwóch towarzyszy na tej samej poufalej stopie okazało się niezbyt trudne. Młody pastor po kilku godzinach samotności uprzytomnił sobie, że stan jego nerwów doprowadził go do nieprzystojnego wybuchu gniewu, jakiego nic w słowach lekarza nie usprawiedliwiło i nie tłumaczyło. Zdumiewał się nawet gwałtowności, z jaką odepchnął zacnego starca, gdy ten po prostu dawał mu radę, jakiej udzielenie było jego obowiązkiem i o którą pastor wyraźnie się upomniał. Czując wyrzuty sumienia nie tracił czasu i poszedł go przeprosić z całego serca i błagać, by przyjaciel dalej zechciał prowadzić leczenie, które choć nie przywróciło mu całkowicie zdrowia, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyczyniło się do przedłużenia jego mizernej egzystencji aż do chwili obecnej. Roger Chillingworth przystał na to chętnie i dalej sprawował medyczną opiekę nad pastorem. Robił, co mógł, w jak najlepszej wierze, lecz pod koniec każdej wizyty lekarskiej wychodził z mieszkania swego pacjenta z zagadkowym uśmiechem i z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Wyraz ten, powściągany w obecności pana Dimmesdale, stawał się widoczny po przekroczeniu progu.

- Rzadki przypadek - mrucał. - Muszę koniecznie wniknąć w to głębiej. Przedziwne współdziałanie ciała i duszy! Nawet dla dobra mej sztuki muszę tę sprawę zbadać do dna!

Niedługo po tej scenie, którąśmy tu opisali, zdarzyło się, że wielebny pan Dimmesdale, siedząc u siebie na krześle z otwartą przed nim na stole wielką księgą drukowaną gotykiem, niespodziewanie, w samo południe zapadł w głęboki, bardzo głęboki sen. Księga musiała być dziełem wielkiego talentu wedle przepisów literatury nasennej, pastor bowiem należał do tych osób, które zazwyczaj mają sen tak lekki, niespokojny i łatwo ulatujący, jak ptaszek skaczący na gałązce. Jednakże w tej chwili jego duch uciekł w głąb tak niezwykle daleko, że pan Dimmesdale nie poruszył się nawet na krześle, gdy stary Roger Chillingworth wszedł do jego pokoju bez żadnych nadzwyczajnych środków ostrożności. Lekarz podszedł wprost do pacjenta, położył mu dłoń na piersi i odrzucił fałdy odzienia, które ją zawsze skrywały, nawet przed lekarskim okiem.

Wtedy dopiero pan Dimmesdale zadrżał i lekko się poruszył.

Po krótkiej chwili lekarz odwrócił się.

Lecz co za dzikie spojrzenie, rozbłyśnięcie zdumieniem, radością i grozą! Jakież straszliwe uniesienie, zbyt wielkie widać, by wyrazić się tylko w oczach i twarzy, ujawniło się z nagłym zeszeptaniem całej pokracznej figury i wybuchło jeszcze gwałtowniej w szaleństwie ruchów, gdy wyrzucił ramiona ku górze i tupał nogą o podłogę! Gdyby ktoś zobaczył Rogera Chillingwortha w tej chwili jego ekstazy, nie musiałby pytać, jak zachowuje się Szatan, gdy drogocenna dusza ludzka zostanie stracona dla Nieba, a zyskana dla jego królestwa.

Lecz jedna rzecz różniła ekstazę lekarza od szatańskiej: był w niej cień zdumienia!

XI Wnętrze ludzkiego serca

Po ostatnio opisanym incydencie stosunki między kapłanem i lekarzem, choć pozornie bez zmiany, nabrały w rzeczywistości innego niż poprzednio charakteru. W umyśle Rogera Chillingwortha rysowała się teraz dość wyraźna droga postępowania. Nie była to dokładnie ta droga, jaką sobie kiedyś założył. Choć zdawał się spokojny, łagodny i beznamiętny, była w tym nieszczęsnym starcu jakaś cicha, lecz głęboko zakorzeniona złośliwość, dotąd utajona, która w pewnej chwili wzięła górę i podsunęła mu pomysł zemsty bardziej subtelnej od wszystkich, jakie śmiertelnik mógłby kiedykolwiek wyrzucić na swoim wrogu. Postanowił przybrać pozór jedyne go zaufanego przyjaciela, któremu powierzać się będzie wszelkie obawy, wyrzuty sumienia, cierpienie, bezskuteczność pokuty, nawroty próżno wypędzanych grzesznych myśli. I cały ten bolesny ciężar winy, skrywany przed światem, którego wielkoduszne serce ulitowałoby się nad nim i przebaczyło, zostanie odkryty przed nim - tym Bezlitosnym, Nieprzebaczającym! Cały ów pośępny skarb, hojnie ofiarowany jednemu człowiekowi, któremu nic innego nie przyniosłoby tak sówitej zapłaty długu zemsty!

Powściągliwość nieśmiałego i wrażliwego pastora udaremniła ten zamysł. Jednakże Roger Chillingworth nie był szczególnie zmartwiony - nie był wcale zmartwiony nowym obrotem sprawy, gdy Opatrzność, wykorzystując mściciela i jego ofiarę do swoich własnych celów i może ofiarowując przebaczenie w tym, co mogło zdawać się najsrozsą karą, podsunęła lekarzowi coś innego w miejsce tamtych ciemnych zamysłów. Uważał, że spłynęło na niego niemalże objawienie. Dla jego celów obojętne było, czy pochodziło ono z niebiańskich, czy też z całkiem innych regionów. Z tą pomocą we wszystkim, co odtąd się działo między nimi, nie tylko zachowanie się pana Dimmesdale, ta zewnętrzna strona, lecz również najtajniejsze głębie jego serca odkryły się przed wzrokiem starca tak że mógł teraz oglądać i rozumieć każde jego drgnienie. Od tej chwili stał się nie tylko obserwatorem, lecz i głównym aktorem w świecie wewnętrznym biednego pastora. Mógł grać na tym instrumencie, jak mu się podobało. Miał ochotę podrażnić go skurczem bólu? Ofiara była zawsze dostępna na kole tortur - wystarczyło znać działanie sprężyny poruszającej maszynę - a lekarz znał ją dobrze. Chciał wywołać wstrząs nagłym przyływem strachu? Jak na znak różdżki czarodzieja pojawiała się przerażające widmo - tysiące widmowych postaci - o wielu kształtach śmierci, lub straszniejszej od niej hańby, a wszystkie tłoczyły się wokół biednego kapłana, wskazując palcami na jego pierś.

Wszystko to prowadzone było z tak niezrównaną subtelnością, że pastor, choć odczuwał niejasno obecność jakiejś złej siły obserwującej każdy jego ruch, nie mógł zupełnie zorientować się w jej naturze. Prawda, patrzył z powątpiewaniem i ze strachem, a czasem nawet z odrazą i z gorzką nienawiścią na ułomną postać starego lekarza. Jego gesty, chód, posiwiała broda, wszystko, co robił, choćby najbardziej nieznaczące i obojętne, nawet krój jego sukni napawały go wstrętem. Był to znak,

który wskazywał niezawodnie na istnienie antypatii w sercu pastora, głębszej, niż był skłonny przyznać sam przed sobą. Bowiem gdy niepodobna było znaleźć żadnej racji dla takiej nieufności i wstrętu, pan Dimmesdale, świadom faktu, że trucizna jednego schorzałego miejsca może zarazić wszystkie tkanki serca, temu właśnie, a nie innym przyczynom przypisywał swoje uprzedzenia. Łajał siebie za wrogie uczucia w stosunku do Rogera Chillingwortha, nie zważał na naukę, jaką mógł z nich wysnuć, i robił, co mógł, by wyrwać je z serca. A choć nie potrafił tego dokazać, to jednak dla zasady podtrzymywał ich dotychczasową towarzyską zażyłość i w ten sposób dostarczał staremu lekarzowi ciągłych okazji doskonalenia zamiarów, którym ów nieszczęsny, zbłąkany człowiek - mściciel bardziej nieszczęśliwy od swej ofiary - poświęcał życie.

Choć fizycznie cierpiący, dręczony jakimś ciężkim strapieniem duchowym i wydany na knowania najzaciętszego wroga, pan Dimmesdale w tym czasie zdobył niesłychaną popularność w pełnieniu obowiązków kapłańskich. W istocie zawdzięczał ją w dużej mierze swoim zmartwieniom. Jego zdolności umysłowe, intuicja w sprawach moralnych, zdolność doświadczenia i przekazywania uczuć utrzymywane były w stanie nadnaturalnej aktywności dzięki nieustannym cierpieniom i rozterkom jego codziennego życia. Sławą swoją, choć dopiero się zaczynała, już zaćmiewał kolegów, chwalonych bardziej umiarkowanie, choć było wśród nich kilku ludzi wybitnych. Byli między nimi uczeni, którzy więcej lat poświęcili na zdobywanie zawitych tajników wiedzy związanej z zawodem duchownego, niż pan Dimmesdale przeżył od urodzenia, a zatem lepiej poznali i zgłębili owe poważne i ważne sprawy, niż ich młodszy brat. Byli tam również ludzie o tęższych od niego umysłach, obdarzeni większą bystrością i siłą pojmowania - głowy mocne niczym żelazo lub granit - które to zalety, odpowiednio zestawione z dużą ilością składnika doktrynalnego, tworzą określoną odmianę gatunku duchownych: bardzo szacowną, niezastąpioną w sprawowaniu urzędów i niezbyt miłą. Byli tam jeszcze inni, prawdziwie święci ojcowie, których umysły wykształciły się na żmudnym szperaniu w księgach i na cierpliwych medytacjach, a wysubtelniły się w duchowym obcowaniu z lepszym światem i do niego, dzięki czystości życia, te święte osoby prawie się przeniosły wraz ze swym śmiertelnym odzieniem, które ledwie że na nich wisiało. Brak im było tylko jednego: tego daru zstępującego na wybranych uczniów w uroczystość Zesłania Ducha Świętego, płomiennych języków, symbolizujących chyba nie władzę przemawiania w obcych i nieznanach językach, lecz dar przemawiania do całej ludzkości językiem jej serc. Tyrn ojcom, skądinąd tak aspostolskim, brakowało ostatecznego i najrzadszego świadectwa ich urzędu - języka ognistego. Próżno staraliby się - gdyby w ogóle im to przyszło do głowy - o wyrażenie najwznioślejszych prawd najskromniejszymi sposobami, przez słowa i obrazy ogólnie zrozumiałe. Ich głosy dochodziły z wysoka, z daleka i niewyraźnie, z tych niebosiężnych wyżyn, na jakich zazwyczaj przebywali.

Nie jest wykluczone, że pan Dimmesdale przez pewne rysy charakteru do tej właśnie klasy z przyrodzenia należał. Zapewne dotarłby do takich szczytów wiary i świętości, gdyby nie unicestwił tego jakiś nieznaną ciężar grzechu czy cierpienia,

pod którym musiał się zachwiać. Ten ciężar przygniatał go i ściągał w dół, równając z najniższymi - człowieka, który tak był uduchowiony, że mogli głosu jego słuchać i odpowiadać mu aniołowie! Lecz ten właśnie ciężar obdarzył go subtelnym zrozumieniem bractwa grzesznych ludzi. Jego serce biło wspólnym z nimi rytmem i przyjmowało w siebie ich cierpienia, i wysyłało drgania własnego bólu do tysięcy innych serc, tryskając w natchnionych, pełnych smutku, a trafiających do przekonania słowach. Tak, najczęściej trafiały one do przekonania, lecz czasem były straszne! Ludzie nie mieli pojęcia, co za siła tak ich porusza. Uważali młodego kapłana za cud świątobliwości. Wyobrażali sobie, że jest on heroldem z Niebios płynących przesłań mądrości i nagany, i miłości. W ich oczach uświęcona była nawet ziemia, po której stapał. Dziewice w jego kościele bladły na jego widok - ofiary namiętności tak przepojonej uczuciami religijnymi, że widziały w niej wyłącznie uczucia religijne i niosły ją otwarcie w swych białych piersiach do ołtarza, jako ofiarę najbardziej godną przyjęcia. Wiekowi parafianie, widząc jego ciało tak wątłe, podczas gdy ich ułomność tak twardo opierała się śmierci, sądzili, że pan Dimmesdale pójdzie do nieba przed nimi, i napominali swe dzieci, by ich stare kości pochowano blisko grobu młodego pastora. A przez cały ten czas biedny pan Dimmesdale, jeśli w ogóle myślał o swym grobie, wątpił mocno, czy kiedykolwiek porośnie on trawą, gdy spoczną w nim szczątki potępieńca!

Niepojęte, jak wielkie zadawała mu cierpienia cześć, jaką mu oddawano.

W jego naturze leżało szczere uwielbienie prawdy, rzeczy zaś, które tej boskiej treści nie zawierały - tego życia wewnątrz życia - zdawały mu się cieniem, widmem całkowicie pozbawionym wagi i wartości. A zatem czym był on sam? Bytem substancjalnym czy najbledszym ze wszystkich cieni? Tęsknił do chwili, w której pełnym głosem mógłby wyznać wszystko ze swej ambony i powiedzieć ludziom, kim naprawdę jest. „Ja, którego tu widzicie w czarnych szatach kapłana; ja, ” który wstępuję na to święte wzniesienie i obracam ku niebu bladą twarz, biorąc na siebie obowiązek łączenia się w waszym imieniu z Najwyższą Wszechwiedzą; ja, w którego życiu codziennym widzicie świętość Enocha; ja, którego kroki, jak sądzicie, pozostawiają jasny ślad, którym podążający za mną pielgrzymi doprowadzeni będą do krainy błogosławionych; ja, który kładę rękę na waszych dzieciach, udzielając im chrztu; ja, który odprawiam cichym szeptem pożegnalną modlitwę nad waszymi konającymi przyjaciółmi, a jej ostatnie „amen” dolatuje do ich uszu niby wątłe echo ze świata, który opuścili; ja, wasz pastor, którego tak czcicie i któremu wierzycie, jestem czymś najbardziej nieczystym, jestem kłamstwem!”

Nieraz pan Dimmesdale stawał na ambonie z mocnym postanowieniem, że nie zejdzie z jej stopni, póki nie wygłosi takich słów. Nieraz, odchrząknąwszy, nabierał oddechu, długo, głęboko, z drzeniem, aby zrzucić z siebie ciężącą mu na duszy mroczną tajemnicę. Niejeden raz - a może sto razy i więcej - rzeczywiście przemówił, ale jak? Mówił swym słuchaczom, że jest człowiekiem pełnym podłości, podlejszym od najpodlejszych, najgorszym z grzeszników i najobrzydliwszym siedliskiem niepojętych nieprawości i że dziw to nad dziwy, iż nie widzą, jak jego nędzne ciało kurczy się na ich oczach od płomieni gniewu Wszechmogącego! Czy

można było jaśniej się wyrazić? Czyż ludzie nie powinni wtedy porwać się z krzesel jak jeden mąż i zedrzeć go z ambony, którą zbrukał? Nic podobnego! Słuchali tego wszystkiego - i jeszcze bardziej go czcili. Nie domyślali się, jak groźny sens czai się w tych słowach samopotępienia. „Świątobliwy młodzieniec - mówili między sobą. - To święty na ziemi! Biada nam! Jeśli dostrzeżę taką grzeszność we własnej, czystej jak śnieg duszy, jakie okropności zobaczyłby w twojej albo w mojej?” Pastor - mimo wyrzutów sumienia subtelny obłudnik - dobrze wiedział, jak ludzie przyjmą jego niejasne wynurzenia. Starał się oszukać siebie wyznaniem, iż w sumieniu czuje się winny, lecz jedyne, co osiągnął, to jeszcze jeden grzech i uczucie wstydu, którego był świadom. Nie doznawał nawet chwilowej ulgi, jaką daje oszukiwanie samego siebie. Mówił szczerą prawdę, przemieniając ją w całkowity fałsz. A jednak jego natura tak była ukształtowana, że kochał prawdę i brzydził się kłamstwem jak mało kto. I dlatego nade wszystko brzydził się tym nędznikiem - samym sobą!

Jego wewnętrzne rozterki pchnęły go do praktyk bardziej zgodnych ze starą, zdemoralizowaną religią Rzymu, niż z wiarą, w jakiej się urodził i wychował. W ukrytym schowku pod kluczem u pana Dimmesdale leżał zakrwawiony bicz. Ten protestancki i purytański duchowny często smagał nim ramiona, gorzko się z siebie śmiejąc, lecz za ten śmiech biczował się tym bardziej bezlitośnie. Miał również zwyczaj odprawiania postów, podobnie jak to czyniło wielu innych bogobojnych purytanów, lecz nie tak, jak oni - dla oczyszczenia ciała i uczynienia go bardziej podatnym na objawienia Niebios. Pościł z wielką surowością, aż z osłabienia uginały się pod nim nogi, czyniąc z tego akt pokuty. Odprawiał również czuwania, noc po nocy, czasem w całkowitych ciemnościach, czasem przy słabym płomyku lampy, a kiedy indziej znów - patrząc w lustro na własną twarz, oświetloną najmocniejszym, jakim się dało, światłem. Oznaczało to ustawiczną introspekcję, która sprawiała mu tortury, lecz nie dawała oczyszczenia. W czasie tych przeciągających się okresów czuwania często zaczynało mu się kręcić w głowie, a przed oczami przelatywały jakieś widziadła, czasem ledwie dostrzegalne, świecące wątłym blaskiem w mrocznych odległych zakamarkach pokoju, niekiedy wyraźnie, tuż przy nim, odbite w zwierciadle. Raz była to hordadiabelskich postaci, które wykrzywiały się i drwiły z biednego kapłana, i zapraszały gestami, by poszedł z nimi; to znów grupa jaśniejących aniołów, które ulatywały w górę z trudem, jakby ciążył im smutek, lecz w miarę jak się wznosiły, stawały się coraz bardziej zwiewne. To znów pojawiali się nieżyjący przyjaciele jego młodości i siwobrody ojciec, płonący świętym oburzeniem, i matka, która mijając go odwracała twarz: widmo matki! Zupełny wytwór fantazji! Matka bowiem, jak mi się zdaje, rzuciła jednak swemu synowi spojrzenie pełne litości! Lub też przez pokój, który te upiorne myśli uczyniły miejscem grozy, przesuwawa się Hester Prynne, prowadząca za rączkę małą Pearl ubraną w szkarłatne sukienki i wskazująca palcem najpierw na szkarłatną literę na swojej piersi, a potem na pierś pastora.

Żadnemu z tych widziadeł nie dał się całkiem omamić. W każdej chwili wysiłkiem woli potrafił przez ich mglistą bezcielesność dostrzec materialne przedmioty i przekonać się, że postacie te nie należą do dotykanej rzeczywistości,

jak ten oto dębowy, rzeźbiony stół lub wielki, kwadratowy, w skórę oprawny i zamykany na mosiężny zameczek tom pism teologicznych. Lecz mimo wszystko były to w pewnym sensie rzeczy najprawdziwsze i najbardziej uchwytne, z jakimi biedny pastor miał teraz kontakt. Życie w takim fałszu, w jakim trwał pan Dimmesdale, jest niewysłowioną męczarnią, gdyż czyni beztreściową i nierzeczywistą wszelką rzeczywistość, którą Niebiosa przeznaczyły nam, aby była radością i podtrzymaniem dla ducha. Człowiekowi żyjącemu nieprawdą cały świat zdaje się fałszem, czymś nienamacalnym: gdy usiłuje go uchwycić, rozplywa się w nicłość. Również i on sam, skoro ukazuje się w fałszywym świetle, staje się cieniem, a właściwie przestaje istnieć. Jedyłą prawdą, jaka utrzymywała egzystencję pana Dimmesdale w realnym wymiarze, była głęboka udręka duchowa i jej niekłamany wyraz na jego twarzy. Gdyby choć raz znalazł siłę, by się uśmiechnąć i przybrać wesoły wyraz twarzy, po prostu przestałby istnieć!

W czasie jednej z takich niedobrych nocy, o których wspomnieliśmy pobieżnie, na razie nie opisując ich dokładnie, pastor podniósł się z krzesła. Przyszła mu do głowy nowa myśl. Może to mu da chwilę spokoju? Ubrawszy się tak starannie, jak na odprawianie nabożeństwa, zszedł cichaczem po schodach, odemknął drzwi i wyszedł.

XII Czuwanie pastora

Idąc jakby zamroczony snem, a może istotnie pod wpływem jakiegoś somnambulicznego transu, pan Dimmesdale dotarł do miejsca, gdzie nie tak dawno temu Hester Prynne przeżyła pierwszą godzinę publicznej niesławy. Ta sama platforma, a raczej ten sam szafot, poczerniały i zniszczony przez burze i upalne słońce siedmiu długich lat, a także od depczących po nim stóp licznych winowajców, którzy od tego czasu nań wstępowali, stał ciągle jeszcze pod balkonem zebrań. Pastor wszedł po schodkach na platformę.

Był to początek maja i noc była ciemna. Nieprzerwany całun chmur okrywał całą rozciągłość nieba od zenitu po horyzont. Gdyby ci sami ludzie, którzy stali tam jako naoczni świadkowie ukarania Hester Prynne, zbrali się tu teraz, nie dostrzegliby w szarym mroku o północy twarzy na szafocie, ani nawet zarysu ludzkiej postaci. Lecz całe miasto spało. Nie było niebezpieczeństwa, że ktoś odkryje pastora. Mógł sobie stać, jeśli mu się tak podobało, aż do chwili, gdy poranek zacznie się czerwienić od wschodu, nie ryzykując niczym poza tym, że wilgotne i chłodne nocne powietrze może przeniknąć mu ciało, stawy usztywnić reumatyzmem, a gardło zatkać katarem i kaszlem, pozbawiając tym samym oczekujących słuchaczy jutrzejszych modłów i kazania. Nie mogło go ujrzyć żadne oko, prócz tego jednego, które widziało, jak w alkowie biczował sobie plecy, aż spływały krwią. Po co więc tu przyszedł? Była to pokuta na niby, istne kpiny! Tak, ale w ten sposób łudził własne sumienie: oszustwo, nad którym rumienili się i płakali aniołowie, a diabły cieszyły się i wybuchały drwiącym śmiechem. Do tego doprowadziły go wyrzuty sumienia, prześladowające go na każdym kroku, a ich rodzona siostra i nieodłączna towarzyszka - tchórzostwo - trzymała go mocno i nie wypuszczała, drżącego, z uścisku, ilekroć przeciwny impuls naglił go tak bardzo, że gotów był wyznać wszystko. Biedny, nieszczęsny człowiek! Jakim prawem ktoś tak słaby mógł obciążać się występkiem? Na występki mogą się zdecydować tylko ludzie o żelaznych nerwach, którzy potrafią dokonać wyboru: albo znosić jego ciężar, lub też, gdy za bardzo uciska, użyć swej wielkiej siły dla dobrego celu i odrzucić go natychmiast od siebie. Ten wątpliwy i przewrażliwiony człowiek nie mógł się zdobyć ani na jedno, ani na drugie, a zarazem próbował i tego, i tego, tak że przeciwne działania splatały się ciągle w ten sam nierozwiązalny węzeł, w udrękę urągającej Niebiosom winy i próżnej pokuty.

Tak więc, gdy pan Dimmesdale stał na szafocie w próżnym geście ekspiacji, groza ogarnęła jego duszę, tak jakby cały wszechświat patrzył na szkarłatny znak na jego nagiej piersi, tuż nad sercem. W istocie tam właśnie kryło się już od dawna zatrute, dręczące ostrze fizycznego bólu. Bez żadnego udziału woli, niepowstrzymanie, z gardła wydarł mu się przeraźliwy krzyk, który przeszył noc, szedł stokrotnym echem od domu do domu i odbił się od dalekich gór. Zupełnie jakby stado diabłów, słysząc w nim tyle rozpacz i grozy, zaczęło bawić się tym dźwiękiem, odrzucając go sobie jak piłkę.

- Dokonało się! - szepnął pastor, skrywając twarz w dłonie. - Całe miasto obudzi się, przybiegnie i znajdzie mnie tutaj!

Lecz tak nie było. Krzyk zabrzmiał pewnie znacznie silniej w jego własnych, porażonych nagle strachem uszach, niż w rzeczywistości. Miasto nie obudziło się, a jeśli nawet, to zaspani obywatele uznali, że był to zły sen lub nawoływania czarownic, których głosy w owych czasach często słyszano w osadach lub koło samotnych chat podczas ich nocnych lotów z Szatanem. Pastor zatem, nie słysząc żadnych odgłosów zamieszania, odjął dłonie od oczu i rozejrzał się. W jednym z okien rezydencji gubernatora Bellinghama, która stała w pewnej odległości przy innej ulicy, ujrzał postać samego wiekowego gubernatora z lampą w ręku, w białej szlafmycy na głowie i w długiej, białej szacie nocnej. Wyglądał niczym duch wywołany nie w porę z grobu. Krzyk widocznie wyrwał go ze snu. Poza tym w drugim oknie tego samego domu ukazała się stara pani Hibbins, siostra gubernatora, również z lampą, z twarzą, której kwaśny, niezadowolony wyraz widziało się nawet z tak daleka. Wysunęła głowę przez okno i niespokojnie patrzyła w górę. Nie było cienia wątpliwości, że czcigodna pani wiedźma usłyszała okrzyk pana Dimmesdale, a jego liczne echa i pobrzmiwania wytłumaczyła sobie jako wrzaski diabłów i nocnych czarownic, z którymi, jak dobrze wiadano, odbywała wycieczki w las.

Widząc odblask lampy gubernatora Bellinghama, starsza pani szybko zgasła swoją i znikła. Może poszybowała w górę ku chmurom. Pastor nie widział jej już teraz. Dostojnik przez chwilę bacznie obserwował ciemności, ale z takim samym skutkiem, jakby patrzył w kamień młyński - po czym odszedł od okna.

Pastor nieco się uspokoił. Po chwili jednak oczy jego dostrzegły migocące światełko, najpierw w oddali, które zaczęło się przybliżać, wywołując z ciemności znajome przedmioty: to jakiś słup, to płot ogrodu, tu okratowaną szybę okienną, tam znów pompę z korytem pełnym wody, a potem sklepione drzwi dębowe z żelazną kołatką i z grubo ciosaną kłodą zamiast progu.

Wielebny pan Dimmesdale obserwował wszystkie te drobne szczegóły, choć przez cały czas był święcie przekonany, że wraz z krokami, które już teraz słyszał, skrada się ku niemu zguba; że za parę chwil światło latarni padnie na niego i odkryje jego długo tajony sekret. Gdy światło się zbliżyło, ujrzał w jego jasnym kręgu swego kolegę-duchownego, lub ściślej mówiąc duchownego-ojca, a zarazem wysoko cenionego przyjaciela - wielebnego pana Wilsona, który, jak zgadywał teraz pan Dimmesdale, musiał przed chwilą odprawiać modły przy łóżku konającego. I tak było. Zaczny, stary kapłan wracał od łoża śmierci gubernatora Winthrop, który w tej właśnie godzinie przeniósł się z ziemi do nieba. A teraz - okolony niby święci dawnych czasów promienną aureolą światła, w glorii wśród tej mrocznej nocy grzechu, jak gdyby zmarły gubernator przekazał mu w spadku własną glorię, albo też oblał go daleki blask niebiańskiego grodu w czasie, gdy spoglądał za swym zwyczajnym pielgrzymem, przekraczającym jego bramy - teraz, krótko mówiąc, pan Wilson zdążył ku domowi, oświetlając sobie drogę zapaloną latarnią. Powyższe zabawne koncepty nasunął panu Dimmesdale blask, otaczający tego luminarza.

Pastor uśmiechnął się, a nawet się roześmiał - a potem przestraszył się, że wpada w obłąd.

Gdy wielebny pan Wilson mijał szafot, starannie otulając się jedną ręką w sutannę, drugą zaś przytrzymując u piersi latarnię, pan Dimmesdale zaledwie mógł się powstrzymać, by nie zawołać do niego:

- Dobry wieczór wielebnemu panu Wilsonowi! Przyjdźcie tu do mnie, proszę, spędzimy razem miło tę godzinę!

Wielkie nieba! Czyżby pan Dimmesdale naprawdę przemówił? Przez chwilę zdawało mu się, iż rzeczywiście wypowiedział te słowa. Lecz była to tylko wyobraźnia. Wielebny ojciec Wilson szedł dalej powoli, patrząc uważnie pod nogi na błotnistą ścieżkę i ani razu nie obejrzał się na grzeszny szafot. Gdy światło połyskującej latarni całkiem znikło, pastor poznał po omdlałości, jaka ogarnęła jego członki, że przez te chwile przeżył paroksyzm okropnego przerażenia, choć jego umysł mimo woli szukał ulgi - stąd przebłyksi posępnego humoru.

Wkrótce potem znów cień wisielczego humoru przerwał ponure majaki jego myśli. Czuł, jak od nocnego chłodu, do którego nie nawykł, zeszywniały mu nogi, i ogarnęły go wątpliwości, czy potrafi zejść z szafotu. Nadejdzie dzień, a on ciągle będzie tutaj. Sąsiednie domy zaczną się budzić. Ten, kto wstanie pierwszy, zbliżając się o zamglonym świetle zobaczy niewyraźny zarys postaci na górze, na miejscu hańby, i ogłupiały ze strachu i zdumienia pobiegnie, pukając od drzwi do drzwi, wzywając wszystkich, by przyszli zobaczyć ducha jakiegoś zmarłego przestępcy - bo na pewno tak pomyśli. W słabym świetle świtu stłumiony zgiełk przeleci na skrzydłach od jednego domu do drugiego. A potem już zacznie się rozjaśniać -? się starszyzna; pośpieszą dostojni mężowie w swoich barchanowych gieźlach i matrony, które nie zdążą odmienić nocnego stroju. Całe plemię godnych osobistości, których dotychczas nikt nie oglądał z jednym bodaj włoskiem nie na swoim miejscu, ukaże się publicznie w stanie koszmarnego nieładu. Stary gubernator Bellingham wyruszy z ponurą miną, z krzywo przypiętą krezą na modłę króla Jakuba, a pani Hibbins przybędzie w sukni obsypanej jeszcze gałązkami z lasu i z miną jeszcze bardziej kwaśną niż zwykle, bo po nocnych jazdach nie zdąży nawet zmrużyć oka, podobnie jak zacny pan Wilson, który pół nocy spędził u łoża śmierci i nie w smak mu będzie zrywać się tak wcześnie ze snów o chwale świętości. Przyjdzie tu również starszyzna kościelna i diakoni z parafii pana Dimmesdale i młode dziewice, które tak wielbiły swego kapłana i nosiły jego obraz jak świętość w białej piersi - której zresztą nie zdążą nawet okryć chustą w tym pośpiechu i zamieszaniu. Jednym słowem wszyscy tu przybiegną pędem, potykając się na progach, i otoczą szafot, zadzierając do góry zdumione i grozą nabrzmiałe oblicza. I kogo tam ujrzą w czerwieni wschodzącego słońca barwiącej mu czoło? Kogóż by innego, jak nie wielebneho Artura Dimmesdale, zmarłego prawie na śmierć, okrytego wstydem, stojącego tam, gdzie niegdyś stała Hester Prynne!

Tak go rozbawiła groteskowa groza tego obrazu, że mimo woli, ku swemu wielkiemu przerażeniu, pastor wybuchnął gromkim śmiechem. Odpowiedział mu natychmiast lekki, dźwięczny śmiech dziecka, w którym ze skurczem serca - nie

wiedział, czy był to skurcz dotkliwego bólu, czy równie gwałtownej przyjemności - rozpoznał głos małej Pearl.

- Pearl! Pearl, dziecko! - zawołał po chwili wahania, a potem ciszej: - Hester, Hester Prynne! Czy jesteś tam?

- Tak, to ja, Hester Prynne - odrzekła zdziwionym tonem. Pastor usłyszał kroki rozlegające się na chodniku, którym przechodziła. - To ja i moja mała Pearl.

- Skąd idziesz, Hester? - zapytał pastor. - Kto cię tu przysłał?

- Czuwałam przy łożu śmierci - odrzekła Hester Prynne. - Przy łożu śmierci gubernatora Winthropa. Brałam miarę na suknie do trumny, a teraz wracam do domu.

- Chodź tu do mnie, Hester, przyjdźcie obie z Pearl - rzekł wielebny pan Dimmesdale. - Byłyście już tu kiedyś obie, lecz mnie z wami nie było. Wejdźcie teraz raz jeszcze, postoiemy razem we troje!

W milczeniu weszła na stopnie i stanęła na platformie, trzymając za rękę Pearl. Pastor poszukał w ciemnościach drugiej rączki dziecka i ujął ją. W chwili, gdy to zrobił, poczuł, że do serca napływa mu gwałtowna fala nowego życia, innego niż jego własne, rwący strumień przenikający do wszystkich żył, jakby ta matka i to dziecko przelały ciepło własnej żywotności w jego zdrętwiałe ciało. We troje tworzyli elektryczny łańcuch.

- Pastorze! - szepnęła mała Pearl.

- Co mi chcesz powiedzieć, dziecko? - spytał pan Dimmesdale.

- Czy przyjdiesz postać tu z matką i ze mną jutro w południe?

- Nie, nie przyjdę, moja maleńka - odpowiedział kapłan, gdyż z napływem nowej energii powrócił strach przed publiczną kompromitacją, który tak długo był udręką jego życia, i już przejęła go niepokojem sytuacja, w jakiej się znalazł - to połączenie się z nimi, choć przecież tyle mu dało przedziwnej radości. - Nie, moje dziecko. Będę tu jeszcze stał z twoją matką i z tobą któregoś innego dnia, ale nie jutro!

Pearl zaśmiała się i chciała wyrwać swą rączkę. Lecz pastor trzymał ją mocno.

- Jeszcze chwileczkę, moje dziecko.

- Ale czy obiecujesz - ciągnęła Pearl - że weźmiesz mnie za rękę i matkę za rękę jutro w południe?

- Jutro nie, Pearl - odparł pastor. - Innym razem.

- A kiedy innym razem? - upierało się dziecko.

- W dzień Wielkiego Sądu - szepnął pastor. Rzecz dziwna - do takiej odpowiedzi na pytanie dziecka skłoniło go poczucie, że z zawodu swego zajmował się nauczaniem prawdy. - Wtedy i tam, przed trybunałem sądu, twoja matka i ja musimy stanąć razem. Lecz światło dzienne tego świata nie ujrzy naszego spotkania!

Pearl znów się roześmiała.

Lecz nim jeszcze pastor skończył mówić, jakieś światło zabłysło w oddali i rozświetliło całe zasnuwane chmurami niebo. Niewątpliwie pochodziło ono od jednego z meteorów, które czuwający w nocy tak często widują - ciał wypalających się na darmo do cna w pustych rejonach naszej atmosfery. Tak potężny był jego blask, że

prześwietlał całkowicie gęste pokłady chmur między niebem i ziemią. Wielkie sklepienie zajaśniało niczym kopuła olbrzymiej lampy, ukazując znajome ulice tak wyraźnie, jak w biały dzień, lecz wyglądało to niesamowicie, jak zwykle, gdy znane nam przedmioty ukazują się w niezwykłym oświetleniu. Drewniane domy z występami pięterek i z dziwacznymi, ostrymi wieżyczkami, progi i ganki z porastającą wokół świeżą trawą, ogródki, czarne od świeżo skopanej ziemi, mało wyjeżdżony trakt kołowy, obrzeżony zielenią po obu stronach - wszystko widziało się jasno, lecz w tak dziwny sposób, jakby rzeczy tego świata nabrały innego sensu moralnego, niż kiedykolwiek dotąd. A tu stał pastor z dłonią na sercu i Hester Prynne z połyskującą na piersi szkarłatną literą, i mała Pearl - symbol sam w sobie i ogniwo łączące tych dwoje. Stali w tej dziwnej i uroczystej jasności, niczym w samo południe, jakby to było światło, które odkryje wszystkie sekrety, i świtanie, które połączy wszystkich, co do siebie nawzajem należą.

W oczach Pearl zapaliły się chochliki. Spojrzała na pastora, a na jej uniesionej ku górze twarzyczce igrał szelmowski uśmiech, nadający jej tak często wygląd małego elfa. Uwolniła rączkę z dłoni pana Dimmesdale i wyciągając ją wskazała na drugą stronę ulicy. Lecz pastor splótł dłonie na piersi i wpatrywał się w zenit.

Tłumaczenie wszelkich zjawisk przyrody, występujących mniej regularnie, niż wschody i zachody słońca i księżyca - meteorów i tym podobnych - jako objawień pochodzących ze źródeł nadprzyrodzonych, było najzwyczajniejszą rzeczą w owych czasach. Zgodnie z tym świetlista włócznia, płomienny miecz, łuk lub pęk strzał, oglądane na niebie wśród nocy, przepowiadały wojnę z Indianami. Zarazę, jak wierzono, miał wróżyć deszcz karmazynowych iskier. Jest rzeczą wątpliwą, czy zdarzały się w Nowej Anglii jakieś ważne wypadki, zło czy dobro, od czasów osadniczych aż po Rewolucję, o których by mieszkańców nie ostrzegał jakiś tego rodzaju znak. Nierzadko widok taki oglądało wielu ludzi. Częściej jednak wiarygodność wystąpienia zjawiska potwierdzała jedynie wiara samotnego świadka, który oglądał ów cud przez kolorowe, powiększające i zniekształcające oczy swej wyobraźni, a później jeszcze dodatkowo w myślach uzupełniał jego kształty. Była to rzeczywiście odważna idea, że losy narodów zapisane są w tych grozę budzących hieroglifach na sklepieniu nieba. Arkusz pergaminu tych rozmiarów nie wydawał się zapewne zbyt wielki dla Opatrzności, wypisującej na nim przeznaczenia ludów. Były to ulubione wierzenia protoplastów, gdyż zdawały się świadectwem szczególnej, bliskiej i pieczołowitej opieki Niebios nad ich młodziutkimi państewkami. Lecz co powiedzieć, gdy pojedynczy człowiek odkrywa na tej samej wielkiej karcie zapisu przesłanie skierowane do niego jedynie? W takim przypadku może to być tylko objawem poważnego zamęcenia umysłu, gdy ktoś, kogo dotkliwy, długotrwały i tajony ból uczynił chorobliwie skłonny do introspekcji, rozciąga swój egotyzm na całą naturę, tak że sam firmament niebieski wydaje mu się zupełnie odpowiednim miejscem do wpisania weń jego duchowych perypetii i przyszłych losów.

Sądźmy zatem, że tylko chorobliwy stan jego oczu i serca sprawił, iż pastor, spoglądając ku zenitowi, ujrzał tam kształt olbrzymiej litery - litery A, wypisanej liniami z czerwonego światła. Owszem, meteor mógł się w tej chwili ukazać,

przeświecając przez zasłone chmur, lecz na pewno nie miał takiego kształtu, w jaki ubrała go wyobraźnia i nieczyste sumienie pastora, a przynajmniej nie był on aż tak wyraźny, by inny grzesznik nie mógł w nim dojrzeć innego z kolei symbolu.

Jedna zwłaszcza okoliczność dobrze określała stan psychiczny pana Dimmesdale w tej chwili. Przez cały czas, gdy patrzył na niebo, był zupełnie świadomy faktu, że mała Pearl wskazuje palcem na Rogera Chillingwortha, który stał nie opodal szafotu. Jednym spojrzeniem pastor ogarniał i cudowną literę, i lekarza. Światło meteoru nadało twarzy tego człowieka, podobnie jak wszystkiemu naokoło, nowy wyraz. Może w tej chwili nie zwracał tyle uwagi, co zwykle, aby ukryć wrogość, z jaką patrzył na swą ofiarę. Oczywiście skoro meteor, który rozpałił niebo i obnażył ziemię, mógł Hester Prynne i pastrowi wydać się groźnym przypomnieniem o dniu Sądu Ostatecznego, to Roger Chillingworth z okrutnym swym uśmiechem mógł w ich oczach utożsamić się z Szatanem, co przybył po swoją zdobycz. Tak wymowny był wyraz jego twarzy i tak mocno przejęło to pastora, że po zniknięciu meteora, gdy ulica i wszystko inne zapadło się natychmiast w nicość, ciągle jeszcze oczyma duszy widział uśmiech lekarza, jakby namalowany na tle ciemności.

- Kim jest ten człowiek, Hester? - wyjąkał pan Dimmesdale przejęty grozą. - Drzę na jego widok! Czy znasz go? Ja go nienawidzę, Hester!

Pamiętna na swą przysięgę milczała.

- Mówię ci, moja dusza truchleje na jego widok - wyszeptał znów pastor. - Kim on jest? Kim on jest? Czy nie możesz mi pomóc? On mnie przejmuje grozą!

- Pastorze! - odezwała się mała Pearl. - Ja ci powiem, kim on jest.

- To powiedz szybko, dziecko - rzekł pastor, nachylając ku niej ucho. - Szybko i tak cicho jak możesz, szeptem.

Pearl wymamrotała mu coś do ucha, co brzmiało może jak ludzka mowa, lecz było tylko jakimś dziwnym narzeczem, jakim dzieci czasami godzinami paplą dla zabawy. W każdym razie, jeśli nawet zawierało jakieś poufne wyjaśnienie co do osoby starego Rogera Chillingwortha, było ono wyrażone językiem nie znanym wykształconemu pastrowi i tylko wzmogło zamęt w jego umyśle. W chwilę później niesamowite dziecko wybuchnęło śmiechem.

- Czy śmiejesz się teraz ze mnie? - spytał pastor.

- Ty się bałeś! Byłeś dla nas niedobry! Nie chciałeś obiecać nam, że weźmiesz za rękę mnie i matkę jutro w południe!

- Czcigodny panie - odezwał się lekarz, który tymczasem zbliżył się do stóp platformy. - Świątobliwy panie Dimmesdale! Czy to wy? Czy to być może? Dziwy, dziwy zaprawdę! Nam, ludziom nauki zatopionym w księgach potrzeba kogoś, kto by nas pilnował! Śnimy wtedy, gdy nie śpimy, a śpiący wyruszamy w drogę. Pójdź, zacny panie i mój drogi przyjacielu, proszę cię, pozwól, bym odprowadził cię do domu.

- Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj? - spytał z lękiem pastor.

- Prawdziwie i szczerze nic takiego nie wiedziałem - odparł Roger Chillingworth. - Spędziłem większą część nocy u łóża czcigodnego gubernatora

Winthropa, czyniąc to, na co pozwalały mi moje skromne umiejętności, by przynieść mu ulgę. Gdy wrócił do lepszego świata, który jest teraz jego domem, udałem się w drogę powrotną, a wtedy zajaśniało to dziwne światło. Pójdź ze mną, wielbny panie, zaklinam cię. Inaczej będziesz zbyt słaby, by odprawić jutro swą służbę w dzień Pański. Oj, te księgi! Powinieneś mniej zajmować się nauką i zażyć trochę rozrywki - inaczej te nocne dziwactwa wejdą ci w nawyk.

- Pójdę z tobą do domu - powiedział pan Dimmesdale. Przygarbiony, drżący, jak ktoś, kto budzi się bezsilny z ohydneho snu, poddał się opiece lekarza i pozwolił się odprowadzić.

Następnego dnia, a była to niedziela, wygłosił kazanie, które uznano za najwspanialsze, najbardziej przejmujące i najbardziej przepojone świętością, jakie kiedykolwiek wypowiedziały jego usta. Wiele dusz, jak powiadają, nawróciło się na drogę prawdy pod wpływem tego kazania i przysięgło na długie lata zachować pobożną wdzięczność dla pana Dimmesdale. Lecz gdy schodził ze stopni kazalnicy, podszedł do niego siwobrody zakrystian, pokazując mu czarną rękawicę, w której pastor rozpoznał swoją własność.

- Ktoś ją znalazł - powiedział zakrystian - dziś rano na szafocie, gdzie wystawia się złoczyńców na publiczne pohańbienie. Widzi mi się, że rzucił ją tam Szatan dla sprośnego kawału przeciw waszej wielmożności. Ale musiał być ślepy i głupi jak zawsze. Czysta ręka nie musi okrywać się rękawicą!

- Dziękuję ci, mój pocziwcze - rzekł pastor z powagą, choć serce ścięło mu się lękiem; gdyż wszystko tak mąciło mu się w pamięci, że zdołałomalże wmówić sobie, iż wydarzenia zeszłej nocy były majakiem wyobraźni. - Tak, to chyba moja rękawica.

- A skoro Szatan ją ukradł, wasza wielmożność musi koniecznie zabrać się do niego bez rękawiczek! - zauważył zakrystian z posępnym uśmiechem. - Ale czy wasza wielmożność słyszał, jaki to znak widziano zeszłej nocy? Wielką, czerwoną literę na niebie, literę A, co jak mniemają ludzie, ma oznaczać anioła. Bo kiedy nasz zacny gubernator Winthrop tej nocy został aniołem, pewnie postanowiono tam, że wypada uczynić jakiś znak.

- Nie - odrzekł pastor. - Nie słyszałem o tym.

XIII Hester z innej strony

Podczas tego ostatniego, dziwnego spotkania z panem Dimmesdale Hester Prynne była wstrząśnięta widząc, w jakim stanie nerwów znajduje się pastor. Zdawało się, że całkowicie utracił zdolność panowania nad sobą. Jego siła moralna spadła poniżej poziomu dziecięcej słabości, jak u kogoś bezbronnego, kto został powalony na ziemię - mimo że umysł jego zachował dawną moc, a nawet przejawiał anormalną wprost aktywność, jaką zrodzić mogła tylko choroba. Znając okoliczności ukryte przed innymi, mogła się łatwo domyślać, że prócz uzasadnionych niepokoju sumienia działały tu jakieś ciemne machinacje, niszczące zdrowie i spokój pana Dimmesdale. Wiedziała, kim był ten biedny, upadły człowiek i poruszyły ją do głębi duszy bezradność i przerażenie, które kazały mu zwrócić się do niej - wyklętej kobiety - o pomoc i ratunek przed wrogiem, którego odgadł wiedziony instynktem. Uznała też, że ma on prawo żądać od niej wszelkiej pomocy, na jaką było ją stać. W swym długotrwałym odosobnieniu od społeczeństwa, odwykła od tego, by mierzyć pojęcia dobra i zła według oceny innych ludzi, Hester rozumiała - lub tak się jej zdawało - że w stosunku do pastora spoczywa na niej odpowiedzialność, do jakiej nie była zobowiązana wobec nikogo i niczego na świecie. Wszystkie więzy, które ją łączyły z całą ludzkością - czy to uplecione z kwiatów, z jedwabiu czy ze złota, czy też z innego materiału - zostały zerwane. Tu natomiast była mocna jak żelazo więź wzajemnej winy i grzechu, której ani on, ani ona nie mogli zniszczyć. Jak wszelkie inne więzy nakładało to pewne zobowiązania.

Obecna pozycja Hester różniła się nieco od tej, w jakiej widzieliśmy ją w pierwszym okresie jej hańby. Upływał rok za rokiem. Pearl miała obecnie siedem lat. Postać jej matki ze szkarłatną literą na piersi, jaśniejącą fantazyjnym haftem, od dawna spowszedniała w oczach mieszkańców miasta. Jak się często zdarza, gdy pewna osoba staje się obiektem ciekawości w społeczeństwie, a zarazem nie zagraża ani publicznym, ani prywatnym interesom i spokojowi, zaczęto powoli darzyć ją pewnym respektem. Na korzyść natury ludzkiej należy zapisać, że poza przypadkiem, gdy w grę wchodzi samolubstwo, bardziej skłonna jest kochać, niż nienawidzić. Nienawiść może nawet powoli i stopniowo przemienić się w miłość, jeśli zmianie nie przeciwdziała stałe pobudzanie początkowej wrogości. Jeśli chodzi o Hester Prynne, nie budziła ona wrogości i nie irytowała ludzi. Nigdy nie prowadziła z nimi walki, lecz poddawała się bez skargi najgorszemu traktowaniu. Niczego od nich nie żądała w zamian za swe cierpienia, nie domagała się współczucia. Również i nienaganną czystość jej życia przez te wszystkie lata, gdy dla swej hańby musiała trzymać się na uboczu, wielce liczone na jej korzyść. Skoro w opinii ludzkiej nie miała nic do stracenia i żadnej nadziei, a widać i chęci, by coś zyskać, mogło to być tylko szczere umiłowanie cnoty, które sprowadziło tę biedną zbłąkaną duszę z powrotem na dobrą drogę.

Zauważono również, że choć Hester nigdy nie żądała dla siebie najskromniejszych nawet praw do udziału w przywilejach tego świata, prócz prawa

do oddychania wspólnym powietrzem i do zarabiania na chleb codzienny dla małej Pearl i dla siebie sumienną pracą swoich rąk, okazywała gotowość uznania więzów braterstwa z ludźmi, gdy tylko chodziło o ofiarowanie pomocy. Nikt nie był bardziej od niej skłonny, by podzielić się skromnym dobytkiem, gdy potrzebował tego biedny, nawet gdy rozgoryczony biedak naigrawał się z niej w zamian za strawę, przynoszoną regularnie do jego drzwi, lub za odzież szytą rękoma, które mogłyby haftować królewskie szaty. Nikt nie działał z takim poświęceniem jak Hester, gdy miasto nawiedziła zaraza. We wszystkich okresach klęsk i nieszczęść ogólnych czy jednostkowych ta osoba, wyrzucona poza nawias społeczeństwa, od razu odnajdywała swoje miejsce. Wchodziła do domu omroczonego cieniem nieszczęścia nie jako gość, lecz jako prawowity mieszkaniec, jak gdyby ów posepny cień określał miejsce, w którym miała prawo obcować z bliźnimi. Tam błyszczała haftowana litera, a jej przedziwne barwy niosły światło pociechy. To, co wszędzie było znakiem grzechu, w pokoju chorego zmieniało się w płomyk świecy. Rzucało nawet blask w ostatniej godzinie cierpiącego, ponad granicami czasu. Wskazywało mu drogę, gdy gasło ziemskie światło, nim jeszcze zajaśniało mu światło wieczności. W takich sytuacjach ukazywało się bogactwo i ciepło natury Hester: źródło ludzkiej czułości, niezawodne tam, gdzie naprawdę jej potrzebowano, i niewyczerpane w obliczu największych choćby potrzeb. Jej pierś, naznaczona hańbą, tym bardziej kojące dawała oparcie głowie, która szukała oparcia. Była siostrą miłosierdzia z własnego wyświęcenia, a raczej wyświęciła ją ręka losu, choć nikt się tego nie spodziewał, ni świat, ni ona. Nawet blask tej litery zdawał się zapowiedzią jej powołania. Tak skutecznie umiała pomagać, tyle potrafiła zrobić i tak wielka była siłą jej współczucia, że wielu ludzi, zamiast ją zwać wedle znaczenia litery cudzołożnicą, widząc ją z daleka mówiło, że idzie do nich Niezawodna. Tak wielka była siła Hester Prynne, jej kobieca siła.

Zjawiała się tylko w domach nawiedzonych mrokiem. Gdy znów zaświeciło w nich słońce - już jej nie było, już jej sylwetka zniknęła za progiem. Pomocna dusza odchodziła nie obejrzawszy się ani razu, aby odebrać nagrodę wdzięczności, jeśli takie uczucie zagościło w sercach tych, którym tak gorliwie służyła. Spotykając ich potem na ulicy, nigdy nie podnosiła głowy, by przyjąć ich pozdrowienie. Jeśli chcieli do niej przemówić, wskazywała na szkarłatną literę i szła dalej. Mogła to być duma, lecz tak podobna do pokory, że wywierała łagodzący wpływ na ludzkie uprzedzenia. Tłum jest despotyczny w swych nastrojach, zdolny odmówić zwykłej sprawiedliwości temu, kto się jej domaga jako słusznego prawa; lecz równie często z chęcią przyzna więcej, niżby nakazywała sprawiedliwość, temu, kto odwoła się - a despoci zawsze to lubią - do jego wielkoduszności. Jeśli w tym świetle rozważymy skuteczność zachowania się Hester, trzeba przyznać, że ludzie skłonni byli teraz do okazywania jej więcej łaskawości, niż dawna ich ofiara sobie życzyła, a może i większej, niż zasługiwała.

Ci, co reprezentowali władzę, oraz uczeni mężowie dłużej się ociągali z uznaniem dobrych uczynków i dobroczyнного wpływu Hester, niż pospolita rzesza ludzka. Uprzedzenia, do pewnego czasu podzielane przez wszystkich, w ich

przypadku obwarowane były rozumowaniem i ta żelazna obręcz utrudniała wielce ich porzucenie. Mimo wszystko dzień po dniu ich kwaśne i nieugięte namarszczone oblicza troszkę łagodniały, tak że z biegiem lat można się było spodziewać, iż nabiorą wyrazuomalże zbliżonego do życzliwości. Tak się sprawy miały z wysoko postawionymi, którym stanowisko nakazywało strzec publicznej moralności. Prywatne osoby natomiast całkiem już wybaczyły Hester jej lekkomyślność; co więcej, zaczęły patrzeć na szkarłatną literę jak na symbol nie tego jednego grzechu, za który tak długo i ciężko pokutowała, lecz jej licznych dobrych uczynków. „Widzicie tę kobietę z haftowaną odznaką? - zapytywali obcych. - To nasza Hester, z naszego miasta. To ostoja dla biednych, pomoc dla chorych i pociecha nieszczęśliwych!” A potem, niestety - wskutek skłonności ludzkiej natury do omawiania jej najgorszych stron, gdy to najgorsze wciela się w inną osobę - opowiadali szeptem o strasznym skandalu lat minionych. Niemniej jednak na tych samych ludziach, co o owych sprawach opowiadali, szkarłatna litera wywierała takie wrażenie, jak krzyż na piersi siostry zakonnej: uświęcała tę, co ją nosiła, i pozwalała jej chodzić bezpiecznie wśród wszelkich niebezpieczeństw. Gdyby dostała się między złodziei, nic by jej się nie stało. Opowiadano - Able (ang.) - zdolna, ta, co wszystko potrafi i wielu w to wierzyło - że pewien Indianin wypuścił strzałę wprost na tę odznakę. Strzała trafiła w cel, po czym spadła na ziemię, nie czyniąc jej żadnej krzywdy.

Na psychikę samej Hester skutki noszenia symbolicznej odznaki, a raczej skutki pozycji w społeczeństwie przez nią określonej, oddziaływały w sposób szczególny i bardzo silnie. Wszystko, co w niej było bez troski, swobodne, pełne wdzięku, opadło z niej już dawno jak liście zwarzone tym palącym piętnem, pozostawiając nagi, szorstki pień; mógł on działać odpychająco, gdyby posiadała przyjaciół i towarzyszy, którzy by to odczuli. Zmieniła się w podobny sposób nawet jej uderzająca uroda, być może wskutek rozmyślnej surowości stroju, a po części i powściągliwości w zachowaniu. Smutna również była to przemiana, gdy znikły jej gęste, wspaniałe włosy, pewnie obcięte, lub tak zupełnie schowane pod nakryciem głowy, że ani jeden lśniący lok nigdy się nie wysunął, aby zabłysnąć w słońcu. To wszystko i jeszcze inne, ważniejsze może przyczyny sprawiały, że w twarzy Hester nie widziało się nic, co mogłoby przyciągnąć miłość. W jej postaci, mimo majestatycznych, posągowych kształtów nie było nic, co budziłoby pragnienie namiętnego uścisku - i nic w jej piersi, co by uczyniło ją przystanią czułości. Straciła te cechy, które są esencją kobiecości. Taki często jest los i takie zmiany zachodzą w kobiecie, którą życie ciężko doświadczyło. Jeśli wszystko jest w niej czułością i wrażliwością - umrze. Jeśli przeżyje, czułość zostanie zgnieciona i zniszczona, bądź też zamknie się tak głęboko w jej sercu, że nigdy już się nie ukaże, a na zewnątrz efekt będzie ten sam. Może jednak ta druga teoria jest bliższa prawdy: ta, co kiedyś była kobietą i przestała nią być, mogłaby w każdej chwili znów stać się kobietą, gdyby jakaś magiczna siła wywołała to przeistoczenie. Zobaczmy, czy Hester napotka taką siłę i czy zostanie przeistoczona.

Wiele z tego marmurowego chłodu bijącego od Hester wynikało z faktu, iż życie jej od uczuć i namiętności odwróciło się ku myśli. Samotna wśród świata, niezależna od ludzi, z małą Pearl, którą musiała kierować i osłaniać, samotna bez nadziei odzyskania dawnej pozycji, nawet gdyby duma nie zabraniała jej takich pragnień - odrzuciła precz szczątki zerwanych więzów. Prawa tego świata nie były prawem dla jej umysłu. Był to wiek, gdy umysł ludzki przeżywał emancypację, obejmując swym zasięgiem więcej spraw i będąc bardziej aktywnym, niż to się działo od wielu stuleci. Ludzie miecza obalali książęta i monarchów. Ludzie bardziej od nich nieustraszeni obalali i zmieniali - nie w praktyce, lecz w teorii, która była ich całkowicie realną domeną - całe systemy prastarych przesądów, z jakimi wiązały się liczne starodawne zasady. Hester Prynne z tego ducha czerpała natchnienie. Pozwalała sobie na rozmyślenia i spekulacje dość powszechne po drugiej stronie Atlantyku, lecz gdyby wiedzieli o nich nasi przodkowie, uznaliby je za grzech bardziej śmiertelny niż ten, który piętnowała szkarłatna litera. W jej samotnej chatce nad brzegiem morza nawiedzały ją myśli, jakich nikt nie odważyłby się wpuścić do żadnego innego mieszkania w Nowej Anglii - tajemniczy goście, których obecność oznaczałaby zgubę dla gospodyni, jak w razie odwiedzin demonów, gdyby ktoś bodaj zobaczył je stukające do jej drzwi.

Jest rzeczą zastanawiającą, że osoby zdolne do najwyższej śmiałości w myśleniu często stosują się z najwyższym spokojem ducha do zewnętrznych reguł obowiązujących w społeczeństwie. Wystarcza im wolność myśli, nie muszą oblekać ich w ciało i krew działania. Tak widać było i z Hester. A jednak, gdyby nie przybyła do niej z zaświatów mała Pearl, sprawy mogłyby potoczyć się całkiem inaczej. Wówczas może stałaby się postacią historyczną, obok Anny Hutchinson, jako założycielka sekty religijnej. Lub też mogłaby w pewnym okresie swego życia wystąpić jako prorokini. Mogłaby ją spotkać - i zapewne spotkałaby ją - śmierć z wyroku surowych trybunałów tego okresu, za próbę podważenia podstaw purytańskich rządów. Lecz prężność umysłu Hester znalazła pewne ujście w wychowywaniu dziecka. Opatrzność powierzyła jej, w osobie córeczki, obowiązek opieki nad tym pączkiem i kwiatem kobiecości, który miał z miłością pielęgnować i czuwać nad jego rozwojem wśród licznych trudności. Wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Świat był wrogi. Także z charakterem dziecka coś było nie w porządku, coś ustawicznie dawało odczuć, że urodziła się nie tak, jak należy, jako owoc występnej namiętności matki - i Hester często zadawała sobie pytanie, czy to biedne stworzenie przyszło na świat na dobre, czy na złe.

Wprawdzie to samo posępne pytanie często rodziło się w jej myślach w odniesieniu do całego świata kobiet. Czy ich egzystencja, nawet tych najszczęśliwszych, była w ogóle do przyjęcia? Co do własnego osobistego życia, już dawno odpowiedziała na to przecząco i uważała sprawę za przesądzoną. Skłonność do myślowych spekulacji czyni kobietę - podobnie jak i mężczyznę - spokojną, lecz zarazem czyni ją smutną. Może widzi ona beznadziejność piętrzących się przed nią zadań. Pierwszy krok - to zburzenie całego systemu społecznego i zbudowanie go od nowa. Następnie, zanim wolno będzie kobiecie zająć należną i godną jej pozycję,

trzeba by zmienić naturę płci przeciwnej, bądź też długotrwałe, odziedziczone nawyki, które stały się drugą naturą. A w końcu, gdy wszystkie inne trudności zostaną przezwyciężone, kobieta nie będzie umiała korzystać z tych wstępnych reform, póki w niej samej nie zajdą jeszcze większe przemiany; lecz wówczas może się okazać, iż owa nieuchwytna istota jej natury, w której żyje najprawdziwiej, gdzieś się ulotniła. Kobieta nigdy nie pokona tych problemów pracą myśli. Są one niemożliwe do rozwiązania - chyba tylko jedynym sposobem: jeśli jej serce bierze górę, problemy znikają. Tak więc Hester Prynne, której serce nie biło już zdrowym rytmem, błądziła bez kierunku po ciemnych labiryntach myśli, to zbaczając z drogi, gdy natknęła się na przepaść nie do przebycia, to znów zawracając od głębokiej rozpadliny. Wszędzie dookoła rozciągał się dziki, upiorny krajobraz i nigdzie nie było domu ni pociechy. Czasami jej duszę ogarniało straszliwe zwątpienie - czy nie lepiej wyprawić małą Pearl natychmiast do Nieba, a samej udać się w taką przyszłość, jaką zgotuje dla niej Odwieczna Sprawiedliwość.

Szkarłatna litera nie spełniła swego zadania.

Teraz jednak spotkanie z panem Dimmesdale w noc jego czuwania dało jej nowy temat do rozmyślań i podsunęło jej cel, którego osiągnięcie zdawało się warte wszelkich wysiłków i poświęceń. Widziała ogrom cierpienia, z jakim się zmagał, a raczej już przestał się zmagać. Ujrzała, że znalazł się na granicy obłędu - jeśli już jej nie przekroczył. Nie było wątpliwości, że choć tajone wyrzuty sumienia wydatnie się do tego przyczyniły, musiała tu działać jakaś subtelniejsza trucizna, wsączana w te rany dłonią, która miała je leczyć. U jego boku czuwał wróg ukryty pod maską przyjaciela i korzystając z tej okazji niepostrzeżenie drażnił i niszczył delikatny ustrój nerwowy pana Dimmesdale. Hester musiała sobie zadać pytanie, czy od początku nie było jej winą - jej braku prawdomówności, odwagi i lojalności - że pozwoliła, aby pastor znalazł się w położeniu, które zapowiadało tyle zła, a nie wróżyło nic pomyślnego. Co mogło ją usprawiedliwić, to tylko fakt, że nie widziała żadnego innego sposobu ocalenia go od ruiny całego życia większej niż ta, która dotknęła ją samą. Jedynym wyjściem było przyjęcie warunku Rogera Chillingwortha - zatajenia, kim był naprawdę. Tym impulsem wiedziona, uczyniła wybór i jak się okazało, wybrała coś gorszego. Teraz postanowiła więc naprawić swój błąd na tyle, na ile jeszcze się dało. Lata ciężkich prób zahartowały jej siły. Już nie czuła się zbyt bezbronna, by przeciwstawić się Rogerowi Chillingworthowi, jak owej nocy, gdy poniżona przez swój grzech i na pół oszalała z upokorzenia po przeżyciu hańby, do której jeszcze nie nawykła, rozmawiała z nim w więziennej celi. Od tej pory pozycja jej wzrosła. Starzec zaś przybliżył się do jej poziomu, lub może stoczył się jeszcze głębiej niż ona, zniżając się do niecnej zemsty.

Jednym słowem Hester postanowiła zobaczyć się ze swym byłym mężem i zrobić, co było w jej mocy, by ocalić ofiarę, którą, jak widać, mocno chwycił w szpony. Okazja nadarzyła się niebawem. Pewnego popołudnia, idąc razem z Pearl przez małą uczęszczaną część półwyspu, ujrzała starego lekarza, jak z koszykiem na jednej ręce i z kijem w drugiej pochylał się nad ziemią, szukając korzeni i ziół, potrzebnych do przyrządzania leków.

XIV Hester i lekarz

Hester poprosiła małą Pearl, by poszła nad wodę i pobawiła się muszelkami i splątanymi wodorostami, gdyż matka chce porozmawiać chwilę z tym panem, który zbiera zioła. Dziecko pomknęło jak ptak i zrzuciwszy obuwie zaczęło biegać i deptać małymi, białymi, bosymi nóżkami po wilgotnym piasku nad skrajem morza. Co jakiś czas Pearl zatrzymywała się i z ciekawością patrzyła w kałuże pozostawione przez odpływ, widząc w nich swoją twarz jak w lustrze. Z kałuży wyglądał ku niej obrazek małej dziewczynki z główką okoloną ciemnymi, lśniącymi lokami i z szelmowskim uśmiechem w oczach. W braku innych towarzyszy zabawy Pearl zapraszała tę drugą, by wzięła ją za rączkę i pobiegła z nią się ścigać. Lecz zjawiskowa dziewczynka też kiwała na nią ręką, jakby chciała powiedzieć: „Tu jest lepiej! Chodź do mnie, do sadzawki!” - i Pearl wchodziła do wody, a zanurzając nogi do pół łydki widziała na dnie własne, białe stopki, podczas gdy gdzieś z głębi przeblyskiwał obraz uśmiechu, migocąc w poruszonej wodzie.

W tym czasie matka podeszła do lekarza.

- Chcę z wami zamienić kilka słów - powiedziała - o rzeczach, które dotyczą nas obojga.

- Aha, pani Hester ma coś do powiedzenia staremu Rogerowi Chillingworthowi? - odrzekł, prostując się. - Służę z całego serca! Ale cóż to, pani Hester, słyszę o was same dobre rzeczy ze wszystkich stron! Nie dawniej jak wczoraj wieczorem pewien wysoki urzędnik, mąż wielkiej mądrości i zacności, rozmawiał o waszych sprawach i szepnął mi, że na posiedzeniu Rady podniesiono pewną kwestię was dotyczącą. Debatowano, czy można by bez narażenia zdrowia moralnego społeczności zdjąć tę szkarłatną literę z waszej piersi, czy też nie. Jako żywo, Hester, błagałem czcigodnego sędziego, aby to natychmiast uczyniono!

- Zdjęcie tego znaku nie zależy od woli sędziów - odrzekła spokojnie Hester. - Gdybym była tego godna, odpadłaby sama przez się lub zmieniłaby się w coś głoszącego odmienną treść.

- Dobrze więc, noście ją, jeśli wam to lepiej dogadza - odparł. - Kobieta musi robić to, co jej się podoba, jeśli chodzi o przystrajanie własnej osoby. Litera jest ozdobnie wydziergana i ładnie wygląda na waszym staniku.

Przez cały ten czas Hester przyglądała się bacznie starcowi, wstrząśnięta i zdumiona zmianą, jaka w nim zaszła przez te siedem minionych lat. Nie dlatego, że posunął się w latach, bo choć znać było na nim ząb czasu, jak na swój wiek dobrze się trzymał, a w ruchach był żywy i dziarski. Lecz to, co dawniej uderzało w jego wyglądzie - i co najlepiej zapamiętała - spokój i godność człowieka mądrego i uczonego, całkowicie znikło. Na to miejsce zjawił się wyraz jakiejś gorączkowej, omalże dzikiej, starannie skrywanej podejrzliwości i zawziętości. Wyraźnie starał się to zamaskować uśmiechem, lecz i uśmiech go zdradzał, wykrzywiając mu twarz grymasem szyderstwa, w którym jego brzydkie cechy tym bardziej wychodziły na jaw. Od czasu do czasu oczy jego zapalały się czerwonym światłem, jakby dusza

starca była w ogniu i tliła się w piersi stłumionym żarem, rozniecanym niekiedy przelotnym wybuchem pasji, aż strzelał z niej nagły płomień. Starał się go stłumić jak najszybciej i przybierał obojętny wyraz, jakby nic takiego nie zaszło.

Jednym słowem stary Roger Chillingworth był żywym dowodem, jak łatwo człowiek może przemienić się w diabła, gdy tylko na pewien czas, wystarczająco długi, podejmie się diabelskiej roboty. Ów nieszczęśnik dokonał w sobie takiej przemiany, poświęcając siedem lat na badanie udręczonego serca, radując się jego udręką i dolewając oliwy do ognia tortur, które analizował i którymi się napawał.

Szkarłatna litera paliła pierś Hester. Oto jeszcze jedno zrujnowane życie, za które odpowiedzialność spadała po części na nią.

- Co zobaczyliście w mojej twarzy - spytał lekarz - że przyglądacie mi się z taką powagą?

- Coś, nad czym mogłabym zapłakać, gdyby mi jeszcze zostało na to dość gorzkich łez - odrzekła. - Lecz mniejsza z tym. Chcę z wami pomówić o tym nieszczęśliwym człowieku.

- O nim? A co takiego? - spytał skwapliwie, jakby palił się do tego tematu i z radością witał okazję do rozmowy o nim z jedyną osobą, której mógł się zwierzyć. - Nie ukrywam, pani Hester, że moje myśli ciągle teraz krążą wokół tego pana. Mówcie więc śmiało, nie będę się ociągał z odpowiedzią.

- W czasie naszej ostatniej rozmowy - zaczęła Hester - od której minęło siedem lat, podobało wam się wymusić na mnie obietnicę dochowania sekretu co do związku, jaki nas niegdyś łączył, was i mnie. A ponieważ życie i dobre imię tego człowieka w waszych było rękach, nie widziałam innego wyjścia, jak zgodzić się na dochowanie milczenia - stosownie do waszej prośby. Lecz zgadzając się żywiłam poważne obawy, bo choć odrzuciłam wszelkie obowiązki wobec innych ludzi, pozostawał obowiązek wobec niego, a coś mówiło mi, że popełniłam wobec niego zdradę, tając wasze zamysły. Od tej pory nikt nie pozostaje tak blisko niego jak wy. Siedzicie każdy jego krok. Jesteście przy nim w dzień i w nocy. Badacie jego myśli. Wdzieracie się do jego serca, jątrzycie rany. Trzymacie w rękach jego życie i każecie mu konać co dzień powolną śmiercią. A on ciągle nie wie, kim naprawdę jesteście. Pozwalając na to, byłam fałszywa względem jedyne go człowieka, któremu mogłam być wierna.

- A jaki miałaś wybór? - spytał Roger Chillingworth. - Gdybym wskazał palcem na tego człowieka, zrzuceno by go z kazałnicy do lochu, a stamtąd może poszedłby na szubienicę.

- Lepiej, gdyby tak się stało! - rzekła Hester Prynne.

- Co ja zrobiłem złego temu człowiekowi? - spytał znów Roger Chillingworth. - Powiadam ci, Hester Prynne, najwyższa zapłata, jaką lekarz kiedykolwiek otrzymał od monarchy, nie mogłaby okupić tych starań, jakimi otaczam nadaremnie tego nieszczęśliwego pastora! Gdyby nie moja pomoc, jego życie wypaliłoby się w mękach w ciągu dwóch lat od popełnienia waszego wspólnego występku. Duch jego bowiem, Hester, nie ma tej siły, która pozwoliłaby mu unieść ciężar, jaki ty zniosłaś - taki, jak twoja szkarłatna litera. O, mógłbym zdradzić niejeden ciekawy sekret! Ale

dość tego. Wyczerpałem w jego przypadku wszystkie środki dostępne sztuce lekarskiej. To, że jeszcze dycha i pełza po tej ziemi, zawdzięcza tylko mnie!

- Lepiej gdyby od razu skonał!

- Tak, kobieto, prawdę mówisz! - zakrzyknął stary Roger Chillingworth, a niesamowity ogień jego serca znów błysnął przed oczyma Hester. - Lepiej by mu było skonać od razu. Nigdy żaden śmiertelnik nie wycierpiał tyle, co ten człowiek. A wszystko to - wszystko! - na oczach najgorszego swego wroga! On to wyczuł. Czuł jakąś złą moc, ciężącą nad nim jak przekleństwo. Obdarzony chyba nadprzyrodzonym zmysłem - bo nigdy jeszcze istota wrażliwsza od niego nie wyszła z ręki Stwórcy - wiedział, że nieznana, nieprzyjazna ręka szarpie struny jego serca, że wpatruje się w niego z ciekawością oko, które szuka tylko złego i znajduje je. Lecz nie wiedział, że to jest moja ręka i moje oko! Pod wpływem przesądów właściwych jego profesji wyobrażał sobie, że jest w mocy diabła, nękającego go poprzez koszarne sny i rozpaczliwe myśli, wyrzuty sumienia i zwątpienie w możliwość przebaczenia - to wszystko jako zapowiedź tego, co go czeka za grobem. Lecz to był nieustający cień mojej obecności, najściślejsza bliskość człowieka, którego podle, przeokropnie skrzywdził! I który odtąd żyje tylko po to, by wsączać mu truciznę straszliwej zemsty! O, tak! Nie myli się: jest diabeł u jego boku. Człowiek śmiertelny, który kiedyś miał ludzkie serce, stał się diabłem po to, by jemu zadawać męki.

Mówiąc te słowa nieszczęsny lekarz uniósł ręce do góry z wyrazem zgrozy w oczach, jak gdyby ujrzał jakąś straszną postać, której nie poznawał, a która ukazała mu się w zwierciadle zamiast własnej osoby. Była to jedna z tych chwil, które zdarzają się czasem raz na wiele lat, gdy człowiek nagle pojmuje i spostrzega oczyma duszy moralną treść własnego życia. Nie jest wykluczone, że nigdy dotąd nie ujrzał siebie tak dokładnie jak teraz.

- Czyż nie dość go namęczyłeś? - spytała Hester, widząc jego wyraz twarzy. - Czy nie spłacił ci wszystkiego?

- Nie, nie! Powiększył tylko swój dług - odrzekł lekarz, a w miarę jak mówił, jego zaciełość malała, ustępując miejsca posępności. - Czy pamiętasz mnie, Hester, takiego, jakim byłem przed dziewięciu laty? Nawet wtedy wkroczyłem już w jesień moich dni - i nie była to wczesna jesień! Lecz na całe moje życie składały się lata poważne, pracowite, myślące, spokojne, które sumiennie poświęcałem pomnażaniu mojej własnej wiedzy i równie sumiennie - choć raczej jako przypadkowy skutek tamtego - pomnażaniu postępu i dobra ludzkości. Nikt nie żył spokojniej i niewinniej, niż ja. Niewielu ludzi miało życie równie bogate w dobrodziejstwa czynione bliźniemu. Czy pamiętasz mnie? Choć mogłaś uważać, że jestem zimny, czyż nie byłem człowiekiem myślącym o drugich, niewiele żądającym dla siebie, dobrym, wiernym, sprawiedliwym i stałym w uczuciach, choć może brakowało mi ciepła? Czyż nie byłem takim, jak mówię?

- Takim i jeszcze lepszym - odrzekła Hester.

- A czym jestem teraz? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy i pozwalając, by całe zło skrywane w duszy wypełzło mu na twarz. - Już ci powiedziałem, kim jestem: Szatanem! A kto mnie takim uczynił?

- To ja, ja sama! - zakrzyknęła Hester, cała drżąca. - To byłam ja, nie mniej niż on. Dlaczego nie szukałeś pomsty na mnie?

- Ciebie pozostawiłem szkarłatnej literze - odparł Roger Chillingworth. - Jeśli to mnie nie pomściło, nic więcej zrobić nie mogę!

I z uśmiechem położył palec na literze.

- Pomściło cię to! - odpowiedziała Hester.

- Tak właśnie sądziłem - rzekł lekarz. - A teraz, czego chcesz odę mnie, jeśli chodzi o tego człowieka?

- Muszę zdradzić twoją tajemnicę - odrzekła twardo Hester. - On musi się dowiedzieć, kim jesteś naprawdę. Czym to się skończy, nie wiem. Ale mój dawny dług, dochowanie sekretu, jaki byłam winna temu, dla którego stałam się nieszczęściem i zgubą, musi być wreszcie spłacony. A zniszczenie czy też uratowanie jego dobrej sławy i pozycji tu na ziemi, a może i życia, leży w twoich rękach. Ja zaś, którą szkarłatna litera nauczyła nie bać się prawdy, choćby to była prawda rozpalonego do czerwoności żelaza, co się wdziera w duszę - ja nie widzę tak wielkiej korzyści w podtrzymywaniu obecnego jego życia w tej przerażającej pustce, bym miała poniżać się, błagając cię o litość. Rób z nim, co chcesz! Nie ma wyjścia dla niego, ani dla mnie, ani dla ciebie! Ani dla małej Pearl. Nie ma drogi, co by nas wyprowadziła z tej gmatwaniny nieszczęścia!

- Kobieto, mógłbym nieledwie litować się nad tobą! - rzekł Roger Chillingworth, nie mogąc powstrzymać drgnienia podziwu, bowiem w tej rozpacz, którą wyraziła, było coś majestatycznego. - Ty masz w sobie wielkość! Kto wie, może gdybyś znalazła wcześniej lepszą miłość od mojej, nie byłoby tego zła. Żal mi ciebie.

- A mnie żal ciebie - odrzekła Hester Prynne. - Bo ta nienawiść zmieniła człowieka mądrego i sprawiedliwego w Szatana! Czy nie możesz wyrzucić jej z siebie i stać się znów ludzką istotą? Jeśli nie dla niego, to tym bardziej, dwakroć, dla samego siebie! Przebaczone i pozostaw dalszą odpłatę Wszechmocnemu, do którego to należy! Powiedziałam przed chwilą, że już nic dobrego nas nie czeka - jego, ciebie i mnie, nas, którzy błąkami się w tym ponurym labiryncie zła i potykamy się na każdym kroku o winy, jakie rozsialiśmy na naszych ścieżkach. Ale tak nie jest! Dobro mogłoby jeszcze tobie przypaść w udziale i tylko tobie, bo tobie wyrządzono ciężką krzywdę i od twojej woli zależy, czy ją wybaczysz. Czy pozbawisz się tego jedyne przywileju? Czy odrzucisz ten bezcenny dar?

- Zamilcz, Hester, zamilcz! - odrzekł starzec srogo i posepnie. - Przebaczenie nie do mnie należy. Nie mam takiej mocy, jaką mi przypisujesz. Moja stara, dawno zapomniana wiara powraca do mnie i tłumaczy wszystko, co robimy, i wszystkie nasze cierpienia. Przez swój pierwszy fałszywy krok to ty zasiałaś ziarno zła, ale od tej chwili wszystko toczy się zrzędzeniem fatalnej konieczności. Ty, która mnie skrzywdziłaś, nie jesteś grzesznicą - to tylko typowe złudzenie. Ani ja nie jestem bratem Szatana, który wyrwał Szatanowi z rąk jego robotę. To nasze przeznaczenie. Niech czarny kwiat kwitnie do woli! A teraz idź swoją drogą i postąp z tym człowiekiem, jak chcesz.

Skinął ręką i powrócił znów do swego zajęcia - do zbierania ziół.

XV Hester i Pearl

Tak więc Roger Chillingworth - zgarbiona, starcza postać o twarzy, która prześladowała ludzi we wspomnieniach dłużej, niżby pragnęli - odwrócił się od Hester Prynne i odszedł powoli, schylając się nisko nad ziemią, zrywając tu i ówdzie jakieś zielsko lub wygrzebuując korzonki, które wrzucał do przewieszanej na ręku kobiałki. Gdy tak się włókł, jego siwa broda dotykała prawie ziemi. Hester patrzyła za nim przez chwilę, gdyż przyszła jej do głowy dziwna myśl: czy delikatna trawa wczesnej wiosny nie zwiędnie pod jego stopami, czy nie zostanie ślad jego chwiejnych kroków, zbrązowiały zeschnięty ślad wśród radosnej zieleni? Zastanawiała się, jakie to były zioła, które stary tak gorliwie zbierał. Czy ziemia, pobudzona do współdziałania ze złem, pod wpływem jego wzroku nie powita go trującymi ziołami, nie znanego dotąd gatunku, które wyrosną pod jego palcami? A może wystarczy mu fakt, że każda zdrowa roślina, jakiej się dotknie, zmieni się w chwast jadowity i złośliwy? Czy słońce, które wszędzie świeciło tak jasno, naprawdę padało i na niego? Czy też, jak jej się zdawało, otaczał go krąg złowrogiego cienia, pełzający za tą zniekształconą postacią wszędzie, gdzie się zwróciła? I dokąd teraz zmierzał? Czy nie zapadnie się nagle pod ziemię, pozostawiając splachetek jałowej, wytrzebionej gleby, na której z czasem rozplenia się; wilcze jagody, derenie, lulki czarne i wszelkie paskudztwo, jakie może zrodzić się w tym klimacie i obficie rozkwitnąć? A może rozepnie skrzydła jak nietoperz i odleci - tym szpetniejszy, im wyżej poszybuje ku niebu?

- Grzech to, czy nie grzech - powiedziała z goryczą Hester Prynne, gdy tak za nim patrzyła - ale nienawidzę tego człowieka.

Robiła sobie wymówki za tak brzydkie uczucia, nie mogła jednak ich przemóc ni stłumić, choć się starała. Wspominała owe dawno minione dni w dalekim kraju, gdy wyłaniał się z samotni swej pracowni i siadał przy kominku w ich domu, w ciepłe ognia i w ciepłe uśmiechu żony. Tego mu było potrzeba, jak powiadał, pławić się w promieniach jej uśmiechu, by wygnać ze swej piersi uczonego chłód wielu samotnych godzin spędzonych wśród ksiąg. Takie chwile kiedyś zdawały się szczęśliwe, lecz teraz, z ponurej perspektywy jej późniejszego życia, były najbardziej odrażające. Zdumiewała się, jak mogła ulec namowom i poślubić go. Uważała to za swój najgorszy występki, najbardziej zasługujący na pokutę, że niegdyś zносиła i odwzajemniała chłodnawy uścisk jego ręki i pozwalała, by uśmiech jej oczu i ust mieszał się i stapiał z jego własnym. A ze strony Rogera Chillingwortha zbrodnię bardziej obrzydliwą od wszystkich, jakie popełnił od tego czasu, widziała w tym, że wówczas, gdy jej serce było jeszcze niemądre, wmówił jej, że jest szczęśliwa u jego boku.

- Tak, ja go nienawidzę! - powtórzyła Hester z większą jeszcze niż przedtem goryczą. - To on mnie zdradził! Wyrządził mi większą krzywdę, niż ja jemu!

Niech się strzeże mężczyzna, który zdobędzie rękę kobiety, jeśli wraz z nią nie zdobędzie najgorętszej miłości jej serca! Wtedy obojgu grozi nieszczęście, tak jak się

stało z Rogerem Chillingworthem, gdy dotknięcie innego, bardziej namiętne, rozbudzi całą jej wrażliwość. Będzie go wówczas obwiniać nawet za owo spokojne uczucie zadowolenia, marmurową podobiznę szczęścia, jaką jej niegdyś narzucił, imitację prawdziwego ciepła. Lecz przecież Hester powinna była już dawno wymazać z pamięci tamtą niesprawiedliwość. O czym świadczyła jej nienawiść? Czyż siedem długich lat tortur szkarłatnej litery i tylu cierpień nie skruszyło jej serca?

Uczucia tej krótkiej chwili, gdy stała patrząc na przygarbioną sylwetkę Rogera Chillingwortha, rzuciły posępne światło na duszę Hester, ukazując wiele rzeczy, do których inaczej nie przyznałaby się przed sobą.

Gdy odszedł, przywołała z powrotem dziecko:

- Pearl! Pearl, dziecino! Gdzie jesteś?

Pearl, której żywość usposobienia nigdy nie słabła, bez trudu znalazła sobie zabawę w czasie, gdy matka rozmawiała ze starym zbieraczem ziół. Najpierw, jak już powiedziano, flirtowała kapryśnie z własnym odbiciem w kałuży, przywołując widziadło rączką, a gdy nie usłuchało wezwania, szukała sposobów dotarcia do tych rejonów niedotykanej ziemi i nieosiągalnego nieba. Wkrótce jednak uznała, że albo ów obraz jest nierealny, albo ona sama - i odeszła w poszukiwaniu lepszej rozrywki. Robiła łódeczki z kory brzozy, ładowała do nich skorupki ślimaków i puszczała je na falę. Wyekspediowała tym sposobem więcej frachtowców na głębie oceanu, niż jakikolwiek kupiec Nowej Anglii - tylko że przeważnie tonęły tuż przy brzegu. Złapała za ogon żywego kraba-zbrojenia, przywłaszczyła sobie ze trzy rozgwiazdy i złożyła na słońcu meduzę, aby roztopić tę galaretkę. Potem chwyciła pianę, której pasma odgraniczały nadpływającą falę, i rzucała ją na wiatr, i pędziła za nią jak na skrzydłach, by pochwycić śnieżne bryzgi w locie.

A widząc stado nadmorskich ptaków, które trzepotały się i pożywiały na brzegu, niegrzeczne dziecko uzbierało w fartuszek kamyczków i skradając się od skały do skały w pogoni za tymi drobnymi morskimi ptaszkami okazało wybitną zręczność w sztuce ich bombardowania. Pearl była prawie pewna, że jeden mały, szary ptaszek dostał kamyczkiem i uciekał ze złamanym skrzydłem. Lecz wówczas figlarka westchnęła i zaprzestała zabawy, bowiem zasmuciło ją to, że wyrządziła krzywdę istocie równie dzikiej, jak morska bryza lub jak sama Pearl.

Jej ostatnim zajęciem było zbieranie glonów wszelkiego rodzaju: zrobiła sobie z nich szal, czy też pelerynkę, i nakrycie głowy. Udawała syrenkę. Po matce odziedziczyła dar wymyślania i drapowania sukien. Jako wykończenie syreniego stroju Pearl wzięła garść trawy morskiej i ułożyła sobie na piersi ozdobę, imitującą w miarę możliwości tę, jaką oglądała od urodzenia na piersi matki - literę A. Jednakże ta była soczyście zielona, a nie szkarłatna. Przyciskając brodę do piersi, dziecko podziwiała ten znak z dziwnym zainteresowaniem - zupełnie jakby jedynym celem jej pojawienia się na świecie było odgadnięcie jego ukrytego sensu.

„Ciekawe, czy matka zapyta mnie, co to znaczy?” - pomyślała Pearl.

W tej samej chwili usłyszała głos matki. Pomknęła lekko jak jeden z owych ptaszków nadmorskich i ukazała się oczom Hester roześmiana i roztańczona, wskazując palcem na ozdobę przy swojej piersi.

- Pearl, moja mała - rzekła Hester po chwili milczenia. - Zielona litera i to na twojej dziecinnej figurce nie ma sensu. Ale czy ty wiesz, moje dziecko, co oznacza ta litera, na której noszenie skazana jest twoja matka?

- Tak, mamó - odrzekło dziecko. - To jest duża litera A. Nauczyłaś mnie pisać ją na rogowej tabliczce.

Hester przyjrzała się uważnie jej twarzyczce, lecz choć dostrzegła ów dziwny wyraz czarnych oczu, jaki tak często widywała, nie mogła zorientować się, czy Pearl naprawdę przywiązuje wagę do tego symbolu. Zbudziło się w niej chorobliwe pragnienie, by mieć pewność, jak jest naprawdę.

- Czy ty wiesz, dziecko, dlaczego twoja matka nosi tę literę?

- A właśnie, że wiem! - odpowiedziała Pearl, obrzucając twarz matki żywym spojrzeniem. - Z tego samego powodu, dla którego pastor trzyma rękę na sercu.

- A cóż to za powód? - spytała Hester, uśmiechając się lekko na tę bezsensowną uwagę dziecka. Jednakże po chwili zastanowienia pobladła na twarzy.

- Cóż ma ta litera wspólnego z kimś innym poza mną samą?

Elementarz dla dzieci: prosty tekst przykrywany cienką płytką z przezroczystego rogu. Ćwicząc się w pisaniu, dziecko kopiowało litery na gładkiej powierzchni płytki.

- Nie wiem, mamó. Powiedziałam wszystko, co wiem - odrzekła Pearl z większą niż zwykle powagą. - Spytaj tego starego pana, z którym rozmawiałaś. Może on będzie wiedział. Ale teraz poważnie, mamó kochana, co znaczy ta litera? Dlaczego ją nosisz na piersi? I dlaczego pastor przykłada rękę do serca?

Ujęła dłoń matki w obie rączki i patrzyła w jej oczy z powagą, na jaką jej nieopanowane i kapryśne usposobienie rzadko pozwalało. Hester przyszło na myśl, że może dziewczynka rzeczywiście stara się zbliżyć do niej z dziecięcą ufnością i robi, co może - na miarę swojej inteligencji - by nawiązać między nimi nic porozumienia. Takie zachowanie ukazało Pearl w nowym świetle. Jak dotąd matka, jakkolwiek kochała swe dziecko z całą siłą wyłącznego uczucia, przyzwyczaiła się do myśli, iż musi wyrzec się nadziei na odwzajemnienie tego uczucia ze strony istoty kapryśnej jak kwietniowy wietrzyk, który żyje ulotnymi podmuchami, czasem wybuchając z niewytłumaczoną pasją, w najlepszym razie pełen dąsów i złości, a gdy chcesz przygarnąć go do piersi, raczej cię zmrozi, niż upieści; to znów, jakby chcąc wynagrodzić własne złe sprawowanie, powodowany nie wiadomo czym, nagle ucałuje twój policzek z niejaką czułością i zabawi się delikatnie twoimi włosami, po czym odleci do swojej zabawy, pozostawiając w twym sercu miłe rozmarzenie. Tak właśnie oceniała matka charakter dziecka. Każdy inny obserwator dostrzegłby w nim kilka niezbyt miłych cech i widziałby je w daleko ciemniejszych barwach. Lecz w tej chwili pewna myśl nieodparcie narzuciła się Hester - że dla Pearl, nad wiek rozwiniętej i bystrej, nadszedł już czas, gdy mogła stać się przyjaciółką matki i powiernicą jej smutków - w granicach, jakie dozwalała

obyczajność bez szkody dla matki i dla dziecka. W tym malutkim chaosie różnorodnych rysów charakteru Pearl wyłaniały się wyraźnie - a może istniały tam od początku - pewne cechy mocno zarysowane: niezachwiana odwaga, nieugięta wola, uparta duma, która przy odpowiedniej dyscyplinie mogła wykształcić się w poczucie godności, oraz gorzka pogarda dla wszystkiego, co przy bliższym zbadaniu okazywało się zaprawione fałszem. Była również uczuciowa, choć przejawiało się to na razie w sposób ostry i nieprzyjemny, niby zapach niedojrzałego owocu. Z tymi cennymi przymiotami złe dziedzictwo po matce musiałyby naprawdę być potężne, gdyby z tego chochlika nie wyrosła szlachetna kobieta.

Nieustająca skłonność Pearl do rozmyślań nad zagadką szkarłatnej litery zdawała się wrodzona. Od najwcześniejszych chwil jej świadomego życia rozwikłanie tego problemu było jakby specjalną misją dziecka. Hester wyobrażała sobie często, że Opatrzność obdarzyła dziecko tą wyraźną skłonnością po to, aby wymierzyć matce sprawiedliwość i karę; lecz nigdy dotąd nie przyszło jej na myśl, że ów cel mógł się wiązać również z innym zamia-

132rem - okazania miłosierdzia i dobrodziejstwa. Gdyby odniosła się do Pearl z zaufaniem i z wiarą, to dziecko - istota nie tylko ziemską, lecz również duszą zesłaną przez Niebo - potrafiłoby może, wykonując swe posłannictwo, ukoić ból, który ścisnął lodem serce matki, czyniąc je podobnym do grobu. Może pomogłoby jej przezwyciężyć namiętność, niegdyś tak nieokiełznaną, i jeszcze teraz nie umarłą i nie uspioną, a tylko więzioną w mogile serca.

Takie myśli budziły się teraz w duszy Hester żywo i wyczuwalnie, jakby ktoś szeptał jej to wprost do ucha. A przez cały ten czas Pearl trzymała dłoń matki w swoich rączkach i unosząc ku niej twarz powtarzała swe pytanie raz, drugi i trzeci.

- Co znaczy ta litera, mamó? I dlaczego ją nosisz? I dlaczego pastor kładzie rękę na sercu?

„Cóż ja jej powiem? - zastanawiała się Hester. - Nie! Jeśli nawet ma to być ceną zdobycia współczucia dziecka, nie mogę jej zapłacić!” I rzekła głośno:

- Głupiutka Pearl! Cóż to za pytanie! Na świecie jest wiele rzeczy, o które dzieci nie powinny pytać. Cóż ja mogę wiedzieć o sercu pastora? A co do szkarłatnej litery, to noszę ją, bo ma złotą nitkę!

Przez całe siedem minionych lat Hester Prynne nigdy dotąd nie wyparła się noszonego na piersi symbolu. Może był to talizman, znak obecności surowego i srogięgo, lecz przecież anioła stróża, który ją teraz opuścił, jak gdyby widział, że mimo jego bacznej straży nad jej sercem wkradło się doń nowe zło, a może stare zło nigdy go nie opuściło?

Co do małej Pearl, powaga wkrótce znikła jej z twarzy. Lecz dziecko nie zamierzało porzucić tego tematu. Parę razy w drodze do domu, a także w czasie kolacji i gdy Hester kładła ją spać, i jeszcze raz, gdy już zdawało się, że zasnęła, Pearl powtarzała z przekornym błyskiem czarnych oczu:

- Mamó, co oznacza szkarłatna litera?

A następnego ranka na znak, że już się obudziła, Pearl podniosła głowę z poduszki i zadała to drugie pytanie, które nie wiadomo czemu łączyła z pytaniami o szkarłatną literę:

- Mamo! Mamo! Dlaczego pastor trzyma rękę na sercu?

- Milcz, ty niegrzeczne dziecko! - odparła matka tonem tak surowym, na jaki nigdy dotąd sobie nie pozwalała. - Nie drażnij mnie, bo cię zamknę w ciemnej komórce!

XVI Spacer po lesie

Hester Prynne trwała w postanowieniu, aby wyjawic panu Dimmesdale prawde o czlowieku, ktory podstepnie nawiązał z nim przyjaźń. Jednakże przez kilka dni na próżno szukała okazji, by zwrócić się do niego w czasie jego samotnych spacerów poświęconych medytacji, które, jak wiedziała, często odbywał wzdłuż brzegów półwyspu, lub w okolicy, na zalesionych wzgórzach. Nie groziłoby to wprowadzić żadnym skandalem ani ujmą dla dobrej sławy i nieskazitelnej opinii, jaką się cieszył pastor, gdyby go odwiedziła w jego gabinecie, gdzie wielu skruszonych grzeszników wyznawało swe przewiny, może równie ciężkie, jak grzech oznaczony szkarłatną literą. Lecz z jednej strony obawiała się ukrytej lub jawnej interwencji starego Rogera Chillingwortha, z drugiej zaś tak była przeczulona, że bała się podejrzeń tam, gdzie ich być nie mogło. Poza tym do wspólnej rozmowy i pastorowi, i jej potrzebny był cały szeroki świat dla swobodnego oddechu. Z tych więc powodów Hester nie pomyślała nawet, aby mogła się z nim spotkać na jakiejś ograniczonej przestrzeni, gdzie indziej niż pod gołym niebem.

Wreszcie dowiedziała się pełniąc posługi u chorego, do którego pana Dimmesdale wzywano dla odprawienia modłów, że pastor udał się poprzedniego dnia do Apostoła Eliota w osadzie nawróconych Indian i będzie zapewne wracał jutrzejszego dnia po południu. Tak więc przed spodziewaną porą Hester zabrała małą Pearl, która z konieczności towarzyszyła matce we wszystkich wędrówkach, nawet gdy nie było jej to na rękę - i wyruszyła w drogę.

Gdy dwie podróżniczki przeszły z półwyspu w głąb lądu, droga zmieniła się w ścieżkę i dalej wiła się wnikając w tajemniczą gęstwinę odwiecznej puszczy. Las napierający z obu stron tak ją ścieśniał, tak był czarny i gęsty i tak niewiele otwierał prześwitów nieba od góry, że w wyobraźni Hester upodobnił się - nie bez trafności - do moralnej dżungli, w której tak długo się błąkała. Dzień był zimny i ponury. Nad ich głowami wisiały szare połacie chmur, przerywane czasem poruszającym je lekko wiatrem, tak że na ścieżkę padał niekiedy odbłask słońca niby samotny, rozbawiony gość. Te ruchliwe, wesołe plamy światła zawsze zjawiały się daleko przed nimi, na samym końcu ścieżki. Figlujące światło słońca - choć nikłe to były figle wśród smętnej zadumy tego miejsca i tego dnia - umykało przy każdym zbliżeniu się do niego, a miejsca oświetlone niedawno tanecznym blaskiem zdawały się tym posępniejsze, że obie miały nadzieję wreszcie je dogonić.

- Mamo - powiedziała mała Pearl. - Słońce ciebie nie kocha. Ucieka od ciebie i chowa się, bo boi się czegoś, co jest na twojej piersi. O, zobacz. Ukazało się znowu i migoce, tam, daleko. Stań tutaj i pozwól mi pobiec i dogonić je. Ja jestem tylko dzieckiem. Ode mnie nie ucieknie, bo ja jeszcze nie noszę nic na piersi!

- Mam nadzieję, że nigdy nic nie będziesz nosiła, moje dziecko.

- A dlaczego nie, mamo? - spytała Pearl, zatrzymując się, gdyż już szykowała się do biegu. - Czy to nie przyjdzie samo, jak już będę dorosłą kobietą?

- Biegnij, dziecko - odparła matka - i chwytaj słońce! Za chwilę zniknie.

Pearl pobiegła czym prędzej i - jak Hester stwierdziła z uśmiechem - rzeczywiście dogoniła słońce i stała w jego promieniach roześmiana, jaśniejąca blaskiem i pulsującym w niej życiem, podniecona od szybkiego pędu. Światło nie zniknęło z miejsca, gdzie stało samotne dziecko, jakby rade z towarzysza zabawy, póki matka nie zbliżyła się na tyle, by również wstąpić w ten magiczny krąg.

- Teraz odejdzie - rzekła Pearl, potrząsając głową.

- Popatrz - odpowiedziała z uśmiechem Hester. - Teraz mogę wyciągnąć rękę i trochę go złapać.

Lecz gdy spróbowała, słońce znikło. Lub też, jak mogła pomyśleć matka, widząc rozświetloną radością twarz Pearl, dziecko wchłonęło je w siebie i pewnie oświetli jego promieniami swoją ścieżkę, gdy wejdą w głębszy cień. Nic w charakterze dziecka nie zdumiewało Hester bardziej od owej niezmiernie energicznej i żywej usposobienia, która sprawiała na matce wrażenie całkiem świeżych, przez nikogo nie przekazanych sił żywotnych. Dziewczynka nie miała tego chorobliwego smutku, jaki dziedziczą wszystkie niemal współczesne dzieci wskutek nieszczęść ich przodków, tak jak dziedziczne skrofuły. Może to również było chorobą, odbiciem tej szalonej energii, jaką rozwijała Hester, walcząc z przeciwnościami przed urodzeniem Pearl. Urok dziewczynki był w istocie dwuznaczny: nadawał jej jakiś ostry, metaliczny blask. Brakowało jej tego, czego czasem brak ludziom do końca życia: bólu, który by ją głęboko poruszył i uczynił bardziej ludzką, zdolną do współczucia. Lecz na to miała Pearl miała jeszcze czas!

- Chodź, moje dziecko - rzekła Hester, rozglądając się w miejscu, gdzie przedtem Pearl stała oświetlona słońcem. - Usiądziemy trochę dalej w głębi lasu i odpoczniemy chwilę.

- Ja nie jestem zmęczona, mamó - odparła mała. - Ale ty możesz usiąść, jeżeli mi coś opowiesz, jakąś historyjkę.

- Jakąś historyjkę, dziecko? - powtórzyła Hester. - A o czym?

- O, na przykład o Czarnym Człowieku - odrzekła Pearl, chwytając matkę za suknię i patrząc jej w twarz z zadartą główką, z miną poważną i psotną zarazem. - O tym, jak nawiedza ten las i chodzi z książką, z dużą, ciężką książką zamykaną na żelazne klamry. I jak ten brzydki Czarny Człowiek podaje tę książkę i żelazne pióro każdemu, kto go spotka wśród drzew, i każdy musi napisać swoje imię własną krwią. A potem kładzie znak na ich piersi. Czy ty spotkałaś kiedyś Czarnego Człowieka, mamó?

- A kto opowiadał ci tę historyjkę, Pearl? - spytała matka, poznając w niej bajkę, opartą na jednym z rozpowszechnionych w owym czasie przesądów.

- Stara pani w kącie przy kominie, w tym domu, gdzie czuwałaś wczorajszej nocy - odpowiedziało dziecko. - Ale ona myślała, że ja śpię, kiedy o tym mówiła. Powiedziała, że tysiąc, że dwa tysiące ludzi spotkało go tutaj i wpisało swoje imię do książki, i mają na sobie jego znak. A jedna z nich, to ta brzydka złoźnica, stara pani Hibbins. A mamó, ta stara pani mówiła, że szkarłatna litera to znak Czarnego Człowieka na tobie i że ona gorze jak czerwony płomień, kiedy go spotykasz o

północy, tutaj, w tym ciemnym lesie. Czy to prawda, mamó? Czy ty chodzisz, żeby się z nim spotkać w nocy?

- A czy obudziłaś się kiedyś i zobaczyłaś, że twojej matki nie ma? - spytała Hester.

- Nie pamiętam, żeby tak było - odrzekło dziecko. - Jeżeli boisz się mnie zostawić w naszej chatce, to zabieraj mnie ze sobą. Ja bym chętnie poszła! Ale, mamó, powiedz mi teraz, czy jest taki Czarny Człowiek? I czy go kiedyś spotkałaś? I czy to jest jego znak?

- Czy zostawisz mnie w spokoju, jeżeli ci raz powiem?

- Tak, jeżeli powiesz mi wszystko - odrzekła Pearl.

- Raz w życiu spotkałam Czarnego Człowieka - powiedziała matka. - Ta szkarłatna litera to jego znak.

Tak rozmawiając weszły w las dość głęboko, by ukryć się przed wzrokiem ludzi przechodzących przypadkiem leśną ścieżką. Tutaj usiadły na pięknym kopcem mchu, który kiedyś, w zeszłym stuleciu, był olbrzymią sosną, tkwiącą korzeniami i pniem w mrocznym cieniu, a wyniosłą głową sięgającą wyższych rejonów atmosfery. W tym miejscu rozciągał się niewielki jar: brzegi jego, usiane liśćmi, wznosiły się łagodnie z obu stron, a środkiem, ponad dnem zasłanym przez spadłe i zatopione liście płynął strumyk. Pochylone nad nim drzewa zrzucały niekiedy wielkie gałęzie, które tamując nurt zmuszały go do tworzenia w niektórych punktach wirów i czarnych głębin, podczas gdy w miejscach szybszego i żywszego przepływu wody dno pokrywały kamyczki i brązowy, lśniący piasek. Podążając za biegiem strumyka w głąb lasu, oczy Hester i Pearl chwytaly chwilami błyski odbitego od wody światła, lecz nieco dalej traciły już jego ślad wśród gęstwiny pni drzew, leśnego poszycia i wystających miejscami ogromnych głazów, pokrytych szarym mchem. Wszystkie te olbrzymie drzewa i granitowe głazy jakby się uparły, by okryć tajemnicą drogę, jaką płynął strumyczek - obawiając się może, że ze swoją nieustającą gadatliwością może opowiedzieć plotki o miejscach leżących w sercu starego lasu, skąd wypływał, lub zdradzić jego tajemnice lustrzanym odbiciem na gładkiej powierzchni wody. W rzeczy samej strumyczek bez ustanku coś paplał, spokojnie, kojąco, lecz melancholijnie, jak małe dziecko spędzające dzieciństwo bez zabawy, nie znające wesołości wśród smutnych twarzy i ponurych wydarzeń.

- Oj, strumyczku! Głupi i nudny strumyczku! - zawołała Pearl po chwili wsłuchiwania się w jego mowę. - Dlaczego jesteś taki smutny? Rozwesel się trochę, zamiast wzdychać i mrużyć przez cały czas!

Lecz strumyk miał tyle poważnych przeżyć w swoim malutkim życiu, że nie mógł się powstrzymać, by o nich nie opowiadać, i nic innego nie miał do powiedzenia. Pearl o tyle podobna była do strumyka, że bieg jej życia brał początek z równie tajemniczego źródła i płynął przez miejsca równie omroczone smutkiem. Ale w przeciwieństwie do niego, biegnąc przez życie tańczyła i śmiała się, i szczebiotała wesoło.

- Co mówi ten smutny strumyczek, mamó? - spytała.

- Gdybyś miała własne zmartwienia, strumyk mógłby ci o nich opowiedzieć - odparła matka. - Tak, jak prawi mi o moich. Ale teraz już, Pearl, słyszę kroki na ścieżce i szmer rozsuwanych gałęzi. Chcę, żebyś pobiegła się bawić i zostawiła mnie, bym mogła pomówić z tym, co się zbliża.

- Czy to Czarny Człowiek? - pytała Pearl.

- Idźże już się bawić, dziecko - powtórzyła matka. - Ale nie oddalaj się za bardzo w głąb lasu. I pamiętaj, żebyś przyszła zaraz, jak cię tylko zawołam.

- Dobrze, mamó - odrzekła Pearl. - Ale jeżeli to Czarny Człowiek, może byś mi pozwoliła zostać chwilę i zobaczyć go z tą wielką książką pod pachą?

- Idź już, głupie dziecko - powiedziała niecierpliwie matka. - To nie żaden Czarny Człowiek. Możesz już go zobaczyć za drzewami. To pastor.

- Tak, to on! - zawołało dziecko. - I trzyma rękę na sercu, mamó. Czy to dlatego, że Czarny Człowiek zostawił mu w tym miejscu znak, kiedy wpisał swoje imię do tej książki? Ale dlaczego nie nosi go na wierzchu, tak jak ty, mamó?

- Idź teraz, innym razem będziesz mi dokuczać, ile zechcesz! - zawołała Hester Prynne. - Ale nie odchodź daleko. Trzymaj się tam, gdzie słyszysz szemranie strumyka.

Dziecko pobiegło w górę strumyka, nucąc piosenkę i usiłując weselszą strofą wmieszać się w melancholijną pieśń strumyka. Lecz strumyczek nie dał się rozweselić i ciągle opowiadał niezrozumiałe sekrety jakiegoś tajemniczego i smutnego wydarzenia lub przepowiadał żałośnie coś, co się jeszcze miało zdarzyć w tych posępnych leśnych ostępach. Wobec tego Pearl, która miała dość cieniów we własnym dziecięcym życiu, postanowiła zerwać znajomość ze skarżącym się potokiem. Zabrała się zatem do zrywania fiołków, leśnych anemonów i szkarłatnych orlików, rosnących w rozpadlinach wyniosłej skały.

Po odejściu swego małego elfa Hester Prynne postąpiła kilka kroków ku ścieżce biegnącej przez las, lecz ciągle jeszcze pozostawała pod osłoną głębokiego cienia drzew. Widziała, jak pastor zbliża się ścieżką zupełnie sam, wspierając się na kijku wyciętym z przydrożnych zarośli. Wydawał się mizerny i słaby, a wygląd jego zdradzał bezradność i przygnębienie, jakiego nigdy nie widziało się tak wyraźnie, gdy poruszał się po osadzie, lub w innych sytuacjach, kiedy wiedział, że nań patrzają. Tutaj, z dala od ludzi w głębinach lasu, co już samo przez się działało przygnębiająco, było to widoczne i żalosne. Chód miał ociężały, jak gdyby nie widział powodu, by się posunąć bodaj o krok dalej, ani tego nie pragnął, lecz najchętniej - gdyby w ogóle miał czegoś chcieć - rzuciłby się na ziemię pod najbliższe drzewo i leżał tam bez ruchu przez całą wieczność. Tam mogłyby go zasypać liście, a ziemia stopniowo utworzyłaby mały kopczyk nad jego ciałem, obojętnie, żywym czy umarłym. Śmierć zdawała się czymś zbyt określonym, by można jej było sobie życzyć bądź unikać.

W oczach Hester wielebny pan Dimmesdale nie zdradzał objawów jakiegokolwiek określonej i silnej dolegliwości, z wyjątkiem tego, że jak zauważyła mała Pearl, trzymał dłoń na sercu.

XVII Pastor i jego parafianka

Choć pastor szedł powoli, zdążył prawie że minąć ją, nim Hester Prynne mogła dobrać głosu, by zwrócić na siebie uwagę. W końcu przemogła się.

- Arturze Dimmesdale! - zawołała, najpierw cicho, a potem donośniej, lecz schrypniętym głosem. - Arturze Dimmesdale!

- Kto mnie woła? - odparł pastor.

Zbierając się w sobie szybko, wyprostował się trochę, jak człowiek zaskoczony w nastroju niechętnie uzewnętrznianym przy świadkach. Obracając niespokojnie wzrok w kierunku głosu, dojrzał niewyraźną postać pod drzewami, odzianą w suknie tak ciemne i tak słabo rozjaśnione szarym zmierzchem - w jaki południową porę przemieniło zachmurzone niebo gąszcz liści - że nie wiedział, czy to kobieta, czy cień. Może ścieżkę jego życia nawiedzało rzeczywiście widmo, które wykradało się z jego myśli.

Przybliżył się o krok i dostrzegł szkarłatną literę.

- Hester! Hester Prynne! - zawołał. - Czy to ty? Żywa?

- Całkowicie żywa! - odrzekła. - Jeśli moje życie od siedmiu lat można tak nazwać. A ty, Arturze Dimmesdale, żyjesz jeszcze?

Nic dziwnego, że w ten sposób się nawzajem pytali, upewniając się o swojej prawdziwej cielesnej egzystencji, a nawet wątpiąc o własnej. Spotkanie było tak dziwne w tym ciemnym lesie, że zdawało się pierwszym spotkaniem dwojga duchów w świecie pozagrobowym, duchów, które były bliskie sobie w życiu przeszłym, a teraz stały zimne, drżące ze strachu przed sobą, jakby jeszcze nienawykłe do swej nowej postaci i do spotkań z innymi bezcielesnymi istotami. Jeden duch przejęty zgrozą na widok drugiego! A także przerażony samym sobą - bowiem ta chwila krytyczna obudziła w nich świadomość siebie, odłoniła sercom w pełni własną historię i doświadczenia, jak nigdy nie zdarza się w życiu, z wyjątkiem takich zapierających oddech epokowych scen. W zwierciadle tej przemijającej chwili dusze ujrzały swoje twarze. Ze strachem, z drżeniem, jakby z wolna i niechętnie, pod naciskiem konieczności, Artur Dimmesdale wyciągnął zimną jak śmierć dłoń i dotknął zimnej dłoni Hester Prynne. Uścisk dłoni, choć tak zimny, ujął spotkanie najgorszego koszmaru. Czuli się teraz sobą, a przynajmniej mieszkańcami tego samego świata.

Nie mówiąc ni słowa, w milczącym porozumieniu, w którym żadne z nich nie prowadziło drugiego, wsunęli się na powrót w cień drzew, skąd przed chwilą wyłoniła się Hester, i usiedli na kopcu mchu, gdzie poprzednio siedziały razem z Pearl. Gdy odzyskali mowę, z początku wymieniali tylko uwagi i pytania, jak dwoje obojętnych znajomych: o pociemniałym niebie, o grożącej burzy, a potem o własnym zdrowiu. W ten sposób posuwali się naprzód, nie odważnie, lecz krok za krokiem, zbliżając się do tematów najgłębiej leżących im na sercu. Rozdzieleni tak długo przez los i okoliczności, potrzebowali jakiegoś wstępu, rozmowy o rzeczach błahych i

obojętnych, aby otworzyć przejście do bliższego kontaktu, tak by ich prawdziwe myśli mogły przekroczyć ten próg.

Po chwili pastor utkwiał wzrok w twarzy Hester Prynne.

- Hester - odezwał się - czy znalazłaś spokój? Uśmiechnęła się ponuro, spoglądając na szkarłatną literę.

- A ty? - spytała.

- Wcale! Nic, tylko rozpacz! - odrzekł. - Czegóż innego mogłem się spodziewać wobec tego, czym jestem i czym jest moje życie? Gdybym był ateuszem, człowiekiem pozbawionym sumienia, nieszczęśnikiem o prostackich i brutalnych instynktach, mógłbym już od dawna znaleźć spokój. Nie, po prostu nigdy bym go nie stracił. Lecz z moją naturą, przy jej duchowych potrzebach, to wszystko, co kiedyś miałem w sobie dobrego, wszystkie moje skłonności, najszczytniejsze dary Boże, stały się narzędziem duchowej męki. Hester, jestem głęboko nieszczęśliwy!

- Ludzie cię szanują - rzekła Hester - i na pewno niesiesz im dobro. Czy to nie jest dla ciebie pociechą?

- To jeszcze większa męka, Hester! Tym większa męka! - odrzekł pastor z gorzkim uśmiechem. - A co się tyczy dobra, jakie na pozór czynię, nie wierzę w nie. To chyba złudzenie. Co może stracona dusza, taka jak moja, zdziałać dla zbawienia innych dusz? A dusza zbrukana dla oczyszczenia innych? A szacunek u ludzi - bodajby się obrócił w pogardę i nienawiść! Czy myślisz, Hester, że to dla mnie pociecha, gdy muszę stawać na kazalnicy i oglądać tyle oczu zwróconych na mnie z takim wyrazem, jakby z mojej twarzy biło światło niebiańskie! Muszę patrzeć, jak moi parafianie pożądaną prawdy słuchają moich słów tak, jakby mówił do nich Duch Święty! A potem spoglądam w głąb mojej duszy i widzę tam czarną rzeczywistość tego pozoru, któremu oni oddają cześć! Śmiech mnie ogarnia, pełen goryczy i męki mego serca, na myśl o przepaści między tym, czym się wydaję, i tym, czym jestem. Szatan też się z tego śmieje!

- Krzywdzisz siebie takimi myślami - powiedziała łagodnie Hester. - Odpokutowałaś winy ciężko i głęboko. Twój grzech pozostał za tobą w przeszłości, która dawno minęła. Twoje obecne życie jest zaprawdę nie mniej święte, niż zdaje się ludziom. Czy skrucha tak mocno przypieczętowana i potwierdzona przez dobre uczynki nie jest rzeczywistością? I czemuż nie miałaby przynieść ci spokoju?

- Nie, Hester, nie! - odparł pastor. - Nie ma w niej treści. Jest zimna i martwa i nic mi nie może pomóc. Pokuty miałem dość. Lecz skruchy nie było wcale! Bo inaczej zrzuciłbym już dawno te suknie fałszywej świętobliwości i ukazał się ludziom takim, jakim mnie zobaczą na ławie Sądu Ostatecznego. Ty jesteś szczęśliwa Hester, ty, która nosisz otwarcie szkarłatną literę na piersi. Moja pali mnie w ukryciu! Nie wiesz nawet, jaka to ulga po siedmiu latach oszustwa patrzeć w oczy, które widzą mnie takim, jakim jestem! Gdybym miał bodaj jednego przyjaciela - a bodaj nawet najgorszego wroga - do którego mógłbym udać się co dzień, chory z obrzydzenia od pochwał innych ludzi, wiedząc, że on zobaczy we mnie najpodlejszego ze wszystkich grzeszników! Zdaje mi się, że moją duszę utrzymałoby to przy życiu. Nawet ta

odrobina prawdy mogłaby mnie uratować. Lecz w tej chwili wszystko jest fałszem! Wszystko jest pustką! Wszystko jest śmiercią!

Hester wpatrywała się w jego twarz i wahała się, czy ma przemówić. Lecz wyrażając swe długo powściągane uczucia z taką gwałtownością, pastor użył słów, które podsunęły jej punkt wyjścia do powiedzenia tego, co przychodząc tu zamierzała mu wyjawić. Przemagając się, przemówiła.

- Takiego przyjaciela, jakiego życzysz sobie jeszcze teraz - rzekła - z jakim mógłbyś razem płakać nad twoim grzechem, masz we mnie, twojej współniczce w występku. - Zawahała się jeszcze, lecz w końcu z wysiłkiem wypowiedziała znaczące słowa. - A takiego wroga masz od dawna i mieszkasz z nim pod jednym dachem!

Pastor zerwał się na nogi, dysząc ciężko i chwytając się za serce, jakby chciał je wyrwać z piersi.

- Ha! Co powiadasz? - zakrzyknął. - Wróg! I to pod moim własnym dachem! Co to znaczy?

Hester była teraz w pełni świadoma, jak wielką wyrządziła krzywdę temu nieszczęsnemu człowiekowi pozwalając, by tyle lat - a choćby i jedną chwilę! - pozostawał na łasce i niełasce tego, który żywił wobec niego bez wątpienia złe i okrutne zamiary. Sama bliskość wroga - obojętne, pod jaką skrywał się maską - wystarczała, by zakłócić magnetyczną aurę istoty tak wrażliwej jak Artur Dimmesdale. Był okres, gdy Hester mniej zwracała uwagi na tę okoliczność, lub też może, zatopiona jak mizantrop we własnym nieszczęściu, pozostawiła pastora własnemu losowi, wyobrażając sobie, że byłon lżejszy do zniesienia, niż jej własny. Lecz ostatecznie, od owej nocy na szafocie jej uCzucia do niego wzmogły się i stały się bardziej czułe. Lepiej teraz czytała w jego sercu. Nie miała wątpiwości, że ciągle obecność Rogera Chillingwortha, zatruwający atmosferę ukryty jad jego złośliwości i jego prawo, jako upoważnionego lekarza, do wdzierania się w tajniki fizycznych i psychicznych dolegliwości pastora - że te niesprzyjające dla niego okoliczności zostały rozmyślnie wykorzystane w sposób okrutny. Dzięki nim sumienie ofiary było ciągle dręczone, nie po to, by ją uleczyć przez zbawienny ból, lecz by ją rozstroić i zniszczyć duchowo. Mogło się to skończyć tylko obłędem - w życiu ziemskim. W życiu przyszłym zaś - wiecznym oderwaniem od Dobra i Prawdy, jakie na tym świecie wyraża się może właśnie obłędem.

Do takiej ruiny doprowadziła człowieka, niegdyś - a właściwie, czemuż by o tym nie powiedzieć? - ciągle jeszcze namiętnie ukochanego! Hester czuła, że poświęcenie dobrego imienia pastora, a nawet jego śmierć, byłyby nieskończenie lepsze, niż to, co wybrała, biorąc wybór na siebie. A teraz, gdy trzeba było wyznaczyć, jak okrutną uczyniła mu krzywdę, wołałaby raczej lec na usłanej liśćmi ziemi i umrzeć tam u stóp Artura Dimmesdale.

- Och, Arturze! - zawołała. - Przebacz mi! We wszystkim, poza tym, mówiłam prawdę. Prawdą była jedyną cnotą, którą mogłam na zawsze zachować i zachowywałam wśród najgorszych przeciwności, prócz tej jednej. Lecz wtedy chodziło o twoje dobro, twoje życie, o twoją dobrą sławę! Wtedy zgodziłam się na kłamstwo. Lecz kłamstwo nigdy nie jest dobre, nawet gdy prawda grozi śmiercią!

Czyż nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? Ten starzec, ten lekarz, ten, którego zważ Rogerem Chillingworthem - on był moim mężem!

W oczach duchownego w nią utkwionych ukazała się nagle wściekłość. Owa gwałtowność uczuć, na różne sposoby w nim pomieszana ze szlachetnością, czystością ducha i łagodnością, była tą cząstką jego natury, po którą sięgał diabeł i przez którą pragnął zdobyć resztę. Nigdy dotąd czoło jego nie nasepiło się chmurą równie czarną i złowrogą, jak tą, którą ujrzała teraz Hester. Trwało to tylko chwilę, lecz całkowicie go przeistoczyło. Cierpienie jednak tak osłabiło siłę jego charakteru, że nawet najniższe uczucia pobudziły w nim energię do walki tylko na krótko. Opadł na ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

- Mogłem się tego domyślać! - szepnął. - Właściwie wiedziałem o tym! Czyż tego sekretu nie wyjawiał mi odruch nienawiści w moim sercu od pierwszego wejrzenia i za każdym razem, gdy go widziałem? Czemu nie rozumiałem tego? O, Hester Prynne, jak ty mało, jak mało wiesz, co to za koszmar! Ten wstyd! Ta ohyda wystawiania chorego i pełnego winy serca na oczy człowieka, który najbardziej pragnął sycić się tym widokiem! Kobieto, kobieto, ty za to odpowiadasz! Nigdy ci nie przebaczę!

- Przebaczysz mi! - krzyknęła Hester, rzucając się na usłaną liśćmi ziemię, koło niego. - Bogu zostaw karę! Ty przebaczysz!

W przypiływie naglej, rozpaczliwej czułości objęła ramionami i przycisnęła do piersi jego głowę, niepomna na to, iż policzkiem dotykał czerwonej litery. Chciał się jej wyrwać, lecz na próżno. Hester nie puszczała go z objęcia, by nie napotkać znów srogiego spojrzenia. Cały świat srożył się na nią. Przez siedem długich lat srożył się na tę samotną kobietę, a jednak to znosiła i ani razu nawet nie odwróciła nieulekłych, smutnych oczu. Niebo też się na nią gniewało i nie umarła od tego. Lecz srogości ze strony tego bladego, słabego, grzesznego człowieka nie mogłaby znieść, nie mogłaby przeżyć!

- Czy mi przebaczysz mimo wszystko? Nie będziesz się gniewał? Przebaczysz mi?

- Przebaczam ci, Hester - odrzekł w końcu duchowny głosem, który zdawał się wydobywać z otchłani smutku, lecz już bez gniewu. - Przebaczam ci całkowicie. Niech Bóg przebaczy nam obojgu! Nie jesteśmy jeszcze najgorszymi grzesznikami na świecie. Jest jeden gorszy nawet od splamionego grzechem księdza! Zemsta tego starca jest czarniejsza niż mój grzech. Z zimną krwią znieważał świętość ludzkiego serca. Tego nie zrobiliśmy nigdy, Hester, ani ty, ani ja.

- Nigdy, przenigdy - szepnęła. - W tym, co zrobiliśmy, była jakaś świętość. Czuliśmy to! Mówiliśmy to sobie! Czy zapomniałeś o tym?

Usiedli znów koło siebie na omszałym pniu drzewa, trzymając się za ręce. Nigdy jeszcze ich życie nie przyniosło im godziny równie ponurej. Do tego punktu już od dawna zdążyły ich ścieżki, coraz to smutniejsze, im dalej ich wiodły. A jednak chwila ta miała jakiś urok, który kazał im ją przedłużać: jeszcze chwila i jeszcze jedna chwila, a potem jeszcze jedna. Las wokół nich był ciemny, a od wichru ciągle coś trzeszczało. Gałęzie chybotwały się ciężko nad ich głowami, a jedno wyniosłe, stare

drzewo jęczało żałośnie, jakby opowiadało drugiemu smutną historię dwojga siedzących pod nim ludzi, lub jakby mu kazano obwieścić, że nadchodzi coś złego.

A jednak jeszcze się ociągali. Jakże posępną zdawała się ścieżka leśna, prowadząca do osady, gdzie Hester Prynne miała na nowo podjąć ciężar swej hańby, a duchowny, pusty i śmieszny pozór dobrego imienia! Ociągali się więc jeszcze chwilę. Żadne złociste światło nie było dla nich tak drogocenne, jak mroki tego ciemnego lasu. W tym miejscu szkarłatna litera nie musiała parzyć piersi upadłej kobiety! W tym miejscu, gdzie patrzyły na niego tylko jej oczy, Artur Dimmesdale, kłamiący Bogu i ludziom, mógł przez chwilę żyć prawdą! Nagle drgnął, uderzony nową myślą.

- Hester! - wykrzyknął. - Nowe nieszczęście! Roger Chillingworth wie o tym, że zamierzałaś zdradzić jego prawdziwe nazwisko. Czy będzie wobec tego dalej dochowywał naszej tajemnicy? Jaką drogą pójdzie teraz jego zemsta?

- On jest z natury dziwnie skryty - odparła Hester, zamyślona - i jeszcze bardziej przywykł do tego, uprawiając w tajemnicy swe mściwe praktyki. Nie sądzę, aby było to prawdopodobne, że teraz nas zdradzi. Na pewno poszuka innych środków zaspokojenia swoich niecznych pragnień.

- A ja? Jak mogę teraz żyć dalej i oddychać tym samym powietrzem razem z moim śmiertelnym wrogiem?! - wykrzyknął Artur Dimmesdale, kurcząc się i przyciskając nerwowo rękę do serca gestem, który stał się u niego mimowolnym przyzwyczajeniem. - Pomyśl za mnie, Hester! Ty jesteś silna! Zdecyduj coś za mnie!

- Nie powinienes dłużej pozostawać z nim pod jednym dachem - powiedziała wolno i stanowczo Hester. - Jego złe oko nie może już dłużej patrzeć ci w serce!

- To byłoby gorsze niż śmierć! - odrzekł duchowny. - Ale jak tego uniknąć? Co mi pozostaje do zrobienia? Czy mam znów paść na te zeschnięte liście, na które się rzuciłem, gdy powiedziałaś mi, kim on jest? Czy muszę tam paść i od razu umrzeć?

- Ach, jakże cię zniszczył los! - wykrzyknęła Hester i łzy trysnęły jej z oczu. - Czy masz umrzeć z samej tylko słabości? Bo nie ma innej przyczyny!

- Sąd Boży mnie dosięgnął - odrzekł ksiądz o udreńczonym sumieniu. - To ponad moje siły. Nie mogę już walczyć dalej.

- Nieba okazałyby ci miłosierdzie - odparła Hester - gdybyś miał dość siły z niego skorzystać.

- Więc użyj mi swojej siły - odpowiedział. - Poradź mi, co mam zrobić!

- Czy świat jest tak ciasny?! - wykrzyknęła Hester Prynne, patrząc prosto w oczy duchownego głębokim spojrzeniem. Instynktownie pragnęła wyrzucić na niego magnetyczny wpływ, wlać siły w duszę tak zdruzgotaną i osłabłą, że nie mogła się podźwignąć. - Czy świat zamyka się w granicach tego miasta, które tak niedawno było zaledwie usłaną liśćmi pustynią, tak odludną, jak to miejsce dookoła nas? Dokąd prowadzi ta leśna ścieżka? Powiesz, że z powrotem do osady? Tak. Ale i dalej. Idzie coraz głębiej w dzikie puszcze, z każdym krokiem coraz mniej widoczna, aż wreszcie o kilka mil stąd pożółkłe liście nie noszą nawet śladu kroków białego człowieka. Tam będziesz wolny! Tak krótka podróż przeniesie cię ze świata, w którym byłeś na dnie nieszczęścia, do świata, gdzie jeszcze możesz być szczęśliwy!

Czyż w całym tym bez końca ciągnącym się lesie nie ma dość cienia, by ukryć się przed wzrokiem Rogera Chillingwortha?

- Tak, Hester, lecz tylko pod opadłymi liśćmi! - odrzekł duchowny ze smutnym uśmiechem.

- Więc jest jeszcze inna droga, szeroka droga przez morze! - ciągnęła Hester. - Ona cię tu przywiodła. Jeśli zechcesz, zawiedzie cię znów z powrotem. W naszym kraju rodzinnym, czy to w zapadłej wiosce, czy w wielkim Londynie - a przecież także w Niemczech, we Francji, w pogodnej Italii - będziesz poza zasięgiem jego wiedzy i mocy! Co ty masz wspólnego z tymi wszystkimi ludźmi z żelaza i z tym, co oni myślą i sądzą? Za długo już trzymali w niewoli to, co jest w tobie najlepszego!

- To być nie może - odrzekł duchowny, który słuchał tak, jakby mu kazano urzeczywistnić sen. - Nie mam siły wyjechać stąd. Choć jestem nieszczęśliwy i grzeszny, nie chcę nic innego, jak tylko ciągnąć dalej moją nędzną egzystencję w tym miejscu, gdzie przywiodła mnie Opatrzność. Choć sam zgubiłem własną duszę, będę jeszcze robił, co mogę, dla uratowania innych dusz! Nie śmiem opuścić mego stanowiska, choć niewiernym jestem wartownikiem i gdy skończy się moja koszmarna warta, jako zapłata czeka mnie na pewno śmierć i niesława!

- Przygniata cię ciężar siedmiu lat nieszczęścia - odpowiedziała Hester, zdecydowana, że musi podnieść go na duchu własną energią. - Ale całe to brzemie zostawisz za sobą! Nie obciąży ono twoich kroków, gdybyś poszedł ścieżką w las, ani statku, jeśli wolisz przepłynąć się przez morze. Pozostaw te szczątki i ruiny tu, gdzie wszystko się wydarzyło! Nie wracaj już do tego. Zaczynaj wszystko od nowa! Czy wyczerpałeś wszelkie możliwości, gdy nie powiodła się ta jedna próba? Nic podobnego! Przyszłość chowa jeszcze wiele prób i wyjdiesz z nich zwycięsko. Możesz się jeszcze cieszyć szczęściem. Możesz jeszcze działać wiele dobrego! Zamień życie pełne fałszu na życie wśród prawdy. Jeśli masz w duchu powołanie do takiej misji, zostań nauczycielem i apostołem czerwonoskórych. Lub też - co bardziej odpowiada twej naturze - bądź uczonym i mędrce wśród najmędrszych i najślawniejszych ludzi, jakimi się szczyci kulturalny świat. Głoś kazania! Pisz! Działaj! Rób cokolwiek - tylko nie myśl o tym, by położyć się i umrzeć. Pozostaw imię Artura Dimmesdale i zdobądź sobie inne, które postawi cię wysoko, które będziesz mógł nosić bez strachu i bez wstydu. Po co zwlekać choćby jeden dzień w mękach, które targają twoim życiem, które uczyniły cię zbyt słabym, aby chcieć, aby działać! Wstań i idź!

- O, Hester! - zakrzyknął Artur Dimmesdale. W jego oczach na chwilę zapaliło się światło, rozniecone jej entuzjazmem, rozbłysło - i znów zgasło. - Mówisz o biegu w wyścigach człowieka, pod którym uginają się kolana. Muszę umrzeć tutaj. Nie mam już wcale siły i odwagi, by wypuszczać się w ten dziwny, trudny, szeroki świat sam jeden!

Był to ostateczny krzyk zwątpienia człowieka złamanego na duchu. Brakowało mu energii, by wyruszyć na poszukiwanie lepszego losu, który zdawał się leżeć w zasięgu ręki.

Powtórzył ostatnie słowa:

- Sam jeden, Hester!

- Nie pójdziesz sam! - odpowiedziała głębokim szeptem. Tak więc wszystko zostało powiedziane.

XVIII Powódź słońca

Artur Dimmesdale patrzył w twarz Hester spojrzeniem rozświetlonym nadzieją i radością, lecz czaił się w nim również strach i jakby zgroza wobec śmiałości, z jaką wypowiedziała to, o czym tylko niejasno napomykał, a czego nie śmiał powiedzieć. Lecz Hester Prynne ze swą wrodzoną odwagą i czynnym charakterem, od tak dawna nie tylko wyobcowana ze społeczeństwa, lecz również wyklęta jak przestępca, przyzwyczała się do swobodnych spekulacji, całkowicie obcych pastorowi. Była wędrowcem bez orientacji i bez przewodnika na moralnych bezdrożach - rozległych, splątanych i ciemnych jak ten pierwotny los, gdzie zagłębieni w mrokach odbywali teraz rozmowę, która miała zadecydować o ich losie. Jej umysł i serce zamieszkiwały pustynne miejsca i w nich poruszała się swobodnie, niczym Indianin w swojej puszczy. Przez ubiegłe lata patrzyła na instytucje założone przez ludzi i na wszystko, co ustanowili księża i prawodawcy, okiem osoby obcej, stojącej na uboczu. Patrzyła krytycznie, z niewiele większym szacunkiem, niż ten, który odczuwać mógł Indianin wobec wstęgi kapłana, togi sędziego, pręgierza, szubienicy, ogniska domowego i kościoła. Jej los i przeznaczenie do tego prowadziły, by poczuła się wolna. Szkarłatna litera była jej paszportem do miejsc, gdzie inne kobiety nie śmiałyby się zapuszczać. Wstyd, Rozpacz, Samotność! Oto byli jej nauczyciele - surowi, bezwzględni. To oni dali jej siłę, lecz wiele z ich nauk było błędnych.

Pastor z drugiej strony nigdy nie przeżył nic, co mogłoby go wyprowadzić poza zasięg ogólnie uznanych praw, choć w jednym, jedynym przypadku dopuścił się tak straszliwego wykroczenia przeciw jednemu z praw najbardziej uświęconych. Lecz był to grzech popełniony w afekcie, nie dla sprzeciwienia się zasadom, a nawet niezamierzony. Od tych nieszczęsnych dni z chorobliwą gorliwością i pedanterią zważał, już nie na swoje postęпки, bo te łatwo było upilnować, lecz na każde drgnienie uczucia, na każdą myśl. Był duchownym. Ponieważ duchowni stali wówczas na czele całego ustroju społecznego, był tym bardziej związany jego zarządzeniami, zasadami, a nawet przesadami. Był księdzem, a więc cała struktura kościoła rygorystycznie wyznaczała mu miejsce. Był człowiekiem, który kiedyś zgrzeszył, lecz sumienie w nim ciągle żyło, wrażliwe do bólu przez ciągłe wyrzuty, jak drażniona, niezaleczona rana; można było przypuszczać, iż mocniej będzie się trzymał drogi cnoty, niż gdyby nigdy nie zgrzeszył.

Tak więc można powiedzieć, że dla Hester Prynne całe te siedem lat banicji i hańby było właściwie przygotowaniem do tej najważniejszej godziny. Lecz Artur Dimmesdale? Gdyby taki człowiek upadł raz jeszcze, jakie wysunąć argumenty na usprawiedliwienie jego przestępstwa? Żadnych. Chyba że na jego obronę powiemy, iż złamały go długie i dotkliwe cierpienia; że jego umysł był zamroczony i zmacony nękającymi go wyrzutami sumienia; że sumienie jego stało przed trudnym wyborem - czy uciekać jako jawny przestępca, czy zostać i być dalej obłudnikiem; że pragnienie ucieczki przed śmiercią, niesławą i nieprzeniknionymi machinacjami

wroga jest rzeczą ludzką; a w końcu, że ten biedny pielgrzym na swej bezludnej, okrutnej drodze - słaby, chory i nieszczęśliwy - dostrzegł nagle światło ludzkiej miłości i współczucia, obietnicę nowego, prawdziwego życia zamiast potępiącego losu wiecznego pokutnika. A i to trzeba powiedzieć jako smutną i twardą prawdę, że gdy raz występki uczyni wyłom w duszy ludzkiej, nic jej już nie zdoła naprawić w tym ziemskim życiu. Można jej tak strzec i pilnować, że wróg nie włamie się ponownie do tej fortecy, a nawet gdyby znów zechciał atakować, musiałby raczej szukać innego dojścia, nie tego, którym poprzednio zdołał się wdrzeć. Lecz pozostaje nadkruszony mur i przy nim czai się wróg, który pomny na swój pierwszy triumf może go jeszcze raz powtórzyć.

Jeśli jakaś walka się odbyła, nie musimy jej opisywać. Dość, że duchowny postanowił w końcu uciec, i to nie sam.

„Gdybym mógł - rozmyślał - z tych całych minionych siedmiu lat przypomnieć sobie jedną chwilę spokoju i nadziei, wytrwałbym jeszcze, widząc w tym obietnicę miłosierdzia Bożego. Lecz teraz, skoro i tak jestem nieodwołalnie skazany, dlaczegoż bym nie miał skorzystać z pociechy dozwolonej winowajcy przed egzekucją? A jeśli to ma prowadzić do lepszego życia, jak przekonuje mnie Hester, to na pewno nie porzucam nic lepszego, wybierając tę drogę. I nie mogę już dłużej żyć z daleka od niej. Tak mocne daje oparcie, z taką czułością potrafi ukoić! O Ty, na Którego nie śmiem podnieść oczu, czy przebaczysz mi kiedyś?”

- Wyjedziesz! - powiedziała spokojnie Hester, gdy spojrzenia ich się spotkały.

Gdy decyzja została powzięta, światło przedziwnej radości rzuciło migotliwe promienie na zbolące serce. Jak więźnia, który dopiero co uciekł z lochu własnego serca, pastora ogarnęło wrażenie lekkości. Już oddychał swobodną, pierwotną atmosferą krain, gdzie nie było prawa ani chrześci-

148jaństwa, grzechu ni odkupienia. Jego duch odżył nagle; zobaczył niebo, bliżej niż kiedykolwiek w latach nieszczęścia, które kazało mu się czołgać w prochu po ziemi. Przy jego głęboko religijnym charakterze każdy nastrój musiał zabarwić się odcieniem modlitewnym.

- Czyżbym znów odczuwał radość?! - zakrzyknął, dziwiąc się sam sobie. - Zdawało mi się, że wszystkie jej załączki we mnie umarły! O, Hester, ty jesteś moim dobrym duchem. Rzuciłem się na ziemię chory, splamiony grzechem i szerniały od smutku - tam, na te leśne liście - a teraz wstałem jak stworzony na nowo, z nowymi siłami, aby chwalić Tego, który okazał miłosierdzie! To już jest lepsze życie! Dlaczego nie znaleźliśmy go wcześniej?

- Nie oglądajmy się wstecz - odrzekła Hester Prynne. - Przeszłość minęła! Po cóż się nad nią zastanawiać? Patrz! Tym oto symbolem unieważniam ją całą, tak jakby jej nigdy nie było!

Mówiąc to, odpięła szpilkę, którą przytwierdzona była szkarłatna litera, i odejmując mistyczny znak od piersi odrzuciła go daleko na zeschłe liście. Upadł na brzeg strumienia. Gdyby poleciał o dłoń dalej, wpadłby do wody i wzbogacił strumień o jeszcze jedną żałość, unoszoną z prądem jako dodatek do niezrozumiałej opowieści, o której ciągle szemrał. Lecz haftowana litera leżała na brzegu, lśniąca niby

zgubiony klejnot, który mógł podnieść jakiś nieszczęsny wędrowiec po to, by go zaczęły od tej chwili nawiedzać widma winy, upadków ducha i niewytłumaczonego smutku.

Pozbywszy się piętna, Hester wydała przeciągłe, głębokie westchnienie, z którym odpływał od niej ciężar wstydu i udręki. Cóż za cudowna ulga! Nie znała w pełni ciężaru, póki nie spróbowała wolności! Idąc za impulsem, zdjęła również oficjalny czepiec, który więził jej włosy. Opadły jej na ramiona, ciemne i gęste, ukazujące w swej obfitości i światła, i cienie, nadając jej twarzy urok miękkości. Promienny, czuły uśmiech igrał na jej ustach i świecił z oczu, jakby wytryskał z samego serca jej kobiecości. Na policzkach, tak już od dawna bladych, płonął karmazynowy rumieniec. Jej kobiecość, jej młodość i całe bogactwo urody powróciły z przeszłości, którą ludzie zowią nieodwołalnie minioną, i wstąpiły, wraz z jej dziewiczą nadzieją i z nie znanym dotąd uczuciem szczęścia, w magiczny krąg tej godziny. A mroki nieba i ziemi - tak jakby były tylko emanacją tych dwóch śmiertelnych serc - rozpierzchły się wraz z ich smutkiem. Znienacka, niby nagły uśmiech Niebios, wybuchła światłość słońca, istna powódź słońca w ciemnym lesie, oblewając radością każdy zielony listek, przeistaczając opadłe liście w złoto, połyskujące wzdłuż brunatnych pni dostojnych drzew. Przedmioty, które dotąd przedstawiały się jako cienie, teraz były jasnością. Bieg strumyczka można było śledzić obserwując jego wesołe lśnienie, biegnące daleko w serce leśnej tajemnicy, która stała się tajemnicą radosną.

149 Tak oto Natura, dzika, pogańska Natura w leśnej głuszy, nie poddana nigdy ludzkim prawom, nie oświecona prawdą wyższą, sprzyjała szczęściu tych dwojga dusz. Miłość, czy to nowo narodzona, czy obudzona ze snu podobnego śmierci, zawsze wyzwala słońce, a serca tak są nim przepełnione, że jego światło tryska z nich, ogarniając cały świat naokoło. A gdyby las był dalej mroczny, też wydawałby się słoneczny w oczach Hester i w oczach Artura Dimmesdale!

Hester spojrzała na niego z nowym dreszczem radości.

- Musisz poznać Pearl - powiedziała. - Naszą małą Pearl. Widziałeś ją już, wiem o tym. Ale teraz spojrzysz na nią innymi oczyma. To dziwne dziecko. Sama zaledwie ją rozumiem. Lecz pokochasz ją tak czule, jak ja ją kocham, i będziesz mi radził, jak mam z nią postępować.

- Czy myślisz, że dziecko mnie polubi? - spytał duchowny z pewnym niepokojem. - Od dawna unikam dzieci, bo często okazują mi brak ufności i niechętnie się do mnie zbliżają. Ja się nawet bałem małej Pearl!

- Ach, to smutne - odrzekła matka. - Ale ona pokocha cię mocno, a ty ją. Jest tu gdzieś niedaleko. Zawołam ją. Pearl! Pearl!

- Widzę małą - zauważył pastor. - O, tam stoi w słońcu, dosyć daleko, po drugiej stronie strumyka. Więc sądzisz, że dziecko mnie pokocha?

Hester uśmiechnęła się i znów zawołała Pearl, którą widać było dość daleko. Wyglądała, jak powiedział duchowny, niby kolorowe zjawisko, oświetlona promieniami słońca, padającymi na nią przez łuk utworzony z gałązek. Promień migotał to tu, to tam i postać jej raz zamglona, raz wyraźna wyglądała czasem jak

prawdziwe dziecko, to znów jak duch dziecka, gdy blask na przemian odchodził i powracał. Usłyszała głos matki i z wolna zaczęła iść ku nim przez las.

Pearl nie nudziła się przez tę godzinę, gdy matka rozmawiała z pastorem. Wielki, czarny las, choć pokazywał się surowy dla tych, co przynosili mu swoje smutki i poczucie winy, dla samotnego dziecka grał, jak tylko mógł, rolę towarzysza zabaw. Choć tak chmurny, przyjmował ją jak umiał najmilej. Ofiarował jej przepiórcze jagody, wyrosłe zeszłej jesieni, lecz dojrzewające dopiero wiosną, a teraz czerwieniejące na zeschniętych liściach niby krople krwi. Pearl zbierała je, zachwycona ich ostrym zapachem. Małym mieszkańcom puszczy nie chciało się specjalnie usuwać jej z drogi. Jedna przepiórka, wiodąca za sobą dziesięcioro małych, podbiegła nawet do niej z groźną miną, lecz wkrótce pożałowała swej wojowniczości i tylko zawołała na swą dzieciarnię, żeby się nie bała. Samotny gołąb na niskiej gałęzi pozwolił Pearl stanąć pod nią i wydał okrzyk ni to powitania, ni to strachu. Z niebotycznego gąszczu, w którym mieszkała, zagadała wiewiórka, ze złością, a może wesoło - bo u tej choleryczki o zmiennych humorach trudno odgadnąć, jaki ma nastrój; w każdym razie zagadała do dziecka i zrzuciła jej na głowę orzech: był to orzech zeszłoroczny, mocno nadgryziony jej ostrymi ząbkami. Lis, przebudzony ze snu szelestem lekkich kroków Pearl na zeschniętych liściach, spojrzał na nią badawczo, jakby się zastanawiał, czy lepiej umknąć po cichu, czy wrócić do drzemki w tym samym miejscu. Powiadają, że wilk zbliżył się do Pearl, powąchał jej sukienkę i podstawił swój dziki łeb, aby pogłaskała go swą rączką - ale to chyba bajki. Jedno wydaje się pewne: że ów matecznik i wszystkie dzikie stworzenia przezeń karmione uznały bratnią dziką duszę w tym ludzkim dziecku.

Tutaj Pearl stawała się łagodniejsza, niż na obrzeżonych trawą ulicach osady czy w chatce swojej matki. Kwiaty widocznie to wyczuwały. Co chwila ten i ów szeptał do niej, gdy przechodziła: - Przystrój się we mnie, piękne dziecię, przystrój się we mnie! - I żeby im zrobić przyjemność, Pearl zbierała fiołki i anemony, i orliki, i najzieleńsze, najświeższe gałązki, które stare drzewa podsuwały jej pod oczy. Przystroiła nimi włosy i dziecianną kibić i stała się malutką nimfą lub driadą, lub innym podobnym stworzonkiem, pozostającym w najściślejszej zażyłości z prastarym lasem. Tak przybrana Pearl usłyszała wołanie matki i zawróciła - bardzo powoli.

Powoli - bo ujrzała duchownego!

XIX Dziecko nad strumykiem

- Na pewno ją bardzo pokochasz - powtórzyła Hester Prynne, gdy oboje z duchownym patrzyli na małą Pearl. - Czyż nie uważasz, że jest piękna? I popatrz, z jaką wrodzoną zręcznością ułożyła te proste kwiaty dla ozdoby! Gdyby zbierała w lesie perły, diamenty i rubiny, nie mogłaby piękniej w nich wyglądać. To wspaniałe dziecko! A ja wiem, po kim odziedziczyła to czoło!

- Czy wiesz, Hester - rzekł Artur Dimmesdale z niepewnym uśmiechem - że to kochane dziecko zawsze drepczące koło ciebie nieraz budziło we mnie strach? Zdawało mi się... ach, co za myśl, Hester, i jakie to okropne, że trzeba jej się bać... zdawało mi się, że w jej rysach widzę moją własną twarz i to tak wyraźnie, że wszyscy mogą to zauważyć! Ale przede wszystkim to twoje dziecko.

- Nie, nie! Nie przede wszystkim! - odpowiedziała matka z czułym uśmiechem. - Jeszcze trochę i nie będziesz musiał się bać, szukając u niej podobieństwa. Ale jak ślicznie i dziwnie wygląda z tymi leśnymi kwiatami we włosach. Zupełnie jakby jakaś wróżka, z tych, które pozostawiliśmy w kochanej, starej Anglii, tak ją przystroiła na nasze spotkanie.

Z uczuciami, jakich żadne z nich przedtem nigdy nie doznawało, siedzieli i patrzyli na zbliżającą się z wolna Pearl. W niej widoczny był związek, który ich jednoczył. Została ofiarowana światu przed siedmiu laty jako żywy hieroglif: w niej ujawniał się ich sekret, który tak usilnie starali się ukryć. Wszystko zapisano tym symbolem, wszystko tu było oczywiste i widoczne - gdyby znalazł się jakiś prorok lub czarodziej biegły w odczytywaniu z płomienia! I Pearl była jednością tych dwóch istot. Obojętne, jakie było to minione zło. Jak mogli wątpić, że ich życie ziemskie i przyszłe losy złączone są na zawsze, gdy w niej oglądali jedność swoich ciał, i ducha, w którym żyli oboje i mieli razem przetrwać przez całą nieśmiertelność. Takie myśli i może jeszcze inne, nieuświadomione i nieokreślone, nadawały w ich oczach niezwykłość zbliżającemu się dziecku.

- Uważaj, żeby nie dostrzegła nic dziwnego w tym, jak się do niej zwrócisz. Żadnej gorliwości ani wzruszenia! - szepnęła Hester. - Nasza Pearl to kapryśny i dziwny chochlik. Nie lubi zwłaszcza silnych uczuć, gdy nie rozumie, skąd się wzięły i czemu mają służyć. Ale dziecko jest bardzo uczuciowe. Kocha mnie i ciebie pokocha!

- Nie zgadłabyś - rzekł duchowny - jak moje serce boi się tego spotkania i jak go pragnie! Lecz naprawdę, jak ci już mówiłem, dzieci niechętnie się do mnie zbliżają. Nie chcą siadać mi na kolana ani szeptać do ucha, nie odpowiadają na mój uśmiech, tylko stoją z boku i patrzą z dziwną miną. Nawet małe dzieci płaczą żałością, kiedy wezmę je na ręce. A jednak Pearl dwa razy w życiu była dla mnie miła! Pierwszy raz - wiesz kiedy. Ostatni raz, gdy przyprowadziłaś ją ze sobą do domu tego surowego, starego gubernatora.

- A ty tak dzielnie przemawiałeś w jej obronie i w mojej! - odpowiedziała matka. - Pamiętam to i Pearl będzie pamiętać. Niczego się nie bój! Może być dziwna i nieśmiała na początku, ale wkrótce nauczy się ciebie kochać!

Przez ten czas Pearl dotarła do brzegu strumyka i stała tam, po drugiej stronie, w milczeniu patrząc na Hester i na duchownego, ciągle jeszcze siedzących razem na omszałym pniu, czekających, aż podejdzie. W miejscu, gdzie się zatrzymała, strumyk tworzył przypadkiem małą sadzawkę tak gładką i spokojną, że odbijała dokładnie obraz małej figurki z całą malowniczością jej urody, przybranej w kwiaty i splecione liście, lecz bardziej subtelny i uduchowiony niż jej wygląd w rzeczywistości. Z tego obrazu niemal identycznego z prawdziwą, żywą Pearl udzieliło się jak gdyby coś nierealnego i nieuchwytnego samemu dziecku. Dziwnie wyglądała Pearl stojąc tam i patrząc na nich nieruchomo przez zamglony mrok lasu. Jej postać jaśniała w promieniach słońca, które jakby przyciągała do siebie, budząc w nich sympatię. W strumieniu pod jej stopami stało drugie dziecko - inne i to samo - oświetlone swym własnym promieniem złocistego światła. Hester czuła w sposób niejasny i denerwujący, jakby coś ją oddzielało od Pearl, jakby dziecko wśród swych samotnych wędrówek po lesie wyszło z rejonów, w których mieszkało razem z matką, a teraz na próżno starało się do nich powrócić.

W tym wrażeniu była i prawda, i pomyłka: coś rozdzielało dziecko i matkę, lecz wina była po stronie Hester, a nie Pearl. Od chwili, gdy dziecko od niej odeszło, ktoś inny został dopuszczony do kręgu uczuć matki i tak zmienił ich wspólny świat, że Pearl, powracający wędrowiec, nie mogła znaleźć swego zwykłego miejsca i nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje.

- Dziwna mi przyszła myśl do głowy - zauważył wrażliwy pastor - że ten strumień to granica między dwoma światami i że już nigdy nie odnajdziesz swojej Pearl. A może to elf, któremu, jak nauczały nas bajki naszego dzieciństwa, nie wolno przekroczyć płynącego strumienia? Proszę cię, przynaglij ją, bo ta zwłoka już szarpie mi nerwy.

- Chodź, moje najdroższe dziecko! - zawołała Hester zachęcająco, wyciągając do niej ramiona. - Jak długo się ociągasz! Nigdy dotąd nie byłaś taka powolna! Tu jest mój przyjaciel, który musi zostać także i twoim przyjacielem. Odtąd będziesz miała dwa razy tyle miłości, ile mogła ci dać sama twoja matka! Przeskocz przez strumyk i chodź do nas. Potrafisz skakać jak sarenka!

Nie reagując w żaden sposób na te miodowe czułości, Pearl pozostała po drugiej stronie strumyka. Swymi błyszczącymi, dzikimi oczyma wpatrywała się baczenie to w matkę, to w duchownego, a czasem obejmowała spojrzeniem ich oboje, jakby pragnąc odkryć i wytłumaczyć sobie, co ich łączy. Z niewytłumaczonych powodów, gdy Artur Dimmesdale poczuł na sobie wzrok dziecka, jego ręka sama uniosła się do serca tym gestem, który tak już wszedł mu w zwyczaj, że stał się mimowolny. W końcu, przybierając dziwnie rozkazującą minę, Pearl wyciągnęła rękę, paluszkami wyraźnie wskazując na pierś matki. Poniżej, w zwierciadle strumienia, słoneczny, opasany kwiatami obrazek małej Pearl również pokazywał na nią paluszkami.

- Ty dziwne dziecko, dlaczego nie podchodzisz do mnie?! - zawołała Hester.

Pearl ciągle pokazywała na nią palcem, a na czole jej wezbrała chmura, tym bardziej uderzająca, że ukazała się na twarzy tak dziecinnej, prawie niemowlęcej. Gdy matka ciągle przywoływała ją gestem, przybierając twarz w odświętne uśmiechy, do których nie była przyzwyczajona, dziecko tupnęło nóżką z miną i gestem jeszcze bardziej rozkazującym. I znów piękny obrazek w strumieniu, z odbiciem namarszczonej twarzyczki i rozkazującego gestu, podkreślał wygląd małej Pearl.

- Pośpiesz się, Pearl, bo inaczej będę się na ciebie gniewać! - zawołała Hester, bo choć była już uodporniona na takie wybryki swego chochlika w innych okolicznościach, pragnęłaby oczywiście, żeby w tej chwili okazała więcej grzeczności. - Przeskocz przez strumyk, ty niegrzeczne dziecko, i biegnij tu do nas! Bo inaczej ja do ciebie przyjdę!

Lecz Pearl, ani trochę nie bojąc się gróźb matki, ani też nie ułagodzona jej prośbami, nagle wybuchnęła wściekłością, wymachując rączkami i miotając się na wszystkie strony z najwyższą furją. Temu gwałtownemu wybuchowi towarzyszyły przeraźliwe krzyki, odbijane echem ze wszystkich stron, tak że choć tylko ona sama objawiała tę dziecinną i niemądrą złość, zdawało się, że wszystko, co skrywało się w lesie, popiera ją i zachęca. W strumieniu znowu odbijał się obraz gniewnej Pearl, ukwieconej na główce i u pasa, lecz tupiącej nóżką, wymachującej dziko rączkami i ciągle wskazującej wyciągniętym paluszkami na pierś Hester!

- Już rozumiem, co się stało dziecku - szepnęła Hester do duchownego i twarz jej pobladła mimo wysiłku, by ukryć, jak ją to poruszyło i zgnębiło. - Dzieci nie znoszą żadnej, najmniejszej zmiany w wyglądzie tych rzeczy, na które patrzą codziennie. Pearl brakuje czegoś, co zawsze widziała na mojej sukni!

- Proszę cię - odrzekł duchowny - jeśli potrafisz uspokoić dziecko, zrób to jak najprędzej! - i dodał, zdobywając się na uśmiech: - Z wyjątkiem wściekłości jadowitej starej wiedźmy, takiej jak pani Hibbins, nic nie przeraziłoby mnie bardziej niż taka złość u dziecka. Przy pięknej twarzyczce Pearl, tak samo jak u pomarszczonej czarownicy, robi to niesamowite wrażenie. Uspokój ją, jeśli mnie kochasz!

Hester znów zwróciła się do Pearl z karmazynowym rumieńcem na policzkach, rzucając z boku zażenowane spojrzenie duchownemu, po czym westchnęła ciężko. Nim jeszcze przemówiła, rumieniec ustąpił śmiertelnej bladości.

- Pearl - rzekła smutnie. - Patrz tam, u twoich stóp! Tam, przed tobą! Po tej stronie strumyka!

Dziecko zwróciło oczy na miejsce, wskazane przez matkę: leżała tam szkarłatna litera, tak blisko brzegu strumienia, że złoty haft odbijał się w wodzie.

- Przynieś ją tutaj! - rzekła Hester.

- Przyjdź i weź ją sama! - odpowiedziała Pearl.

- Widział kto kiedy takie dziecko! - zwróciła się Hester do pastora. - O, muszę ci wiele o niej opowiedzieć. Ale naprawdę ona ma rację, jeśli chodzi o ten nienawistny znak. Muszę jeszcze przez jakiś czas znosić tę udrękę, już tylko przez kilka dni - aż wyjedziemy z tych okolic, a potem będziemy je wspominać jak krainę,

o której nam się tylko śniło. Las jej nie ukryje. Daleki ocean weźmie ją z mojej ręki i pochłonie na zawsze!

Z tymi słowami podeszła do brzegu strumienia, podniosła szkarłatną literę i przypięła ją na nowo do piersi. Choć zaledwie przed chwilą mówiła z taką nadzieją o utopieniu jej w głębi morza, w chwili, gdy ów śmiertelny symbol przyjęła na nowo z ręki losu, ogarnęło ją przeczucie nieuniknionego nieszczęścia. Odrzuciła go precz w nieskończoną przestrzeń! Przez godzinę oddychała jak wolny człowiek! I oto znów ta szkarłatna udręka lśniła na swoim starym miejscu! Tak to już jest, że zły czyn, obojętnie jakim symbolem się wyraża, przybiera charakter ciężącego nad nami nieszczęścia. Następnie Hester zwinęła swe ciężkie warkocze i ukryła je pod czepkiem. I od razu, ta smutna litera miała moc, od której wszystko więdnie, jej piękność, ciepło i blask jej kobiecości opadły z niej niczym gasnące słońce. Zdawało się, że padł na nią szary cień. Gdy ta okrutna zmiana się dokonała, Hester wyciągnęła rękę do Pearl.

- Czy poznajesz teraz swoją matkę, dziecko? - spytała z wyrzutem, lecz tonem stłumionym. - Czy przejdiesz teraz przez strumień i uznasz swoją matkę, kiedy już znów носи na sobie -? kiedy już znowu jest smutna?

- Tak, teraz przyjdę - odpowiedziało dziecko, przeskakując strumień i obejmując Hester rękami. - Teraz jesteś naprawdę moją matką. A ja jestem twoją małą Pearl!

Z nagłą czułością, jakiej zwykle nieokazywała, przyciągnęła do siebie głowę matki i ucałowała ją w czoło i w oba policzki. Lecz zaraz potem - jakby wiedziona tym przymusem, który zawsze, ilekroć sprawiała matce przyjemność, kazał jej natychmiast sprawić przykrość - podniosła głowę i ucałowała także szkarłatną literę!

- To nieładnie! - rzekła Hester. - Najpierw okazujesz mi miłość, a potem drwisz ze mnie!

- Dlaczego duchowny tam siedzi? - spytała Pearl.

- Czeką, żeby cię powitać - odrzekła matka. - Chodź i poproś go o błogosławieństwo! On cię kocha, moja mała Pearl, i kocha też twoją matkę. A ty go nie pokochasz? Chodź! On bardzo chciałby cię powitać!

- To on nas kocha? - powiedziała Pearl, patrząc na matkę bystrym, inteligentnym spojrzeniem. - Czy wróci z nami do miasta i wejdziemy tam razem wszyscy troje, trzymając się za ręce?

- Jeszcze nie teraz, drogie dziecko - odpowiedziała Hester. - Ale nadejdzie czas, że będzie z nami chodził razem, trzymając nas za ręce. Będziemy mieli dom i własny kominek i będziesz siadała mu na kolanach, i nauczy cię wielu rzeczy i będzie cię bardzo kochał. Ty też będziesz go kochać, prawda?

- A czy on zawsze będzie trzymał rękę na sercu? - dopytywała się Pearl.

- Niemądre dziecko, co za pytanie?! - wykrzyknęła matka. - Chodź i poproś o błogosławieństwo.

Jednakże Pearl, czy to z zazdrości, jaką każde rozpieszczone dziecko odczuwa wobec niebezpiecznego rywala, czy też z jakiegoś kaprysu jej nieobliczalnego charakteru, nie była łaskawa dla duchownego. Matka musiała użyć siły, by

przyprowadzić ją do niego ociągając się, niechętną i okazującą niechęć przez dziwne miny i grymasy, które miała na zawołanie od najwcześniejszych lat. Potrafiła wykrzywiać swą ruchliwą twarzyczkę na różne sposoby, a jedna mina bardziej niegrzeczna od drugiej. Duchowny, przykro zażenowany, lecz pełen nadziei, że pocałunek może okazać się talizmanem, dzięki któremu uzyska od niej większe względy, pochylił się i ucałował ją w czoło. Na to Pearl wyrwała się matce i pobiegła do strumyka, gdzie pochyliwszy się zmywała sobie czoło, aż niepożądany pocałunek został całkiem wymyty i rozcieńczony długim płukaniem w przepływającej wodzie. Potem trzymała się z dala, obserwując w milczeniu Hester i duchownego, podczas gdy rozmawiali ze sobą, naradzając się nad tym, co należy przedsięwziąć w obliczu ich nowej sytuacji i zamiarów, które mieli wkrótce zrealizować.

Ostatecznie to doniosłe spotkanie dobiegło końca. Dolinę trzeba było pozostawić jej samotności wśród ciemnych, starych drzew, które stujęcznym szeptem miały długo opowiadać o tym, co się tu zdarzyło, choć nie zrozumiałyby tego żaden śmiertelnik. A smutny strumyk przyjąć miał jeszcze jedną opowieść do skarbca licznych tajemnic, którymi jego serduszko było już mocno obciążone i o których ciągle szemrał i gaworzył głosem ani trochę nie weselszym od tego, jakim przemawiał od wieków.

XX Pastor wśród błędnych dróg

Duchowny wracał do domu pierwszy, przed Hester i małą Pearl. Gdy odchodził, obejrzał się, jakby przypuszczał, że zobaczy tylko mgliste zarysy twarzy i postaci matki i dziecka, z wolna rozplywające się w zmierzchu lasów. Nie mógł od razu uwierzyć, że tak wielka zmiana w jego życiu przydarzyła się naprawdę. Lecz oto stała tam Hester w swej szarej sukni, ciągle jeszcze obok pnia przed wiekami powalonego przez jakiś podmuch wichru i od tego czasu stale pokrywającego się mchem po to, by dwoje skazańców, niosących na barkach najcięższe z ziemskich ciężarów, mogło tam usiąść razem i odnaleźć spokój i pociechę na tę jedną, jedyną godzinę. I Pearl również tam była: tanecznym krokiem biegła znad strumyka po odejściu tego trzeciego, intruza, by zająć swe miejsce u boku matki. A więc nie spał, to nie był sen!

Aby uwolnić umysł od zmaconych i dwuznacznych wrażeń, budzących w nim dziwny niepokój, zaczął sobie przypominać i porządkować w głowie plany, jakie wraz z Hester nakreślili w sprawie ich wyjazdu. Ustalili między sobą, że stary świat, tłumny i pełen miast, ofiarowywał im lepsze schronienie i kryjówkę, niż dzikie ziemie Nowej Anglii i w ogóle Ameryki, w której mieli do wyboru bądź indiański wigwam, bądź nieliczne osady Europejczyków, rozsiane z rzadka wzdłuż morskich wybrzeży. Nie mówiąc już o tym, że zdrowie duchownego nie było na tyle mocne, by wytrzymać trudy leśnego życia; jego wrodzone zdolności, kultura i ogólny rozwój mogły zapewnić mu dom tylko w otoczeniu wysoce cywilizowanym: im wyższy stan, tym idealniej do niego pasował. Mówiąc o urzeczywistnieniu tego planu wspomnieli, że w porcie znajduje się akurat statek, jeden z tych morskich włóczęgów o wątpliwej reputacji, stworów, które były zjawiskiem codziennym i nie zaliczając się dosłownie do wyrzutków morskiego społeczeństwa, krążyły jednak po morzach w sposób dość nieodpowiedzialny. Statek ów przybył niedawno ze Spanish Main i za trzy dni miał odpłynąć do Biistolu. Hester Prynne, która dzięki swemu powołaniu jako dobrowolna siostra miłosierdzia nawiązała znajomość z kapitanem i z załogą, mogła załatwić przejazd dla dwóch osób z dzieckiem, z zachowaniem wszelkiej dyskrecji, jaką absolutnie nakazywały okoliczności.

Z niemałym zainteresowaniem duchowny spytał Hester, kiedy dokładnie ma odpłynąć statek. Okazało się, że przypuszczalnie za cztery dni. „To bardzo szczęśliwie!” - rzekł do siebie. Ale dlaczego wielebny pan Dimmesdale uważał to za szczęśliwą okoliczność - wahamy się zdradzić. Niemniej jednak, by nic nie ukrywać przed Czytelnikiem, wyznamy, że za trzy dni miał wygłosić kazanie elekcyjne, a ponieważ taka okazja była wielkim zaszczytem w życiu duchownego Nowej Anglii, nie mógł znaleźć bardziej stosownego sposobu i czasu, aby zakończyć zawodową karierę. „Przynajmniej nie powiedzą o mnie - rozmyślał ten przykładowy człowiek - że zostawiam za sobą nie dopełniony lub źle dopełniony obowiązek wobec społeczeństwa!” To smutne zaprawdę, że samoświadomość owego biednego pastora, tak ostra i głęboka, mogła się tak bardzo oszukiwać! Mówiliśmy o nim gorsze rzeczy

i jeszcze może powiemy, lecz tak żalostnej słabości między nimi nie było; nie ma lepszego dowodu jak ten szczegół - niby mało ważny, a jednak nieodparty - że jego prawdziwy charakter już od dawna toczyła jakaś nieuchwytna choroba. Nikt nie może przez dłuższy czas nosić jednej twarzy dla siebie, a drugiej dla tłumu, nie narażając się na to, że w końcu sam nie będzie wiedział, która jest prawdziwa.

Rozmowa z Hester wpłynęła tak pobudzająco na pana Dimmesdale, że w przypływie niezwykłej jak na niego energii i sił fizycznych ruszył do miasta szybkim krokiem. Ścieżka wśród lasów wydała mu się bardziej dzika i prymitywna, pełna trudnych miejsc i naturalnych przeszkód, mniej ubita ludzkimi stopami, niż przypominał sobie z poprzedniej wędrówki. Lecz przeskakiwał błotniste kałuże, przepychał się przez gałęzie poszycia, wspinał na wzniesienia i zbiegał w dołki - krótko mówiąc przewycięzał wszystkie przeszkody na szlaku z niezmordowaną energią, która go zdumiała. Pamiętał przecież, z jakim wysiłkiem, często przystając dla złapania oddechu, włókł się tą ścieżką dwa dni temu. Gdy zbliżył się do miasta, miał wrażenie, że wszystkie dobrze mu znane miejsca i przedmioty spotykane na tej drodze jakoś się zmieniły. Zdawało mu się, że widział je ostatnio nie wczoraj, nie dzień lub dwa dni przedtem, że upłynęło wiele dni, a nawet lat od chwili, gdy je mijał. W rzeczywistości każda ulica biegła tak, jak ją pamiętał, a wszystkie charakterystyczne szczegóły domów: określona liczba szpiczastych wieżyczek, chorągiewki na dachach - to wszystko było na swoim miejscu, tak jak sobie przypominał. Niemniej jednak nie chciało go opuścić jakieś natrętne wrażenie, że wszystko się zmieniło. To samo wrażenie odnosił widząc znajomych, których spotykał - dobrze znane ludzkie kształty w małym miasteczku. Nie wyglądali teraz ani starzej, ani młodziej; brody starców nie zdawały się bielsze, ani wczorajsze raczkujące niemowlę nie mogło dzisiaj zacząć chodzić; nie sposób było określić, pod jakim względem różnili się od osobników, których tak niedawno obdarzył spojrzeniem opuszczając miasto. A jednak coś w głębi ducha mówiło mu, że zaszły w nich zmiany. Podobne wrażenie ogarnęło go najbardziej zdecydowanie, gdy przechodził pod murami własnego kościoła. Budynek wyglądał tak dziwnie, choć zarazem swojsko, że w umyśle pana Dimmesdale walczyły dwie koncepcje: albo do tej chwili widywał go tylko we śnie, albo śni mu się właśnie w tej chwili.

To zjawisko, przybierające różne formy, nie wskazywało na rzeczywiste zmiany zewnętrzne, lecz świadczyło o tym, że w samym obserwatorze znanych sobie widoków nastąpiła zmiana tak nagła i doniosła, iż przerwa jednego dnia utożsamiła się w jego świadomości z upływem wielu lat. Jego własna wola, wola Hester i nowe perypetie ich wspólnego losu dokonały tej przemiany. Było tu to samo miasto, co przedtem, lecz z lasu powrócił inny człowiek. Mógłby powiedzieć do przyjaciół, którzy go witali: „Nie jestem tym, za którego mnie bierzecie! Zostawiłem go tam, w lesie, w ukrytej dolince przy omszałym pniu, nad smutnym strumykiem! Idźcie tam, poszukajcie waszego pastora, zobaczcie, czy jego wychudła postać, zapadnięte policzki, białe, zasępienie, zmarszczone bólem czoło nie leżą tam jak porzucone suknie!” Przyjaciele bez wątpienia protestowaliby: „Ależ to ty sam jesteś tym człowiekiem!” Lecz myliliby się oni, nie on.

Zanim pan Dimmesdale dotarł do domu, jego zewnętrzne „ja” dało mu jeszcze inne dowody rewolucji, przewrotu, jaki się dokonał w sferze jego myśli i uczuć. Naprawdę nic innego, jak tylko całkowita zmiana dynastii i kodeksu moralnego w tym wewnętrznym, duchowym królestwie mogła wytłumaczyć potrzebę pewnych odruchów nękających teraz nieszczęśliwego i przerażonego księdza. Na każdym kroku miał ochotę, by zrobić coś dziwnego, dzikiego albo coś złego, czując, że byłoby to zarazem i mimowolne, i umyślne, wbrew samemu sobie, a zarazem wypływające z jaźni głębszej niż ta, która sprzeciwiała się impulsowi. Spotkał, na przykład, jednego ze swych diakonów. Ów zacny człowiek zwrócił się do niego z ojcowskim uczuciem, korzystając z przywilejów patriarchy, do jakich go wiek sędziwy, prawy i świątobliwy charakter oraz jego pozycja w kościele upoważniały. Zwracał się także z głębokim respektem, niemal ze czcią należną godności pastora i jego zaletom osobistym. To był najpiękniejszy przykład, jak majestat wieku i mądrości może iść w parze z hołdem i respektem oddawanym przez człowieka o niższej społecznej pozycji i mniejszych zdolnościach komuś, kto go pod tymi względami przewyższał. Otóż w czasie trwającej parę chwil rozmowy pana Dimmesdale z tym przezacnym, śnieżnobrodym diakonem pastor z najwyższym tylko wysiłkiem mógł się powstrzymać od wysoce bluźnierczych uwag, jakie mu się nasunęły w związku z obrzędem przyjmowania komunii. Po prostu drżał cały i zbladł na twarzy jak popiół ze strachu, że jego język sam zacznie się obracać, wypowiadając te straszne rzeczy pozornie za jego zgodą, choć przecież wcale się z tym nie zgadzał! Lecz mimo przerażenia w sercu zaledwie mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl o tym, jak ów postarzały w świętości patriarchalny diakon skamieniałby ze zgrozy, słysząc takie bezceństwa z ust swego pastora!

Zdarzył się jeszcze inny incydent tego rodzaju. Spiesząc ulicą wielebny pan Dimmesdale spotkał najstarszą parafiankę swego kościoła, nader pobożną i przykładną staruszkę; była to biedna, samotna wdowa z sercem tak przepelnionym wspomnieniami o zmarłym mężu, dzieciach i od dawna nieżyjących przyjaciółach, jak cmentarz pełen jest nagrobków. To wszystko jednak, co mogło sprawiać tylko ból w jej pobożnej, starej duszyczce, przemieniło się niemal w podniosłą radość pod wpływem pociechy religijnej i prawd Pisma Świętego, którymi karmiła się bezustannie od trzydziestu lat. A ponieważ pan Dimmesdale nią się zajął, jej główną ziemską pociechą - która nie byłaby wcale pociechą, gdyby nie pochodziła właściwie z nieba - były spotkania z pastorem, przypadkowe lub umówione. Czuła się odświeżona słowem ciepłej, wonnej, niebem przepojonej prawdy Ewangelii, płynącym z jego ukochanych ust w jej przytępione, lecz uważne i zachwycone ucho. Lecz w dzisiejszym spotkaniu pan Dimmesdale aż do chwili, gdy przykładął usta do jej ucha, nie był w stanie przypomnieć sobie - zgodnie z intencją wielkiego wroga dusz - żadnego tekstu Ewangelii, ani nic innego prócz krótkiego, zwięzłego zdania, które było nieodpartym, jak mu się akurat wydało, argumentem przeciw nieśmiertelności duszy. Gdyby jej to wsączył w ucho, jego wiekowa siostra zapewne padłaby od tego trupem w jednej chwili, jak od gwałtownej trucizny. Co jej naprawdę szepnął, tego nigdy nie mógł sobie przypomnieć. Być może - i na szczęście

- jego słowa były tak bezładne, że żaden sens nie dotarł do umysłu zacnej wdowy, lub też Opatrzność zajęła się interpretacją na swój sposób. Na pewno jednak, gdy duchowny się obejrzał, na pomarszczonej i ziemisto bladej twarzy kobiety ujrzał wyraz nieziemskiej wdzięczności i ekstazy, niczym światłość Boskiego miasta.

A oto trzeci przykład: Pożegnawszy starą parafiankę spotkał z kolei najmłodszą siostrę z całej kongregacji - świeżo zdobytą duszę, i to zdobytą przez wielbego pana Dimmesdale dzięki jego kazaniu w niedzielę po nocy czuwania, w którym nawoływał do porzucenia przemijających światowych uciech dla nadziei niebiańskiej, promieniejącej coraz to jaśniejszym światłem, podczas gdy świat wokół nas ciemnieje, i złocej smutek ostateczny ostateczną chwałą. Dziewczyna była piękna i czysta jak lilie kwitnące w Raju. Duchowny doskonale wiedział, że on sam jest świętością w nieskazitelnej świętości jej serca, które przystrajało jego obraz w śnieżne zasłony, przepajając religię ciepłem miłości, a miłość religijną czystością. Owego popołudnia na pewno sam Szatan odwiódł biedną dziewczynę od boku matki i postawił ją na drodze srodze kuszonego, a może - czyż nie wyznać od razu? - zgubionego i zropanzonego człowieka. Gdy się zbliżała, arcywróg podszepnął mu, aby rzucił w jej czułe serce malutki, prawie niewidoczny zalążek zła, które niezawodnie zakwitnie niebawem ciemnym kwiatem i szybko wyda czarne owoce. Taką miał świadomość władzy nad tą dziewczyną, ufającą mu duszą, że czuł się w mocy, aby zwarzyć całą tę łąkę niewinności jednym frywolnym spojrzeniem i rozbudzić wszystkie nieczyste uczucia jednym słowem. A więc staczając ze sobą walkę cięższą niż dotąd, uniósł ramię i brzegiem rękawa swej szaty duchownego zasłonił twarz, po czym minął ją pośpiesznie, nie czyniąc żadnego znaku, że ją poznaje, i pozostawił młodą siostrę za sobą; niech sobie tłumaczy jak chce jego niegrzeczność! Dziewczyna zaczęła przetrząsać swoje sumienie, w którym były tylko niewinne drobiazgi, maleńkie jak jej kieszonka lub woreczek do robót, i robić sobie wyrzuty o tysiące wymaginowanych przewinień, a następnego ranka, krzątając się po domu, miała zaczerwienione oczy.

Nim jeszcze duchowny zdążył uciszyć się zwycięstwem odniesionym nad tą ostatnią pokusą, uświadomił sobie, że bierze go nowa chęćka, bardziej niedorzeczna i prawie równie okropna. Miał ochotę - rumienimy się, wyznając to - zatrzymać się na drodze i nauczyć kilku obrzydliwych słów grupkę bawiących się obok małych purytańskich dzieci, które zaledwie zaczynały mówić. Powstrzymał się od tego niegodnego jego sukni dziwactwa, po czym spotkał pijanego marynarza z załogi hiszpańskiego statku. W tym momencie biedny pan Dimmesdale poczuł, że skoro tak dzielnie zwalczył wszystkie frywolne zachcianki, pragnąłby przynajmniej otrząsnąć prawicę tego umazanego smołą łotra i odświeżyć się kilkoma nieprzystojnymi żartami, w jakich lubują się ci rozwiązli żeglarze, i przyłączyć się do salwy porządnych, dosadnych, przynoszących satysfakcję i bezbożnych przekleństw! Z tego ostatniego kryzysu uratowały go nie tyle zasady, co po części dobry smak, a jeszcze bardziej nawyk do rygorów kapłańskiej obyczajności.

- Co to jest? Co mnie tak ściga i kusi?! - zakrzyknął wreszcie duchowny, przystając na ulicy i uderzając ręką w czoło. - Czy oszalałem? Czy opanował mnie

całkowicie diabeł? Czy zawarłem z nim pakt w lesie i podpisałem własną krwią? A teraz może mnie wzywa do wypełnienia warunków kusząc, abym robił wszystkie te paskudztwa, które mu podsuwa jego brudna wyobraźnia?

W chwili, gdy wielebny pan Dimmesdale tak ze sobą rozmawiał i uderzał się dłonią w czoło, przechodziła obok, jak powiadają, stara pani Hibbins, uważana za czarownicę. Ubrana była wspaniale: wysoki czepiec, bogata aksamitna suknia i kreza suto nakrochmalona sławetnym żółtym krochmalem. Sekretu jego przyrządzenia nauczyła ją bliska przyjaciółka, Ann Turner, nim jeszcze tę zacną panią powieszono za zamordowanie Sir Thomasa Overbury. Czy owa czarownica odgadła myśli duchownego, czy nie, zatrzymała się, spojrzała mu w oczy przenikliwym spojrzeniem, uśmiechnęła się chytrze i choć nieskora do rozmów z księżmi, zaczęła rozmowę.

- Tak więc, wielebny panie, odwiedzaliście las - zauważyła, kiwając głową w wysokim czepcu. - Następnym razem proszę was, gdybyście mię tylko zechcieli uprzedzić, będę zaszczycona, dotrzymując wam kompanii. Bez żadnych kłopotów, moje dobre słowo bardzo się liczy i każdy nowo przybyły może być pewny dobrego przyjęcia u tego potentata, o którym wiecie!

- Oświadczam wam, pani - rzekł duchowny z poważnym ukłonem, jakiego wymagała pozycja damy i nakazywało dobre wychowanie - oświadczam wam, na moje sumienie i reputację, że nie mam pojęcia, co by mogły znaczyć wasze słowa! Nie poszedłem do lasu, by szukać potentata, ani też w przyszłości nie zamierzam odwiedzać tych okolic dla pozyskania łaski takiej osobistości. Moirn jedynym i wystarczającym celem było powitanie mego świątobliwego przyjaciela, Apostoła Eliota, i radowanie się wspólnie z nim dużą liczbą cennych dusz, nawróconych przez niego z pogańskiego stanu.

- Ha, ha, ha! - zachichotała stara czarownica, ciągle kiwając głową. - Tak, tak, wiem, że tak się musi mówić w jasny dzień! Widać, że z ciebie stary szpak! Ale o północy i w lesie inaczej sobie porozmawiamy!

Stara dama ruszyła godnie dalej, lecz co chwila odwracała się i uśmiechała do niego, jakby dając do zrozumienia, że łączy ich wspólny sekret.

„Czyżbym zaprzedał się diabłu - myślał duchowny - którego, jeśli ludzie prawdę mówią, ta stara, wykrochmalona wiedźma odziana w aksamity wybrała za swego księcia i pana?”

Ann Turner: znana z piękności i z wprowadzenia mody na „żółte krochmalone krezy”. Gdy Coke, Sędzia Najwyższego Trybunału, skazał ją na śmierć za udział w morderstwie Overburyego, dodał dziwną klauzulę, że „ponieważ jest osobą, która wprowadziła modę na żółte, krochmalone krezy, ma być powieszona w takim właśnie stroju, aby i moda, budząca wstyd i odrazę, skończyła się wraz z nią”. Nawet kat, wykonujący wyrok, nosił na tę okazję żółtą krezę. (Rirabault, *The Works of Sir Thomas Orerbury*, London, 1890).

Nieszczęsny pastor! Bardzo podobny załatwił tam interes! Skuszony marzeniami o szczęściu zgodził się ze świadomego wyboru, tak jak nigdy dotąd, na popełnienie, jak o tym dobrze wiedział, śmiertelnego grzechu. A zaraźliwa trucizna

owego grzechu już tak rychło opanowała jego życie moralne, zagłuszając w nim wszystkie dobre odruchy i budząc do życia całe rzesze złych. Pogarda, gorycz, nieprovokowana złośliwość, bezcelowe pragnienie zła, wystawianie na śmieszność wszystkiego, co dobre i święte - wszystko to naraz się w nim obudziło i podsuwało pokusy, mimo że zarazem przerażało. Jego rozmowa zaś ze starą panią Hibbins, nawet jeśli był to tylko przypadek, świadczyła, iż nawiązał nić sympatii i współnictwa ze złymi ludźmi i ze światem wypaczonych dusz.

Tymczasem dotarł do swego mieszkania na skraju cmentarza i szybko wchodząc po schodach schronił się w swym gabinecie. Był zadowolony, że udało mu się uciec w to bezpieczne miejsce, nim zdążył się zdradzić przed światem nowymi, grzesznymi dziwactwami, do których ciągle go coś pchało, gdy szedł ulicami miasta. Stał teraz w znajomym sobie pokoju i spoglądał na książki, okna, kominiek i na przytulne, obwieszane kilimami ściany z tym samym uczuciem obcości, jakie przesładowało go w czasie, gdy wracał z leśnej dolinki do miasta, a potem do domu. W tym miejscu studiował i pisał; tutaj pościł i czuwał, aż powracał do rzeczywistości półżywy; tutaj usiłował się modlić; tu znosił stutysięczne udręki! Oto spoglądał na Biblię, pisaną soczystym, starym językiem hebrajskim: z jej kart przemawiał do niego Mojżesz i prorocy, a przez nich wszystkich głos samego Boga! Tam, na stole, leżało nie dokończone kazanie, a obok pióro: kazanie przerwane w pół zdania, w momencie, gdy jego myśli, zawsze tak wartko tryskające na papier, dwa dni temu odmówiły posłuszeństwa. Wiedział, że to on tu stoi, ten chudy, bladolicy duchowny, który wszystko to robił i cierpiał, i dociągnął kazanie wyborcze do tego właśnie miejsca. Lecz wydawało mu się, że stoi obok siebie i patrzy na swoje dawne „ja” okiem pełnym pogardy, litości, a także z zainteresowaniem i nie bez zazdrości. Powrócił z lasu innym człowiekiem, mądrzejszym, z nową wiedzą o ukrytych tajemnicach, jakich by się nigdy nie domyślał ten dawny, prostoduszny pastor. Jakże gorzka była to wiedza!

Gdy stał pogrążony w tych myślach, rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Duchowny zawołał: „Proszę!” - i wcale nie był pewny, czy nie ujrzy tam złego ducha. I tak się stało! Wszedł stary Roger Chillingworth. Duchowny stał blady, bez słowa, z jedną ręką na hebrajskim Piśmie Świętym, z drugą przyciśniętą do serca.

- Witajcie w domu, czcigodny panie! - powiedział lekarz. - Jakże znaleźliście tego bogobojnego człowieka, Apostoła Eliota? Ale zdaje mi się, że jesteście bladzi, jakby podróż przez puszcze za bardzo was zmęczyła. Czy nie przydałaby się wam moja pomoc, aby was uczynić zdolnym i mocnym do wygłoszenia kazania elekcyjnego?

- Nie, nie sędzę - odrzekł wielebny pan Dimmesdale. - Moja podróż, moje spotkanie ze świątobliwym Apostołem Eliotem i świeże powietrze, jakim oddychałem, dobrze mi zrobiły po tak długim przesiadywaniu w gabinecie. Myślę, że nie potrzeba mi już waszych leków, mój dobry lekarzu, choć tak są skuteczne i podawane przyjazną dłońią.

Przez cały ten czas Roger Chillingworth patrzył na duchownego poważnym i uważnym spojrzeniem lekarza, który ma przed sobą pacjenta. Lecz mimo tego

pozoru pacjent był prawie całkiem przekonany, że starzec wiedział o jego rozmowie z Hester Prynne, a co najmniej mocno go o to podejrzewał. A zatem lekarz wiedział, iż w jego oczach przestał być przyjacielem, a stał się najzaciętszym wrogiem. Skoro tyle się tu kryło wzajemnej wiedzy, zdawałoby się rzeczą naturalną, gdyby znalazło to jakiś wyraz. A jednak, dziwna rzecz! Jakże często zdarza się, że wiele czasu upłynie, nim treść oblecze się w słowa, i jak bezpiecznie dwie osoby pragnące przemilczeć pewne tematy mogą zbliżać się do samej krawędzi i wycofywać się bez ich poruszania. Tak więc duchowny nie obawiał się wcale, iż Roger Chillingworth otwarcie nawiąże do prawdy ich wzajemnych stosunków i pozycji. A jednak lekarz w zwykły sobie określony sposób podsunął się nader blisko do spraw zatajonych.

- Czy nie byłoby lepiej - powiedział - abyście dziś wieczór skorzystali jednak z mojej skromnej wiedzy? Zaprawdę, mój drogi panie, musimy się starać, by wlać w was siłę i energię na tę okazję mowy elekcyjnej. Ludzie spodziewają się po was wielkich rzeczy, obawiając się, że w rok później może was już nie być.

- Tak, mogę odejść na tamten świat - odrzekł duchowny z wyrazem pobożnej rezygnacji. - Oby Niebiosa sprawiły, że będzie to lepszy świat. Bo w rzeczy samej wątpię, bym miał pozostać z moją owczarnią tak długo. Czas szybko płynie! Lecz co się tyczy waszego lekarstwa, dobry panie, w moim obecnym stanie nie potrzebuję go.

- Cieszę się słysząc to - odpowiedział lekarz. - Być może moje leki, tak długo stosowane na próżno, zaczynają teraz działać jak należy. Byłbym szczęśliwym człowiekiem i zasługiwałbym prawdziwie na wdzięczność Nowej Anglii, gdyby mi się ta kuracja powiodła!

- Dziękuję ci z całego serca, przyjacielu, za to, że pilnowałeś mnie tak dobrze - rzekł wielebny ran Dimmesdale z poważnym uśmiechem. - Dziękuję ci, lecz za twoje dobre uczynki mogę tylko odwdzińczyć się modlitwą.

- Modły uczciwego człowieka to złota nagroda! - odparł Roger Chillingworth, zabierając się do odejścia. - O, tak, są one niczym złote monety Nowego Jeruzalem ze stemplem mennicy samego Króla!

Gdy duchowny pozostał sam, wezwał miejscowego służącego i zażądał jedzenia. Gdy postawiono je na stół, zjadł wszystko z ogromnym apetytem. Następnie wrzucił w ogień zapisane stronicę kazania elekcyjnego i na-

165tychmiast zaczął pisać na nowo pod impulsem tak gwałtownego napływu myśli i uczuć, że sam sobie wydawał się natchniony. Dziwił się tylko, że Niebiosa uznały za stosowne, by przekazać wniosłe i uroczyste tony swych wyroczeni przez instrument tak zbrukany jak on. Jednakże pozostawiając tę tajemnicę, by sama się rozwiązała lub pozostała nie rozwiązana na wieki, pracował dalej nad swym zadaniem z powagą, z pośpiechem i w ekstazie. Tak przemknęła noc niby skrzydlaty rumak, unoszący go jak jeźdźca. Nadszedł ranek, zaglądając z rumieńcem przez zasłony, a na koniec słońce rzuciło złoty promień do gabinetu i złożyło go na oślepionych oczach duchownego. Siedział jeszcze z piórem w palcach i miał za sobą ogromny, niezmiernie długi trakt zapisanej przestrzeni!

XXI Święto w Nowej Anglii

Wczesnym rankiem tego dnia, w którym nowy gubernator miał przyjąć urząd z rąk ludu, Hester Prynne i mała Pearl przyszły na rynek, już natłoczony. Wśród rzeszy zebranych rzemieślników i innych plebejskich mieszkańców miasta widziało się wiele bardziej ordynarnych postaci, a ich odzież zrobiona ze skór jelenich wskazywała, że pochodzili z leśnych osad, otaczających małą metropolię kolonii.

W to publiczne święto, tak jak na wszystkie inne okazje przez ostatnie siedem lat, Hester ubrana była w suknię z grubego, zgrzebnego płótna. Nie tylko kolor, lecz bardziej jeszcze coś nieokreślonego w kroju sprawiało, że postać jej prawie nikła z oczu, zacierała się. Dopiero szkarłatna litera wywoływała ją z powrotem z tej szarzyzny zmierzchu i ukazywała ją jaskrawo w wymiarze moralnym. Jej twarz, od dawna znaną wśród mieszczan, powlekał ów marmurowy spokój, do którego się już przyzwyczaili. Był on jak maska, a raczej jak lodowaty spokój kobiety zmarłej. To ponure podobieństwo wypływało z faktu, że w istocie Hester była istotą umarłą, gdyż pozbawiona została praw do więzów z bliźnimi i dawno już odeszła z tego świata, z którym na pozór jeszcze miała styczność.

Możliwe, że tego właśnie dnia było coś w wyrazie jej twarzy, czego się przedtem nie widziało. Nie na tyle żywo się to jednak objawiało, by można było łatwo dostrzec tę zmianę - chyba że anormalnie uzdolniony obserwator mógł odczytać wpierw jej serce, a potem poszukać śladu jej uczuć w wyrazie twarzy i w zachowaniu. Taki jasnowidz dowiedziałby się, że po siedmiu bolesnych latach znoszenia spojrzeń tłumu z konieczności, dla pokuty, jako coś, co trzeba było znosić z religijnym poddaniem, ten jeden, ostatni raz przyszła na ich spotkanie z własnej woli i ochoty, aby to, co tak długo było udręką, przemienić w triumf. „Rzucajcie ostatnie spojrzenia na szkarłatną literę i na tę, co ją nosi! - mogłaby im rzec istota, w której widzieli swą ofiarę i dożywotnią niewolnicę. - Maluczko, a znajdzie się ona poza waszym zasięgiem! Jeszcze kilka godzin, a głęboki, tajemniczy ocean zatopi i ukryje na zawsze symbol, który z waszego rozkazu pali jej pierś!” Lecz nie byłoby to ani nielogiczne, ani niezgodne z naturą ludzką, gdybyśmy przypuścili, że jednak czuła przy tym trochę żalu w chwili, gdy miała się ostatecznie uwolnić od cierpienia, z którym jej dusza tak się zżyła. Czy nie ogarniało jej nieodparte pragnienie, by pociągnąć raz jeszcze, ten ostatni raz, długi upajający haust z kielicha piołunu i aloesu, którego smak przepoił niemal wszystkie jej dojrzałe kobiece lata? Od tej chwili wino życia podawane jej do ust musi naprawdę okazać się wyborne, znakomite i budzące radość, a kielich - cyzelowany złotem: inaczej wywoła tylko znużenie i ociężałość, po tym osadzie goryczy, którą poila się dotychczas niby mocnym kordialem.

Pearl była wystrojona zwiewnie, barwnie i wesoło. Nie zgadłoby się, że to jasne, słoneczne zjawisko zawdzięcza życie owej szarej, ponurej postaci; ani też, że ta sama wyobraźnia, bogata i subtelna, jakiej musiało wymagać skomponowanie stroju dziecka, dokazała sztuki może jeszcze trudniejszej, nadając wyraz tak szczególny

prostej sukni Hester. Sukienka Pearl tak do niej pasowała, że zdawała się emanacją, nieuniknionym wykwitem lub zewnętrznym przejawem jej charakteru, niemożliwym do oddzielenia od jej osóbkę, jak wielobarwny blask od skrzydła motyla lub malarska wspaniałość płątka od jaskrawego kwiatu. I u nich, i u dziecka strój i natura stanowiły jedność. W ten bogaty w wydarzenia dzień jej nastrój również zdradzał jakiś dziwny niepokój i podniecenie, upodobniając ją najbardziej do migocącego diamentu, który iskrzy się i błyska zgodnym rytmem z pulsującą piersią, na której się ukazuje. Dzieci zawsze odczuwają wzruszenia osób z nimi związanych, a zwłaszcza czują, gdy w domowym gronie zanosi się na jakieś zamieszanie, na jakąś rewolucję, wszystko jedno jakiego rodzaju. Toteż Pearl, klejnot na niespokojnej piersi matki, zdradzała swą niepohamowaną żywością i podnieceniem uczucia, jakich nikt by się nie domyślał u Hester, widząc jej spokojne, marmurowe czoło.

W tym nastroju rozpierającej ją wesołości raczej fruwała koło matki, zamiast z nią iść normalnie. Ciągłe wydawała okrzyki - nieartykułowane, dzikie, przeraźliwe i melodyjne. Gdy doszły do rynku, stała się jeszcze bardziej niespokojna, widząc ruch i podniecenie, które ożywiało to miejsce, zwykle bardziej przypominające dużą, opustoszałą łąkę niż centrum handlowe miasta.

- Co to? Co to jest, mamó? - wołała. - Dlaczego wszyscy dziś odeszli od pracy? Czy dziś cały świat ma się bawić? Popatrz, tam stoi kowal! Umył swoją zasmoloną twarz i nałożył niedzielne ubranie, i tak wygląda, jakby chciał się weselić, gdyby znalazł się ktoś poczciwy i nauczył go, jak to się robi! A tam jest pan Brackett, stary dozorca więzienny. Kiwa do mnie ręką i uśmiecha się. Dlaczego, mamó?

- Pamięta cię, jak jeszcze byłaś malutką, moje dziecko - odpowiedziała matka.

- Wszystko jedno, nie powinien do mnie kiwać i uśmiechać się. Taki czarny, ponury człowiek, a jakie brzydkie oczy! - odrzekła Pearl. - Niech sobie kiwa do ciebie, jeżeli chce, bo ty jesteś w szarej sukni i masz szkarłatną literę. Ale spójrz, mamó, ile tu obcych i dziwnych twarzy. Są Indianie i marynarze! Po co oni tu wszyscy się zeszli na rynek?

- Czekają, żeby zobaczyć pochód - rzekła Hester. - Ponieważ tędy ma przechodzić gubernator i panowie urzędnicy, i duchowni, i wszyscy wielcy i zaci ludzie, a przed nimi będą maszerować żołnierze i orkiestra.

- A pastor tu będzie? - spytała Pearl. - A czy wyciągnie do mnie ręce, tak jak wtedy, kiedy mnie do niego przyprowadziłaś od strumyka?

- Będzie tutaj, dziecko - odrzekła matka. - Lecz dziś cię nie powita i tobie nie wolno go witać.

- Cóż to za dziwny i smutny człowiek! - mówiło dziecko. - Po ciemku, w nocy woła nas do siebie i trzyma nas za ręce, ciebie i mnie, tak jak wtedy, gdy stałyśmy z nim na tym szafocie, o, tam! W głębi lasu, gdzie słyszą go tylko stare drzewa, a widzi go tylko skrawek nieba, siedzi z tobą na górze mchu i rozmawia! I całuje mnie w czoło tak, że nie można tego zmyć w strumyku! Ale tutaj, w dzień, gdy świeci słońce, wśród tych wszystkich ludzi nie zna nas i nam nie wolno go znać! Taki dziwny, smutny człowiek, zawsze z ręką na sercu!

- Cicho bądź, Pearl! Nie rozumiesz tych rzeczy - powiedziała matka. - Nie myśl teraz o pastarze, rozejrzyj się i zobacz, jak radosne są dziś wszystkie twarze. Przyszły dzieci ze swoich szkół i dorośli z warsztatów albo z pól po to, by się weselić. Bo dziś ktoś nowy zacznie nami rządzić. Dlatego panuje zwyczaj, odkąd ludzie po raz pierwszy zebrali się i utworzyli naród, że wszyscy weselą się i radują tak, jakby nowy, złoty rok miał wreszcie nadejść dla smutnego, starego świata.

Było tak, jak mówiła Hester: oblicza ludu rozjaśniała wesołość, do jakiej nie nawykli. W tym dorocznym święcie - które już wtedy było ustanowione, a ciągnęło się potem przez dwa stulecia z górą - koncentrowała się cała wesołość purytańskiego świata i wszelkie publiczne zabawy, na jakie uważano za stosowne zezwolić ludziom obciążonym ułomnościami ludzkiej natury. Skutek był taki, że gdy uświęcona zwyczajem posępna powaga ustępowała na ten jeden, jedyny dzień, ludzie wydawali się tylko troszkę poważniejsi od innych społeczeństw w chwilach klęski narodowej!

Lecz może przesadzamy nieco z ową szarością lub czernią, jaka niewątpliwie charakteryzowała nastroje i obyczaje tych czasów. Ludzie stojący wówczas na bostońskim rynku nie urodzili się dziedzicami purytańskiej posępności. Z urodzenia byli to Anglicy, których ojcowie żyli w słonecznym bogactwie epoki elżbietańskiej, w okresie, kiedy życie w Anglii, gdy się je rozpatruje jako coś powszechnego i jednolitego, wydawało się szumne, wspaniałe i radosne, jak nigdy i nigdzie na świecie. Podążając za gustem odziedziczonym w tym spadku, osadnicy Nowej Anglii obchodziliby wszystkie ważne wydarzenia państwowe paląc ogniska, urządzając bankiety, parady i pochody. Na pewno dałoby się połączyć uroczysty ceremoniał i powagę z wesołą rozrywką - jak gdyby przyozdabiając wesołym, kolorowym haftem oficjalne szaty, jakie każdy naród wdziewa w takich chwilach. Pewną nieśmiałą próbę w tym kierunku stanowiły obchody dnia rozpoczynającego nowy rok życia politycznego kolonii. Podczas dorocznego ustanawiania dostojników piastujących najwyższe urzędy, w obyczajach przyjętych przez naszych przodków można było znaleźć słabe odbicie nie zapomnianych jeszcze splendorów, doszukać się bezbarwnego i mocno rozcieńczonego naśladownictwa tego, co widywali w pysznym, starym Londynie na paradach Lorda Mera - nie mówiąc już o koronacji króla. Ojcowie i założyciele republiki - mąż stanu, duchowny i żołnierz - uważali w takich chwilach za swój obowiązek przystroić się w zewnętrzne oznaki dostojności i majestatu, które, zgodnie ze starodawnym stylem, wyróżniały osoby wybitne w życiu politycznym i społecznym. Wszyscy więc brali udział w uroczystym pochodzie na oczach ludu i w ten sposób nadawali zwykłej działalności nowo ukonstytuowanego rządu pożądany stopień godności.

Przy takich okazjach również i ludzie uzyskiwali ulgę od surowej dyscypliny, jaka wedle zwyczaju towarzyszyła wykonywaniu ich prostych prac - poza tym jednym dniem utożsamiana całkowicie i pod każdym względem z ich religią. Lecz w tym dniu, jeśli nawet nie zachęcano ich wyraźnie do takiego odpoczynku, to go przynajmniej popierano. Co prawda, nie było tu owych rozrywek, jakie lud pragnący zabawy tak łatwo znajdował w Anglii w czasach Elżbiety czy Jakuba: żadnych

popularnych przedstawień teatralnych, żadnych minstrelów z harfą i z legendarną balladą, ani grajków z małpą, tańczącą w takt muzyki, ani kuglarzy ze swymi niby to czarodziejskimi sztuczkami; nie było wesołego Andrzejka, bawiącego tłum opowiadaniem dowcipów, znanych może od stu lat, lecz ciągle skutecznych, gdyż czerpały z najpowszechniej uznanych źródeł wesołości. Wszyscy ci specjaliści od przeróżnych gałęzi rozrywki byliby tu surowo tępieni nie tylko z prawa, pod tym względem nieugiętego, lecz także z powodu uczuć i poglądów ogółu społeczeństwa, które prawu nadają życie. Mimo to wielkie, uczciwe, zbiorowe oblicze tego ludu jaśniało uśmiechem - trochę ponurym, lecz ochoczym. Nie brakło też sportów, jakie koloniści z dawien dawna chętnie oglądali i w jakich brali udział na jarmarkach i na gromadzkich łąkach wioskowych w Anglii. Uważano, że warto je zachować na tej nowej ziemi, bo rozwijały odwagę i tężyznę, tak dla nich ważne. Tu i ówdzie na rynku odbywały się zapasy w stylu kornwalijskim lub typowym dla Devonshire; w jednym kącie zabawiano się po przyjacielsku w próbę sił przy drągu, a najczęściej uwagi przyciągały zaczynające się właśnie na platformie szafotu, tak często wspomnianego na stronicach naszej opowieści, popisy mistrzów obrony w operowaniu mieczem i puklerzem. Lecz ku wielkiemu rozczarowaniu tłumu zostały one przerwane przez miejskiego bedla, który nie myślał pozwalać na takie pogwałcenie prawa, dla którego szafot był jednym z miejsc uświęconych.

Ówczesni ludzie - potomkowie ojców, którzy potrafili się bawić w swoich czasach! - znajdowali się na pierwszych etapach obowiązującego tępienia wesołości. I nie przesadzając możemy stwierdzić, iż ogólnie biorąc porównanie ich z następnymi pokoleniami, jeśli chodzi o sposób - obchodzenia świąt, wypadłoby jednak na ich korzyść, nawet w porównaniu z naszym, tak odległym pokoleniem. Ich bezpośredni potomkowie, następna generacja pierwszych emigrantów, przybrali najczarniejszy odcień purytanizmu, który tak omroczył narodowe oblicze, że wszystkie następne lata nie wystarczyły, by je rozjaśnić. Ciągle jeszcze musimy się uczyć od nowa zapomnianej sztuki wesołości.

Obraz życia na rynku, choć dominującym kolorem była smutna szarość, brąz lub czerń odzienia angielskich emigrantów, ożywiały jednak tu i ówdzie rozmaite inne barwy. Grupa Indian, strojnych w prymitywne splendory ciekawie haftowanych szat ze skór jelenich, w czerwone i jaskrawożółte pasy, naszywane muszelkami, i w pióra, uzbrojonych w łuki i strzały, i włócznie oprawione w kamień, stała osobno z niewzruszoną powagą na kamiennych twarzach, której nawet purytanie nie mogliby dorównać. Jakkolwiek dzicy byli ci malowani barbarzyńcy, nie oni stanowili najbardziej dziki element owej sceny. To wyróżnienie słusznie się należało marynarzom ze statku przybyłego ze Spanish Main, którzy wyszli na brzeg, by przypatrzeć się osobliwościom Dnia Elekcji. Byli to straceńcy o dzikim wyglądem, poczerniałych od słońca gębach, zarośniętych gąszczem bród; szerokie, krótkie spodnie przytrzymywali pasami, spiętymi przeważnie grubą, złotą klamrą; za pasem - długie noże, a czasem i miecze. Spod szerokich skrzydeł kapeluszy z liści palmowych połyskiwały oczy, które nawet gdy patrzyły w przyjaznych zamiarach i w wesołym humorze, miały w sobie zwierzęcą dzikość. Bez strachu i bez skrupułów

łamali reguły zachowania, obowiązujące dla wszystkich innych: pod samym nosem bedla palili tytoń, za co mieszczanin musiałby zapłacić szylinga, i popijali wedle swej woli wino i wódkę z manierek, hojnie częstując nimi wszystkich dookoła. Rzecz to wysoce charakterystyczna dla niecałkiem konsekwentnej moralności tego stulecia, że choć uważa się ją za nader surową, braci marynarskiej na wiele się pozwalało - nie tylko na różne hultajstwa wyprawiane na lądzie, lecz nawet na czyny bardziej występne i złowrogie w granicach właściwych jej żywiołów. Marynarz owych czasów dziś byłby uznany za pirata. Nie było prawie wątpliwości, na przykład, że załoga tegoż statku, choć nie należąca do najgorszych przedstawicieli morskiej profesji, dopuszczała się, jak byśmy to określili, licznych grabieży w hiszpańskim handlu, za jakie w nowoczesnym sądzie wszyscy odpowiedzialiby głowami.

Lecz morze w tych dawnych czasach falowało, wzbierało i pieniało się całkowicie wedle swej woli, a raczej w zależności tylko od burzliwych wichrów, i prawa ludzkie prawie nigdy nie usiłowały tego ograniczać. Korsarz na falach mógł porzucić swój zawód i jeśli chciał, mógł stać się zaraz potem uczciwym i pobożnym człowiekiem na lądzie. Nawet w czasie swobodnego wykonywania bez skrupułów swego nieuczciwego rzemiosła nie był uważany za osobnika, z którym nie uchodzi handlować lub nawiązywać przelotnej znajomości. Tak więc starszyzna purytańska, odziana w czarne szaty, krochmalone szarfy i wysokie kapelusze, uśmiechała się całkiem dobrodusznie do hałasujących i rozbijających się wesółych żeglarzy i nie wzbudziło to ani zdziwienia, ani sprzeciwu, gdy obywatel tak szanowany, jak stary Roger Chillingworth, lekarz, na oczach wszystkich przybył na rynek pogrążony w przyjaznej i poufalej rozmowie z dowódcą tego statku o wątpliwej reputacji.

Ten ostatni pod względem stroju przewyższał znacznie cały tłum elegancją i okazałością. Ubiór jego ozdabiało mnóstwo wstążek. Kapelusz, przybrany złotą koronką, otoczony był ponadto złotym łańcuchem i przystrojony piórem. U boku kapitan miał miecz, a na czole szramę od miecza, którą przez układ włosów wyraźnie pragnął raczej uwydatnić, niż ukryć. Mieszkaniec lądu, gdyby się ukazał w takim stroju i z taką twarzą i obnosił się z nimi z miną tak chwacką, nie uniknąłby surowego przesłuchania przed sędzią, a najpewniej i grzywny lub uwięzienia, a może i wystawienia na widok publiczny w dybach. Jednakże u dowódcy statku było to w porządku, zgadzało się z charakterem, jak błyszczące łuski u ryby.

Rozstawszy się z lekarzem, dowódca bristolskiego statku wałęsał się po rynku. Kiedy przypadkiem zbliżył się do miejsca, gdzie stała Hester Prynne, najwyraźniej ją rozpoznał i bez wahania się do niej zwrócił. Jak zwykle, gdzie tylko stała Hester, dookoła niej robiło się puste miejsce - jakby zaczarowany krąg, którego ludzie nie przekraczali i nie chcieli przekroczyć, choćby nawet poza nim trzeba się było rozpychać łokciami. Był to odpowiednik przymusowego moralnego osamotnienia, na jakie szkarłatna litera skazywała nieszczęsną, która ją nosiła - po części dlatego, że sama zazwyczaj trzymała się z dala, a także przez instynktowny u jej bliźnich, choć już pozbawiony wrogości, nawyk unikania jej towarzystwa. Teraz, jak nigdy przedtem, było to pożądane, gdyż umożliwiło Hester rozmowę z marynarzem bez obawy podsłuchania. Reputacja zaś Hester w oczach ludzi tak

dalece zmieniała się na korzyść, że nawet matrona słynąca z najsurowiej przestrzeganej moralności nie mogłaby przeprowadzić takiej rozmowy z mniejszym niż ona ryzykiem skandalu.

- A zatem, pani - rzekł marynarz - muszę kazać stewardowi przygotować jedno miejsce więcej, niż chciałaś. No, w tej podróży możemy nie bać się szkorbutu ani gorączki okrętowej! Lekarz okrętowy, a teraz jeszcze ten drugi doktor! Możemy najwyżej pochorować się od leków i pigułek! Tym bardziej, że na pokładzie mamy pełno środków aptekarskich, które kupiłem od hiszpańskiego statku.

- Co to znaczy, panie? - spytała Hester, bardziej poruszona, niż chciała okazać.
- Czy macie jeszcze jednego pasażera?

- A to wy nie wiecie - zakrzyknął dowódca statku - że ten tutejszy lekarz... mówi, że nazywa się Chillingworth... chce opłacić do spółki z wami kabinę u mnie? Tak, tak, musicie o tym wiedzieć, bo powiedział, że będzie podróżował razem z wami i że jest przyjacielem tego pana, o którym mówiliście, tego, któremu grozi niebezpieczeństwo ze strony tych starych, skrzywionych purytańskich władców!

- Tak, to rzeczywiście bliscy znajomi - odrzekła Hester na pozór spokojnie, lecz wielce skonsternowana. - Długo razem mieszkali.

Nic więcej nie zostało powiedziane w ich rozmowie. Lecz w tej samej chwili ujrzała Rogera Chillingwortha, stojącego w najdalszym rogu rynku: patrzył na nią z uśmiechem, który przez rozległy, ruchliwy plac, poprzez wszystkie rozmowy i śmiechy, i przeróżne myśli, nastroje i zajęcia tłumu słał ku niej tajemny i straszliwy sens.

XXII Pochód

Nim Hester Prynne zdołała zebrać myśli i rozważyć, co można by zrobić wobec tego nowego, groźnego obrotu spraw, z przyległej ulicy dobiegły dźwięki muzyki. Oznajmiały one zbliżanie się pochodu urzędników i obywateli, posuwającego się w kierunku zboru. Tam, zgodnie z obyczajem już wówczas ustanowionym i zachowywanym do tej pory, wolebny pan Dimmesdale miał wygłosić kazanie elekcyjne.

Wkrótce ukazało się czoło pochodu, który maszerując wolno i dostojnie skręcił i ciągnął przez rynek. Najpierw szła orkiestra. Składały się na nią różne instrumenty - być może niezbyt ze sobą zestrojone, a muzycanci niezbyt uzdolnieni - jednakże całość spełniała swe doniosłe zadanie, to znaczy przemawiała do tłumów za pośrednictwem harmonii bębna i trąbki, wnosząc element bardziej uroczysty i heroiczny do tego, co się rozgrywało przed ich oczami. Mała Pearl najpierw klaskała w rączki, lecz potem na chwilę opuścił ją nastrój podniecenia, który przez cały ranek utrzymywał ją w ciągłym ruchu. Umilkła, patrzyła tylko i zdawała się unosić w górę niczym ptak morski na przeciągłych, wzbierających falach dźwięków. Poprzednią wesołość przywrócił jej blask słońca, migocący na błyszczących zbrojach i szablach wojskowej kompanii, która postępowwała za orkiestrą i tworzyła straż honorową pochodu. Ów korpus wojskowy - formacja do dziś zachowana, maszerująca tak od wieków, opromieniona starodawną i zaszczytną sławą - nie składał się bynajmniej z najemników. Jego szeregi tworzyli dżentelmeni, którzy czuli w sobie ducha wojennego i zabiegali o ustanowienie rodzimej akademii wojskowej, w której, na wzór rycerskiego zakonu Templariuszy, mogliby się uczyć teorii, a w granicach tego, co mogą dać pokojowe manewry, także i praktyki wojennej. Wielkie poważanie, jakim wówczas cieszyło się rycerskie rzemiosło, znajdowało wyraz w wyniosłej i dumnej postawie, jaką prezentowali wszyscy co do jednego wojacy tej kompanii. Niektórzy z nich walcząc w Niderlandach i na innych europejskich polach bitew prawdziwie zasłużyli sobie na miano i chwałę wojowników. A do tego cały ten orszak, przybrany w polerowaną stal, z powiewającymi pióropuszcami na błyszczących hełmach, robił wrażenie olśniewające i nasze nowoczesne parady na pewno nie mogłyby się z nim równać.

A jednak przedstawiciele czołowych stanowisk w służbie cywilnej, którzy szli bezpośrednio za eskortą wojskową, bardziej zasługiwali na spojrzenie uważnego obserwatora. Nawet w sposobie ich zachowania i w postawie widać było majestat, przy którym chwackie miny wojowników wyglądały wulgarnie, a może nawet absurdalnie. Był to wiek, gdy to, co dzisiaj nazywamy talentem, znacznie mniej się liczyło, przymioty zaś cięższego kalibru - stateczność i godność charakteru - znacznie więcej. Ludzie ówczesni odziedziczyli wrodzoną potrzebę odczuwania szacunku i czci. Jeśli ta cecha w ogóle przetrwała u ich potomnych, na pewno występuje teraz w mniejszej proporcji, w wyborze zaś i ocenie ludzi na wysokich stanowiskach państwowych gra znacznie mniejszą rolę. Może jest to zmiana na lepsze, może na

gorsze, a prawdopodobnie i jedno, i drugie. W tamtych dawnych czasach osadnik angielski na nie ucywilizowanych nadmorskich terenach, pozostawiając za sobą króla, szlachtę i przeróżne wysokie dystynkcje i rangi, zachowywał ciągle jeszcze zdolność i silną potrzebę, by komuś oddawać cześć, i w nowych warunkach oddawał ją białym włosom i czcigodnym czołom podeszłego wieku, wypróbowanej uczciwości, solidnej wiedzy i zdobyciom smutnego doświadczenia - zaletom poważnym, statecznym, które dają gwarancję trwałości, a ogólnie noszą miano czcigodności. Toteż najwcześniejsi mężowie stanu w tych prymitywnych czasach - Bradstreet, Endicott, Ehidley, Bellingham i ich towarzysze - którzy zostali podniesieni do władzy z wyboru ludu, nieczęsto wyróżniali się błyskotliwą inteligencją czy ruchliwością umysłu, odznaczeni natomiast realizmem i nieco ciężką powagą i godnością. Byli wytrzymali i polegali na sobie, a w czasach trudności lub niebezpieczeństw trwali na straży interesów stanowych jak łańcuch skalny, stawiający czoło burzliwym przyptywom. Opisane tu cechy charakteru reprezentowały kwadratowe oblicza i potężna budowa fizyczna nowych urzędników kolonialnych. Jeśli chodzi o zachowanie, nacechowane wrodzonym poczuciem autorytetu, kraj macierzysty nie powstydziliby się takich ludzi w Izbie Parów lub w tajnej radzie króla i władcy.

Za urzędnikami szedł młody, wielce wybitny teolog; on to właśnie miał wygłosić dzisiejsze, doroczne kazanie. W jego zawodzie zdolności intelektualne grały w tej epoce o wiele większą rolę, niż w życiu politycznym, gdyż pomijając motywy wyższe, ofiarowywał on swym adeptom wielką pokusę w postaci szacunku graniczącego ze czcią ze strony społeczeństwa i w ten sposób przyciągał ludzi najambitniejszych, z największymi aspiracjami. Nawet władza polityczna leżała w zasięgu duchownego, który cieszył się powodzeniem - tak było w przypadku Increase Mathera.

Ci, co patrzyli teraz na pana Dimmesdale, zauważyli, że nigdy jeszcze, od czasu gdy po raz pierwszy postawił stopę na wybrzeżach Nowej Anglii, nie promieniował taką energią, jak biła z jego twarzy i ruchów, gdy szedł w pochodzie, dotrzymując kroku innym. Nie widać było typowej słabości w chodzie, plecy nie były zgarbione, a ręka nie spoczywała złowróżbnie na sercu. A jednak, jeśli spojrzeć na to z właściwej strony, jego siła nie miała źródła w ciele. Mogła to być siła duchowa zesłana przez opiekuńcze anioły. Mogło to być uniesienie wywołane owym upajającym kordialem, jaki wytwarza się jedynie w destylarni poważnych i długotrwałych rozmyślań. A może jego wrażliwy temperament czerpał wigor z głośniejszej, hałaśliwej muzyki, która wzbijała się ku niebu i unosiła go ze sobą niby na wstępującej fali? A jednak jego spojrzenie było tak roztargnione, że można wątpić, czy pan Dimmesdale w ogóle słyszał muzykę. Oto kroczyło naprzód jego ciało, i to z niezwykłą siłą. Lecz gdzie błędził jego umysł? Daleko stąd i głęboko we własnych światach, pochłonięty w niezwykłym napięciu organizowaniem pochodu wzniosłych myśli, które wkrótce miały popłynąć mu z ust. Tak więc nic nie widział, nic nie słyszał i nie wiedział, co się wokół niego dzieje; lecz duch podtrzymywał słabe ciało i niósł je naprzód, nieświadome własnego ciężaru, przemieniając je w podobną sobie

duchową substancję. Ludzie o niezwykłych umysłach, w stanach chorobliwego podniecenia, posiadają czasem tę moc potężnego, chwilowego skupienia, w które wkładają siły wielu dni, a potem przez tyleż dni wydają się nieżywi.

Hester Prynne, ze wzrokiem utkwionym w pastora, czuła, jak zbiera się nad nią jakaś straszliwa chmura, nie wiedziała jednak, dlaczego i skąd. Może dlatego, że zdawał się jej tak oddalony od niej i od jej świata, tak całkowicie poza jej zasięgiem. Wyobrażała sobie, że na pewno wymieni bodaj jedno porozumiewawcze spojrzenie. Myślała o ciemnym lesie i o samotnej, małej dolince, o miłości i o cierpieniu, i o omszałym pniu, gdzie siedzieli, trzymając się za ręce, a ich smutne i namiętne słowa mieszały się z melancholijnym szmerem strumyka. Jak głębokie było wówczas ich porozumienie! A teraz - czy to był ten sam człowiek? Nie mogła go poznać! Ten, który mijał ją tak dumnie, otoczony dźwiękami muzyki, w pochodzie majestatycznych i czcigodnych ojców! Tak nieosiągalny dzięki swojej światowej pozycji, a jeszcze bardziej niedostępny przez to zatopienie w myślach nie związanych z nią, które go oddalały w jej oczach! Upadła na duchu, wyobraziła sobie, że to wszystko było złudzeniem, że choć jej sen był tak żywy, nic nie mogło ich naprawdę łączyć, tego pastora i jej. I Hester była na tyle kobietą, że nie mogła mu tego wybaczyć, zwłaszcza teraz, gdy ciężkie kroki zbliżającego się losu już się słyszało, coraz bliżej, bliżej i bliżej! I teraz właśnie on potrafił tak się wycofać z ich wspólnego świata, teraz, gdy ona sięgała po omacku i wyciągała do niego zziębnięte ręce, a jego nie było!

Pearl albo dostrzegła uczucia matki i odpowiedziała na nie, bądź też sama odczuła aurę czegoś dalekiego i nieosiągalnego, otaczając pastora. Podczas gdy pochod przeciągał obok, dziecko zachowywało się niespokojnie, kręcąc się i zrywając, jak ptak gotowy do odlotu. Gdy wszyscy już przeszli, spojrzała na matkę.

- Mamo - powiedziała - czy to był ten sam pastor, który mnie pocałował przy strumyku?

- Cicho, moja kochana, malutka - szepnęła matka. - Nie powinniśmy ciągle mówić na rynku o tym, co nam się przydarza w lesie.

- Nie byłam pewna, czy to był on. Tak dziwnie dziś wyglądał - ciągnęło dziecko. - Gdyby nie to, podbiegłabym do niego i poprosiłabym, żeby mnie teraz pocałował, przy tych wszystkich ludziach, tak jak tam, wśród czarnych drzew. Co by pastor powiedział na to, mamo? Czy położyłby rękę na sercu, spojrzał na mnie groźnie i kazał mi odejść?

- A cóż mógłby powiedzieć, Pearl - odrzekła matka - poza tym, że teraz nie czas na całusy i że nie całuje się nikogo na rynku? Lepiej dla ciebie, głupie dziecko, że nie odzywałeś się do niego!

Podobne uczucia na temat pana Dimmesdale wyraziła osoba, której dziwactwo, lub raczej trzeba powiedzieć choroba umysłowa, skłoniło ją do czynu dla wielu mieszczan nie do pomyślenia. Mianowicie nawiązała ona rozmowę w miejscu publicznym z nosicielką szkarłatnej litery. Była to pani Hibbins, która, wspaniale przystrojona, z potrójną krezą, z haftami na przedłużeniu stanika, w sukni z najprzedniejszego aksamitu i z laską o złotej gałce, przybyła, by oglądać pochod.

Ponieważ ta wiekowa dama cieszyła się reputacją głównej osoby w stale odbywających się praktykach czarnej magii (z czasem tę reputację przypłaciła życiem), tłum rozstał się przed nią, bojąc się dotknąć nawet jej sukni, tak jakby w jej fałdach, tak wspaniałych, czaiła się zaraza. Gdy zobaczono ją stojącą razem z Hester Prynne - choć tę drugą wielu ludzi darzyło teraz sympatią - strach przed panią Hibbins podwoił się i spowodował powszechny odwrót od tej części rynku, gdzie stały obie kobiety.

- To już przechodzi wyobrażenie zwykłego śmiertelnika! - pani Hibbins zakomunikowała Hester poufnym szeptem. - Ten świątobliwy pan! Ten święty na ziemi, jak powiadają ludzie... i naprawdę wygląda na świętego! Kto by powiedział, jak się go teraz widzi w pochodzie, że jeszcze tak niedawno wychodził ze swego gabinetu, przeżuwając, głowę dając, hebrajski tekst Pisma Świętego, aby się przewietrzyć w lesie! Aha! My wiemy, co to znaczy, Hester Prynne! Ale prawdziwie, głowę dając, trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Widziałam niejednego księdza, który podążał za muzyką, tańcząc do taktu razem ze mną, kiedy przygrywał nam Ten Ktoś, a czasem przeplatało się ręce z indiańskim albo z lapońskim czarownikiem! To drobiazg dla kobiety znającej życie. Ale ten duchowny! Czy jesteś pewna, Hester, że to ten sam człowiek, który się z tobą spotkał na ścieżce w lesie?

- Pani, nie wiem, o czym mówicie - odrzekła Hester myśląc, że pani Hibbins nie ma dobrze w głowie, ale dziwnie nastraszone i struchlała wobec pewności siebie, z jaką tamta przyznawała się do osobistych związków z tyloma osobami (między innymi z nią samą) i ze Złym. - Nie uchodzi mi tak lekko mówić o uczonym i pobożnym głosicielu słowa Bożego, takim jak pan Dimmesdale!

- A fe, kobieto, a fe! - zakrzyknęła stara dama, grożąc palcem Hester. - Czy myślisz, że będąc w lesie tyle razy nie potrafię zgadnąć, kto tam chodzi? Tak, tak, choćby nawet nie przynieśli we włosach ani jednego listka z wieńców, jakie noszą w tańcu! Znam cię, Hester, bo widzę twój znak. Wszyscy go widzą w słońcu, a w ciemnościach goreje jak czerwony płomień. Nosisz go otwarcie, więc co do tego nie ma wątpliwości. Ale ten duchowny? Powiem ci coś do ucha. Kiedy Czarny Człowiek widzi, że jeden z jego sług, naznaczony i opieczętowany, boi się do tego przyznać, jak ten wielbny pan Dimmesdale, wtedy tak wszystko urządzi, że jego znak ukaże się oczom świata w biały dzień! A cóż to ów pastor chce ukryć, trzymając ciągle rękę na sercu? Co, Hester Prynne?

- A co to takiego, moja dobra pani Hibbins? - ciekawie spytała mała Pearl. - Czy widzieliście to?

- Wszystko jedno, moja kochana! - odrzekła pani Hibbins, składając przed Pearl głęboki ukłon. - Zobaczysz sama prędzej czy później. Powiadają, moje dziecko, że ty też pochodzisz od Księcia Powietrza! Czy polecisz ze mną kiedyś, któreś ładnej nocy, żeby zobaczyć twego ojca? Wtedy się dowiesz, czemu duchowny trzyma rękę na sercu!

I śmiejąc się tak piskliwie, że cały rynek mógł ją słyszeć, niesamowita stara dama odeszła.

Przez ten czas w zborze zostały już odprawione wstępne modły, a teraz słyhać było głos wielebnego pana Dimmesdale, rozpoczynającego swoją mowę. Nieodparta siła przykuła Hester do tego miejsca. Ponieważ ów poświęcony budynek był już zbyt obleżony przez słuchających, aby zmieściła się tam jeszcze jedna osoba, stanęła blisko szafotu z przegierzem. Było to dość blisko, by mogła wysłuchać całego kazania, choć dochodziło do niej tylko jako nieprzerwany potok słów - urozmaicony, szemrzący i płynny, z charakterystycznym brzmieniem głosu pastora.

Organ głosu pana Dimmesdale był sam w sobie bogatym darem; nawet słuchacz nie rozumiejący języka, w jakim przemawiał kaznodzieja, mógłby odczuć, jak kołysze go fala tonów i rytmów. Jak wszelka inna muzyka, brzmiał namiętnością i patosem i wyrażał uczucia wzniosłe lub czułe w języku znanym ludzkemu sercu, niezależnie od tego, gdzie kto się kształcił. Choć dochodził do Hester Prynne stłumiony przez mury kościoła, słuchała go w takim napięciu i odczuwała wszystko tak głęboko, że całe kazanie przekazywało jej sens całkiem niezależnie od niezrozumiałych słów. Może gdyby słyszała je wyraźnie, słowa przekazałyby go w sposób mniej subtelny i przesłoniły ów sens duchowy. Raz chwytiała cichsze dźwięki - niby wiatr, cichnący, aby odpocząć; to znów wzbijała się wraz z głosem wzbierającym stopniowo słodyczą i mocą, aż jego pełnia zdawała się ją spowijać atmosferą grozy i uroczystej wzniosłości. A jednak, choć chwilami brzmiał tak majestatycznie, tkwiła w nim nieustająca, wszechobecna nuta skargi, raz głośny, raz cichy jęk udreki - zdawałoby się szept lub krzyk cierpiącej ludzkości, które znajdowały oddźwięk w każdej piersi. Chwilami owa głęboka nuta żałości to było wszystko, co się słyszało, ledwie że się słyszało, niby westchnienie wśród rozpacznej ciszy. Lecz nawet gdy głos duchownego brzmiał donośnie, rozkazująco, gdy tryskał niepowstrzymanie w górę, gdy nabierał największej mocy i rozszerzał najbardziej zasięg, wypełniając całe wnętrze kościoła, jakby miał przerwać potężne mury i rozprzestrzenić się w powietrzu - ciągle jeszcze, jeśli słuchało się uważnie i z pewnym nastawieniem, można było wykryć ten sam krzyk bólu. Co to było? Skarga ludzkiego serca, ciężkiego od smutków, może pełnego winy, wyznającego swój sekret win czy smutków przed wielkim sercem ludzkości; błagającego o współczucie i przebaczenie w każdej chwili, w każdym akcencie - i nigdy na próżno! To właśnie owa głęboka, ciągła, jakby podziemna nuta nadawała kazaniom pastora tak przemożną siłę.

Przez cały czas Hester stała niby posąg u stóp szafotu. Gdyby nawet nie przykuł jej tam głos duchownego, trzymałaby ją tam magnetyczna siła przyciągania tego miejsca, od którego zaczęła się pierwsza godzina jej życia w hańbie. Miała poczucie, zbyt nieokreślone, by można je było nazwać myślą, lecz przytłaczające swym ciężarem, że cała orbita jej życia, przeszłego i przyszłego, wiąże się z tym miejscem - z tym jednym punktem, który nadaje mu jedność.

Tymczasem mała Pearl odeszła od matki i zabawiała się, jak chciała, kręcąc się po rynku. Ruchliwa i migotliwa niby promyk słońca, wносиła wesołość w szary tłum, jak ptaszek o barwnym upierzeniu, który rozświetla całe drzewo o ciemnych liściach, przeskakując to tu, to tam, pół widoczny, pół ukryty w mroku pęków liści. Ruchy

miała płynne, lecz czasem ostre i nieoczekiwane. Wskazywało to na nieustającą żywość usposobienia, a dziś jej ciągły taniec na paluszkach był jeszcze bardziej niezmordowany, gdyż dziewczynce udzielił się niepokój matki, do którego się dostroiła. Ilekroć ujrzała coś, co pobudzało jej zawsze żywą i wszędobyłską ciekawość, pędziła w to miejsce i można by rzec brała w posiadanie daną rzecz lub osobę na tyle, na ile sobie życzyła, lecz nigdy nie tracąc kontroli nad swym własnym udziałem w tej zabawie. Purytanie przyglądali się jej i nawet jeśli nie mogli powstrzymać uśmiechu, skwapliwie wyrokowali, że musi być dzieckiem Szatana - z tym nieopisanym urokiem piękności i z tą oryginalnością, jaka promieniała z jej małej figurki i olśniewała w każdym ruchu. Podbiegła do Indianina, zajrzała mu w twarz i uświadomiła sobie, że oto jest natura dziksza od jej własnej. Stamtąd z wrodzoną śmiałością, lecz i z równie charakterystyczną rezerwą, wpadła w środek grupy marynarzy; ci - podobni Indianom na lądzie - dzicy, smagli ludzie oceanów patrzyli na nią z podziwem i zdumieniem, jak gdyby bryzg morskiej piany przybrał postać małej dziewczynki i został obdarzony duchem morskiego ognia, co błyska nocą pod dziobem statku. Jeden z żeglarzy - ów dowódca statku, który rozmawiał z Hester Prynne - był tak oczarowany wyglądem Pearl, że próbował ją złapać, aby ukraść jej całusa. Widząc, że jest to równie niemożliwe, jak złapanie kolibra w locie, zdjął złoty łańcuch okręcony wokół kapelusza i rzucił go dziecku. Pearl natychmiast owinęła nim sobie szyję i kibić tak zręcznie i gustownie, że jakby przylgnął do niej, stając się od razu częścią jej samej do tego stopnia, że już teraz trudno by było ją sobie wyobrazić bez tej ozdoby.

- To twoja matka, ta kobieta ze szkarłatną literą? - spytał marynarz. - Powiesz jej coś ode mnie?

- Jeżeli mi się spodoba, to jej powiem - odrzekła Pearl.

- Więc powiedz jej - ciągnął - że rozmawiałem znowu z tym starym, garbatym lekarzem o czarniawej twarzy. Obiecał, że przyprowadzi ze sobą na pokład swego przyjaciela, tego pana, o którym już wie. Więc twoja matka nie potrzebuje się trudzić, niech się zajmie tylko sobą i tobą. Powiesz jej to, dziecko czarownicy?

- Pani Hibbins mówi, że moim ojcem jest Książę Powietrza! - zawołała Pearl ze swym prowokującym uśmiechem. - Jak będziesz mnie tak brzydko przezywał, poskarżę mu się i ześle ci burzę na twój statek!

Biegając zygzakiem przez rynek dziecko wróciło do matki i powtórzyło, co mówił marynarz. Silna, spokojna, niezłomna wytrwałość Hester niemal się w końcu załamała; ujrzała przed sobą ciemne, ponure widmo nieuniknionej zguby, które w chwili, gdy otwierało się przed nią i przed pastorem wyjście z labiryntu nieszczęścia, stanęło nieugięte, szydercze na samym środku ich drogi.

W tej straszliwej niepewności, udręczona wiadomością przekazaną jej przez dowódcę statku, Hester musiała znieść jeszcze jedną ciężką próbę. Z okolicznych miejscowości przybyło wielu ludzi, którzy często słyszeli o szkarłatnej literze - rzeczy straszliwe, wyolbrzymione przez setki zmyślonych plotek - lecz nigdy nie widzieli jej na własne oczy. Wyczerpawszy inne rozrywki, stłoczyli się teraz wokół Hester z ordynarnym i brutalnym natręctwem. Choć pozbawieni skrupułów, nie mogli jednak

bardziej się zbliżyć niż na odległość kilku jardów; tam więc stanęli jak wryci, unieruchomieni siłą odpychania, jaką posiadał ów mistyczny symbol. Cała banda marynarzy, dostrzegając pchający się tłum i dowiadując się o znaczeniu szkarłatnej litery, również się zbliżyła, wtykając swe pirackie gęby w krąg ludzi. Nawet Indianom udzieliła się ciekawość białego człowieka, choć w nader nikłym stopniu - i wślizgując się w tłum, wlepiali swe czarne, wężowe oczy w pierś Hester, uważając zapewne, że właścicielka wspaniale haftowanej odznaki musi być wysoko w tym mieście postawioną osobą. Na koniec i u tutejszych - pod wpływem ciekawości innych - odżyło niemrawo zainteresowanie tym spowszedniałym już przedmiotem. Ciągnęli więc opieszale do tego miejsca, a ich chłodne, znajome jej spojrzenia kierowane na znane im godło hańby, były dla niej może większą jeszcze udręką, niż spojrzenia innych. Hester ujrzała i rozpoznała twarze tych samych matron, które czekały na jej wyjście z więzienia siedem lat temu: wszystkie prócz jednej, najmłodszej i jedynej współczującej wśród nich - dla niej szyła później suknię do trumny. W tej ostatniej godzinie, gdy już tak niedługo miała odrzucić precz palącą literę, w dziwny sposób stała się ona znów ośrodkiem dodatkowych uwag i ogólnego podniecenia i parzyła jej pierś boleśniej, niż kiedykolwiek od owego pierwszego dnia, gdy ją nałożyła.

Podczas gdy Hester stała w magicznym kręgu hańby, gdzie przebiegłe okrucieństwo wyroku na zawsze ją ustawiło, wspaniały, uwielbiany kaznodzieja spoglądał ze świętej kazalnicy na wiernych, których najgłębsze tajniki duszy poddały się jego słowom. Świątobliwy duchowny w kościele! Kobieta ze szkarłatną literą na rynku! Czyja wyobraźnia zdobyłaby się na bezecne przypuszczenie, że ten sam parzący stygmat noszą oboje?

XXIII Ujawnienie szkarłatnej litery

Wymowny głos, unoszący słuchających wzwyż niby na wzbierających morskich falach, w końcu umilkł. Nastąpiła chwilowa cisza, jak się należy, gdy przebrzmiał głos wyroczni. Po niej - szelest i stłumiony gwar, jak gdyby słuchacze, uwolnieni od potężnego uroku, który przeniósł ich w sferę innego umysłu, powracali do siebie, pełni jeszcze czci i podziwu. Teraz, gdy tamto się skończyło, czuli potrzebę oddechu bardziej odpowiedniego dla podtrzymania pospolitego, ziemskiego życia, do którego powracali - innego od atmosfery stworzonej przez kaznodzieję płomiennymi słowami i przesyconej bogatą substancją jego myśli.

Na powietrzu zachwyty ich znalazł ujście w mowie. Ulica i rynek wypełniły się po brzegi rozgwarem zachwyty nad duchownym. Jego słuchacze nie mogli się uspokoić, póki sobie nawzajem nie opowiedzieli tego, o czym każdy z nich wiedział znacznie więcej, niż mógł wypowiedzieć lub usłyszeć od sąsiada. Jednogłośnie opinia stwierdzała, że nikt nigdy nie mówił tak mądrze, tak wzniośle i z taką świątobliwością ducha jak ten, co mówił dzisiaj; nigdy, z żadnych ust śmiertelnika nie wyszły słowa równie natchnione, jak dzisiaj z jego ust. Wpływ owej siły natchnienia był oczywisty. Widziało się nieomal, jak sływa na niego, ogarnia go i unosi poza karty napisanego tekstu, i zsyła nań myśli, które jemu samemu musiały zdawać się równie cudowne, jak słuchaczom. Jak się okazało, tematem kazania był związek między Bogiem a społeczeństwem ludzkim, ze specjalnym uwzględnieniem Nowej Anglii, którą tu zakładali, sadzili na pustyni. A gdy pastor zbliżał się do końca, zstąpił na niego duch proroczy z siłą równą tej, co kiedyś zniewalała proroków Izraela, z jedną różnicą: podczas gdy żydowscy wizjonerzy przepowiadali sąd i zniszczenie ich kraju, on przepowiadał wzloty i wspaniałą przyszłość dla nowo zebranego ludu Bożego. Lecz przez całą tę wizję i przez całe kazanie słyszało się jakąś głęboką, smutną nutę skargi, której nie można było inaczej tłumaczyć, jak tylko naturalnym żalem człowieka, który wkrótce stąd odejdzie. Tak! Ich kapłan, którego tak kochali i który tak kochał ich wszystkich, że nie mógł odejść do nieba bez westchnienia, miał przeczucie, iż czeka go przedwczesna śmierć i że wkrótce pozostawi ich, by go opłakiwali. Myśl o przemijaniu ziemskiego życia była ostatnim akcentem wzmacniającym wrażenie, jakie wywarło jego kazanie. Zupełnie, jakby anioł przelatujący do nieba potrząsnął na chwilę białymi skrzydłami nad głowami ludzi, rzucając i światło, i cień i obsypując ich deszczem szczerzłoty prawdy!

Tak oto nadeszła dla wielebnego pana Dimmesdale ważka chwila jego życia - podobnie jak dla wielu ludzi na różnych drogach życia, którzy jednak zwykle oceniają to poniewczasie - owa chwila spełnienia i triumfu, wspanialsza od wszystkich, jakie już były, i od wszystkich, jakie nadejdą. W tym momencie stał na szczycie wybitnej pozycji, na jaką zdolności umysłowe, bogata wiedza, talent oratorski i reputacja nieskalanej czystości i świątobliwości mogły wynieść duchownego w najwcześniejszym okresie Nowej Anglii, gdy sam zawód kapłana był już wielkim wywyższeniem. Taka była pozycja pastora, gdy skłaniał głowę na

poduszki pulpitu po zakończeniu kazania elekcyjnego. W tym samym czasie Hester Prynne stała obok szafotu z pręgierzem, ze szkarłatną literą ciągle płonąca na jej piersi!

Już znowu dały się słyszeć dźwięki orkiestry i odmierzony krok wojskowej eskorty, wyłaniającej się z bramy kościoła. Stamtąd pochód miał się skierować do ratusza, aby ceremonię tego dnia zakończyć uroczystym bankietem.

Tak więc raz jeszcze sznur czcigodnych i majestatycznych ojców ruszył przejściem, utworzonym przez ludzi, którzy z szacunkiem wycofywali się po obu stronach, gdy gubernator i urzędnicy, ludzie starzy i mądrzy, świątobliwi duchowni i wszyscy wybitni i sławni posuwali się do przodu. Gdy już znaleźli się na rynku, powitały ich okrzyki. Ich siłę i liczbę na pewno potęgowała dziecinna lojalność, jaką w owych czasach darzono rządzących, lecz czuło się, że był to przede wszystkim niepohamowany wybuch entuzjazmu, jaki roznieciła w słuchaczach nadzwyczajna siła wymowy kazania, które jeszcze brzmiało im w uszach. Każdy z nich wyrażał własne uczucia, a zarazem z tym samym oddechem wchłaniał je od sąsiada. W kościele z trudem je powstrzymywano; pod gołym niebem wybuchł krzyk, niosący się do nieba. Dość było tu ludzi i pobudzonych w najwyższym stopniu emocji, stapiających się w jedną symfonię, aby wydobyć z nich głos bardziej imponujący, niż organowy huk wybuchu lub grzmotu, lub ryku morza. Ten właśnie potężny wybuch wielu głosów zjednoczonych w jeden wielki głos, wywołany jednym, powszechnym uczuciem, jednoczy wiele serc w jedno wielkie serce. Nigdy jeszcze taki okrzyk nie wzleciał w niebo z ziemi Nowej Anglii! Nigdy na ziemi Nowej Anglii nie stał człowiek tak ubóstwiony przez swych braci śmiertelników, jak ów kaznodzieja!

183A cóż się tedy działo z nim? Czy dookoła jego głowy nie zjawily się świetliste iskierki aureoli? Czy możliwe, aby ktoś tak uduchowiony jak on i tak wyidealizowany wciąż swych wielbicieli kroczył w pochodzie w kurzu i prochu tej ziemi?

Gdy szeregi wojskowych i ojców narodu przemaszerowały dalej, wszystkie oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie zobaczono zbliżającego się pastora. Krzyk przerodził się w szmer, gdy kolejne grupy w tłumie go dostrzegały. Jakże słaby i blady się wydawał wśród całego tego triumfu! Energia, a raczej natchnienie, które go podtrzymywało aż do końca, gdy głosił Boże posłannictwo, samo w sobie przynoszące siłę z Niebios - teraz go opuściło, gdy już tak wiernie wypełnił swe zadanie. Płonący rumieniec, który wszyscy dopiero co widzieli na jego policzkach, zgasł jak płomień zamierający bez nadziei wśród dogasających z wolna popiołów. Ta twarz, śmiertelnie blada, nie mogła należeć do człowieka żywego! I ten człowiek, wlokący się bezsilnie swoją drogą, nie mógł chyba być żywym człowiekiem - a jednak włókł się dalej i nie upadał.

Jeden z braci duchownych - był to wielebny John Wilson - widząc, w jakim stanie znajduje się pan Dimmesdale, gdy fala ożywienia umysłu i wrażliwości zaczęła od niego odpyływać, podszedł do niego spieszenie, by go podtrzymać. Pastor drżał cały, lecz zdecydowanie odepchnął rękę starego pana. Ciągle jeszcze szedł naprzód, jeśli można tak określić jego chód, który przypominał raczej chwiejne próby

małego dziecka między wyciągniętymi ramionami matki, zachęcającej je do posuwania się dalej. I tak się wlokąc, choć ostatnie kroki były prawie niedostrzegalne, zrównał się z miejscem, gdzie wznosił się pamiętny, poczerniały od deszczów szafot, gdzie dawno temu, w dniu, od którego upłynęło tyle koszmarnych dni, Hester Prynne spotkała się po raz pierwszy z wrogimi spojrzeniami tłumu. I teraz stała tam Hester, trzymając za rączkę małą Pearl! A na jej piersi lśniła szkarłatna litera. Pastor zatrzymał się, choć orkiestra ciągle poważnie i radośnie wygrywała marsza, a w jego takt posuwał się pochód, zachęcając pastora, by szedł naprzód, na uroczystość! Lecz tutaj się zatrzymał.

Bellingham już od kilku minut obserwował go z niepokojem. Wreszcie porzucił swoje miejsce w pochodzie i zbliżył się, by zaofiarować pastorowi pomoc, wnosząc z wyglądu pana Dimmesdale, że inaczej na pewno upadnie. Lecz w wyrazie twarzy tego ostatniego było coś, co kazało urzędnikowi cofnąć się, choć nie był to człowiek, który by z łatwością pojmował i słuchał subtelnych przekazów duszy bliźniego. Przez ten czas tłum patrzył ze zgrozą i z podziwem. Ta słabość fizyczna była w ich mniemaniu tylko inną fazą niebiańskiej mocy pastora. Nie uznaliby tego bynajmniej za nadzwyczajny cud u kogoś tak świętego, gdyby pastor uniósł się teraz na ich oczach i po-

184szybował w górę, coraz to bardziej niewidoczny i coraz jaśniejszy, a w końcu rozplynął się całkiem w jasności nieba!

Lecz on zwrócił się w stronę szafotu i wyciągnął ramiona.

- Hester - powiedział - chodź tutaj! Pójdź, moja mała Pearl!

W jego oczach, które na nie patrzyły, było coś upiornego; lecz była w nich też czułość i dziwny triumf. Dziecko niby ptak, ruchem sobie właściwym, pomknęło do niego i objęło rączkami jego kolana. Z wolna, jakby ciągnął ją nieunikniony los wbrew najtwardszym oporom jej woli, Hester Prynne również przybliżyła się do niego, lecz zatrzymała się tuż przed nim. W tej chwili stary Roger Chillingworth przecisnął się przez tłum, tak nasepiony, wzburzony, zły, jakby wyhynał z podziemnych czeluści, by pochwycić swą ofiarę i udaremnić to, co miało się zdarzyć. W każdym razie wypadł z tłumu i złapał duchownego za ramię.

- Opamiętaj się, szaleńcze! Co chcesz zrobić? - szepnął. - Przepędź tę kobietę! Odpędź to dziecko! Wszystko będzie dobrze! Nie niszcź swej dobrej sławy! Umrzesz zhańbiony! Mogę cię jeszcze uratować! Czy chcesz ściągnąć hańbę na całe duchowieństwo?

- Ha, kusicielu! Zdaje się, że przychodzisz za późno! - odrzekł pastor, patrząc mu w oczy z lękiem, lecz stanowczo. - Twoja moc już nie istnieje! Z Bożą pomocą ucieknę ci teraz!

Znów wyciągnął rękę do kobiety ze szkarłatną literą.

- Hester Prynne! - zawołał, wymawiając każde słowo z przeraźliwą powagą. - W imię Tego, który jest tak groźny i tak miłosierny, który udziela mi łaski w tej ostatniej godzinie, bym mógł uczynić to, od czego się powstrzymałem siedem lat temu, popełniając ciężki grzech i szykując sobie straszliwe męki - pójdź do mnie teraz i wesprzyj mnie swą siłą. Lecz pozwól, by twoją siłą pokierowała wola, której

mi użyczył Bóg! Ten nieszczęsny, skrzywdzony przez nas starzec przeciwstawia się temu całą mocą - swoją i szatańską! Pójdź, Hester, pójdź! Podtrzymaj mnie w drodze na ten szafot!

W tłumie zawrzało. Ludzie piastujący stanowiska i godności, którzy stali bliżej duchownego, byli tak zaskoczeni i tak niepojęty wydawał im się sens tego, co się działo, że, nie będąc w stanie przyjąć wyjaśnienia najbardziej oczywistego, jakie się samo narzucało, ani czynić innych domysłów, stali w milczeniu, niezdolni do działania - widzowie sądu, jaki miał się rozpocząć za sprawą Opatrzności. Patrzyli, jak duchowny, wsparty na ramieniu Hester i podtrzymywany ręką, którą go objęła, zbliża się do szafotu i wchodzi na stopnie, trzymając równocześnie za rączkę dziecko, zrodzone z grzechu. Za nimi szedł stary Roger Chillingworth jako człowiek blisko związany z tym dramatem winy i nieszczęścia, w którym wszyscy byli aktorami, a więc miał prawo brać udział w końcowej scenie.

- Gdybyś przeszukał całą ziemię - rzekł, spoglądając ponuro na duchownego - nie znalazłbyś miejsca, które by było tak ukryte, tak wysokie lub tak niskie, żebyś mógł uciec przede mną! Jedyńm takim miejscem jest ten szafot!

- Dzięki składam Temu, co mnie tu przywiódł! - odparł duchowny.

A jednak drżał i zwracał się do Hester z wyrazem zwątpienia i niepokoju w oczach, tym bardziej uderzającego, że na ustach igrał mu słaby uśmiech.

- Czy to nie lepsze - szepnął - niż to, co wymarzyliśmy tam, w lesie?

- Nie wiem! Nie wiem! - odrzekła pośpiesznie. - Lepsze? Tak, możemy umrzeć oboje, a z nami Pearl!

- Iz tobą, i z Pearl będzie, jak Bóg zrządzi - powiedział duchowny. - A Bóg jest miłosierny! Pozwól mi teraz wypełnić jego wolę, którą mi jasno okazał. Bo, Hester, ja umieram. Więc muszę się pośpieszyć, żebym zdążył wziąć na siebie moją hańbę!

Częściowo podtrzymywany przez Hester, trzymając za rączkę małą Pearl, wielbny pan Dimmesdale zwrócił się do dostojnych i czcigodnych dygnitarzy, do świątobliwych kapłanów, którzy byli jego braćmi, i do ludu, którego serca truchlały, lecz zarazem tryskały łzami współczucia, rozumiejąc, iż odsłaniają się przed nimi głębie życia, które choć pełne grzechu, pełne było również bólu i skruchy. Słońce, które dopiero przekroczyło południe, oświetlało pastora, tak że jego postać była wyraźnie widoczna, gdy stał, jak gdyby wystąpiwszy z ziemskiego padołu, aby wyznać swe winy przed trybunałem Odwiecznej Sprawiedliwości.

- Ludu Nowej Anglii! - zawołał głosem, który wzbił się ponad nimi donośny, uroczysty i majestatyczny, lecz z nieprzerwaną drżącą nutą, a czasem urastający do krzyku, jaki wydzierał się z bezdennych głębi winy i bóleści: - Wy, którzyście mnie kochali! Wy, którzyście mnie uważali za świętego! Patrzcie na mnie, na jednego z grzeszników tego świata! Nareszcie! Nareszcie staję na tym miejscu, na którym powinienem był stanąć siedem lat temu. Stoję tu z kobietą, której ramię lepiej niż te mizerne siły, z jakimi się tu dowlokłem, podtrzymuje mnie w tej straszliwej chwili, bym nie padł na twarz, czołgając się w prochu! Patrzcie na tę szkarłatną literę, którą nosi Hester! Drżeliście wszyscy ze zgrozy, patrząc na nią! Gdziekolwiek kierowała swe kroki, gdziekolwiek pod tym nieszczęsnym brzemieniem szukała spoczynku, ta

litera rzucała wokół niej ponury blask grozy i obrzydliwości! Lecz wśród was znajdował się ktoś napiętnowany grzechem i hańbą i patrzyliście na niego bez drżenia!

W tym momencie wydawało się, że duchowny będzie musiał pozostawić swój sekret nie ujawniony do końca. Lecz przemógł słabość fizyczną i coś więcej - struchlałość serca, która już miała go pokonać. Odrzucił wszelką pomoc i wystąpił gwałtownie o krok naprzód, stając przed kobietą i dzieckiem.

- Piętno było na nim! - ciągnął jakby z zawziętością, zdecydowany powiedzieć wszystko do końca. - Widziało je oko Boże! Wskazywali na nie ciągle aniołowie! Diabeł znał je dobrze i stale je drażnił parzącym dotknięciem palców! Lecz grzesznik ukrywał je chytrze przed ludźmi i chodził między nimi wzniosłe, niby duch - boleściwy, bo tak czysty w grzesznym świecie, smutny, bo tęsknił do niebiańskich bratnich dusz! Teraz, w godzinie śmierci staje przed wami! Wzywa was jeszcze raz, byście spojrzeli na szkarłatną literę Hester! Powiada wam, że choć tak pełna tajemniczej grozy, jest tylko cieniem tego, co on nosi na swoim własnym sercu, a nawet jego własny czerwony stygmat jest zaledwie odbiciem tego, co spaliło mu serce do głębi! Czy jest tu ktoś, kto wątpi o sędzie Bożym nad grzesznikiem? Patrzcie! Oglądajcie jego straszliwe świadectwo!

Konwulsyjnym ruchem zerwał kapłańską szarfę z piersi. Świadectwo się ujawniło! Lecz byłoby rzeczą bezbożną opisywać to objawienie. Przez chwilę spojrzenia przerażonego tłumu wlepione były w ten upiorny cud, a duchowny stał z rumieńcem triumfu na twarzy, jak ten, kto w najostrzejszym skurczu okrutnego bólu odniósł zwycięstwo. Po czym upadł na deski szafotu. Hester uniosła go nieco i oparła jego głowę na swej piersi. Stary Roger Chillingworth ukląkł przy nim z twarzą bez wyrazu, otępieła, jakby życie z niej uciekło.

- Uciekłeś mi! - powtarzał co chwila. - Uciekłeś mi!

- Niech ci Bóg przebaczy - rzekł duchowny. - Ty też ciężko zgrzeszyłeś!

Odwrócił umierające oczy od starca i spojrzał na kobietę i dziecko.

- Moja mała Pearl - przemówił słabym głosem, a na jego twarzy ukazał się łagodny uśmiech, jakby dusza jego zanurzała się w głębie spokoju. Nawet teraz, gdy zrzucił z siebie ciężar, zdawało się, jakby chciał pożartować z dzieckiem. - Kochana, mała Pearl, czy teraz mnie pocałujesz? Nie chciałaś tam, w lesie! Ale teraz zechcesz?

Pearl ucałowała go w usta. Zły urok przysł. Wielki dramat bólu, w którym ta dzika istotka brała udział, obudził w niej całą moc współczucia. A gdy jej łzy spływały na policzek ojca, było to przyrzeczenie, że wzrastać będzie wśród ludzkich radości i smutków nie po to, by zawsze wojować ze światem, lecz by stać się w nim kobietą. Także w stosunku do matki misja Pearl, by zadawać jej cierpienia, dokonała się.

- Hester - powiedział duchowny - żegnaj!

- Czy już się nigdy nie spotkamy? - szepnęła, nachylając twarz do jego twarzy.

- Czy nie będziemy razem spędzać życia w nieśmiertelności? Na pewno, na pewno już okupiliśmy siebie tą niedolą! Tymi błyszczącymi, umierającymi oczami patrzysz daleko, w wieczność! Powiedz mi zatem, co tam widzisz.

- Cicho, Hester, cicho - mówił drżącym głosem, z powagą. - Złamane przez nas prawo! Grzech, tragicznie ujawniony w tym miejscu! Niech tylko one goszczą w twoich myślach! Boję się! Boję się! Może gdy zapomnieliśmy o naszym Bogu, gdy pogwałciliśmy wzajemnie szacunek dla naszych dusz, próżno by żywić nadzieję, abyśmy mogli się spotkać w życiu przyszłym, na wieczne i czyste połączenie. Bóg to wie. A On jest miłosierny! Okazał swe miłosierdzie najjaśniej, zsyłając mój dopust. Zsyłając mi tę palącą torturę, abym ją nosił na piersi! Zsyłając mi tego mrocznego, strasznego starca, po to, by narzędzie tortur było zawsze rozpalone do czerwoności! Prowadząc mnie tutaj, abym umierał na oczach ludu śmiercią triumfującej hańby! Gdyby nie te wszystkie męki, byłbym zgubiony na zawsze! Niech się dzieje Jego wola! Żegnaj!

Z tym ostatnim słowem pastor wyzionął ducha. Rzesza ludzka, dotąd milcząca, zaszumiła dziwnym, głębokim pomrukiem grozy i podziwienia, które nie mogły na razie znaleźć innego ujścia, jak tylko ów pomruk, który toczył się ciężko za odlatującym duchem.

XXIV Zakończenie

Po długim czasie, gdy ludzie zdołali uporządkować myśli krążące wokół opisanej tu sceny, powstało kilka wersji na temat tego, co wszyscy oglądali na szafocie własnymi oczami.

Większość naocznych świadków stwierdziła, iż na piersi nieszczęsnego pastora widzieli SZKARŁATNĄ LITERĘ - dokładne odbicie tej, którą nosiła Hester Prynne - wypisaną na gołym ciele. Co się tyczy jej pochodzenia, różnie to tłumaczono. Wszystko to były oczywiście tylko domysły. Niektórzy utrzymywali, że wielebny pan Dimmesdale już tego dnia, gdy Hester Prynne po raz pierwszy przypięła hańbiącą odznakę, rozpoczął długotrwałą pokutę, którą kontynuował aż do końca różnymi bezskutecznymi metodami, i wówczas to, zadając sobie ohydne tortury, sam położył na sobie ten znak. Inni twierdzili, że stygmat pojawił się dopiero po długim czasie, gdy stary Roger Chillingworth, potężny nekromanta, wywołał go z pomocą czarodziejskich praktyk i trujących leków. Inni znów, najbardziej świadomi osobliwej wrażliwości duchownego i niezwykłego wpływu, jaki w nim duch wywierał na ciało, szeptali, że straszliwy symbol powstał na skutek ciągle klującego ostrza wyrzutów sumienia, które od serca wydzierały się na zewnątrz, aż w końcu, dając świadectwo straszliwego sądu Niebios, wyszły na wierzch w postaci widzialnej litery. Czytelnik może wybrać z tych teorii, jaką sobie życzy. My naświetliliśmy sprawę tego złowrogiemu znaku w miarę naszych możliwości i teraz, gdy już spełnił swe zadanie, radzi byśmy wymazać z naszego umysłu głęboki ślad, jaki tam przez długie rozmyślania pozostawił z wyrazistością wcale niepożądaną.

Jedna jeszcze rzecz zastanawia: pewne osoby, które obserwowały całą tę scenę i twierdziły, iż ani na chwilę nie odwróciły oczu od wielebnego pana Dimmesdale, zaprzeczały, jakoby na piersi jego widniał jakiś znak - była ona czysta jak u nowo narodzonego dziecka. Wedle ich świadectwa w swych ostatnich słowach przed śmiercią nie wspomniał on nic, a nawet nie dał do zrozumienia, że ma jakikolwiek związek z tym grzechem, za który Hester Prynne tak długo nosiła szkarłatną literę. Według tych wysoce czcigodnych świadków duchowny, świadom zbliżającej się śmierci, świadom również tego, iż cześć ludu zaliczała go już do świętych i aniołów, pragnął wyzionąć ducha w ramionach tej upadłej kobiety, aby pokazać światu, jak zupełnie nieważne są najszczytniejsze nawet cnoty sprawiedliwego człowieka. Poświęciwszy całe życie pracy dla duchowego dobra ludzkości, pragnął swoją śmierć uczynić przypowieścią, aby utrwalić w pamięci wielbiących go ludzi tę wielką i przesmutną prawdę, że w obliczu Czystości Nieskończonej wszyscy jesteśmy grzesznikami. Miało ich to nauczyć, że najświętsi z nas o tyle tylko przewyższają swoich bliźnich, że widzą jaśniej Miłosierdzie, które patrzy na nas z góry, i odrzucają stanowczo, bardziej niż inni, iluzję co do ludzkich zasług, które pragnęłyby się wywyższyć. Nie kwestionując prawd tak doniosłych, pozwolimy sobie jednak uznać tę wersję opowieści o panu Dimmesdale jedynie za przykład uporczywej wierności, z jaką czasem przyjaciele, a zwłaszcza przyjaciele

duchownego, wywyższają zmarłego, podczas gdy dowody, jasne jak blask południowego słońca na szkarłatnej literze, świadczą, iż był on grzeszną, pełną fałszu, z prochu powstałą istotą.

Źródła, których się głównie trzymaliśmy - stary manuskrypt spisany na podstawie ustnego świadectwa osób, z których jedne znały Hester Prynne, inne zaś słyszały o niej od współczesnych naocznych świadków - całkowicie potwierdzają wersję, opowiedzianą na tych stronicach. Wśród wielu nauk moralnych, jakie nam się nasuwają z bolesnych przeżyć biednego duchownego, tylko jedną ujmemy w sentencję: - Żyćcie prawdą! Żyćcie prawdą! Żyćcie prawdą! Okazujcie swobodnie światu, jeśli nie to, co jest w was najgorszego, to przynajmniej jakąś cechę, z której można wywnioskować najgorsze!

Nic dziwniejszego i bardziej godnego uwagi, jak zmiana w wyglądzie i zachowaniu starca, znanego pod nazwiskiem Rogera Chillingwortha, jaka nastąpiła prawie natychmiast po śmierci pana Dimmesdale. Cała jego siła i energia, wszystkie siły fizyczne i umysłowe natychmiast go opuściły. Po, prostu zwiądł, skurczył się i prawie że się rozpląnął, znikając z oczu śmiertelników jak chwast, wyrwany z korzeniami, wiotczący na słońcu. Ów nieszczęśnik uczynił szukanie zemsty i jej systematyczne realizowanie zasadą całego życia, a gdy zemsta triumfalnie się dopełniła, ta piekielna zasada nie miała już czym się karmić: nie było już dla niej szatańskiej roboty na tej ziemi, nic więc nie pozostało śmiertelnikowi, który dawno przestał być człowiekiem, tylko wynieść się tam, gdzie jego Pan znajdzie dla niego dość roboty i udzieli należytej zapłaty. Lecz chcielibyśmy okazać miłosierdzie wszystkim tym z mgieł utkanym postaciom, które stały się, przebywając z nami tak długo, naszymi dobrymi znajomymi - zarówno Rogerowi Chillingworthowi, jak i jego towarzyszom. Jest to temat ciekawy dla obserwacji i badań, czy miłość i nienawiść nie są w gruncie rzeczy tym samym. I jedna, i druga w swym najwyższym nasileniu zakłada wysoki stopień bliskości i znajomości drugiego serca; i jedna, i druga czyni człowieka zależnym od innej osoby, dostarczającej mu pożywki dla jego uczuć i życia duchowego. A gdy namiętny kochanek i nie mniej namiętny wróg straci obiekt swych uczuć, czuje się zagubiony i opuszczony. A zatem, filozoficznie rzecz ujmując, obie te namiętności w swej istocie zdają się tym samym, z tym tylko wyjątkiem, że jedna przedstawia się nam jako niebiańska jasność, druga zaś jako żar mroczny i posępny. W świecie pozagrobowym stary lekarz i duchowny, ofiary wzajemnych powiązań, odkryli być może, że ich ziemski bagaż nienawiści i antypatii przemienił się w złocisty blask miłości.

Pozostawiając te rozważania, chcemy powiadomić czytelników o sprawach bardziej konkretnych. Po zgonie starego Rogera Chillingwortha (który nastąpił przed upływem roku), zgodnie z jego ostatnią wolą i testamentem, którego wykonawcami byli gubernator Bellingham i wielebny pan Wilson, jego majątek, bardzo pokaźny, zarówno w Anglii, jak i na miejscu, został zapisany małej Pearl, córce Hester Prynne.

Tak więc Pearl - ten chochlik, to dziecko demonów, za jakie niektórzy aż do tej pory uparcie ją uważali - została najbogatszą dziedziczką swoich czasów w Nowej Anglii. Niechybnie ta okoliczność spowodowała bardzo znaczną zmianę w

nastawieniu ludzi; i gdyby matka i dziecko tutaj pozostały, jej nieokiełznana krew mogłaby się mieszać z parantelą najpobożniejszego ze wszystkich purytanina. Lecz niebawem po śmierci lekarza nosicielka szkarłatnej litery znikła z tych stron, a wraz z nią i Pearl. Przez wiele lat - choć od czasu do czasu docierały przez morze niejasne pogłoski, niczym bezkształtny kawałek drzewa, wyrzucony przez fale na brzeg z wypisanymi na nim inicjałami imienia - nie otrzymano żadnych o nich wieści o niewątpliwej autentyczności. Opowieść o szkarłatnej literze urosła w legendę. Jednakże jej zły urok ciągle zachowywał moc i odstraszał ludzi od szafotu, na którym zmarł biedny pastor, i od chatki na wybrzeżu, gdzie mieszkała niegdyś Hester Prynne. Pewnego popołudnia dzieci bawiące się nie opodal chatki ujrzały wysoką kobietę, ubraną w szarą suknię, która zbliżyła się do jej drzwi. Przez te wszystkie lata ani razu nie zostały one otwarte; lecz albo kobieta otworzyła je kluczem, albo rozpadające się drewno i żelazo ustąpiły pod naciskiem jej ręki, lub też przeniknęła jak duch przez te przeszkody - w każdym razie weszła do środka.

Na progu zawahała się i odwróciła na chwilę, bo może, gdy była tak samotna i tak zmieniona, wejście do domu, gdzie niegdyś tętniło tak mocno życie, zdało się zbyt przygnębiające i smutne jak na jej siły. Lecz wahanie trwało tylko chwilę, choć wystarczyło, by dostrzeżono na jej piersi szkarłatną literę.

I Hester Prynne rzeczywiście wróciła i podjęła swe porzucone na dłuższy czas życie w niesławie. Lecz gdzie była mała Pearl? Jeśli jeszcze żyła, musiała być teraz w kwiecie i w blasku kobiecej młodości. Nikt nie wiedział - i nigdy z całą pewnością się nie dowiedział - czy dziecko-chochlik zeszło przedwcześnie do dziewiczego grobu, czy też bogata, nieokiełznana natura dziewczynki złagodniała i uspokoiła się, umożliwiając jej poznanie cichego szczęścia kobiety. Lecz przez pozostałe lata życia Hester pojawiały się dowody na to, że pustelnica szkarłatnej litery była obiektem miłości i zainteresowania jakiegoś mieszkańca innych krajów. Przychodziły listy z pieczęcią herbową, choć z godłem nieznanym w angielskiej heraldyce. W chatce pojawiały się przedmioty służące wygodzie i zbytkowne, o jakie Hester nigdy nie dbała, lecz kupić je mógł tylko ktoś bogaty, a obmyślić, tylko ktoś kochający. Były tam również drobiazgi - ozdobne drobnostki, piękne znaki nieprzerwanej pamięci, które musiały wykonywać delikatne palce za podszeptem czulego serca. A raz jednego widziano, jak Hester haftowała sukienkę niemowlęcą z tak rozrzutnym przepychem złotych zawijasów, że podniosłaby się ogólna wrzawa, gdyby jakieś dziecko ubrane w ten sposób ukazało się oczom naszej ciemno odzianej społeczności.

Reasumując, plotkarze ówczesni uważali - a uważał tak również pan inspektor Pue, który badał tę sprawę w sto lat potem, i tak samo uważa stanowczo jeden z jego ostatnich następców na urzędzie - że Pearl nie tylko żyła, lecz również była zamężna, szczęśliwa i pamiętała o matce. I że chętnie by widziała swą smutną i samotną matkę przy swoim własnym ognisku domowym.

Lecz dla Hester Prynne życie było bardziej prawdziwe tutaj, w Nowej Anglii, niż tam, w tym nieznanym kraju, gdzie Pearl znalazła dom. Tutaj miał miejsce jej grzech i jej nieszczęścia i tu czekała jeszcze na nią pokuta. A zatem wróciła i z własnej woli - gdyż nawet najsurowszy urzędnik tego żelaznego okresu nie

narzuciłby jej tego - znów zaczęła nosić ów symbol, którego posępną historię opowiedzieliśmy. I już nigdy nie opuścił on jej piersi. Lecz z upływem pracowitych, pełnych medytacji i poświęceń lat, jakie złożyły się na życie Hester, szkarłatna litera przestała być stygmatem, ściągającym pogardę i gorycz świata, i stała się symbolem czegoś, nad czym trzeba boleć i patrzeć ze zgrozą, lecz także z uszanowaniem. A ponieważ Hester Prynne nie miała żadnych samolubnych celów i nie żyła w żadnej mierze dla własnych korzyści i przyjemności, ludzie przynosili jej wszystkie swe zmartwienia i rozterki i prosili ją o radę, jako osobę, która sama wiele przeszła. Zwłaszcza kobiety pod ciężarem ciągle powracających dopustów zranionej, zmarnowanej, skrzywdzonej, źle ulokowanej lub błędzającej i grzesznej namiętności - lub z cięższym jeszcze brzemieniem nie oddanego nikomu serca, bo go nikt nie docenił i nie szukał - przychodziły do chatki Hester, pytając, czemu są tak nieszczęśliwe i jakie jest na to lekarstwo. Hester pocieszała je i radziła, jak mogła najlepiej. Zapewniała je także, wierząc w to mocno, iż kiedyś, w szczęśliwszych czasach, gdy świat do tego dojrzeje, a Niebiosa pozwolą, objawiona zostanie nowa prawda i ona pozwoli ułożyć całą sprawę stosunków między mężczyzną i kobietą na pewniejszym gruncie wzajemnego szczęścia. Dawniej Hester wyobrażała sobie mylnie, że ona sama mogłaby się stać tą przeznaczoną od losu prorokinią, lecz już dawno uznała, że to niemożliwe, by jakakolwiek misja obwieszczenia prawdy z Boskich tajemnic mogła zostać powierzona kobiecie splamionej grzechem, uginającej się pod brzemieniem wstydu, lub nawet obciążonej smutkiem całego życia. Aniołem i apostołem przyszłego objawienia musi być rzeczywiście kobieta, ale kobieta godna, czysta i piękna - a ponadto mądra, nie przez padający na nią cień smutku, lecz za sprawą uskrzydłonej radości, zdolna do ukazania, w jaki sposób uświęcona miłość może przynieść nam szczęście, jeśli sama zwycięsko przejdzie próbę życia, w którym taki cel został osiągnięty.

Tak mówiła Hester Prynne, spoglądając smutnymi oczyma na szkarłatną literę. A po wielu, wielu latach wykopano nowy grób koło tego, który był stary i zapadał się w ziemię na cmentarzu, obok którego później zbudowano Królewską Kaplicę. Leżał on blisko tego drugiego, zapadniętego, lecz oddzielony był od niego pasem ziemi - tak jakby prochy dwojga tu śpiących nie miały prawa się mieszać. Jednakże dla obu wystawiono jeden nagrobek. Dookoła wznosiły się grobowce zdobne w herby. Na tej prostej płycie - ciekawy poszukiwacz może to jeszcze zobaczyć i łamać sobie głowę nad sensem - znajduje się coś, jakby tarcza herbowa. Widnieje na niej dewiza w stylu heraldycznym, a jej treść mogłaby posłużyć jako motto i zwięzła charakterystyka naszej zakończonej już opowieści. Jest ona bardzo mroczna, z jednym tylko punktem niezmiennie świecącym, lecz bardziej posępnym niż cień:

„NA CZARNYM POLU LITERA A, CZERWONA”

Posłowie

Nathaniel Hawthorne był obywatelem bardzo młodego świata. Od przybycia pierwszych partii osadników angielskich na zachodnie wybrzeże Północnej Ameryki nie upłynęło nawet dwieście lat, a od uzyskania przez angielską kolonię niepodległości w r. 1781 - zaledwie ćwierć wieku, gdy w małym, portowym mieście Salem urodził się w r. 1804 przyszły pisarz, w rodzinie, która jednak liczyła się już do rodów dawno osiadłych i zasłużonych. Historia rodziny wiązała się blisko z historią rodzinnego kraju, a świadomość tego nigdy Hawthorne'a nie opuszczała. Nie musiał poszukiwać korzeni swego życia. Czuł się tak wyraźnie u siebie i w teraźniejszości, i w przeszłości swego kraju, że ta ostatnia stała się natchnieniem jego najcelniejszych utworów. W pewnym sensie był też spadkobiercą Starego Kraju. Z literatury angielskiej i z innych literatur cywilizowanego świata czerpał tyle, ile potrzebował, by przekazać własną wizję artystyczną.

Czasy dojrzały na tyle, aby na literackiej scenie młodych Stanów Zjednoczonych zjawił się ktoś, kto byłby w pełni Amerykaninem i w pełni artystą. We wczesnym okresie kolonialnym literatura amerykańska prawie nie istniała. Angielscy zdobywcy nowego kontynentu - najpierw mała kolonia w Jamestown (1607), potem setka z górą purytanów, którzy uciekając od prześladowań religijnych na statku Mayflower w r. 1620 przybyli do Plymouth, i ich potomkowie - mieli co innego do roboty. Twarde życie pionierów nie sprzyjało rozwojowi kultury duchowej; potrzeby duchowe zaspokajała religia, tworząca podstawę życia społecznego. Z tego więc okresu, prócz nielicznych utworów poetyckich opartych na wzorach angielskich, zachowały się głównie pisma o treści religijnej - zbiory kazań, teologiczne traktaty oraz kroniki o charakterze historyczno-religijnym, gdyż nowoangielska demokracja była również teokracją, rządzoną ściśle według zasad religii, z ważnym udziałem duchownych. Rozrzucone początkowo osady stopniowo jednoczyły się i cywilizowały. Na początku przodowała Nowa Anglia (ziemia Hawthorne'a), gdzie już w r. 1636 powstał uniwersytet, późniejszy Harvard, i pierwsza drukarnia w r. 1639. Stamtąd też pochodziła większość pamiętnikarzy i kronikarzy. Prądy filozoficzne i kulturalne docierały ze starego kontynentu z opóźnieniem, lecz drugą połowę osiemnastego wieku można już w Ameryce nazwać wiekiem Oświecenia, a piśmiennictwo reprezentujące ten okres to głównie eseje filozoficzne i polityczne. Choć idee w nich rozwijane były przeważnie zapożyczone, przełamały one hegemonię piśmiennictwa religijnego i towarzyszyły oficjalnym narodzinom niepodległych Stanów Zjednoczonych. Stworzyły też pomyślniejsze warunki dla rozwoju literatury pięknej, szczególnie prozy fabularnej, która nie cieszyła się nigdy aprobatą purytanów.

Pierwsze znaczące nazwiska autorów, którzy zdobyli międzynarodowe uznanie lub sławę, pojawiają się nieco wcześniej lub współcześnie z Hawthorne'em: Washington Irving (1783-1859), autor szkiców i opowieści, dziś znany głównie z opowiadania Rip Van Winkle, James Fenimore Cooper (1789-1851) - ogromnie

plodny i popularny powieściopisarz „przygodowy” o tematyce amerykańskiej, dziś czytany przez młodzież, oraz Edgar Allan Poe (1809-49), nie doceniany za życia, sławny od końca ubiegłego wieku poeta, nowelista i krytyk. Przełom, jaki nastąpił, gdy zaczęły ukazywać się ich utwory, zapowiada już nową epokę, zwaną wedle wzorów europejskich Romantyzmem, lub ze względu na jej doniosłą rolę - Amerykańskim Odrodzeniem. Zaowocowało ono szczególnie obficie w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy to ukazała się Szkarłatna litera Hawthorne'a (1850), opowieść Hermana Melville'a Moby Dick (1851), słynny esej Davida Thoreau Walden (1854) i zbiór poezji Walta Whitmana Żdźbła trawy (1855) - wszystko nazwiska uznanych do dziś klasyków.

Oczywiście ów płomień twórczego obudzenia nie wybuchł nagle. Ożywienie intelektualne po odzyskaniu niepodległości stworzyło właściwy klimat dla rozwoju narodowej świadomości, własnej, niezależnej myśli i koncepcji twórczych. W tym klimacie wzrastał Nathaniel Hawthorne. Jako człowiek był on zawsze trochę tajemniczy. Z różnych biografii wyłaniają się jakby dwa różne oblicza. Z jednej strony samotnik, często zamyślony, milczący, pełen rezerwy i romantycznie melancholijny. Z drugiej - towarzyski i pogodny, dobry przyjaciel, kochający mąż i ojciec, włączony w różne dziedziny działalności, umiejący cieszyć się życiem i korzystać z jego przyjemności. Na pewno była to osobowość skomplikowana, pełna sprzeczności, które w pewien sposób ujawniły się w jego dziełach. W każdym razie dzieciństwo miał niełatwe. W wieku zaledwie czterech lat stracił ojca, który był kapitanem statku. Matka z trojgiem dzieci musiała szukać oparcia u dalszej rodziny z powodu systematycznie pogarszającej się sytuacji majątkowej. Zamieszkali więc na razie u krewnych. Pani Hawthorne (a raczej Hathorne, gdyż nazwisko rodzinne pisarz zmienił, gdy zaczął wydawać swoje utwory) do końca życia nie pogodziła się ze śmiercią męża i ze zmianą swej sytuacji życiowej, choć z czasem uległa ona poprawie. Wewnętrznie odsunęła się od rodziny i mimo miłości wzajemnej stosunki między matką i synem pozostały do końca chłodne. Rodzina dbała jednak o edukację chłopca, posyłając go do szkół, a następnie na studia do Bowdoin College w Brunswick w stanie Maine. Jego korespondencja z siostrami w tych okresach ukazuje żywość usposobienia i lekkomyślność normalną w jego wieku, a poza tym żywą inteligencję i dowcip - lecz niewiele ambicji w nauce. Wystarczyły mu zawsze, jak to się dziś nazywa, stopnie „państwowe”. Natomiast dość wcześnie, jak widać z listów, zapowiada, że chce zostać pisarzem i nie wyobraża sobie innej kariery.

Szybko po tych zapowiedziach okazało się, że zamysł był poważny, gdyż już w trzy lata po ukończeniu studiów, w r. 1828, wydaje anonimowo i na własny koszt pierwszą powieść, niedojrzałą i naiwną, Fanshawe, pełną tajemniczych i strasznych przygód, umiejscowionych w Brunswicku. Wkrótce potem, oceniwszy ją surowo, wycofał częściowo rozprzedany nakład i zniszczył wszystkie dostępne mu egzemplarze. Ta procedura pisania i niszczenia nieudanych prób towarzyszyć mu będzie przez kilkanaście lat wytężonego terminowania w sztuce pisarskiej, spędzonych w domu, w rodzinnym Salem - w mieście, którego, jak powiadał,

nienawidził, w którym było mu nudno i źle, lecz do którego powracał i czuł się z nim związany.

Przygotowanie do zawodu pisarza wymagało oczywiście czytania, a Hawthorne od najwcześniejszych lat kochał książki. Jego znajomość literatury angielskiej była zdumiewająca w kraju literacko słabo wyrobionym, do którego wiele dzieł i mód literackich docierało z opóźnieniem.

Hawthorne śledził naturalnie rozwój rodzimego pisarstwa i korzystał z jego doświadczeń, lecz przede wszystkim z ogromnym entuzjazmem wczytywał się w materiały historyczno-religijne z czasów kolonialnych. Ta romantyczna fascynacja najwcześniejszym okresem przeszłości własnego kraju, zdominowanej przez purytanów, nie miała charakteru ucieczki od teraźniejszości: dla Hawthorne'a teraźniejszość Ameryki wiązała się ściśle z przeszłością i z tej perspektywy należało ją oceniać. Z poczuciem historycznej ciągłości łączyło się u niego również zainteresowanie dziejami własnej rodziny, której kilku przedstawicieli zapisało się chlubnie - a wedle potomnych niechlubnie - na kartach historii Nowej Anglii. Wspomina o nich ze wstydem, a trochę i z dumą, w autobiograficznym szkicu wstępnym do Szkarłatnej litery. Przodkowie, o których mówi nie wymieniając ich z nazwiska, to William Hathorne, emigrant ze Starego Kraju, żołnierz i wysoki urzędnik, oraz jego syn, John Hathorne - obaj wsławieni w tropieniu i prześladowaniu czarownic, ponoszący winę za przekleństwo, ciężące jakoby nad potomnymi. Ten motyw wykorzysta w swej drugiej powieści *Dom o Siedmiu Szczytach*.

Obraz duchowego i literackiego dziedzictwa, które tak starannie pisarz obejmował w posiadanie w latach spędzonych w rodzinnym domu, byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o najważniejszym wpływie nurtu współczesnego, z którym Hawthorne mocno się związał. Był to ruch filozoficzny specyficznie amerykański, choć rodowodem sięgający Europy, zwany transcendentalizmem. Reprezentowali go ludzie, z którymi się niebawem zetknął i długo pozostawał w przyjaźni: Ralph Waldo Emerson i Henry David Thoreau. Nazwa „transcendentalizm” pochodzi od stowarzyszenia grupy intelektualistów o pokrewnych poglądach, utworzonego w r. 1836 i nazwanego przez otoczenie „Klubem transcendentnym”, gdyż jego członkowie uważali, że pod zewnętrznym kształtem świata kryje się głębszy sens i przekraczająca pozory rzeczywistość, tj. rzeczywistość „transcendentna”.

Prorokiem grupy był Emerson, który w traktacie filozoficznym *Naturę* wyłożył zasady swej idealistycznej i dość luźno sformułowanej filozofii, inspirowanej przez angielskich pisarzy dziewiętnastowiecznych. Z podstawowych założeń koncepcji Emersona - istnienia doskonałej harmonii między człowiekiem i światem - wynikały pewne stwierdzenia i zalecenia, które weszły na trwałe do kultury i duchowych postaw Amerykanów. Oto najważniejsze z nich: poznanie prawdy jest dostępne dla każdego poprzez własną intuicję i jedynym obowiązkiem człowieka jest wierność sobie, wierność owej prawdzie własnego serca; jednostka jest w świecie najważniejsza, a zatem ma ona prawo i obowiązek kształtowania własnej moralności niezależnie od nakazów religii i kierowania własnym życiem niezależnie

od presji społecznej. Była to koncepcja - zgodnie z ogólną tendencją dziewiętnastego wieku - romantyczna i optymistyczna, pełna wiary w możliwości człowieka, a także wiary w postęp, prowadzący do szczęścia ludzkości. Wiara taka harmonizowała z falą optymizmu kraju młodego i od niedawna niepodległego, kraju nieograniczonych możliwości. Emerson głosi zasadę ufności we własne siły, nakazuje aktywność, wyzwolenie się od przeszłości i tradycyjnych instytucji - także od ortodoksji religijnej, gdyż wiarę religijną wyznacza jedynie nasze wewnętrzne przekonanie. Niezawodnym źródłem wszelkich inspiracji i moralnych, i artystycznych jest natura, artysta zaś, jako specjalnie przez naturę uprzywilejowany wizjoner, który potrafi pojąć i głosić prawdę, winien tworzyć spontanicznie, bez nadmiernej troski o formę.

Wraz z hasłem wyzwolenia się od dawnych instytucji rozpoczął się silny ruch reformistyczny, m.in. głoszący wyzwolenie kobiet; zasłużoną dla ruchu feministycznego działaczką była Margaret Fuller, blisko związana z grupą transcendentalistów.

Hawthorne, łączony zwykle z transcendentalizmem i w dużej mierze do niego zbliżony, okazuje jednak w swej twórczości zalecaną przezeń niezależność intelektualną i w wielu kwestiach zajmuje stanowisko odmienne. Na razie jednak dobrowolny pustelnik z Salem, nie związany jeszcze z żadną grupą, poświęca cały niemal czas, wyjąwszy wakacyjne wypady do różnych miejscowości, na czytanie, przemyślenia i pisanie. Pisał właściwie nieprzerwanie, choć wiele prób z tego okresu niszczył, a inne przerabiał latami i doskonalił. Były to głównie szkice i opowiadania, w których precyzowały się jego zainteresowania i poglądy, tematy i idee, a także rozwiązania formalne, gdyż w przeciwieństwie do wskazań transcendentalistów był zawsze dbały o formę artystyczną. Do pierwszych prób należą dwie doskonałe opowieści: *Alice Doane's Appeal* (1835) i *The Hollow of the Three Hills* - pierwsza nowela Hawthorne'a wydana drukiem w miejscowej „Gazette” w r. 1830. W obu ujawnia się już typowe dla późniejszej twórczości ujęcie symboliczne i element fantastyki, sensacji i grozy, przejęty od powieści gotyckiej.

W ciągu pozostałych lat, spędzonych w rodzinnym domu, nowele i szkice Hawthorne regularnie ukazywały się w dziennikach i czasopismach. Już wtedy wyraźnie sprecyzowała się podejmowana przez niego tematyka. Wiele opowieści rozgrywa się w okresie kolonialnym i dotyczy prześladowań religijnych, jak np. *Alice Doane's Appeal* lub *The Gemie Boy* (1832). We wszystkich zaś powtarza się problem zła w różnych aspektach - historycznym, psychologicznym i filozoficznym. Nie tylko historię, przepojoną posępnością purytańskiej religii z jej wierzeniami w sabaty czarownic i z obsesją wiecznego potępienia, czyni Hawthorne odpowiedzialną za istnienie zła i cierpienie. Wizja jego jest na ogół tragiczna. Serce człowieka, dla transcendentalistów radosne siedlisko prawdy i harmonii, dla Hawthorne'a jest niezgłębioną otchłanią mrocznych tajemnic i konfliktów i samo dla siebie staje się potępieniem, którego nie unikną nawet najlepsi. Refleksje na te tematy przepełniają wczesne szkice pisarza, nowele zaś stwarzają wizje sytuacji i uczuć z tym związanych.

Okres pierwszych prób, jakkolwiek konieczny i owocny, był niedogodny ze względu na sytuację materialną rodziny. Jedyne dziecko zarabiał tak niewiele, że trzeba było powziąć jakąś decyzję i nareszcie wyjść na świat. W r. 1836 Hawthorne obejmuje redakcję miesięcznika popularno-naukowego „The American Magazine of Useful and Entertaining Knowledge” w Bostonie, pisząc z pomocą siostry potrzebne do niego artykuły, w następnym zaś roku opracowują razem kompendium historyczne dla popularnej serii Peter Parley’s Universal History. Są to wszystko, jak byśmy dziś powiedzieli, chałtury. Rok 1837 jest ważny przede wszystkim dlatego, że wówczas ukazuje się - dzięki pomocy finansowej przyjaciela - pierwszy tom opowiadań Hawthorne’a, *Twice Told Tales*, który w przyszłości doczeka się wielu wydań. Był to pierwszy krok do sławy, lecz stałych dochodów nie dawał. Autor przyjął więc ofiarowaną mu posadę w Urzędzie Celnym w Bostonie, co okazało się o tyle pożądane, że w tym samym roku zaręczył się z panną Sophią Peabody ze znanej w Salem rodziny pedagogów i działaczy i musiał poważnie zacząć myśleć o przyszłości. Z kolei jednak posada uniemożliwiała twórczość literacką i niebawem Hawthorne decyduje się na eksperyment, który ma zapewnić dom dla niego i dla żony, uczciwą pracę - i czas dla pracy twórczej. Przyłącza się do tworzącej się „komuny” w Brook Farm, gdzie grupa idealistycznych reformatorów pragnie połączyć pracę na roli, wykonywaną w demokratycznej wspólnocie, z realizacją postępowego modelu społeczności bratnich dusz. Takie eksperymenty modne były w Ameryce dziewiętnastego wieku.

Wkrótce okazuje się, że ciężka praca fizyczna (z której się doskonale i z przyjemnością wywiązywał) i intensywne kontakty towarzyskie nie zostawiają mu ani czasu, ani sił na pisanie. Wycofując się zatem z przedsięwzięcia pisarz wynajmuje Old Manse - pięknie położony dom w sielskim Concord, miejscowości ulubionej przez pisarzy - i po ślubie w r. 1842 sprowadza się tam wraz z żoną, mając za bliskich sąsiadów takich przyjaciół jak Emerson, Thoreau i Margaret Fuller. Warunki dla twórczości były idealne: spokój, piękne otoczenie i doborowe towarzystwo - okres ten będzie Hawthorne zawsze wspominał z sentymentem i złoży mu hołd w książce *Mosses from Old Manse* (1846). Lecz pod naciskiem potrzeb powiększającej się rodziny i to się skończyło: nowa posada zapewniająca regularne dochody czekała go w Urzędzie Celnym, tym razem w Salem, gdzie pozostawał przez trzy lata. Jego wrażenia z owego miejsca znalazły również odbicie w doskonałym satyrycznym szkicu wstępnym do *Szkarłatnej litery*.

Powieść tę napisał Hawthorne szybko i spontanicznie zaraz po zwolnieniu go z pracy (o czym również pisze we wstępie). Okazało się, że była to pozycja przełomowa w jego literackiej karierze: zyskała autorowi sławę, nie tylko natychmiastową, lecz trwałą i prawie niewzruszoną, w skali światowej. Od czasu jej ukazania się w r. 1850 był Hawthorne już w pełni pisarzem, uznaną wielkością w narodowej kulturze, twórcą, po którym wiele się spodziewano. Lecz - rzecz ciekawa - żaden z jego późniejszych utworów nie przewyższył tej pierwszej powieści ani wartością, ani rangą; był to więc także punkt szczytowy w rozwoju twórczym.

W ciągu następnych dziesięciu lat Hawthorne kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania (każde wydawało się idealne - na krótko) i napisał wszystkie swoje pozostałe utwory. Po tragicznej historii pięknej Hester stworzył *Dom o Siedmiu Szczytach* (1857), opowieść o starym rodzie, na którym ciąży przekleństwo - bardzo ponurą, bardzo gotycką, lecz rozjaśnioną obecnością dwojga młodych ludzi zdążających ku lepszej przyszłości. W tym samym roku ukazał się nowy tom opowiadań, *The Snów Image and Other Twice-Told Tales*, a w rok później nowa powieść, *The Blithedale Romance*, utwór całkiem odmienny od pozostałych, mocno satyryczny, wykorzystujący przeżycia i refleksje autora z pobytu w Brook Farm. Czytelnikom z epoki pozytywizmu i optymizmu nie przypadła do gustu krytyka reform i reformatorów świata, tracąca konserwatyzyzm, i książka spotkała się z chłodnym przyjęciem. Prócz książek dla dzieci, bardzo poczytnych, Hawthorne pisał już potem niewiele i z trudnością. Nową szansą na ogólną poprawę sytuacji i umożliwienie spokojnej pracy zapowiadało mianowanie go w r. 1853 konsulem Stanów Zjednoczonych w Liverpoolu. Jednakże pobyt w Europie, trwający sześć lat, choć korzystny i przyjemny pod innymi względami, nie spełnił nadziei na regenerację słabnących sił twórczych. Przez kilka lat Hawthorne pracował nad powieścią *Marmurowy faun*, wydaną w r. 1860, lecz nie należy ona do jego najdoskonalszych dzieł. Książka ta, która miała być sumą artystycznego credo autora, obraca się znów wokół zagadnień moralnych: zła (morderstwo dla ratowania ukochanej kobiety), winy, kary i pokuty. Symbolika arkadyjskiej sielanki i utraconego raju, rozważania i dyskusje o moralności i religii nie mają już siły i zwartości wcześniejszych utworów, wspaniałe zaś opisy Rzymu (rzecz dzieje się we Włoszech) zbytnio dominują nad całością. Prócz tomu ciekawych esejów o Anglii i jej powiązaniach z Ameryką, *Our Old Home* (1863), nic już ważniejszego nie zdołał Hawthorne ukończyć przed śmiercią, która nastąpiła nagle w czasie podróży dla poratowania zdrowia, w r. 1864. Z następnej, planowanej przez niego powieści pozostawił tylko cztery fragmenty, wydawane kolejno po jego śmierci.

Ogólnie biorąc twórczość jego jest liczebnie niewielka, a wartość poszczególnych utworów - nierówna. Dzieło jego życia nie przedstawia się prosto i nastęrcza trudności w interpretacjach i w ocenach. Ze swą epoką i środowiskiem zgadza się w swej postawie romantycznej, w poszukiwaniach głębszego sensu zewnętrznych zjawisk i wydarzeń, także społecznych, w zainteresowaniach problematyką moralną. Odbiega od swej epoki głębszym i bardziej intelektualnym ujęciem psychologii człowieka i jego związków ze społeczeństwem i z historią, a przede wszystkim wizją pesymistyczną, pełną wątpliwości i pytań. Nie wierzy w harmonię człowieka i natury: świat natury jest według niego obcy, obojętny dla człowieka i pozbawiony znaczenia, a sens faktom zewnętrznym nadaje tylko człowiek; lecz prawda, skrywająca się w głębi jego serca, jest niejasna i trudna do odczytania, a wierność sobie - wbrew twierdzeniom transcendentalistów - nie jest wcale sprawą prostą.

W przedmowie do *Domu o Siedmiu Szczytach* Hawthorne sformułował swoje słynne rozróżnienie między powieścią i romanssem. Nie jest to przeciwstawienie

„prawdy” i „fantazji”, lecz - rzecz zastanawiająca - „faktu” i „prawdy”. Fakt jest sprawą zewnętrzną, prawda - wewnętrzną. Autor romansu zatem, autor „romantyczny”, przekształca fakty zewnętrzne, pozbawione znaczenia same w sobie, w fakty znaczące, a czyni to za pomocą symbolu. Tą drogą właśnie podąża twórczość Hawthorne’a. Pragnął on również w swych dziełach stworzyć „alegorię serc”, ujawniającą prawdę o człowieku, tę prawdę wewnętrzną, najgłębszą, do której fakty zewnętrzne dają klucz słaby i zawodny. W wieku rozwoju romantyzmu w poezji i realizmu w powieści połączył te dwa elementy, tworząc powieść romantyczną, do której wzorów dostarczała mu powieść gotycka i Walter Scott, a sięgając dalej w przeszłość - alegorie Spensera i Bunyana. W jego powieściach zatem, czerpiących obficie z przeszłości, spotykają się elementy gotycyzmu, symbolizmu i alegorii w rozmaitych zestawieniach; czasem stanowią jedynie podziemny nurt realistycznej na pozór narracji, czasem opanowują ją w mniejszym lub większym stopniu - gdyż skala środków artystycznych Hawthorne’a była bardzo rozległa.

Należy pamiętać, że Hawthorne był nie tylko powieściopisarzem, lecz również - a może przede wszystkim - znakomitym nowelistą. W nowelach też znajdujemy najjaśniej i najdobitniej wyrażone prawdy, jakie pragnął przekazać, i motywy rozwijane później w powieściach. Cała jego twórczość jest przepojona problematyką moralną. W nowelach bliższych realizmu dylematy moralne wyrażają się w sytuacjach krańcowych, lecz całkiem prawdopodobnych. W opowiadaniu Pogrzeb Rogera Mahina bohater pozostawia na pustkowiu rannego, umierającego kolegę - z konieczności i na jego żądanie, gdyż w przeciwnym razie czeka ich obu pewna śmierć. Obiecuje wrócić, aby go pogrzebać. Sytuacja zdaje się jasna, nie ma w tym niczyjej winy. „Zło”, poczucie winy zaczyna się, gdy Reuben nie dotrzymuje obietnicy danej towarzyszowi i zataja prawdę ze wstydu przed córką kolegi i jego obecną żoną, mówiąc, że odszedł dopiero po jego śmierci, sprawiwszy mu pogrzeb. Obsesyjne poczucie winy każe mu po latach wędrować w poszukiwaniu miejsca, gdzie zostawił umierającego, i w tym miejscu, przypadkiem, zabija własnego syna, jak gdyby zło zatoczyło pełny krąg i wymierzyło karę. Mniej psychologiczna, bardziej metafizyczna jest wizja zła w opowiadaniu Young Goodman Brown, które jest czystą alegorią: imię Goodman (dobry człowiek) przypomina bohatera moralitetu Everyman (każdego) człowieka), żona zaś bohatera nosi imię Faith (wiera). Wyprawa Goodmana, niejasno motywowana, do mrocznej puszczy, gdzie trafia on w sam środek sabatu czarownic, jest wtajemniczeniem człowieka niewinnego w istnienie zła, a fakt, że zastaje tam wszystkich sąsiadów, wraz z duchownymi, a także własną żonę, odziera go ze złudzeń i pozbawia wiary w dobro, pozostawiając smutek na całe życie. Jeszcze inne ujęcie problemu zła, niewinności i winy znajdujemy w jednej z najdoskonalszych nowel Hawthorne’a, Mój kuzyn, major Molineux, w której młody człowiek ze wsi, „niewinny, ale sprytny”, przybywa do miasta szukać protekcji u wpływowego krewnego. Nowela utrzymana jest w podwójnej konwencji: alegorycznej „podróży” oraz koszmaru sennego. Wszystko dzieje się na granicy rzeczywistości i snu. Bohater szukając krewnego spotyka się z obojętnością, wrogością, kłamstwem i szyderstwem ludzi z miasta, czuje się coraz

bardziej oszołomiony i zaszczuty, w mocy niepojętego zła w miejskim tłumie. Wreszcie, ulegając atmosferze naładowanej agresją, przyłącza się do tłumu atakującego jakąś ofiarę. Okazuje się nią właśnie jego krewny, który ostatnio utracił wpływy i popadł w niełaskę u obywateli. Niewinność, zaskoczenie złem, wejście w krąg zła - współudział w zbrodni - to droga moralnego upadku, ale i moralnego rozwoju. Pełen wstydu i skruchy, uciekając od tłumu, bohater dostrzega w kościele złościście oświetloną Biblię (jedyna jasna plama w posępnym kolorystycznie tle) i spotyka życzliwego nieznanego, który perswaduje mu, że na pewno potrafi sam w życiu znaleźć właściwą drogę. Taki akcent nadziei, ludzkiej czy nadprzyrodzonej, nie zawsze znajdujemy u Hawthorne'a. Nie będzie jej w późniejszych o kilkadziesiąt lat i należą-

201cych duchowo do dwudziestego wieku fantasmagoriach Kafki, bardzo podobnych w konstrukcji, tonie i problematyce. Bowiem Hawthorne dostrzega jeszcze inną groźbę ludzkiej egzystencji: wyobcowanie, samotność, jaką niesie ze sobą poczucie nieokreślonej winy za jakiś „grzech” przeciw normom instytucjonalnym. To poczucie osamotnienia, zawsze według Hawthorne'a wywodzące się z poczucia winy, czasem utajonego, uleczyć może tylko zdecydowane włączenie się w „krąg magiczny” czy „łańcuch magnetyczny” ludzkiej wspólnoty, w której każdy żyje pod groźbą ciężaru winy i osamotnienia i każdy jest „grzeszny”. Niebezpieczeństwo przeciwne dostrzega Hawthorne w poczuciu moralnej wyższości, co również grozi odsunięciem się od innych, dla ochrony czystości własnej duszy. Taki grzech moralnej pychy popełnia duchowny w opowiadaniu Człowiek ze skały (1837), zamieszkując w jaskini (dla nie skażonego ludzkimi herezjami czytania Biblii), gdzie po pewnym czasie obraca się w kamień.

W sporze, rozpoczętym w dobie Oświecenia między „rozumem” i „uczuciem”, Hawthorne-romantyk opowiada się po stronie serca. Choć sam należy do intelektualistów, ostrzega przed zbytnią wiarą w potęgę rozumu i w jego wszechwiedzę, która prowadzi do zakłócenia naturalnego biegu życia. Pod tym względem aktualna dla późniejszych epok wydaje się sławna nowela Córka Rappacciniego (1844) opowiadająca o tym, jak pewien uczony własną córkę, piękną i stworzoną do miłości i do szczęścia, uczynił dla eksperymentu naukowego trucicielką, której dotknięcie, mimo jej wiedzy i woli, zabija wszystko, co żyje. Na koniec dziewczyna, odcięta od życia i jego możliwości, sama umiera.

Hawthorne, człowiek głęboko religijny, wiódł stały spór z religią, zwłaszcza w jej formach instytucjonalnych, uważając, że wiara jest sprawą osobistych uczuć człowieka, a nie naukowej argumentacji. W pięknym szkicu Sunday at Home (1837) przedstawia swe refleksje i odczucie „świętości” świata właśnie wtedy, gdy zamiast pójść do kościoła na nabożeństwo zostaje w domu, oddając się samotnym rozmyśleniom. Jest to zresztą motyw często powracający w protestantyzmie, a dodatkowo u tego pisarza wzmocniony odrazą do nietolerancji i okrucieństwa purytańskich rządów.

Wbrew pozorom, choć problematyka moralna i związane z nią stwierdzenia, czyli „morał” jego utworów, zajmują tak ważne miejsce u Hawthorne'a, nie jest on

pisarzem dydaktycznym w zwykłym sensie tego słowa. Nie jest prorokiem, który poznał prawdę i podaje ją do wierzenia czytelnikowi, lecz człowiekiem, który poszukuje prawdy, zbyt bogatej, by ją poznać do końca, i w tych poszukiwaniach czytelnik mu towarzyszy. To się wyczuwa w wieloznaczności, w jakiejś niepewności ostatecznych rozstrzygnięć i sądów moralnych. Zdecydowanie czarne charaktery rzadko u niego występują, i to w rolach czysto akcesorycznych. Aktorów obsadzonych w rolach głównych nie skazuje na bezwzględne potępienie: godny potępienia może być czyn, lecz nie człowiek, błądzący wśród sprzecznych sił motywujących jego postępek. A zatem i morał Szkarłatnej litery jest niejednoznaczny; oscyluje między tym, co oczywiste (np. fakt, że kara Hester jest niewspółmierna do winy), i tym, co nieuchwytnie i niepoznawalne (np. w jakiej mierze była rzeczywiście winna? Czy grzech kochanków zostanie im odpuszczony w życiu przyszłym?).

Zainteresowanie, jakie fabuła Szkarłatnej litery budziła zawsze wśród czytelników, jest zaskakujące, gdyż jest to opowieść bardzo statyczna, uboga w wydarzenia. To, co najbardziej mogłoby czytelnika zainteresować, np. dzieje miłości Hester i Artura, poddanie się namiętności, strach i niepewność wobec groźby wydania się ich tajemnicy, niepewność ich losu, to wszystko należy do przeszłości. Scena, w której Hester stoi z dzieckiem na szafocie, jest właściwie zakończeniem tej historii: kobieta ponosi odpowiedzialność, mężczyzna ma zostać uratowany. Wiemy, jaka spotkała ją kara i jaka będzie jej pokuta. Ciekawość budzi nie znana na razie osoba jej kochanka, a gdy i to się wyjaśnia, akcja sprowadza się do perypetii związanych z zemstą zdradzonego męża. Lecz przebiega to powoli. Treścią narracji w tej „alegorii serc” jest nie tyle akcja, co sytuacja moralna i psychologiczna bohaterów, szeroko analizowana.

Wszystkie najważniejsze motywy twórczości Hawthorne'a zbiegają się w Szkarłatnej literze, a przede wszystkim szeroko rozwinięty motyw zła. Istnieją tu jakby dwa jego ogniska. Pierwsze, to poważny w oczach bohaterów grzech cudzołóstwa, związany z fizyczną strukturą człowieka - i z miłością. Drugie - ujawniające się w początkowej scenie z szafotem - to zemsta religii i prawa, instytucji wyrosłych z wierzeń i z idei, a więc zło związane ze strukturą duchowo-intelektualną człowieka, z rozwojem jego świadomości: jest to grzech nienawiści i pychy. Nienawiść widać w tłumie (pod pozorami nienawiści do zła), a pychę moralną i obłudę wyczuwamy w wystąpieniach sędziów. Udramatyzowanie takiego układu było wtedy bardzo śmiałe i naraziło autora na zarzut obrony i idealizacji cudzołóstwa, oraz moralnej dwuznaczności.

Od strony psychologicznej żadna z głównych osób dramatu nie jest przypadkiem prostym: wszyscy troje - kochankowie i zdradzony mąż - postawieni zostali wobec sytuacji całkowicie przeciwnej do tego, czego oczekiwali od życia i do czego zdawali się stworzeni; zajmuje nas przede wszystkim sposób, w jaki usiłują wytrwać w nowych rolach, narzuconych im przez splot okoliczności. Każde na swój sposób próbuje zająć jakąś postawę wobec zła: własnej winy, krzywdy lub moralnego labiryntu bez wyjścia.

W wymiarze historycznym Hawthorne, tropiąc zło epoki purytańskiej, uderzył w sedno jej wierzeń religijnych - paniczny strach przed piekłem i wiecznym potępieniem, który rodził chęć odcięcia się od jawnych grzeszników, odrzucenia ich daleko od siebie, wyparcia się wszelkiego uczestnictwa w tym najpowszechniej ludzkim żywiole, jakim jest moralne zło.

W Szkarłatnej literze symbol i alegoria panują otwarcie. W pozornie realistycznej opowieści wszystko niemal jest symbolem - przede wszystkim emblemat szkarłatnej litery z jej odpowiednikiem ludzkim w osobie Pearl. Symboliczny jest koloryt - czern i szarość purytańskiego świata, połysk purytańskiej zbroi, bogata barwność ostatnich scen kolonialnej uroczystości. Jedną z przyczyn, dla których postacie Hawthorne'a są tak pamiętne, jest element wizualny: wygląd zewnętrzny i gesty osób rysowanych z rozmachem i zawsze symbolicznie związanych z reprezentowaną przez nich treścią - na przykład szpetota starego Rogera i wąłłość Artura Dimmesdale - są symboliczne, zarówno jak ich imiona, kojarzące się z zimnem (Chillingworth) lub z zamgloną doliną (Dimmesdale). Nowoczesnego czytelnika mogą nużyć rozwlekłe komentarze i dociekania zawłości serc bohaterów, lecz napięcie, w jakim żyją, i tragizm sytuacji pomagają nam się pogodzić z takim stylem narracji. Nad całością panuje potężna wizja autora, jego zaangażowanie i wewnętrzne przekonanie, z jakim przekazuje nam obraz epoki i to, co w niej można uznać za prawdy powszechne dla wielu innych epok.

Zmęczony tragizmem tej opowieści (przypisywał go częściowo ten, że w czasie jej pisania utracił matkę), Hawthorne postanowił napisać powieść pogodniejszą w tonie. W efekcie tego powstał Dom o Siedmiu Szczytach. Powieść jest wspaniale napisana i podobnie jak inne utwory Hawthorne'a zachęca do rozważań i różnych interpretacji. Co do jednego wszakże krytycy są zgodni - że Hawthorne „mroczny” jest lepszy od „jasnego”; także i bohaterowie pozytywni, na przykład wydrwiwane przez krytykę młode, niewinne, jasnowłose dziewczęta, nie przekonują i nie fascynują czytelnika tak, jak postacie tragiczne. Cokolwiek by się powiedziało o pogodnym usposobieniu autora, w głębi jego duszy odczucie tragizmu życia musiało dominować.

Choć tak bardzo amerykański i tak bardzo romantyczny, Hawthorne, jak wszyscy wielcy artyści, jest zrozumiały i bliski również dla czytelników innych krajów i epok. Jego własna epoka wielbiła go za romantyzm i wrażliwość na problemy moralne. Krytykowano go natomiast za brak jednoznacznego morału i za rezerwę w stosunku do nurtów reformistycznych. Po śmierci pisarza, gdy najsilniej rozwijała się powieść realistyczna, pochłonięta problemami społecznymi i pełna optymizmu, sława jego nieco przygasła. Lecz już u progu naszego stulecia, i w latach późniejszych, gdy rozwijały się inne typy powieści, czytelnicy odkryli nowe uroki jego prozy, poprzednio niemodne i niedoceniane: mistrzowskie operowanie symbolem i alegorią, ciekawe ujęcia psychologiczne, niepewność i pesymizm w rozwiązaniach ideologicznych.

Jeśli Hawthorne ma tak różnorodne i ciągle aktualne wartości do zaoferowania, skąd się bierze wyraźna aura staroświeckości, odczuwana nie tylko

przez czytelnika naszych czasów, lecz nawet przez ludzi mu współczesnych? Jest to oczywiście kwestia stylu, mocno koturnowego, rozmyślnie archaicznego. Kunsztowne, masywne zdania przeładowane epitetami, dygresyjne i zawile, zdania pięknie wyważone, w których logika i precyzja sensu walczą o lepsze z nasyceniem emocjonalnym, mogą zachwycać, lecz także i męczyć. Na pewno są dalekie od mowy potocznej, którą pisarze popularni tak chętnie naśladują, a czytelnicy lubią. Hawthorne wymaga skupienia i spokojnej uwagi, ale cierpliwość hojnie czytelnikowi wynagrodzi.

Spis treści

Urząd Celny Szkarłatnej litery rozdział wstępny	3
I Brama więzienna.....	29
II Rynek miejski	30
III Rozpoznanie	37
IV Rozmowa	43
V Hester przy igle	48
VI Pearl	55
VII W holu gubernatora	62
VIII Dziecko-chochlik i duchowny.....	67
IX Medyk-pijawka	73
X Medyk i jego pacjent	80
XI Wnętrze ludzkiego serca	87
XII Czuwanie pastora.....	92
XIII Hester z innej strony.....	99
XIV Hester i lekarz	104
XV Hester i Pearl	108
XVI Spacer po lesie.....	113
XVII Pastor i jego parafianka.....	117
XVIII Powódź słońca	124
XIX Dziecko nad strumykiem.....	128
XX Pastor wśród błędnych dróg	133
XXI Święto w Nowej Anglii	140
XXII Pochód	146
XXIII Ujawnienie szkarłatnej litery	153
XXIV Zakończenie	159
Posłowie	163